

Król darknetu

Polowanie na
genialnego
cyberprzestępcę

NICK BILTON

Ross (...) wiele lat wcześniej wyobrażał sobie wolny rynek, na którym każdy może kupić i sprzedać wszystko, nie będąc przy tym śledzonym przez rząd. Nie byłoby biurokratów dyktujących ludziom, co mogą wciągać, łykać czy wstrzykiwać. Strona byłaby całkowicie wolna i otwarta. I dokładnie taka się stała.

Dla niektórych nabywców i handlarzy ta wolność stanowiła jednak problem. Wyluzowani ludzie kupujący i sprzedający ziolo nie chcieli być kojarzeni z nabuzowanymi ludźmi kupującymi i sprzedającymi kokainę. Części dilerów twardych narkotyków nie podobało się towarzystwo prawicowych świrów, którzy handlowali bronią. Z kolei niektórzy goście od broni nie chcieli trafić do jednego wózka z ośliszłymi dilerami heroiny. I tak to się w kółko kręciło.



SERIA AMERYKAŃSKA

Geert Mak *Śladami Steinbecka. W poszukiwaniu Ameryki*

Johnny Cash *Cash. Autobiografia*

William S. Burroughs Jack Kerouac *A hipopotamy żywcem się ugotowały*

Lawrence Wright *Droga do wyzwolenia. Scjentologia, Hollywood i pułapki wiary*

S. C. Gwynne *Imperium księżycy w pełni. Wzlot i upadek Komanczów*

David Ritz *Respect. Życie Arethy Franklin*

Alysia Abbott *Tęczowe San Francisco. Wspomnienia o moim ojcu*

Jon Krakauer *Pod sztandarem nieba. Wiara, która zabija*

Kim Gordon *Dziewczyna z zespołu*

Dennis Covington *Zbawienie na Sand Mountain. Nabożeństwa z węzami w południowych Appalalach*

Scott Carney *Śmierć na Diamentowej Górze. Amerykańska droga do oświecenia*

Hampton Sides *Krew i burza. Historia z Dzikiego Zachodu*

James Grissom *Szaleństwa Boga. Tennessee Williams i kobiety z mgły*

Patti Smith *Pociąg linii M*

Billie Holiday William Dufty *Lady Day śpiewa bluesa*

Dan Baum *Dziewięć twarzy Nowego Orleanu*

Jill Leovy *Wszyscy wiedzą. O zabójstwach czarnych w Ameryce*

Brendan I. Koerner *Niebo jest nasze. Miłość i terror w złotym wieku piractwa powietrznego*

Hampton Sides *Ogar piekielny ściga mnie. Zamach na Martina Luthera Kinga i wielka oblawa na jego zabójcę*

Paul Theroux *Głębokie Południe. Cztery pory roku na głuchej prowincji*

S. C. Gwynne *Wrzask rebeliantów. Historia geniusza wojny secesyjnej*

Jon Krakauer *Missoula. Gwałty w amerykańskim miasteczku uniwersyteckim*

James McBride *Załatw publikę i spadaj. W poszukiwaniu Jamesa Browna, amerykańskiej duszy i muzyki soul*

Dan Baum *Wolność i spluwa. Podróż przez uzbrojoną Amerykę*

Legs McNeil Gillian McCain *Please kill me. Punkowa historia punka*

David McCullough *Bracia Wright*

Lawrence Wright *Wyniosłe wieże. Al-Kaida i atak na Amerykę*

Linda Polman *Laleczki skazańców. Życie z karą śmierci*

Sam Quinones *Dreamland. Opiatowa epidemia w USA*

Jan Błaszczak *The Dom. Nowojorska bohema na polskim Lower East Side*

Charlie LeDuff *Detroit. Sekcja zwłok Ameryki (wyd. 3)*

Charlie LeDuff *Shitshow! Ameryka się sypie, a oglądalność szybuje*

Tom Clavin Bob Drury *Serce wszystkiego, co istnieje. Nieznana historia Czerwonej Chmury, wodza Siuksów (wyd. 2)*

Andrew Smith *Księżycowy pył. W poszukiwaniu ludzi, którzy spadli na Ziemię*

Nikki Meredith *Ludzkie potwory. Kobiety Mansona i banalność zła*

NICK BILTON

KRÓL DARKNETU

Polowanie na genialnego cyberprzestępcę

Przełożył Rafał Lisowski



Wołowiec 2020

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.



Tytuł oryginału angielskiego *American Kingpin: The Epic Hunt for the Criminal Mastermind Behind the Silk Road*

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka
Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl
Fotografia na okładce © by Mark Wilson / Getty Images

Copyright © 2017 by Nick Bilton. All rights reserved
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2020
Copyright © for the Polish translation by Rafał Lisowski, 2020

Opieka redakcyjna Przemysław Pełka
Redakcja Justyna Żebrowska
Korekta Monika Ples, Sylwia Paszyna
Skład Agnieszka Fryszak / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8191-009-5

Spis treści

Seria

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Motto

Od autora

Obsada

CZĘŚĆ I

1 Różowa pigułka

2 Ross Ulbricht

3 Julia Vie

4 Debata

5 Khat Jareda

6 Ognisko

7 Silk Road

8 Farmer Ross

9 Dzień otwarcia Silk Road

10 Co się wznosi, musi upaść

11 Artykuł na Gawkerze

12 Tarcza na moich plecach

13 Julia mówi Erice

14 Coś ty zrobiła?!

15 Jared i pięćdziesięciotonowy *Flaming*

16 Z Austin do Australii

CZĘŚĆ II

17 Jutro Carla Force'a

18 Variety Jones i Wąż

19 Jared idzie na zakupy

20 Straszny Pirat Roberts

21 Carl Force rodzi się na nowo

- 22 „O kapitanie, mój kapitanie”
- 23 Ross na stryczek albo do domu
- 24 Carl, Eladio i Nob
- 25 Chicago Jareda kontra Baltimore Carla
- 26 Bunt
- 27 Miliard dolarów?!
- 28 Kandydat na miliardera w Kostaryce
- 29 Variety Jones jedzie do Szkocji
- 30 Otwarcie zbrojowni
- 31 Ross ucisza Julię

CZĘŚĆ III

- 32 Chris Tarbell, FBI
- 33 Ross przyjeżdża do San Francisco
- 34 Chris w Jamie
- 35 Zabezpieczyć luki!
- 36 Jared w ślepym zaułku
- 37 Pirat na Dominice
- 38 Carl lubi SPR-a
- 39 Nerka na sprzedaż!
- 40 Biały dom w Utah
- 41 Torturowanie Curtisa
- 42 Pierwsze morderstwo
- 43 FBI dołącza do polowania
- 44 Biwak i bal

CZĘŚĆ IV

- 45 Gary Alford, IRS
- 46 Życie i śmierć na szlaku
- 47 Wielka zmiana Gary’ego
- 48 Ross schodzi do podziemia
- 49 Carl zmienia drużynę
- 50 Internetowy mandat za parkowanie
- 51 Tarbell znajduje błąd
- 52 Fałszywe dowody, część pierwsza
- 53 Spotkanie dekonfliktacyjne
- 54 Jared staje się Cirrus

55 Julia uratowana! Alleluja!
56 Fałszywe dowody, część druga
57 Naprzód, na Federal Plaza
58 Julia przyjeżdża do San Francisco
59 Jestem bogiem
60 Rozmowa przez telefon
61 Impreza pożegnalna

CZEŚĆ V

62 Różowy zachód słońca
63 Carla Sophia
64 FeLiNa
65 Aresztowany
66 Laptop
67 Ross za kratkami
68 Stany Zjednoczone Ameryki kontra Ross William Ulbricht
69 Złapać pirata
70 Wyrok
71 Mongoose
72 Muzeum
73 Inni

Podziękowania

Bibliografia

Przypisy

Kolofon

*Dla mojej żony Chrysty i naszych synów Somerseta i Emersona.
Kocham Was ponad wszystko na tym wielkim świecie*

Nikt nie może przez dłuższy czas nosić jednej twarzy dla siebie, a drugiej dla tłumu, nie narażając się na to, że w końcu sam nie będzie wiedział, która jest prawdziwa.

Nathaniel Hawthorne, *Szkarłatna litera* przeł. Bronisława Bałutowa

Robiłem to dla siebie. Lubiłem to. Byłem w tym dobry. I czułem, że naprawdę... czułem, że żyję.

Walter White alias Heisenberg, *Breaking Bad*

Od autora

Moja matka, która zmarła w 2015 roku, zapalona czytelniczka, miała dziwny zwyczaj. Lekturę każdej książki zaczynała od ostatniej strony, a potem wracała do początku. Dla niej każda powieść rozpoczynała się na końcu. Wspominam o tym, ponieważ tym razem zwyczajowy początek – przedmowę, w której autor wyjaśnia, jak powstała książka – postanowiłem umieścić na końcu.

W rozdziale *Uwagi o gromadzeniu materiałów* tłumaczę, jak zebrałem materiały i napisałem to, co wkrótce przeczytacie. Szczegółowo opisuję research, miliony słów, zdjęć i filmów, tysiące godzin gromadzenia materiałów (w tym badania przeprowadzone przez niesamowitych dziennikarzy Josha Bearmana i Joshuę Davisa), których wymagało przygotowanie tej książki, a tym samym zdradzam zakończenie całej historii. Mam nadzieję, że lektura na temat dziennikarskiego tła nie zepsuje Wam tej epickiej opowieści. Niepotrzebne wydaje mi się jednak tłumaczenie teraz, jak powstała budowla, jeśli nie mieliście jeszcze okazji przespacerować się jej korytarzami.

W książce przeczytacie cytaty z rozmów między szefem Silk Road a jego pracownikami. To wierne zapisy czatów. Nie licząc niejasnych literówek, zachowano błędy ortograficzne i osobliwości tekstu, żeby oddać autentyczność tych rozmów.

Obiecuję, że na końcu wszystko się wyjaśni. Jak zawsze.

Obsada

Silk Road

Straszny Pirat Roberts (Ross Ulbricht)

Variety Jones, doradca i mentor (Roger Thomas Clark)

Nob, diler narkotyków i pomocnik (Carl Force, DEA)

ChronicPain, moderator forum (Curtis Green, Spanish Fork, Utah)

Richard Bates, przyjaciel i programista

INNI PRACOWNICY SILK ROAD

SameSameButDifferent, Libertas, Inigo, Smedley

Organy ścigania

DHS, CHICAGO

Jared Der-Yeghiayan (incognito na Silk Road jako „Cirrus”)

ZESPÓŁ SPECJALNY MARCO POLO

Carl Force, DEA, Baltimore (incognito na Silk Road jako „Nob”)

Mike McFarland, DHS, Baltimore

Shaun Bridges, Secret Service, Baltimore

FBI, NOWY JORK

Chris Tarbell

Thom Kiernan

Ilhwan Yum

IRS, NOWY JORK

Gary Alford

BIURO OKRĘGOWEGO PROKURATORA FEDERALNEGO , NOWY JORK

Serrin Turner, federalny prokurator śledczy

CZĘŚĆ I

Różowa pigułka

Różowa. Maleńka różowa pigułka z wiewiórką wytłoczoną po obu stronach. Jared Der-Yeghiayan nie mógł oderwać od niej wzroku.

Stał w pozbawionym okien pomieszczeniu kancelarii pocztowej. Na jego szyi wisiała odznaka Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego (Department of Homeland Security, DHS), którą oświetlały światła halogenowe pulsujące pod sufitem. Na dworze co pół minuty dudniły przelatujące samoloty. Jared wyglądał jak nastolatek: za duże ubranie, krótka fryzura i piwne oczy o prostodusznym spojrzeniu. „Zaczęliśmy ich dostawać po kilka tygodniowo” – powiedział jego kolega Mike, tęgi funkcjonariusz Urzędu Celnego i Ochrony Granic (Customs and Border Protection, CBP), wręczając Jaredowi kopertę, w której przyszła pigułka.

Koperta była biała i kwadratowa. W górnym prawym rogu znajdował się jeden ząbkowany znaczek pocztowy, a na skrzydełku widniał napis „HIER ÖFFNEN”. Pod spodem było tłumaczenie na angielski: „TU OTWIERAĆ”. Imię adresata wydrukowano czarnymi literami: DAVID. Przesyłka zmierzała do domu przy West Newport Avenue w Chicago.

Właśnie na to Jared czekał od czerwca.

Samolot, który przywiózł tę kopertę, lot KLM numer 611, wylądował kilka godzin wcześniej w międzynarodowym porcie lotniczym Chicago O’Hare, pokonawszy sześć i pół tysiąca kilometrów z Holandii. Kiedy znużeni pasażerowie podnosili się i prostowali kończyny, sześć metrów niżej bagażowi wyjmowali ładunek z trzewi boeinga 747. Walizki najróżniejszych rozmiarów i kształtów kierowano w jedną stronę, około czterdziestu niebieskich kubłów z pocztą międzynarodową – w drugą. Te niebieskie pojemniki wieziono po płycie lotniska do olbrzymiego centrum przechowywania i sortowania poczty, położonego w odległości piętnastu minut. Ich zawartość – listy do bliskich, dokumenty biznesowe, a także tamta kwadratowa biała koperta z różową

pastylką – przechodziły przez ów budynek, kontrolę celną, a potem trafiały do rozległych arterii logistycznych amerykańskiej poczty. Gdyby wszystko – jak to się działo zazwyczaj – poszło zgodnie z planem, mała koperta z narkotykami, a także wiele jej podobnych, przemknęłyby się niezauważone. Ale nie dziś, 5 października 2011 roku.

Późnym popołudniem Mike Weinthal, funkcjonariusz Urzędu Celnego i Ochrony Granic, rozpoczął swój codzienny rytuał. Zameldował się w pracy, nalał sobie gigantyczny kubek kawy i zaczął otwierać niebieskie kubły w poszukiwaniu czegoś niezwykłego: paczek z niewielkim wybrzuszeniem, fałszywie wyglądających adresów zwrotnych, papierowych kopert, które wydawały szelest plastikowej folii – absolutnie czegokolwiek, co mogło się wydawać podejrzane. W tej czynności nie było nic naukowego. Żadnych supernowoczesnych skanerów ani urządzeń do badania próbek osadu. Po dekadzie, w której papierowe listy zostały w zasadzie wyparte przez mejle, budżety służb pocztowych uległy znacznemu okrojaniu. Nowoczesna technologia była rzadkim luksusem, wykorzystywanym do badania dużych paczek. Chicagowskie psy obwąchujące przesyłki – Shadow i Rogue – przychodziły zaś tylko kilka razy w miesiącu. Osoba przeszukująca kubły po prostu wsadzała rękę do środka i kierowała się instynktem.

Kwadratowa biała koperta zwróciła uwagę Mike'a po półgodzinie grzebania w przesyłkach. Uniósł ją do światła pod sufitem. Adresu na awersie nie napisano odręcznie, lecz go wydrukowano. Dla celników to zwykle oznaka, że coś jest nie tak. Mike wiedział, że drukowane adresy zwykle pojawiają się na listach służbowych, a nie osobistych. Poza tym przesyłka miała lekkie zgrubienie, co było podejrzane, zwłaszcza że nadano ją z Holandii. Sięgnął po teczkę na dowody i formularz zatrzymania numer 6051S, pozwalający legalnie otworzyć kopertę. Potem przycisnął nóż do jej wnętrza i wypatroszył jak rybę. Ze środka wypadła plastikowa torebka z małą różową tabletką ecstazy.

Mike pracował w jednostce celnej od dwóch lat i miał pełną świadomość, że na pojedynczą pigułkę w zwyczajnych okolicznościach każda komórka władz federalnych miałaby kompletnie wyjebane. Wedle obowiązującej niepisanej zasady, o której wiedział każdy pracownik administracji w Chicago, agenci antynarkotykowi nie brali spraw, w których chodziło o mniej niż tysiąc pastylek. Biuro Okręgowego Prokuratora Federalnego wyśmiałoby takie śledztwo. Ścigało się znacznie grubszy handel. Mike dostał jednak wyraźną

instrukcję od kogoś, kto oczekiwał takiej właśnie pigułki: Jareda Der-Yeghiayana, agenta Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

Kilka miesięcy wcześniej Mike natrafił na podobną nielegalną przesyłkę, która zmierzała do Minneapolis. Chwycił za telefon i zadzwonił do lotniskowego oddziału Biura Śledczego Bezpieczeństwa Krajowego (Homeland Security Investigations, HSI), podlegającego DHS i wchodzącego w skład Urzędu ds. Imigracji i Służby Celnej (Immigration and Customs Enforcement, ICE), choć spodziewał się, że jak zwykle go wyśmieją albo się rozłączą. Agent HSI, który odebrał połączenie, słuchał go jednak zaskakująco uważnie. Jared pracował wtedy nad tą sprawą dopiero od dwóch miesięcy i szczerze mówiąc, mało jeszcze wiedział.

– Nie mogę polecieć do Minneapolis, żeby porozmawiać z kimś o jednej pigułce – stwierdził. – Dlatego proszę do mnie zadzwonić, kiedy trafi się coś w moim rejonie, w Chicago. Wtedy wybiorę się do adresata.

Cztery miesiące później, kiedy Mike znalazł pastylkę wysłaną do Chicago, Jared pognał, żeby ją obejrzeć.

– Po co to panu? – zapytał Mike. – Wszyscy inni agenci odmawiają. W sprawie mety i heroiny odmawiają od lat. A pana interesuje ta jedna pigułka?

Jared świetnie wiedział, że być może to fałszywy alarm. Może jakiś durny dzieciak z Holandii przesłał kolegom trochę MDMA. Jednocześnie Jared zastanawiał się jednak, dlaczego pojedynczą pigułkę wysłano w tak długą drogę oraz skąd ludzie nadający równie niewielkie ilości narkotyków znali swoich adresatów. Coś tu nie pasowało.

– Może chodzić o coś więcej – powiedział Mike’owi, odbierając od niego kopertę. Musiał ją pokazać swemu opiekunowi.

Każdy początkujący agent HSI przez pierwszy rok pracy miał opiekuna – oficera szkoleniowego. Był to bardziej doświadczony funkcjonariusz, który wiedział co i jak, pilnował, żeby nowicjusz nie narobił sobie kłopotów, i bardzo często sprawiał, że młody agent czuł się jak ostatnie gówno. Jared musiał dzwonić do swojego anioła stróża co rano, by informować go, nad czym danego dnia pracuje. Od przedszkola różniło się to tylko tym, że pozwalali mu nosić broń.

Trudno się dziwić, że oficer szkoleniowy Jareda nie uznał sprawy pojedynczej pastylki za pilną i dopiero po tygodniu zgodził się towarzyszyć

młodszeemu koledze w wyprawie pod adres doręczenia – mieli zapukać do drzwi człowieka, do którego miała trafić pigułka, i ewentualnie z nim porozmawiać.

Tego dnia, kiedy służbowy ford crown victoria Jareda śmigał zygzakiem po chicagowskiej North Side, zawieszona na breloczku mała kostka Rubika dyndała tam i z powrotem. Radio było nastawione na sport: Cubsi i White Soxsi odpadli z rozgrywek, natomiast Bearsi szykowali się do pojedynku z Lionsami, rywalami ze swojej dywizji. Wśród trzasków radia Jared skręcił w West Newport Avenue, długi szpaler piętrowych budynków z wapienia, z których każdy podzielono na górne i dolne mieszkanie. Dobrze znał tę dzielnicę klasy robotniczej. Jako dziecko chodził na mecze bejsbolowe na pobliskim stadionie Wrigley Field. Teraz jednak królowała tu hipsterka, pełno było modnych kawiarni, szykownych restauracji i – jak się właśnie przekonywał – ludzi, którym narkotyki dostarczano do domu pocztą z Holandii.

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak niedorzecznie musi wyglądać w oczach oficera szkoleniowego o siwych włosach. Przyjechali do jednej z najbezpieczniejszych dzielnic w mieście, żeby przepytac kogoś w związku z jedną pigułką ecstasy. Nie obchodziło go jednak, co sobie myśli jego opiekun; miał przeczucie, że tu chodzi o coś większego niż ta jedna pigułka. Nie wiedział tylko, o ile większego – na razie.

Znalazł adres i zjechał na pobocze, a jego anioł stróż tuż za nim. Weszli po schodkach i Jared zapukał do szklanych drzwi mieszkania numer 1. Zapukać – to było najłatwiejsze. Przekonać kogoś do rozmowy to już większe wyzwanie. Adresat przesyłki mógł się po prostu jej wyprzeć. To byłby koniec tematu.

Po dwudziestu sekundach zazgrzytał otwierany zamek i zza drzwi wyjrzał chudy młodzieniec w džinsach i T-shircie. Jared mignął odznaką, przedstawił się jako agent HSI i zapytał, czy David, człowiek, którego imię figurowało na kopercie, jest w domu.

– Teraz jest w pracy – odparł młody człowiek, otwierając szerzej drzwi. – Ale ja jestem jego współlokatorem.

– Możemy wejść? – spytał Jared. – Chcemy tylko zadać panu kilka pytań.

Współlokator się zgodził, usunął się i wpuścił ich do kuchni. Jared usiadł, wyjął długopis i notes, a potem zapytał:

– Czy pański współlokator dostaje dużo przesyłek pocztą?

– Tak, od czasu do czasu.

– No właśnie – stwierdził agent, zerkając na oficera szkoleniowego, który z założonymi rękami siedział w milczeniu w kącie pomieszczenia. – Znaleźliśmy tę kopertę adresowaną do niego i były w niej narkotyki.

– Tak, wiem o tym – odparł nonszalancko współlokator.

Jared był skonsternowany, że młody człowiek od niechcienia przyznał się do otrzymywania narkotyków pocztą, ale kontynuował zadawanie pytań. Chciał wiedzieć, skąd je dostawali.

– Ze strony internetowej.

– Jakiej strony?

– Silk Road.

Agent patrzył na młodego mężczyznę zdezorientowany. Silk Road? Jedwabny Szlak? Nigdy o nim nie słyszał. Ba, nie słyszał o żadnej stronie internetowej, na której można kupować narkotyki, i zastanawiał się, czy jest po prostu nieogarniętym nowicjuszem, czy może w dzisiejszych czasach właśnie tak hipsterka zaopatruje się w dragi.

– Co to takiego ten Silk Road? – spytał Jared, starając się nie wyjść na kompletnego ignorantę... i właśnie na takiego wychodząc.

Wtedy chudy współlokator z impetem samolotu pasażerskiego, który podchodzi do lądowania na lotnisku O'Hare, zaczął tłumaczyć zasady działania witryny Silk Road.

– Na tej stronie da się kupić każdy narkotyk, jaki można sobie wyobrazić – wyjaśniał. Przyznał, że niektóre wypróbował ze współlokatorem: marihuanę, metamfetaminę i małe różowe pigułki ekstazy, które tydzień w tydzień przybywały lotem KLM numer 611.

Jared notował, a tamten nawijał dalej w szybkim tempie. Za narkotyki płaciło się cyfrową walutą o nazwie bitcoin, a zakupy robiło się przez anonimową przeglądarkę internetową o nazwie Tor. Na stronę Silk Road mógł wejść każdy, wybrać coś z setek dostępnych narkotyków, zapłacić, a kilka dni później listonosz wrzucał to człowiekowi do skrzynki. Potem można było wciągać, wdychać, pić i wstrzykiwać, co tylko było pod ręką.

– To zupełnie jak Amazon, tyle że z dragami – powiedział współlokator.

Jared był oszołomiony i trochę sceptycznie nastawiony do wizji, że w najciemniejszych zakamarkach sieci może działać takie wirtualne targowisko. Zamkną je w ciągu tygodnia – pomyślał. Zadawszy jeszcze kilka pytań,

podziękował współlokatorowi za poświęcony im czas i wyszedł wraz z kolegą, który przez cały czas nie odezwał się ani słowem.

– Słyszałeś kiedyś o tej stronie Silk Road? – zapytał oficera szkoleniowego, kiedy wracali do samochodów.

– O, tak – odparł tamten beznamiętnie. – Każdy słyszał. W związku z nią jest otwartych pewnie kilkaset spraw.

Jared, nieco zawstydzony, że przyznał się do swojej niewiedzy, wcale się nie zrażał.

– I tak się temu przyjrzę. Zobaczymy, czego się dowiem.

Starszy mężczyzna wzruszył ramionami i odjechał.

Godzinę później Jared wpadł do swojego gabinetu, który był pozbawioną okien klitką, i odczekał całą wieczność, aż uruchomił się archaiczny rządowy komputer firmy Dell. Zaczął przeszukiwać bazę danych Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego pod kątem otwartych śledztw związanych z Silk Road. Ku jego zaskoczeniu nie było jednak żadnych wyników. Spróbował innych słów kluczowych i odmiennej pisowni nazwy strony. Nic. A gdyby wpisać w inne okno? Dalej nic. Był zdezorientowany. Temat Silk Road wcale nie był przedmiotem kilkuset otwartych spraw, jak twierdził jego oficer szkoleniowy. Nie było wręcz ani jednej.

Zastanowił się chwilę i postanowił skorzystać z drugiej najlepszej technologii, jakiej używa każdy wytrawny funkcjonariusz państwowy, kiedy szuka czegoś ważnego: z Google'a. Pierwsze kilka trafień prowadziło do stron o tematyce historycznej poświęconych Jedwabnemu Szlakowi, dawnej drodze handlowej łączącej Chiny z Morzem Śródziemnym. W połowie strony z wynikami Jared natrafił jednak na link do artykułu z początku czerwca opublikowanego na Gawkerze, blogu z wiadomościami i plotkami. Znalazł tam informację, że Silk Road to „podziemna strona, na której można kupić każdy narkotyk, jakiego zapragniesz”. Towarzyszyły jej zrzuty ekranu, na których widniała strona internetowa z zielonym wielbłądem w rogu. Były również zdjęcia całego zatręśienia narkotyków, w sumie trzystu czterdziestu „artykułów”, między innymi afgańskiego haszyszu, marihuany Sour 13, LSD, ecstasy, woreczków kokainy i heroiny znanej jako czarna smoła. Sprzedawcy byli rozsiani po całym świecie, nabywcy też. O kurwa, to chyba jakieś jaja – pomyślał Jared. Naprawdę tak łatwo kupić w necie narkotyki? Przez resztę dnia i prawie cały wieczór czytał na temat Silk Road wszystko, co znalazł.

W weekend, gdy z żoną i małym synkiem odwiedzał targi staroci w pobliżu Chicago (to był ich cotygodniowy rytuał), zachowywał się jak katatonik – do tego stopnia był pochłonięty myślami o stronie, na której sprzedawano narkotyki. Zdał sobie sprawę, że jeśli dragi może tam kupić każdy, to każdy to zrobi, od japiszonów w średnim wieku z chicagowskiej North Side aż po dzieciaki dorastające na prowincji w sercu kraju. A skoro teraz można tam handlować narkotykami, to czemu nie rozszerzyć oferty o inne nielegalne towary? Może wkrótce dojdą broń, bomby i trucizny. Wyobrażał sobie, że strona mogłaby posłużyć terrorystom do zorganizowania następnego jedenastego września. Gdy patrzył w lusterko na śpiącego synka, przerażały go te myśli. Ale od czego w ogóle zacząć szukać w internecie, krainie zupełnej anonimowości?

Gdy weekend chylił się ku końcowi, w głowie Jareda wreszcie zaczął się układać pomysł, jak można podejść do sprawy. Wiedział, że będzie to mozolna i nużąca praca, istniała jednak szansa, że ostatecznie doprowadzi go do twórcy strony.

Znalezienie narkotyków i ich dilerów, a nawet założyciela Silk Road, było jednak łatwizną w porównaniu z namówieniem zwierzchnika, by pozwolił mu zająć się tematem na podstawie jednej malutkiej pigułki. Nawet gdyby Jared zdołał urobić szefa, musiał jeszcze przekonać Biuro Okręgowego Prokuratora Federalnego, żeby wsparło go w tym przedsięwzięciu. Żaden prokurator federalny w kraju nie wzięłby sprawy dotyczącej jednej marnej pastylki czegokolwiek. Na domiar złego trzydziestoletni Jared był absolutnym żółtodziobem. A nowicjuszy nikt nigdy – przenigdy! – nie traktuje poważnie.

Musiał przekonać ich wszystkich, że ta jedna pigułka ma związek z grubszą sprawą. Do poniedziałkowego poranka obmyślił plan, którego szef chyba nie mógł zlekceważyć. Odetchnął głęboko, wszedł do gabinetu zwierzchnika i usiadł.

– Ma pan chwilę? – zapytał, rzucając mu białą kopertę na biurko. – Muszę panu pokazać coś ważnego.

Pięć lat wcześniej

Ross Ulbricht

– Ross, skocz w przepaść.

Mężczyzna stał z nieco osłupiałą miną, zerkając za krawędź urwiska. Pod nim wiło się jezioro Pace Bend leżące w pobliżu Austin. Piętnastometrowa ściana wpadała wprost do lodowatej wody.

– Że co? – zapytał z głupkowskim uśmiechem, uniósł dłonie i skierował je na swój szeroki tors. – Dlaczego ja?

– *Juuust do it* – rzuciła jego siostra Cally.

Dwudziestoczteroletni Ross Ulbricht był od niej wyższy o ponad trzydzieści centymetrów. Pochylił głowę, rozważając to polecenie. Potem nagle wzruszył ramionami, krzyknął: „Dobra!”, ruszył biegiem i rzucił się z urwiska. Z wrzaskiem pofrunął w powietrzu, a potem z donośnym chlustem wpadł do wody.

Kamera przestała filmować. To był dopiero początek długiego dnia nagrywania filmu ze zgłoszeniem do reality show. Brat i siostra od tygodnia przygotowywali scenariusz z pomocą swojej matki Lyn. Koncepcja była taka, żeby zacząć od sceny ze skokiem, a potem iść dalej. Starsza siostra Rossa miała grać pierwsze skrzypce i przedstawić rodzeństwo Ulbrichtów, zaznaczając, że „dla wygrania *The Amazing Race* są gotowi zrobić wszystko, nawet skoczyć w przepaść”. Po beztróskim spełnieniu tej deklaracji zamierzali włóczyć się po Austin i robić przed kamerą różne przegięte rzeczy, by przekonać producentów, że Ross i Cally Ulbrichtowie to idealni kandydaci na uczestników programu.

Kiedy Ross spojrział z dołu na siostrę i skałę, z której właśnie skoczył, było wyraźnie widać, że nie tak sobie wyobrażał letnie wakacje od college’u.

W głowie miał zupełnie inny film. Na tym filmie odłożył pieniądze na pierścionek i oświadczył się swojej idealnej teksańskiej dziewczynie. Według scenariusza ona (oczywiście) powiedziała tak. Potem zakochani ukończyli studia na Uniwersytecie Tekszańskim w Dallas – on na wydziale fizyki – i przez

kilka miesięcy planowali ślub. Oboje dostali dobre posady; Ross jako badacz albo fizyk teoretyczny. Urodziło im się kilkoro dzieci, chodzili na chrzciny i wesela. Razem się zestarzelili. Przeżyli szczęśliwe życie. Koniec.

Ta wersja życia Rossa Ulbrichta nigdy jednak nie wyszła poza napisy początkowe. Co prawda faktycznie odłożył pieniądze na idealny pierścionek zaręczynowy, ale gdy w romantycznej scenerii poprosił swoją dziewczynę o rękę („Powiedz tak, błagam, powiedz tak”), ona odparła, że musi mu coś powiedzieć („To nie brzmi dobrze”). Oznajmiła, że przez ostatni rok zdradzała go z paroma innymi mężczyznami („Z paroma? W sensie, że więcej niż jednym?” „Tak. Z paroma”). Co gorsza, wśród nich był jeden z jego najlepszych przyjaciół. Wyciemnienie.

Ross wykaraskał się z wody u podnóża klifu i rodzina Ulbrichtów udała się na miejsce kolejnego ujęcia. Gdy kamera znowu ruszyła, oboje z siostrą stali na tle panoramy Austin i na zmianę się przedstawiali. Jak wyjaśniła Cally, Ross był mózgiem całej operacji. Powiedziała, że brat studiuje fizykę i inżynierię materiałową, ustanowił nawet rekord świata, uzyskawszy najczystsze kryształy na świecie.

Kiedy mówiła, on patrzył w dal, a w jego głowie milion myśli kłębił się niczym szukające czegoś zwierzę, zagubione w skomplikowanym labiryncie. Nie ulegało wątpliwości, że w tym momencie życia, w którym się teraz znalazł, coś jest nie tak. Trudno było jednak stwierdzić, co to takiego ani jak do tego doszło.

Ross przyszedł na świat w tym mieście i zanim jeszcze umiał powiedzieć „mama” i „tata”, Lyn i jej mąż Kirk wyraźnie dostrzegli, że ich syn jest trochę inny. Jako maluch był refleksyjny i rozumiał rzeczy wykraczające poza jego wiek. Nigdy nie powiedzieli mu „nie wybiegaj na ulicę”; po prostu wiedział, że nie powinien, jakby urodził się wyposażony w instrukcję, do której inni nie mieli dostępu. W młodym wieku znał rozwiązania problemów matematycznych, których jego rodzice w ogóle nie pojmowali. I choć jako nastolatek oddawał się zwykłym młodzieńczym zajęciom – uprawiał sport w parku, uczestniczył w maratonach gier planszowych i gapił się na ładne dziewczyny – często wolał czytać o teoriach politycznych, egzystencjalizmie albo mechanice kwantowej.

Nie chodziło jednak tylko o to, że był inteligentny. Był też autentycznie dobry. Jako chłopiec ratował zwierzęta. Jako dorosły przestawił się na ludzi. Tak, Ross był takim człowiekiem, który przerywa rozmowę w pół zdania i rzuca

się z pomocą staruszce przechodzącej przez ulicę, bierze od niej siatki i wstrzymuje ruch, żeby mogła powoli przeczłapać przez jezdnię.

Gdy ludzie go poznawali, niektórzy sądzili, że ten ostentacyjny altruizm to poza. „Jak ktoś może być taki miły?” – mówili. Ross był jednak autentyczny i każdy szybko przekonywał się o jego dobroduszości. Odzwierciedlała się nawet w jego sposobie mówienia. Często sięgał po bolesnie pocziwe słowa w stylu „jejku”, „psiakość” czy „do licha”, a gdy już musiał zakląć, zamiast „kurwa” i „jebać” zawsze mówił „kurka” i „rąbać”.

Miał też przywary. Jako nastolatek odkrył w sobie słabość do substancji halucynogennych, przynajmniej tych łagodnych. Uwielbiał chodzić z kumplami do pobliskiego lasu, gdzie przypalał skręta, zdejmował koszulę i łąził po drzewach. Na domówce po balu maturalnym wypił tyle piwa, że dziewczyna, z którą tam poszedł, znalazła go unoszącego się na pontonie pośrodku basenu, wciąż ubranego w smoking, trampki (eleganckich butów nie posiadał, więc na bal poszedł w starych tenisówkach) i okulary przeciwsłoneczne.

Teraz jednak gość, który był najmądrzejszy w każdym towarzystwie, stał obok swojej siostry w parku w Austin i starał się dostać do reality show.

Ale jaki miał wybór? Nie mógł przecież wyjechać do Doliny Krzemowej i zatrudnić się w start-upie. Po tym, jak kilka lat wcześniej pękła bańka internetowa, firmy stworzone w nadziei na cud wyprowadziły gdzieś pieniądze z funduszy emerytalnych swoich pracowników i upadły, a San Francisco zmieniło się w istną strefę zakazaną. No to może na wschód? Ktoś tak mądry jak Ross chyba zrobiłby karierę na Wall Street. Nic z tego. Wskutek krachu na rynku nieruchomości upadały kolejne banki. A już na pewno nie mógł żyć długo i szczęśliwie ze swoją dziewczyną; jego sen o ślubie i domku z białym płótem rozjechało buldożerem paru innych mężczyzn. Zostawały studia magisterskie albo skok w przepaść.

Sławę w reality show i furę pieniędzy Ross wyobrażał sobie jako chwilowe zboczenie z trasy wiodącej ku większym osiągnięciom. Był przekonany, że jest stworzony do czegoś ważnego, chociaż nie miał pewności, co to będzie. Może pewnego dnia odkryje swój cel. Ale jeszcze nie dziś.

Dzień dogasał, nagrywanie zgłoszenia do programu *The Amazing Race* dobiegało końca. Ross stał razem z siostrą przed kamerą na jednej z ulic Austin. Włożył ciemne spodnie od dresu i gruby czarny sweter, by ochronić się przed wieczornym chłodem.

– Ross, co zrobisz ze swoją połówką miliona dolarów, kiedy już wygramy? – zapytała Cally.

Udał, że zastanawia się chwilę, a potem powiedział:

– No, najpierw chyba rzucę ją na ziemię i wytarżam się w niej.

– No wiesz – odparła jego siostra, unosząc rękę, żeby przybił jej piątkę – najpierw musimy jeszcze wygrać program.

Kamera znów się wyłączyła. Kiedy Ross chował sprzęt filmowy do rodzinnego auta, marzył o czekającej go okazji i o pół miliona dolarów, które z pewnością wygra. Nie wiedział jeszcze, że ta szansa nigdy się nie nadarzy. Nie wybrano go do udziału w reality show – to było pierwsze z wielu niepowodzeń. Wsiadając do samochodu z siostrą, nie wiedział jednak również o tym, że już za pięć lat taką sumę będzie zarabiał w jeden dzień.

Julia Vie

Pierwszy tydzień w college'u to był chyba najtrudniejszy okres w życiu Julii Vie – przynajmniej do tego momentu. Przyjechała na Penn State, czyli Uniwersytet Stanowy Pensylwanii, jako nieśmiała osiemnastolatka bez żadnych znajomych, a tym bardziej bez określonego celu. Zanim jednak zdążyła się tu zdomowić, w jej życiu nastąpił wstrząs. Właśnie rozpakowywała walizki w akademiku, wkładała ciuchy do szuflad, a ulubione powieści ustawiała na półkach, gdy nagle zadzwonił telefon. Jej matka zmarła na raka.

Po pogrzebie Julia, nadal w szoku, wróciła na Penn State w poszukiwaniu normalności. Wyobrażała sobie, że być może ta objawi się w postaci chłopaka. Łaknęła kogoś, kto się nią zaopiekuje. Kto otoczy ją czułością, a może nawet będzie rozpuszczał, zabierając czasem na wystawną kolację. Zamiast tego poznała Rossa Ulbrichta.

To był jeden wielki przypadek. Julia włóczyła się bez celu po kampusie, rozmyślając o matce, i w ten sposób trafiła do jednego z dużych budynków przy Shortlidge Road. Spacerując starymi korytarzami, usłyszała dźwięk bongosów i głośne dudnienie instrumentów afrykańskich. Ruszyła za tym dźwiękiem, pchnęła jakieś drzwi i zobaczyła grupę mężczyzn, którzy siedzieli w półokręgu i grali na bębnach djembe. Wokół nich pląsało kilka dziewczyn.

Julia ukradkiem stanęła z tyłu, zahipnotyzowana swym odkryciem. Wkrótce dowiedziała się, że to Penn State NOMMO Club, uczelniana grupa bębniarzy. Gdy tak patrzyła, jak tamci grają, kątem oka dostrzegła rozczochranego młodego człowieka, który zbliżał się do niej pewnym krokiem. Wyciągnął rękę i przedstawił się jako Ross. Julia zmierzyła go od stóp do głów, zauważyła, że jest bez butów, a koszulkę i szorty ma podarte i poplamione. Pomyślała, że to chyba bezdomny. Wyglądał, jakby nie golił się od wielu miesięcy.

Wokół dudniła muzyka. Julia widziała wyraźnie, że ten przypominający bezdomnego młodzieniec jest nią zainteresowany. I cóż w tym dziwnego? Miał

przed sobą oszłamiającą istotę – śliczną, gibką, z jasnobrązową skórą, piegami na policzkach i dużymi oczami o łopoczących rzęsach. Wyglądała egzotycznie: półkrwi Afroamerykanka, ale drugie pół? Grzecznie przedstawiła się jako Julia, a potem szybko go spławiła, niezainteresowana rozmową z człowiekiem, który sprawiał wrażenie, jakby nie kąpał się tygodniami.

Sądziła, że to koniec tematu. Tydzień później spotkała jednak tego całego Rossa ponownie. Tym razem coś się zmieniło. Ogolił się, miał na sobie spodnie – takie prawdziwe – i buty.

Podczas rozmowy zaintrygował ją. Był dowcipny, uroczy i inteligentny – bardzo, bardzo inteligentny. Powiedział, że robi magisterkę na wydziale inżynierii materiałowej. Kiedy zapytała, co się za tym kryje, Ross wyjaśnił, że prowadzi badania polegające na sprawdzaniu rzadkich właściwości materiałów krystalicznych. Zajmował się też spintroniką i materiałami ferroicznymi. Za te prace uczelnia płaciła mu nawet kilkaset dolarów tygodniowo.

Nim upłynął tydzień, ta studentka pierwszego roku poszła z Rossem na kolację do restauracji z sushi przy szosie numer 35, a kilka dni później wróciła z nim do jego mieszkania. Gdy na kanapie ściągał z niej bluzkę, a ona z niego koszulkę, niewiele wiedziała o mężczyźnie, z którym za chwilę będzie baraszkować. Leżał na niej prawie nagi, gdy stuknęły drzwi wejściowe i w mieszkaniu pojawili się jego współlokatorzy.

– Chodźmy do mojego pokoju – powiedział Ross, a potem chichocząc, oboje wybiegli z salonu.

Sprowadził ją po schodach do ciemnej piwnicy, gdzie przez maleńkie okna wpadały tylko skrawki światła. Julia czuła, że pachnie tu mokrym cementem, pleśnią albo jednym i drugim.

– To twoja sypialnia? – zapytała z niedowierzaniem, kiedy jej bose stopy stanęły na zimnej betonowej podłodze.

– Tak – odparł z dumą Ross. – Mieszkam tu *za darmo*.

Uniosła brwi. Stała pośrodku piwnicy i zmierzyła wzrokiem przedziwne otoczenie. Obok przenośnego grzejnika stało łóżko. Kartonowe pudła były ustawione jak dziecięca forteca. Całość przypominała celę więzienną.

Już na pierwszej randce w restauracji z sushi Julia domyśliła się, że Ross jest oszczędny, kiedy przyjechał rozklekotanym pikapem starszym od niej. Na drugiej randce dowiedziała się, że nie dba także o dobra materialne, bo pojawił się ubrany jak basista kapeli grunge'owej z Seattle (poszarpane szorty, brudna

koszula oraz buty, które dawniej należały do jakiegoś mieszkańca domu starców). Teraz jednak, gdy siedziała na jego łóżku w piwnicy i patrzyła na ściany z obłupanej niemalowanej płyty kartonowo-gipsowej, w jej głowie skryzalizowała się świadomość, że Ross naprawdę, ale to naprawdę nie ma pieniędzy i naprawdę, ale to naprawdę nie dba o rzeczy, których pragnie większość ludzi.

– Czekał, dlaczego ty tutaj mieszkasz? – zapytała, kiedy położyli się na łóżku, a Ross próbował wrócić do punktu, w którym skończył na kanapie.

Przerwał, by jej wyjaśnić, że stara się żyć skromnie, aby udowodnić sobie, że potrafi. Po co płacić za mieszkanie, skoro można mieszkać w tym zapleśniałym zamczysku za darmo? Julia krzywiła się, gdy mówił. Wy tłumaczył, że nie chodzi mu tylko o oszczędność. Jego styl życia to również część prywatnego eksperymentu, który miał pokazać, do jakiego ekstremum jest się w stanie posunąć bez zaspokajania pragnień i potrzeb. Ostatnio na przykład postanowił przez miesiąc nie kąpać się w ciepłej wodzie, aby sprawdzić własną wytrzymałość. („Po jakimś czasie człowiek przywyka do zimnego” – chwalił się). To nie wszystko. Z dumą oznajmił Julii, że latem przetrwał tydzień na jednej puszce fasoli i torebce ryżu.

– A kawa? – zapytała dziewczyna.

– Nie piję.

– Ale z ciebie sknera – zażartowała.

Testy dotyczące prysznic i mieszkania w piwnicy stanowiły zaledwie początek dziwactw Rossa. U stóp łóżka leżały dwa worki na śmieci, o których od niechcienia powiedział, że to jego garderoba. Jeden worek był przeznaczony na czyste rzeczy, a drugi na brudne. Każde ubranie, jakie Ross posiadał – każdą skarpetkę, każdą koszulkę, nawet te geriatryczne buty – odziedziczył po przyjacielu.

– O nie, nie, nie – stwierdziła Julia, łopocząc rzęsami. – Musimy to zmienić. Wezmę cię na zakupy i poszukamy ci ciuchów, które naprawdę na ciebie pasują.

– Jasne – zgodził się Ross, a potem pochylił się, by znowu ją pocałować.

Było jednak jeszcze kilka rzeczy, których chciała się o nim dowiedzieć. Jeszcze kilka pytań na temat tego dziwnego, chociaż genialnego mężczyzny.

– Co to za książki? – Julia wskazała stos przy łóżku.

Wtedy Ross oderwał się od niej i udzielił wyczerpującej odpowiedzi. Już na pierwszej randce wyjaśnił, że na Penn State, oprócz członkostwa w klubie

bębniarskim NOMMO, jest również gorliwym członkiem College Libertarians, grupy politycznej, która spotykała się raz w tygodniu, by dyskutować o filozofii libertariańskiej oraz czytać książki poświęcone jej teorii i ekonomii. To właśnie te książki – autorstwa Murraya Rothbarda, Ludwiga von Misesa i innych wizjonerów – Ross czytał dla przyjemności, gdy nie był zajęty pochłanianiem artykułów z fizyki stosowanej.

Kiedy Julia zapytała, co to takiego ten libertarianizm, Ross, zupełnie jej nie oceniając, wytłumaczył: decyzja o wszystkim – począwszy od tego, co robisz ze swoim życiem, a kończąc na tym, co wprowadzasz do własnego organizmu – powinna należeć do ciebie, a nie do państwa.

Gdyby nie to, że Ross był taki inteligentny, może Julia wyszłaby tamtego dnia z piwnicy, nie oglądając się za siebie. Gdyby nie to, że był taki przystojny, może po pierwszych randkach nie odebrałaby telefonu. A gdyby nie jego asertywność, której młoda Julia nigdy wcześniej nie doświadczyła u mężczyzny i której w tym smutnym momencie życia potrzebowała jak niczego innego, może w ciągu kolejnych tygodni nie zgodziłaby się zostać jego dziewczyną.

Bardzo ją jednak intrygował ten osobliwy i być może perfekcyjny facet. Spojrzał na nią z uśmiechem i nachylił się, by znowu ją pocałować. Julia widziała wyraźnie, że jest nią zauroczony. Sama z kolei starała się nie okazywać rosnącego zachwyty Rossem. Kiedy tarzali się po jego ciasnym łóżku w piwnicy, żadne z nich nie zdawało sobie sprawy, że relacja, którą właśnie nawiązują, stanie się najbardziej burzliwym romansem w ich dorosłym życiu. Dla Rossa zaś będzie również ostatnim.

Debata

Studenci z plecakami i książkami przepychali się w wejściu do Willard Building na terenie uniwersytetu Penn State. Nad kampusem zachodziło jesienne słońce, a w budynku migotały światła. Wśród zwyczajności życia uniwersyteckiego, w jednej z dużych sal wykładowych Ross Ulbricht chodził tam i z powrotem, przygotowując się do uczelnianej debaty.

Pomieszczenie, w którym się znajdował, było szerokie i głębokie, wypełnione rzędami krzeseł, które wkrótce mieli zająć studenci wchodzący do budynku – wszyscy bowiem przybyli na dyskusję między poszczególnymi organizacjami: College Libertarians, College Republicans i College Democrats, dotyczącą szeregu tematów związanych z wyborami. Jednym z zagadnień było to, czy w Stanach Zjednoczonych należy zalegalizować narkotyki.

Minął ponad rok, odkąd Ross nie dostał się do programu *The Amazing Race*, ale teraz nie miało to znaczenia. Życie na Penn State było dość niezwykle, głównie ze względu na kluby, do których wstąpił.

Grupa bębniarska była pasjonująca (bębny stały się dla Rossa taką obsesją, że grał na nich nawet w myślach, leżąc nocą w łóżku). Do tego dochodził klub libertariański, w którym nie przegapił ani jednego spotkania. W ciągu ostatniego roku zgłębił każdy aspekt libertariańskiej teorii politycznej. Latał po kraju na konferencje libertariańskie, by słuchać wystąpień ekspertów (za podróż płacił klub). Razem z prezesem klubu Alexem oraz innymi członkami spędzał również niezliczone godziny w barze Corner Room przy College Avenue, gdzie prowadził dyskusje i szlifował poglądy na temat roli państwa w społeczeństwie oraz tego, jak ograniczać jego niesprawiedliwą, często nieludzką wręcz opresyjność.

Wszystko to fascynowało go i inspirowało, jednak miało również swoją cenę. Obsesja na punkcie klubów odbijała się negatywnie na wynikach w nauce.

Nie tylko to odwracało jednak jego uwagę od studiów. Była też jego nowa dziewczyna, Julia. Para zakochanych – powiedzenie sobie „kocham cię” nie zajęło obojgu dużo czasu – spędzała razem niemal każdą chwilę. Ponieważ Julię czekały pierwsze święta Bożego Narodzenia bez matki, Ross zaprosił ją do siebie do Austin. Zanim wyjechali, zakradł się do swojego laboratorium na Penn State i stworzył dla niej kryształ w kształcie pierścionka.

Doceniał, że Julia potrafiła godzinami słuchać, jak on mówi o swoich przekonaniach, między innymi na jeden z tematów dzisiejszej debaty, który znał lepiej niż ktokolwiek: reforma amerykańskich przepisów antynarkotykowych.

– Proszę zająć miejsca – zaskrzeczał do publiczności profesor zawiadujący dyskusją. – Zaraz zaczynamy.

Ross, który miał na sobie, co było u niego rzadkie, koszulę wpuszczoną w spodnie, usiadł za biurkiem obok dwóch kolegów z klubu College Libertarians. Profesor przedstawił pokrótce uczestników, a potem w sali zapadła cisza.

– Państwo nie ma prawa mówić ludziom, co mogą, a czego nie mogą wprowadzać do organizmu – zaczął Ross, po czym wyjaśnił, że narkotyki, i to wszystkie rodzaje, powinno się zalegalizować, ponieważ społeczeństwo byłoby wtedy bezpieczniejsze. Ludzie mają zaś prawo decydować, co chcą robić z własnym ciałem.

Podczas debaty na widowni znajdowało się tylko jakieś czterdzieści osób, a większość wyłącznie dlatego, że dawało to dodatkowe punkty u wykładowcy nauk politycznych. Ross jednak traktował tę dyskusję tak samo poważnie, jakby występował przed Kongresem Stanów Zjednoczonych.

Przedstawiciel College Republicans kontrował jego argumenty:

– Jak można zalegalizować coś, co rokrocznie zabija dziesiątki tysięcy osób?

Poparł go przedstawiciel College Democrats.

Ross zareagował spokojnie.

– Uważasz zatem, że powinniśmy zakazać także big maców w McDonalddie, bo przez nie ludzie tyją i umierają na zawał?

Jak zawsze podczas debaty o narkotykach, jego rywale prędko się zirytowali. Usiłowali zarzucać go argumentami, nie było jednak takich, na które Ross nie miałby odpowiedzi.

– Czy powinniśmy zakazać samochodów, bo ludzie giną w wypadkach drogowych? – naciskał na przeciwników. Przedstawiał argumenty w obronie

ludzi palących trawkę, a nawet biorących heroinę w zaciszu swojego domu. Podkreślał, że nie różnią się niczym od kogoś, kto dla odprężenia wypija po pracy lampkę wina.

Jeśli zaś chodzi o przemoc związaną ze sprzedażą narkotyków, Ross przekonywał, że przyczyną całego bestialstwa są właśnie surowe i podłe prawa narzucone przez rząd próbujący odstraszyć handlarzy, którzy zmuszeni są uciekać się do niegodziwych metod, żeby bronić się w wojnach ulicznych.

– Sprzedaż alkoholu czy big maców nie wywołuje wojen gangów, bo te produkty są legalne – mówił dalej. Co więcej, argumentował, że gdyby zalegalizować narkotyki, w końcu zaczęto by je sprzedawać w uregulowanej formie. Z rynku zniknęłyby substancje złej jakości, zmieszane z trutką na szczury albo talkiem. – Nasze ciało należy do nas – powiedział, zwracając się do publiczności. – I państwo nie ma prawa nam mówić, co możemy, a czego nie możemy z nim robić.

Miał głębokie przekonanie, że jego argumenty są rozsądne i że starannie przemyślał każdy aspekt wojny z narkotykami. Pytanie, na które na razie nie znał odpowiedzi, a które stale sobie zadawał, kiedy nie zajmowały go nauka, zajęcia dodatkowe ani dziewczyna, dotyczyło tego, jak mógłby wykorzystać swe gorliwe przekonania, żeby zmienić amerykańskie prawo antynarkotykowe, które uważał za przejaw szkodliwej tyranii.

Khat Jareda

– Nie.

To wszystko. Jedno słowo. Niepodlegająca dyskusji sylaba.

– Nie – powtórzył Jared.

Jego zwierzchnik patrzył na niego z niedowierzaniem, nie do końca przekonany, czy początkujący funkcjonariusz Urzędu Celnego i Ochrony Granic rzeczywiście odmówił wykonania bezpośredniego rozkazu. (Tak, odmówił. Z całą pewnością odmówił). Ten chłystek – kurdupłowaty dwudziestosześcioletni Jared Der-Yeghiayan – wyglądał jeszcze młodziej, kiedy tak siedział w fotelu naprzeciwko starszego pulchnego szefa, zupełnie jak uczeń w gabinecie dyrektora, dyndający nogami, które nie dotykały podłogi.

Jared uważał, że udzielając takiej odpowiedzi, niewiele ma do stracenia. Posadę w Urzędzie Celnym i Ochrony Granic trudno było nazwać wymarzoną robotą. Trafił tu tylko dlatego, że nie miał innego wyboru, jeśli zależało mu na realizacji marzenia o pracy w organach ścigania. Mógł albo nadal pracować w kinie w Lincolnshire, albo zarabiać na życie przybijaniem pieczętek w paszportach na lotnisku Chicago O'Hare.

Próbował się dostać do Secret Service, najbardziej wymarzonej z wymarzonych agencji. Egzaminator, stuprocentowy Amerykanin skoncentrowany na pytaniach i odpowiedziach, przemaglował go jednak na temat ojca, czynnego sędziego federalnego ormiańskiego pochodzenia, który wiele lat wcześniej przybył z Syrii. Z początku Jared odpowiadał uprzejmie, ale mało co tak bardzo go wkurzało jak kwestionowanie lojalności jego rodziny wobec Ameryki. Nie trzeba dodawać, że po gorącej dyskusji nie dostał posady.

Wkrótce złożył podanie do Agencji do Walki z Narkotykami (Drug Enforcement Administration, DEA), lecz z człowiekiem przeprowadzającym badanie poligrafem wdał się w kolejny zacięty spór o to, co jest przestępstwem. Tej pracy też nie dostał.

U.S. Marshals Service (policja federalna Departamentu Sprawiedliwości), Departament Bezpieczeństwa Krajowego i Federalne Biuro Śledcze również mu odmówiły, ponieważ nie miał wyższego wykształcenia. Studia rzucił po dwóch tygodniach, bo nie miał cierpliwości do oceniających go wykładowców, a tym bardziej do długich godzin poświęcanych na naukę. Zresztą jaki sens miały cztery lata studiów, skoro większość jego znajomych z dyplomem i tak nie mogła znaleźć „prawdziwej” pracy? Pewnego popołudnia wyszedł z kampusu i już tam nie wrócił.

Na prośbę ojca Samuela, który niegdyś kierował jednostką odpowiedzialną za kontrolę celną i ochronę granic, Jared zadowolił się najbardziej monotonna pracą w administracji państwowej: dzień za dniem stemplował paszporty. Miał nadzieję, że ta robota będzie przepustką do czegoś lepszego. I rzeczywiście tak się stało, ale kiedy sprzeciwił się przełożonemu owym powtórzonym „nie”, stało się jasne, że jak zwykle zaczynał wszystkich wkurzać.

Ta konkretna klęska miała swój początek rok wcześniej, pod koniec 2007. Po spędzeniu kilku nudnych lat na stanowisku paszportowym Jared dostał szansę łapania ludzi, którzy próbowali przemyścić narkotyki do Stanów Zjednoczonych. Polowanie na przemytników zapowiadało się na pracę fajną i ponętną, tyle że nie w przypadku tych narkotyków, do jakich go przydzielono. Jared miał za zadanie łapać tych, którzy usiłowali wwieźć do Ameryki produkt o nazwie khat, przypominający amfetaminę. W przeciwieństwie do podobnych narkotyków takich jak kokaina, produkowana w laboratoriach albo w dżungli, khat, czyli czuwaliczka jadalna, jest rośliną liściastą, przez co trudniej ją zidentyfikować niż duże kostki białego proszku. Ponieważ zaś jego działanie jest bardzo łagodne i przypomina raczej wypicie mocnej kawy niż wciągnięcie kreski koksu, ściganie przemytu khatu jest również najmniej ważne dla wszystkich agencji administracji państwowej.

Młody agent przyjął jednak tę misję z takim fanatycznym zaangażowaniem, jakby zlecono mu pojmanie najgroźniejszych terrorystów świata. Wydrukował setki rejestrów lotów osób złapanych z khatem w przeszłości, rozłożył je wszystkie na podłodze w swoim salonie jak Carrie Mathison w *Homeland* i szukał podobieństw wśród zidentyfikowanych przemytników. Przeanalizował każdy szczegół każdego zatrzymania, aż wreszcie znalazł prawidłowość.

Pierwsza poszlaka: wszyscy przemytnicy rezerwowali bilety za ledwie na dzień przed lotem. Druga: korzystali wyłącznie z kont pocztowych w serwisach

Gmail i Yahoo. Wreszcie trzecia: ich numery telefonów (oczywiście fałszywe) miały wspólny wzór. Kierując się tymi wskazówkami, a także kilkoma innymi, Jared przeszukał listę pasażerów lądujących na O'Hare, którzy pasowali do tego profilu. W końcu zidentyfikował osobę, która jego zdaniem przemycała narkotyki.

Nazajutrz celnicy zatrzymali tego mężczyznę po wyjściu z samolotu. Otworzyli jego walizkę, która okazała się pełna khatu. („Jasna cholera! To działa!”) To samo powtarzało się za każdym razem, kiedy Jared przeszukiwał bazę pasażerów przybywających do Chicago: kończyli z khatem w worku.

Profilowanie działało tak dobrze, że Jared zaczął przeszukiwać krajowe bazy danych i testować swoją teorię na innych amerykańskich lotniskach. I oczywiście sprawdzała się za każdym razem. Celnicy na lotnisku JFK otrzymywali informację o podejrzanym, otwierali walizki wskazanego przez Jareda pasażera i znajdowali torebki z narkotykiem pochowane w skarpetkach, koszulach i różnych szczelinach.

Było jednak kilka problemów, na przykład taki, że agenci na lotnisku JFK uważali, że polowanie na khat jest w ogóle bez sensu. W wieczornych wiadomościach nie informowano o znalezieniu pół kilo khatu u pasażera podróżującego z Wielkiej Brytanii, a celnicy nie otrzymywali za takie aresztowania nagród. Co gorsza, wobec sukcesów Jareda inni agenci wychodzili na nieskutecznych. Jeżeli nie mogłeś przypisać sobie zasługi za zatrzymanie, nie wspinałeś się po biurokratycznej drabinie ku wyższej pensji i dłuższym urlopom. Po wpłynięciu dostatecznej liczby nieoficjalnych skarg Jared został wezwany do gabinetu zwierzchnika.

– Jeśli chcesz tu odnieść sukces, musisz przestrzegać reguł gry – powiedział przełożony. – Wszędzie wkurzasz ludzi i...

– Nie – przerwał mu Jared.

Nie? Znowu nie? Kurwa mać, czy ten facet jest jakiś nienormalny?

– Proszę posłuchać, ja tylko wykonuję swoją pracę – próbował argumentować młody agent. – Badam prawidłowości i...

– Tak, ale wykonujesz tę pracę poza swoją jurysdykcją – warknął szef. – Jesteś przypisany do Chicago i tym się masz zajmować: szukaniem gówna w Chicago.

Jared źle tolerował, gdy ktoś mówił mu, co ma robić, więc wpadł w złość. Dostał zadanie, które wykonał z nawiązką, ale teraz, przez typowo urzędnicze

pieprzenie, kazali mu pracować mniej skutecznie. A gdzie pochwały i aplauz?

– Widzi pan to? – Wskazał złoto-czarną odznakę Urzędu Celnego i Ochrony Granic przypiętą do swojej koszuli. – Kiedy ostatnio sprawdzałem, było tu napisane „Stany Zjednoczone Ameryki”, a dałbym sobie głowę uciąć, że lotnisko JFK jest w Stanach.

Przełożony patrzył na niego zszokowany. Ten chłystek mówił jednak dalej.

– Nie będę więcej rozmawiał o tym z panem osobiście – oznajmił, po czym wstał i ruszył do drzwi. – Jeśli chce pan wrócić do tematu, proszę to zrobić na piśmie.

I tak oto w jednej chwili zwierzchnik odbył lekcję, która wcześniej czy później czekała każdego, kto miał kontakt z Jaredem: ten chłopak kiepsko dogadywał się z innymi. Ta cecha wkrótce miała się stać jego największą zaletą, a jednocześnie najpoważniejszym utrudnieniem.

Ognisko

Ross manewrował swoim pikapem wśród wzgórz, oddalając się od Austin. Na szerokim teksańskim niebie zachodziło słońce. Po prawej ręce chłopaka siedziała Julia i wyglądała przez okno na niekończące się szeregi drzew.

– Cedry – powiedział Ross.

– Hm? – odparła, odwracając się do niego.

– Te drzewa to cedry – wyjaśnił.

Julia znów spojrzała na masy zielonego listowia ciągnące się wzdłuż krawędzi krętej szosy.

– Tekszańscy ich nienawidzą – dodał Ross. – Nie mogą się ich pozbyć. Próbowali przeróżnych metod, ale żadna nie działa. – Kilka chwil później dokończył myśl: – Natura zawsze wygrywa.

Julia słuchała i rozmyślała nad najnowszą lekcją o Teksasie. Ross bez przerwy podrzucał kolejne skrawki informacji na temat stanu, który był jej nowym domem. Z chęcią robił za dyżurnego historyka i całodobowego przewodnika, zabierał ją do swych ulubionych kawiarni, burgerowni i parków. Pokazał jej jezioro Pace Bend, jedno z najlepszych miejsc do skakania ze skał. Przekazywał także niezliczone fakty na temat miejscowych budynków i innych atrakcji.

Chłopak przedstawił ją swojej rodzinie. Julia zbliżyła się z jego siostrą Cally (choć ich matka okazywała nowej dziewczynie Rossa niejaki chłód). Ross zaufał dziewczynie tak bardzo, że pokazał jej swoją tajną kolekcję figurek do *Dungeons & Dragons*, którą ukrył w dawnym pokoju w domu rodziców. Pewnego popołudnia nerwowo rozłożył dziesiątki misternie pomalowanych fantastycznych statuetek, które trzymał starannie zawinięte, popakowane w pudełka i schowane pod łóżkiem. Doceniał, że Julia wspiera jego pomysły, nawet jeśli niektóre nie do końca wypaliły, jak na przykład Retracement Capital

Management, fundusz inwestycyjny, który Ross niedawno usiłował rozkręcić, ale przedsięwzięcie upadło, zanim zdążyło się rozwinąć.

– Więc będą tam sami twoi koledzy z liceum? – zapytała Julia, kiedy skręcili i zaczęli oddalać się od cedrów.

– Tak – odparł wesoło Ross. – To z nimi kumpłowałem się w Westlake.

Dziewczyna wiedziała, że już się zbliżają, bo dostrzegła pomarańczowe iskry z ogniska, które strzelały w powietrze przed niewielkim domkiem.

– Bardzo się cieszę, że ich zobaczę – dodał, zwalniając.

Wrócił do Teksasu kilka miesięcy wcześniej i ponownie pogrążył się w życiu w Austin, jak gdyby nigdy stąd nie wyjeżdżał. Nie spodziewał się, że znowu tutaj trafi, ale jego obsesja na punkcie klubu libertariańskiego miała swoją cenę. Ross tak bardzo skupił się na zgłębianiu nowych idei, że nie zdał egzaminu na studia doktoranckie, na których miał kontynuować badania nad wzrostem cienkich warstw tlenu europu za pomocą epitaksji z wiązek molekularnych. Oblanie egzaminu miało jednak niespodziewaną zaletę. Długie godziny dyskusowania o polityce uświadomiły Rossowi, że życie, przynajmniej dla niego, to nie tylko fizyka. Spakował więc swój dyplom magistra i wrócił na południe. Namówił dziewiętnastoletnią Julię, żeby rzuciła studia i ruszyła za nim. Dla obojga ta zmiana okazała się jednak słodko-gorzka.

Dla Julii opuszczenie Pensylwanii, gdzie mieszkała tak długo, i przenosiny do stanu, który wydawał się – w znacznej mierze i bez skrupułów – rasistowski i zdecydowanie republikański, były wstrząsem. Ross mieszkał jednak w takim zakątku Stanu Samotnej Gwiazdy, który był (w większości) inny. O ile prawie cały Teksas popierał George’a W. Busha oraz sprzeciwiał się gejom i aborcji, o tyle rejon Austin był bardziej liberalny i bliski wartościom Julii, pełen zwolenników Rona Paula, uważających, że aparat państwowy jest zbyt rozrośnięty, zbyt potężny i za bardzo ingeruje w sprawy obywateli.

Dla Rossa powrót okazał niespodziewanie trudny. Chłopak opuścił Penn State, zupełnie nie wiedząc, co chce robić dalej. Rozpaczliwie pragnął zająć się czymś zgodnym ze swoimi libertariańskimi ideałami. Czymś, co przyniesie pieniądze. A najbardziej chyba chciał, żeby rodzice byli z niego dumni. Znalezienie pracy spełniającej wszystkie te kryteria okazało się praktycznie niemożliwe. To jednak nie powstrzymało go przed opowiadaniem o swoich nowych przekonaniach każdemu, kto chciał słuchać.

Kiedy w miejscowych starych barach Ross wpadał na kolegów z dzieciństwa, zamiast rozwodzić się nad wspomnieniami z zamierzchłej przeszłości, chciał rozmawiać o przyszłości Ameryki. Podczas niedawnej wizyty w pubie Shakespeare's w centrum Austin prawie cały wieczór brylował przed dawnym kumplem z liceum, opisując austriacką szkołę ekonomii i przekonując, że aktualny system polityczny w Ameryce zaprojektowano tak, by bogaci wykorzystywali słabszych. Argumentował, że cudownie byłoby przeprowadzić eksperyment z seasteadingiem.

Seasteading, tłumaczył Ross, to idea utworzenia społeczności na morzu, z dala od wszelkich państw i przepisów, gdzie ludzie mogliby żyć na otwartych wodach, bez praw, na zasadach wolnego rynku. Niektórzy chcieli zrealizować ten plan na opuszczonej platformie wiertniczej pośrodku oceanu. Po skończeniu studiów na Penn State Ross próbował zaprojektować grę komputerową, która demonstrowałaby tę teorię. Nic z niej jednak nie wyszło. Tak samo jak ze wszystkich innych jego pomysłów.

Julia była obecna podczas wielu takich dyskusji politycznych i choć czasami przedstawiała mądre kontrargumenty, często całą scenę oddawała swojemu chłopakowi. Kiedy zbliżali się do ogniska płonącego przed domem, cieszyła się jednak, że tego wieczoru nie będzie rozmów o polityce i państwach pośrodku oceanu wolnych od wszelkich praw.

Ross zjechał z drogi na długi nieutwardzony podjazd biegnący ku parterowemu domowi obitemu deską szalunkową, z którego okien sączyło się ciepłe żółte światło.

– Niektórych znajomych nie widziałem od paru lat – oznajmił, gdy silnik pikapa zgasł.

Słońce już zaszło, okoliczne góry pochłonął mrok, a powietrze było pełne woni żarzących się węgli. Ruszyli w stronę grupy bawiących się ludzi.

– Rossman! – zawołał ktoś i uściskał licealnego kumpla.

– To moja dziewczyna Julia – oznajmił z dumą Ross.

Gdy dołączyli do towarzystwa przy ognisku, otwarto piwa. Ktoś zapalił skręta, który zaczął krążyć z rąk do rąk, a przyjaciele wspominali szkolne czasy. Jedna z historii zaczynała się od słów: „Pamiętacie, jak Rossman wykręcił się przed glinami za palenie dżointa?”, a kończyła stwierdzeniem: „Ross uwielbiał trawę”. Kiedy Julia dodała: „Dalej uwielbia”, wszyscy parsknęli śmiechem. Jeszcze więcej historii, więcej skrętów, więcej piwa, więcej śmiechu. Ross

i Julia bawili się doskonale. W każdym razie do momentu, gdy rozmowa zesłała na ścieżki kariery. Ktoś oznajmił, że pracuje w administracji państwowej, ktoś inny – że został inżynierem. Jeszcze inny opowiedział o założeniu własnej firmy.

– Rossman, a ty? – Z drugiej strony ogniska padło pytanie zadane z teksańskim zaśpiewem. – Gdzie teraz pracujesz?

Przez chwilę Ross milczał. Zerkał na Julię i zżerało go napięcie. To była ostatnia rzecz, o której chciał teraz mówić.

– Właściwie nie mam pracy – odpowiedział.

– Fajnie – rzucił ktoś z przyjaciół. – Jak ci się to udało?

Cała grupa wokół ogniska zamilkła i słuchała.

Ross wyjaśnił, że w niepełnym wymiarze godzin zaangażował się w organizację non profit o nazwie Good Wagon Books, w której pomagał swemu staremu kumplowi Donny'emu. Krążyli po Austin od drzwi do drzwi, zbierali stare książki i sprzedawali je w internecie. Czego nie udało się spylić, oddawali do lokalnych więzień. Nie było z tego wielkich zarobków. Pieniądze na swoje nieliczne wydatki Ross miał z grania na giełdzie, zaoszczędził także trochę ze sprzedaży małego domu na wynajem, który kupił, kiedy studiował na Penn State. (Oszczędny styl życia pozwolił mu odłożyć z pensji asystenta wykładowcy dość funduszy, żeby kupić, a potem sprzedać niewielki domek w mieście). Przy ognisku opowiedział kolegom, że przez ostatnie miesiące właśnie z tego się utrzymywał.

Nie powiedział natomiast, że porzucił day trading, bo nie przynosił on zysków, a w tych nielicznych przypadkach, kiedy coś zarobił, nienawidził nadmiernie rozbudowanych przepisów i podatków, które Wujek Sam nakładał na inwestorów. Nie wspomniał również, że oblał egzamin na studia doktoranckie ani że nie cierpiał wynajmowania domu studentom, bo jako właściciel musiał się użerać z mnóstwem błahych problemów. A już z całą pewnością nie powiedział, że praca nad grą symulującą projekt seasteadingu, której poświęcił wiele miesięcy, zakończyła się fiaskiem, bo nikt nie chciał jej kupić. Nie napomknął o mnóstwie dorywczych prac z ogłoszeń w serwisie Craigslist, które wykonywał, żeby zarobić parę dolarów – w tym redagowaniu artykułów naukowych. Nie powiedział, że wszystko, co robił, wydawało mu się kompletną porażką. Genialny pomysł za genialnym pomysłem, choć nikt oprócz niego ich za takie nie uważał.

Na szczęście temat uległ zmianie i ludzie zaczęli opowiadać historie sprzed dekady. Ross co prawda się śmiał, ale zdawał się zawstydzony tym, co wydarzyło się przed chwilą. Jasne, jego koledzy mieli nudną, prozaiczną pracę, ale ją mieli. A co on mógł wpisać do CV? Dwa dyplomy i całą serię ślepych zaułków. Tak bardzo chciał mieć na coś wpływ. Osiągnąć coś ważniejszego niż robota na prozaicznym etacie.

Było już późno, kiedy Ross i Julia uściskali wszystkich na do widzenia i wsiedli do pikapa, żeby wrócić do Austin. Gdy on zatrzasnął drzwi i zapiął pas, ona zauważyła, że coś jest nie tak. Samochód wyjechał tyłem po podjeździe na krętą drogę.

– Nic z tego, co robiłem, nie wypaliło – poskarżył się Ross. – Nie osiągnąłem niczego wielkiego.

Cedry za oknem przemykały w ciemności.

– Och, skarbie, nie przejmuj się – odpowiedziała Julia. – Próbujesz różnych rzeczy. Znajdziesz...

– Chciałem być przedsiębiorcą – przerwał jej. – Starąłem się zacząć różne rzeczy, ale nic się nie udało.

– Uda się. Po prostu musisz...

Ross mówił dalej, jakby był w samochodzie sam:

– Chcę widzieć rezultaty. Chcę stworzyć coś naprawdę udanego.

– Po prostu musisz próbować dalej.

Julia trafiła w sedno, o czym Ross miał się przekonać wkrótce.

Silk Road

Dla Rossa rzeczy były tylko rzeczami. Nie interesowały go.

Był jednak przedmiot, bez którego nie umiał żyć: jego laptop. Pod wieloma względami w tej prostokątnej skorupie mieściło się całe jego życie. Wszystkie pliki i foldery tworzyły mapę genialnego i dla wielu osób enigmatycznego umysłu. Właśnie na tym komputerze pewnego poranka pod koniec lata 2010 roku Ross zaczął pracę nad projektem, który miał zmienić wszystko.

Niedawno wprowadził się z Julią do wspólnego mieszkania w centrum Austin, przestrzeni do życia i pracy z lśniącymi betonowymi podłogami. Julia uruchomiła nowy biznes, który nazwała Vivian's Muse. Fotografowała półnagie kobiety dla ich mężów. Koncepcja była prosta: co można dać mężczyźnie, który ma już wszystko? Zmysłowe zdjęcia żony, niemal zupełnie nagiej. Tak więc na kilka dni w tygodniu Julia rozstawiała świece w głównym pokoju, puszczała zmysłową muzykę techno i robiła tysiące buduarowych fotek.

Kiedy w sąsiedniej sypialni Ross siadał do nowego projektu, słyszał trzaskanie flesza – pyk! pyk! pyk! – i polecenia wydawane kolejnej muzie przez Julię: „Wypnij tyłek do góry! A teraz udawaj, że masz orgazm!”.

W ich sypialni, gdzie często pracował, zwykle panował bałagan. Na podłodze wały się zmięte dzinsy Julii, porzucone sukienki i bielizna. Kiedy nie pracowali, spędzali długie godziny pod kołdrą, tuląc się albo oglądając seriale na laptopie Rossa.

Ostatnio obsesyjnie wciągnęli się w *Breaking Bad*. Leżeli objęci w łóżku, w ciepłym blasku ekranu komputera, i patrzyli, jak Walter White zmienia się w przerażającego i tajemniczego bossa narkotykowego Heisenberga, człowieka, który znajdował intelektualne usprawiedliwienie dla czynionego przez siebie zła. Rossowi podobała się pełna dramatyzmu akcja serialu i trudno mu było nie doceniać osiągnięć Heisenberga. Walter White, niegdyś niespełniony, zahukany nauczyciel chemii w szkole średniej, w narkotykach znalazł najlepszy sposób na

wyrażenie swojego technicznego geniuszu jako chemik i jako biznesmen. Może to, co robił, było straszne i niszczycielskie, ale robił to tak pięknie i tak zręcznie, że przynajmniej w jego oczach sam grzech był odpuszczony ze względu na sposób wykonania. Mimo to Ross uważał fabułę za trochę naciąganą.

– W rzeczywistości coś takiego nie mogłoby się zdarzyć – powiedział do Julii.

Kiedy nie oglądał serialu, majstrował teraz w sypialni w Austin przy swoim nowym pomysle: anonimowej stronie internetowej, na której można by sprzedawać i kupować absolutnie wszystko. Zaczątki tej koncepcji nosił w sobie już od pewnego czasu. Było to kolejne z jego marzeń na jawie, które miał nadzieję zrealizować w przyszłości. Jedyne kłopot polegał na tym, że kiedy rok wcześniej po raz pierwszy doznał tego olśnienia, niezbędna technologia po prostu jeszcze nie istniała.

W owym czasie Ross skontaktował się z poznanym w sieci człowiekiem posługującym się pseudonimem Arto. Wymienili kilka mejli, w których Ross pytał Arta, czy możliwe byłoby stworzenie takiego anonimowego sklepu internetowego (głównie z myślą o nielegalnych narkotykach, które zdaniem Rossa nie powinny być nielegalne), nad którym państwo nie miałyby kontroli.

Arto, który ewidentnie był ekspertem w tym zakresie, wyjaśnił, że większość technologii potrzebnej do realizacji pomysłu Rossa jest już dostępna. Istniała przeglądarka internetowa o nazwie Tor, pozwalająca użytkownikom przejść przez kurtynę do drugiego, oddzielnego internetu – takiego, którego amerykański rząd nie mógł monitorować. Dzięki Torowi każdy stawał się tam niewidzialny. W przeciwieństwie do normalnego internetu, w którym każdy twój ruch jest rejestrowany w bazach danych Facebooka, Google'a czy Comcastu, po tamtej stronie, zwanej darknetem, po prostu nie mogli cię znaleźć.

Pomysł Rossa wiązał się jednak z komplikacjami. Chodziło konkretnie o to, że w 2009 roku nie istniał bezpieczny sposób dokonywania anonimowych płatności w sieci za nielegalne produkty. Gotówka była zbyt ryzykowna, a na kartach kredytowych zostawał ślad po tym, że ktoś kupił woreczek kokainy w nielegalnym sklepie z narkotykami.

W ramach inspiracji Arto zasugerował Rossowi lekturę mało znanej powieści pod tytułem *A Lodging of Wayfaring Men*. Książka opowiada o grupie libertariańskich poszukiwaczy wolności, którzy tworzą w sieci alternatywną

społeczność korzystającą z własnej cyfrowej waluty, wolną od kontroli państwa. Ten internetowy świat rośnie tak szybko, że rząd Stanów Zjednoczonych panicznie się go obawia. FBI wysyła agentów mających powstrzymać działanie strony, zanim ta zniszczy fundamenty społeczeństwa.

Porada Arta bardzo zainspirowała Rossa, ale problemy logistyczne pozostały. Nie istniał sposób płacenia za narkotyki kupowane na takiej stronie. Dlatego na cały rok pomysł trafił w jego umyśle na półkę. Aż do teraz. Ross usłyszał o nowej technologii o nazwie bitcoin. Zachwalano ją jako nowatorską formę elektronicznej gotówki, jak wynikało z jego rozeznania – całkowicie niewykrywalnej. Każdy człowiek na świecie mógł z niej korzystać do zakupu lub sprzedaży czegokolwiek, tak by nie pozostawić po sobie żadnych cyfrowych śladów.

Ludzie (albo jedna osoba) odpowiedzialni za stworzenie tej nowej technologii pozostawali anonimowi, koncepcja była jednak prosta: o ile do zakupu czegoś w Ameryce potrzeba dolarów, w Anglii funtów, w Japonii jenów, a w Indiach rupii, o tyle ta nowa waluta, bitcoiny, miała być używana na całym świecie, a zwłaszcza w sieci. I – zupełnie jak gotówka – była nie do namierzenia. Aby zdobyć bitcoiny, można było dokonać wymiany w internecie, mniej więcej tak samo, jak na lotnisku wymienia się dolary na euro. Właśnie na to brakujące ogniwo czekał Ross, by zbudować swój eksperymentalny świat bez zasad.

Tak oto latem 2010 roku, podczas gdy Julia fotografowała nagie kobiety, Ross Ulbricht, niespełniony fizyk, który tak bardzo chciał zmienić świat, zasiadł do ukochanego laptopa, żeby urzeczywistnić ideę, którą od dawna nosił w głowie. Pragnął stworzyć stronę internetową będącą wolnym, otwartym targowiskiem, gdzie ludzie z całego świata mogliby kupić wszystkie rzeczy aktualnie dla nich niedostępne ze względu na restrykcje amerykańskiego rządu – a przede wszystkim narkotyki. Kiedy palce Rossa dotknęły klawiatury, a na ekranie pojawiły się linijki kodu, zaczął sobie wyobrazać szybki rozwój strony. Tak szybki, że rząd będzie się panicznie bał jej siły. Strona stanie się żywym dowodem na to – fantazjował Ross – że legalizacja narkotyków to najlepszy sposób na powstrzymanie przemocy i opresji na świecie. Gdyby to się udało, zmianie uległyby fundamenty naszego społeczeństwa.

Jasne, chciał zarabiać pieniądze. Właśnie tak działają libertarianie. Ale chciał również oswobodzić innych. Na terenie całego kraju miliony ludzi tkwiły

w więzieniach przez narkotyki, w szczególności te błahe, jak trawa i grzybki halucynogenne. Podły i zgniły system więziennictwa trzymał tych ludzi za kratkami, niszczył im życie dlatego, że państwo chciało dyktować obywatelom, co mogą, a czego nie mogą robić z własnym ciałem. Nowa strona, nad którą pracował Ross, mogła to zmienić.

Wymyślenie nazwy sklepu było wyzwaniem, ostatecznie jednak zdecydował się na Silk Road, czyli Jedwabny Szlak, na cześć pradawnej chińskiej drogi handlowej z czasów dynastii Han.

Teraz największy kłopot polegał na znalezieniu czasu na pracę nad projektem, ponieważ Ross wciąż był zaangażowany w Good Wagon Books, a wręcz wziął na siebie większość obowiązków. Zatrudnił jednak kilku pracowników, by zajmowali się książkami, sam zaś zasył się w swej zagraconej sypialni i harował nad stroną, która nawet dla kogoś tak zdolnego jak on była wyzwaniem.

Spędzał niezliczone godziny, pisząc kod frontendowy, kod backendowy oraz kod, który te cyfrowe dialekty łączył w jedno. Wszystkich języków programowania uczył się na bieżąco. W gruncie rzeczy w pojedynkę tworzył odpowiednik eBay'a czy Amazona, bez niczyjej pomocy i bez wcześniejszej wiedzy. Gdy nie wiedział, jak rozwiązać jakiś problem programistyczny, stawał w miejscu. Nie mógł przecież zamieścić w internecie ogłoszenia w sprawie pracy, w którym napisałby, że szuka kogoś do pomocy przy stworzeniu strony umożliwiającej zakup narkotyków i innych nielegalnych towarów.

Chwilowo był zdeterminowany, żeby zbudować stronę samodzielnie, nawet jeśli wolno mu to szło. Z pomysłu, który teraz wydawał się oczywistym sposobem realizowania wolnościowych ideałów Rossa, mogło naprawdę coś wyjść.

Pozostała jednak pewna sprawa, której na razie nie rozwiązał. Skąd na nowej stronie, na której miał handlować narkotykami, weźmie narkotyki?

Farmer Ross

Musiał komuś powiedzieć, a właściwie, co ważniejsze, musiał to komuś pokazać. Ale nie mógł, po prostu nie mógł – to było zbyt niebezpieczne. Ta rozterka nie dawała Rossowi spokoju. Po tygodniach bicia się z myślami wiedział już, kogo wybrać.

– Chcę cię gdzieś zabrać – powiedział do Julii pewnego popołudnia pod koniec listopada. – Ale muszę zawiązać ci oczy.

– Zawiązać mi oczy?! – wykrzyknęła z entuzjazmem, zrywając się z krzesła, zachwycona perspektywą, że czeka ją coś perwersyjnego. – Super!

Prędko wyjaśnił, że to nie ma związku z seksem.

– Zawiążę ci oczy dla twojego bezpieczeństwa – powiedział, a na jego twarzy pojawiła się troska. – Dzięki temu nigdy nie doprowadzisz nikogo w miejsce, w które cię zabiorę.

Julia mimo wszystko czuła dreszczyk ekscytacji, kiedy obwiązywał jej głowę czarnym materiałem. Mocno go zacisnął, żeby do oczu nie przedostawało się żadne światło. Nie był tym samym flegmatykiem co zwykle, wydawał się nerwowy i zamyślony. W milczeniu wyszli z mieszkania. Ściskając Julię za ramię, pomógł jej dojść do pikapa. On widział wszystko, ona tylko słyszała. Kluczyki zabręczały niczym psia obroza. Pstryknęły otwierane drzwi auta. Stuknęły zamykane. Zawarczał silnik. W końcu samochód ruszył naprzód – dla Julii w mrok, a dla Rossa w światło dnia.

– Dokąd jedziemy? – zapytała znowu dziewczyna, rozglądając się wśród cieni.

– Mówiłem ci – szepnął Ross. – To niespodzianka. Zobaczysz.

Nie odezwał się już ani słowem, po prostu jechał o zmierzchu przez Austin. Julia wyczuła, że jest zaniepokojony, więc też się nie odzywała. Siedzieli w milczeniu.

Tak dobrze im się ostatnio układało. W weekendy jeździli na obiady do jego rodziców, które – co jej nie zaskoczyło – okazały się inne od wszystkich obiadów rodzinnych, jakie dotąd znała.

Podczas gdy wiele teksańskich rodzin spędza posiłki na dyskusjach o futbolu i pikapach marki Ford F-150, Ulbrichtowie rozmawiali o ekonomii, polityce libertariańskiej i pożałowania godnej kondycji społeczeństwa. Ojciec Rossa, Kirk, urodzony na południu Teksasu mężczyzna o łagodnym głosie, zawsze umiał zbić argumenty syna. Spokojnie stwierdzał, że jego poglądy są nieco zbyt idealistyczne i on mu zaraz wyjaśni dlaczego. Wtedy do akcji wkraczała Lyn, trzeźwo myśląca matka, urodzona na Bronxie. Broniła stanowiska Rossa i wspierała jego argumenty swym surowym spojrzeniem. Kirkowi chodziło o to, żeby syn nauczył się patrzeć na każde zagadnienie z różnych perspektyw; Lyn zaś pragnęła wspierać inteligencję Rossa, licząc na to, że syn wykorzysta swój niesamowity potencjał. Sama porzuciła marzenia o pracy dziennikarki, dlatego wszelkie jej nadzieje na świetlaną przyszłość spoczywały teraz w rękach jej chłopca. Ross zdawał sobie z tego sprawę.

Może właśnie dlatego ostatnio tak harował. Przez kilka tygodni Julia patrzyła, jak Ross znika na długie godziny i właściwie nie mówi, co robi. Sądziła, że pracuje w magazynie Good Wagon Books albo (co bardziej prawdopodobne) tyra nad stroną internetową, która stała się jego obsesją. Miała wrażenie, że chłopak tkwi przed komputerem całymi dniami, gapiąc się w monitor. Tłumaczyła sobie, że być może spędza czas ze znajomymi w parku albo udziela się jako wolontariusz w pobliskiej organizacji non profit, co często robił w wolnym czasie.

Jak miała się jednak przekonać, kiedy samochód w końcu się zatrzymał, ostatnio Ross zajmował się czymś zupełnie innym. Silnik zgasł. Julia zastanawiała się, gdzie są. Może w pobliżu Highland Mall albo Rundberg Lane lub też oddalili się od centrum i znajdowali się teraz za miastem, niedaleko Bastrop State Park? Usłyszała, jak Ross wysiada z auta; zabręczały kluczyki, trzasnęły drzwi, a potem on złapał ją za ramiona i pomógł wysiąść na chodnik.

– Dobra, trzymaj się mnie – powiedział, wiodąc ją przed siebie. – Teraz wejdziemy po schodach.

Jedną minutę i sto stopni później Julia usłyszała odgłos otwieranego zamka w drzwiach. Ross zaprowadził ją jeszcze kilka kroków naprzód, po czym zsunął dziewczynie opaskę.

Najpierw oślepiło ją światło. Po chwili rozejrzała się po pomieszczeniu, usiłując zrozumieć, co chciał jej pokazać. Spojrzała w lewo i w prawo, zdezorientowana otaczającą ją pustką. Znajdowali się w niewielkiej obskurnej przestrzeni przypominającej opuszczone sanatorium. Jedyne naturalne światło padało z małego okna na przeciwległym końcu, częściowo zasłoniętego tekturą dla zachowania prywatności. Nigdzie nie było ani jednego mebla, tylko stosy pudeł i fiolek z chemikaliami. Julia poczuła woń zwierzęcych odchodów.

– Co to jest? – zapytała. – Gdzie my jesteśmy?

– Chodź ze mną – odparł Ross, a potem zaprowadził ją do sypialni przylegającej do tego nijakiego pokoju.

Kiedy skręcili za róg, uderzył w nich podmuch zimnego powietrza z klimatyzatora. Potem, gdy Julia weszła do drugiego pomieszczenia, wszystko nabrało sensu, zupełnie jakby wreszcie poznała zakończenie ekscytującego kryminału. Zrozumiała, dlaczego Ross zawiązał jej oczy i dlaczego wiedza o tym, gdzie się znajdują, była niebezpieczna.

– Musiałem to komuś pokazać – powiedział.

Na ścianie po lewej stronie kolejne okno również zasłaniał kawałek tektury. Pokój był pusty, znajdował się tu tylko wysoki krzywy regał, który wyglądał tak, jakby nie przesuwano go od dziesięciu lat. No i ten zapach. Ta sama ostra ziemista woń, która powitała Julię, kiedy dziewczyna weszła do mieszkania i Ross zdjął jej opaskę. Tylko że teraz pachniało znacznie silniej, jakby wilgotną glebą w lesie.

Julia obejrzała półki, a potem odwróciła się do Rossa i uśmiechnęła. Nie musiał jej tłumaczyć, na co patrzy; już wcześniej widziała, jak jej chłopak bawi się w szalonego naukowca. Na mniejszą skalę eksperymentował rok wcześniej w ich mieszkaniu, a rezultaty trzymał w czarnym worku na śmieci w szafie, między bielizną Julii a jej butami na wysokim obcasie. Ale to... Czegoś tak wielkiego i okazałego w życiu nie widziała! Wszystko nabrało sensu – to całe znikanie Rossa. Zrozumiała, że przyjeżdżał tutaj.

Chłopak kipiał energią. Schylił się do jednej z dolnych półek i wskazał jakąś tackę.

– Popatrz na ten – odezwał się, po czym przesunął palcem w powietrzu. – I jeszcze ten, zobacz.

Julia dostrzegła, że na każdej półce stoi biała tacka o średnicy około sześćdziesięciu centymetrów – łącznie było ich kilkanaście – w środku zaś

znajdowały się setki maleńkich pędów. Z daleka przypominały one półmiski z młodymi jeżozwierzami. Podeszła bliżej i zajrzała wprost do jednej z białych tacek. Oszłomiła ją mnogość brązowo-białych trzonów grzybów. To nie były zwyczajne grzyby. Doskonale o tym wiedziała.

– Zobacz ten tutaj – rzucił promiennie Ross.

Julia obróciła się i zobaczyła, na co wskazywał: pulchną orzechowomleczną pieczarkę, która wyglądała tak, jakby natychmiast można ją było zerwać i wrzucić do sałatki. Ross był jak dumny ojciec.

W miarę oględzin Julia nabierała wyobrażenia o tym, ile grzybków hoduje tutaj jej chłopak: na pewno ponad tysiąc, może nawet dwa tysiące. Po wyrwaniu ich z plastikowych białych domków spokojnie wypełniłyby duży czarny worek na śmieci albo wręcz dwa.

– Ile płacisz za to miejsce? – zapytała.

– Czteryście pięćdziesiąt dolarów miesięcznie.

– Co za zasrana nora.

Ross parsknął śmiechem. Zupełnie mu to nie przeszkadzało. Bądź co bądź zasrana nora to idealna lokalizacja dla tajnego laboratorium narkotykowego.

Całe to przedsięwzięcie – potężna grzybiarnia, którą miał nadzieję uczynić załączkiem rozkwitającego imperium Silk Road – ostatecznie kosztowało go ponad siedemnaście tysięcy dolarów, wliczając w to czynsz i wszystkie artykuły, których lista się nie kończyła: szalki Petriego, taśma i pistolet do kleju, składniki, w tym torf, gips i żyto, a także artykuły kuchenne takie jak szybkowar i minutnik. Ceny tych wszystkich produktów szybko się kumulowały. Jeśli zaś chodziło o stopę zwrotu, Ross szacował, że za gram grzybków może dostać piętnaście dolarów. Ponieważ cała hodowla miała dać kilka kilogramów towaru, potencjalny zysk sięgał kilkudziesięciu tysięcy. Ale – i było to bardzo duże „ale” – do sprzedania miało być bardzo dużo grzybów, a powodzenie strony Rossa wcale nie było oczywiste. Czy ludzie będą chcieli kupować magiczne grzybki od nieznanego z internetu?

– Nie boisz się, że cię złapią? – zapytała Julia.

– Naturalnie – odpowiedział, jakby zadała najbardziej oczywiste pytanie świata. – Ale potrzebuję towaru na stronę.

Przypomniał jej, że o kryjówce nie wie nikt inny. Zadbał o niezbędne środki ostrożności, żeby hodowla grzybów pozostała sekretem, przeczytał nawet książkę pod tytułem *The Construction and Operation of Clandestine Drug*

Laboratories [Budowa i działanie tajnych laboratoriów narkotykowych], będącą w zasadzie poradnikiem dla opornych, uczącym, jak uruchomić nielegalną produkcję dragów.

Chociaż większość osób byłaby zszokowana, zrozpaczona albo zupełnie przerażona odkryciem, że ich chłopak prowadzi tajną farmę narkotyków, Julię to intrygowało – czuła się jak ktoś wtajemniczony w sekret, którego nie powinien poznać nikt inny. Co prawda wiedziała, że gdyby Rossa nakryli, miałyby kłopoty, nie przypuszczała jednak, by konsekwencje były zbyt poważne; bądź co bądź nie przywiózł jej do tajnego laboratorium metamfetaminy ani fabryki heroiny z tuzinem półnagich pracowników. Chodziło tylko o parę tacek grzybków.

Ross natomiast miał pełną świadomość tego, co go czeka, jeśli ktoś się dowie. Zgodnie z bezlitosnym prawem Teksasu za czterysta gramów grzybów groziło od pięciu do dziewięćdziesięciu pięciu lat więzienia. W tej chwili na jego tajnej farmie rosło ich ponad czterdzieści kilogramów.

– Powinniśmy już jechać – powiedział do Julii, kiedy wracali do pokoju dziennego. Tam ponownie przewiązał jej oczy czarnym materiałem i mocno zacisnął węzeł, żeby nie przedostawało się światło.

Pstryknął zamek; potem Julia usłyszała brzęk kluczy, gdy Ross ryglował za nimi drzwi nory.

Dzień otwarcia Silk Road

To był ten moment, do diaska! Witaj, roku 2011. Wreszcie nadszedł koniec stycznia. Ponad rok temu w głowie Rossa narodził się pierwszy załączek idei, kilka miesięcy temu dotarło do niego, że to się może udać, a parę tygodni temu pokazał Julii swoją tajną grzybiarnię. Teraz do odsłonięcia strony Silk Road przed światem zostały już tylko godziny.

Na wszelki wypadek należało sprawdzić każdy szczegół. Towar, czyli te niewielkie apetyczne grzybki w dużym czarnym worku na śmieci, był gotów do sprzedaży. (Ross przetestował grzyby w lesie z kolegą, by mieć pewność, że są w porządku. Okazały się niesamowite). Backendowa baza danych i frontendowy kod znajdowały się na ukrytym serwerze, któremu Ross nadał nazwę Frosty. Odwiedzających narkotykowego Amazona witało zielone logo z wielbłądem. Jasne, na stronie wciąż brakowało paru funkcji, ale Ross był jednoosobowym start-upem – wszystko miał udoskonalić w swoim czasie.

I w końcu nadeszła ta chwila: dzień otwarcia.

Niewiele brakowało, by Ross w ogóle go nie doczekał – i to kilkakrotnie! Najpierw tuż przed zaplanowanym uruchomieniem strony miał miejsce absolutnie, kompletnie, potwornie przerażający incydent, kiedy to Ross przez zupełny przypadek o mały włos nie wylądował w więzieniu. Parę tygodni wcześniej Austin przeżywało falę upałów i w mieszkaniu z tajną farmą grzybów halucynogennych jakimś cudem wylała woda. Właściciel lokalu wybrał się na miejsce, żeby to sprawdzić, i znalazł laboratorium. Rozwścieczony zadzwonił do Rossa i oznajmił mu, że następny telefon wykona na miejscową policję. Ross wpadł do lokalu i w panice zaczął zbierać rzeczy, zanim przyjadą gliniarze. Na szczęście odjechał w samą porę. Gdy tego wieczoru wrócił do domu cuchnący grzybami, był tak roztrzęsiony, że Julia musiała go uspokajać przez wiele godzin. Wystarczyła myśl o tym, co by się stało, gdyby go złapali, aby doprowadzić Rossa na skraj ataku paniki. To nie powstrzymało go jednak przed

realizacją planu. Kiedy szok ponownie zmienił się w pewność siebie, Ross wiedział, że musi działać dalej. Ale otarcie się o policję nie było jedyną przeszkodą na drodze do celu.

Oprócz tego, że nadal musiał zarządzać Good Wagon Books i pięcioma pracownikami zatrudnionymi na niepełny etat, wciąż usiłował samodzielnie stworzyć cały kod strony. Z powodu niekończących się problemów, które napotykał podczas pisania, czasem czuł się potwornie zagubiony. Ostatecznie nie miał innego wyboru, jak skontaktować się ze starym znajomym Richardem Batesem, którego poznał wiele lat wcześniej na Uniwersytecie Tekszańskim, i poprosić go o pomoc. Ross bardzo się pilnował, by nie zdradzić Richardowi, nad czym naprawdę pracuje, stronę określał zaś mianem ściśle tajnego projektu. W świecie, gdzie każdy ma jakiś pomysł na start-up, który uważa za ściśle tajny, Richard nie kwestionował wyjaśnień kumpla i pomógł mu w debugowaniu kodu w PHP – języku programowania – który Ross straszliwie namotał.

Teraz to wszystko nie miało znaczenia. Liczyło się, że Ross Ulbricht jest gotów uruchomić swoje nowe przedsięwzięcie: Silk Road.

Wciąż jednak gnębiła go jedna ważna kwestia. Czy z tej strony ktokolwiek będzie korzystał? Nawet jeśli powstanie sklep, w którym nie obowiązują żadne prawa i reguły, czy ktoś zechce tam robić zakupy?

Gdyby cały projekt okazał się tylko kolejnym z długiej listy niepowodzeń Rossa Ulbrichta, byłaby to dla niego katastrofa. W gruncie rzeczy samodzielnie wykonał pracę dwunastoosobowego start-upu, odgrywając rolę programisty front-endu, programisty back-endu, specjalisty od baz danych, konsultanta do spraw Tora, analityka bitcoina, kierownika projektu, stratega w zakresie marketingu partyzanckiego, dyrektora generalnego i głównego inwestora. Nie wspominając już o hodowcy grzybów. Odtworzenie całej strony wymagałoby ludzkiej pracy wartej miliony dolarów. A także tysiący linii kodu PHP i MySQL niezbędnych do połączenia z blockchainem bitcoina – czyli listą transakcji – oraz kilkunastu różnych widżetów i nie wiadomo czego jeszcze. Ross nie wiedział, co by ze sobą począł, gdyby się nie udało.

Coś jednak podpowiadało mu, że tym razem będzie inaczej, że być może zgodnie z dziwnym porządkiem kosmicznym strona jest powodem, dla którego przyszedł na świat. Postanowił zrobić więc wszystko, żeby zdobyła pozycję, na jaką zasługuje. Chciał przez tę stronę pomóc ludziom, wyzwolić ich. Obmyślił

cały plan powiadomienia świata o swym nowym dziele, w pełni anonimowo. Najpierw jednak musiał powiedzieć o stronie komuś ważnemu – osobiście.

Wmaszerował do salonu, gdzie siedziała Julia, i oznajmił, że pora na demonstrację.

– Panie i panowie, dziewczęta i chłopcy, osoby w każdym wieku oraz, oczywiście, ty, Julio, proszę o zajęcie miejsc. Za moment rozpocznie się prezentacja. – Poinformował, że strona wreszcie jest gotowa i że chce ją z dumą pokazać swojej dziewczynie. Na początek poprosił o jej srebrnego macbooka. – No więc najpierw – powiedział, stukając w klawisze – musisz ściągnąć Tora. Pamiętaj, Tor to przeglądarka internetowa, dzięki której stajesz się w internecie całkowicie anonimowa, żeby złodzieje – tak Ross nazywał rząd – nie widzieli, co robisz i czego szukasz.

– Super! – zawołała Julia. Bardzo się cieszyła ze ściągnięcia każdego programu, który ochroni ją przed wścibskim wzrokiem złodziei. Precz ze złodziejami! Klasnęła w dłonie.

– Teraz musisz wejść pod ten adres – wyjaśnił Ross, wprowadzając do osobliwej przeglądarki Tor jeden z najdziwniejszych adresów internetowych, jakie Julia w życiu widziała: tydgccyxixpbu6uz.onion.

Co prawda wyglądał on jak efekt przemarszu kota po klawiaturze, chłopak wyjaśnił jednak, że to po prostu element zabezpieczeń Tora.

Kiedy strona powoli ładowała się na ekranie laptopa Julii, Ross z uśmiechem obrócił komputer ku dziewczynie. Oto, w całej swej anonimowej okazałości, małeńki świat, nad którym pracował przez ten cały czas. Bezpieczne targowisko, gdzie – jak ogłaszała strona – można kupić i sprzedać wszystko bez obawy, że rząd będzie ci patrzył przez ramię i zamknie cię w klatce.

– Wow! – zawołała dziewczyna, oburącz chwytając laptopa. – Udało ci się, kotku! No to jak tu się kupuje?

Ross pokazał, co można dostać na stronie i jak to działa. Gdy kliknął zielony link „Narkotyki”, otworzyła się podstrona prowadząca do działu z psychodelikami. To właśnie tu dostępne były do nabycia grzybki halucynogenne, które Ross wyhodował kilka miesięcy wcześniej. Wyświetlały się dokładnie tak samo, jakby próbował opchnąć na Craigsliście używany rower albo pudełko ciasteczek od skautek.

Potem chłopak wyjaśnił Julii, w jaki sposób kupuje się bitcoiny, walutę niezbędną do zaopatrywania się w narkotyki na stronie. To było jak nabywanie

żetonów w salonie gier: wymieniało się gotówkę na żetony, a potem można się było bawić. I zupełnie jak w salonie gier ostatecznie nikt nie wiedział, kto tych żetonów używa, ponieważ wszystkie wyglądały identycznie. (Zresztą bitcoiny nie służyły tylko do nielegalnych transakcji; cyfrowej gotówki można było używać na dziesiątkach praworządnych stron na całym świecie).

– Daj mi swoją kartę kredytową – poprosił Ross, otwierając stronę internetowego kantoru bitcoinów, w którym Julia mogła wymienić prawdziwe dolary na elektroniczne złoto.

Wprowadzili dane jej karty, a potem patrzyli na ładującą się stronę.

– Skąd inni ludzie będą wiedzieć, jak to się robi? – zapytała Julia.

Ach, dobre pytanie od publiczności... w świecie Silk Road pomyśleliśmy jednak o wszystkim. Ross wyjaśnił, że założył bloga, na którym opisał wszystko to, co właśnie demonstrował Julii.

– Ale jak ludzie znajdą tę stronę?

Na to pytanie odpowiedział uśmiechem pełnym dumy.

W czwartek 27 stycznia dokładnie o godzinie 16.20 Ross wszedł na stronę o nazwie Shroomery, czyli internetowe centrum poświęcone wszystkiemu, co dotyczy grzybków halucynogennych, gdzie założył sobie konto pod pseudonimem Altoid. Posługując się nim, zamieścił na tamtejszym forum wpis mówiący, że właśnie „natknął się na stronę o nazwie Silk Road”, zupełnie jakby wybrał się na spacer po darknecie i znalazł ją przypadkiem. Zachęcał użytkowników, żeby tam zajrzeli. Miał nadzieję, że w ten sposób dowiedzą się o jego nowym dziele.

Nie był pewien, czy anonimowy wpis zadziała, dlatego wkrótce potem, posługując się tym samym loginem, założył konto na stronie poświęconej bitcoinom i dodał komentarz w wątku, w którym dyskutowano o tym, czy możliwe jest stworzenie internetowego sklepu heroinowego. Tam również namawiał do odwiedzenia Jedwabnego Szlaku. „Co za świetny wątek! – napisał. – Macie tu masę doskonałych pomysłów. Czy ktoś z was widział już Silk Road?” To również zrobił anonimowo, tak by nie dało się go namierzyć.

Teraz mógł tylko czekać. Ale niezbyt długo.

– Obłęd – powiedział do Julii. – Ludzie, którzy przeczytali te wpisy, już wchodzą na stronę.

– Czy ktoś coś kupił? – spytała, eksplorując Jedwabny Szlak na laptopie.

– Jeszcze nie – odparł. Wiedział jednak, że zaczną. No bo czy mogłoby być inaczej?

Co się wznosi, musi upaść

Nad Austin zapadł zmierzch, a w magazynie Good Wagon Books panowała upiorna cisza. Słyszeć było tylko Rossa, który stał przy biurku i zaciekle stukał w klawiaturę. Chciał dokończyć pisanie kodu na stronę Silk Road, żeby móc wrócić do domu.

Jeszcze nigdy w życiu nie był tak zajęty. Nie licząc Julii (i poświęcanej jej uwagi, jakiej wymagała), jednocześnie kierował swoim biznesem książkowym, zarządzał pracownikami zatrudnionymi na część etatu i prowadził stronę ze sprzedażą narkotyków. Bardzo pragnął się pozbyć obowiązków w Good Wagon Books, nie chciał jednak zrobić przykrości przyjacielowi, który powierzył mu ten biznes, a co ważniejsze, znajomi nie mogli zobaczyć, że Ross porzuca kolejny nieudany projekt.

Na szczęście jego codzienne zajęcia uzupełniały się nawzajem. Co rano, kiedy przyjeżdżał do magazynu Good Wagon Books, odpalał laptopa w maleńkim biurze położonym z boku budynku. Sprawdzał zamówienia na książki, potem zamówienia na narkotyki, a następnie wysyłał jedno i drugie do klientów w całym kraju.

Po książki chodził alejkami wśród stosów, które zbudował własnoręcznie przez kilka miesięcy: dziesiątek dwuipółmetrowych drewnianych regałów pełnych starych powieści i tomów literatury faktu, skrupulatnie uporządkowanych alfabetycznie. Zamówione przez internet książki wkładał do solidnych kopert bąbelkowych, a potem za pomocą drukarki do etykiet sporządzał naklejkę z nazwiskiem i adresem odbiorcy.

Robił sobie przerwę na lunch – kanapkę z masłem orzechowym i dżemem na chlebie pełnoziarnistym, który smakował jak ściółka – a potem zaczynała się prawdziwa zabawa. Nadchodziła pora pakowania narkotyków.

Za pomocą zgrzewarki próżniowej, zwykle używanej po to, by jedzenie dłużej zachowywało świeżość, pakował wyhodowane grzybki w folię. Później

wkładał je do takich samych kopert, w jakich rozsyłał książki w twardej i miękkiej oprawie. Wreszcie na tej samej drukarce do etykiet robił naklejki z nazwiskiem i adresem zamawiającego. Było to dla niego powodem do ogromnej dumy.

Przez pierwsze tygodnie po uruchomieniu Silk Road Ross wysyłał grzybki do nabywców raz albo dwa razy w tygodniu. Teraz, parę miesięcy później, zamówienia zaczęły przychodzić codziennie. Na stronie wydarzyło się też coś nowego i niesamowicie ekscytującego! Ross nie był już jedynym sprzedawcą narkotyków na Jedwabnym Szlaku. Pojawiło się kilku innych dilerów oferujących trawę, kokainę i niewielkie ilości ecstasy.

Gdy dowiedziała się o tym Julia, była zaniepokojona. Sprzedawanie w sieci dzointów i małych woreczków z grzybkami to jedno, ale mocniejsze narkotyki mogły pociągnąć za sobą poważniejsze konsekwencje. Ross przekonywał dziewczynę, że zbudowany przez niego system jest całkowicie anonimowy i bezpieczny, bo nikt nie może go powiązać z osobą Ulbrichta.

Zapewnienie Julii, że nikomu nie grozi niebezpieczeństwo, nie było jedynym wyzwaniem – o tym samym należało przekonać nowych nabywców. Żeby potencjalni klienci czuli się komfortowo, kupując narkotyki od tajemniczych nowych dilerów z internetu, Ross wprowadził na stronie Silk Road system ocen, w którym sprzedający otrzymywali punkty karmy odpowiadające pozytywnym i negatywnym recenzjom na eBayu czy Amazonie.

Wyczerpywała go ta praca, ale odczuwał również euforię, bo ludzie wreszcie korzystali z jego dzieła. W marcu 2011 roku miał już na koncie kilka tysięcy dolarów dochodu. Największy problem stanowiło teraz wymyślenie, jak podzielić czas między pracę nad stroną z narkotykami, biznes książkowy i relację z Julią.

Traf chciał, że wkrótce jedna z tych aktywności miała zniknąć w chmurze kurzu. Pewnego dnia Ross pracował na laptopie pośród ciszy pustego biura, gdy nagle z wnętrza magazynu dobiegł go potężny huk. Był tak głośny i przerażający, że chłopak na moment wstrzymał oddech. Tymczasem hałas nie ustawał.

Przez ułamek sekundy w głowie Rossa zawirowały najróżniejsze możliwości. Może to nalot policji, która taranem wyważa drzwi, żeby aresztować twórcę maleńkiego sklepu Silk Road? Może wybuch gazu? Spanikowany chłopak przez chwilę stał nieruchomo, przerażony myślą, że

wszystkie godziny pisania kodu i hodowania grzybów poszły na marne, bo tak jak zawsze przeczuwał, był mu przeznaczony rozczarowujący los nieudacznika.

Potem jednak ogłuszające huki ustały równie nagle, jak się zaczęły. Zastąpiła je absolutna cisza. Tętno Rossa nieco zwolniło, a on sam nabrał odwagi, żeby ostrożnie wyjść za róg do magazynu i sprawdzić, co spowodowało hałas.

Wówczas zobaczył, że ważące tony regały Good Wagon Books zawaliły się niczym olbrzymie kostki domina. Tym, co usłyszał, były dźwięki pękającego drewna i sypiącej się góry książek. Wyglądało to tak, jakby przez dach wsunęła się ogromna ręka i zakręciła całym pomieszczeniem.

Ross ocenił zniszczenia. Kryminały leżały na podręcznikach programowania. Książki science fiction i romanse były przygniecione przez resztę tomów. Szybko dotarło do niego, że kiedy składał regały, wyraźnie zaprzątnięty myślami o Silk Road, musiał zapomnieć o dokręceniu kilku śrub. Całe szczęście, że sam przez to nie zginął.

Czym prędzej wrócił do biura i zadzwonił do Julii, by powiadomić ją o tym, co się stało. Gdy jednak opowiadał o hałasach i bałaganie, uświadomił sobie, że tak naprawdę nie był to wcale pechowy wypadek, który przyniesie mu jeszcze więcej stresu i niepokoju, ale szczęśliwy traf. Może to znak od Boga, może zrządzenie losu, a może zwykły fart. Teraz jednak Ross miał wymówkę, żeby zamknąć interes i zwolnić pracowników. Mógł powiedzieć wszystkim, że ponowne zmontowanie regałów i uporządkowanie książek wymagałyby zbyt wiele pracy. Był usprawiedliwiony, nikt nie pomyślałby, że się poddaje.

Zamiast dzielić czas między Silk Road, Good Wagon Books i Julię, wreszcie mógł się skupić na dwóch z tych kwestii. Choć jedna miała niebawem narazić drugą na niebezpieczeństwo.

Artykuł na Gawkerze

Kawiarnia Café Grumpy na brooklyńskim Greenpoincie wyglądała tak jak każda inna enklawa hipsterstwa w Ameryce: świeciły ekrany laptopów, a słuchawki bezdźwięcznie ryczały ludziom do uszu. Mężczyźni i kobiety sączący przedrożoną kawę mieli na sobie typowe dla hipsterskiego Brooklynu obcisłe dzinsy, a na palcach ich rąk i ramionach wiły się artystyczne tatuaże. Na zewnątrz rozciągało się przemysłowe pustkowie McGuinness Boulevard, arterii łączącej Brooklyn i Queens mostem przerzuconym nad wypełnionym ściekami Newtown Creek. Wzdłuż ulic ciągnęły się warsztaty i stacje benzynowe. Tu i ówdzie powstawały modne apartamentowce – znak, że ta kategoria twórczych ludzi pochylonych co dnia nad laptopami również stanowi zagrożony gatunek. Chwilowo jednak pozostawali oni filarami przechodzącej gentryfikację okolicy, owego państwa kadłubowego, którego stolicą było Café Grumpy.

Większość osób w kawiarni była pisarzami, którzy uczyli się blogować, albo blogerami, którzy uczyli się pisać. Reprezentowali nową klasę przedstawicieli kreatywnych zawodów, którzy realizowali własną odmianę amerykańskiego snu. Byli freelancerami liczącymi na to, że ktoś gdzieś ich przeczyta.

Pośród nich nad swoim laptopem siedział Adrian Chen, młody Azjata pozornie pogrążony we własnym świecie. Przewijał długą dyskusję na jakimś forum, ze sceptycyzmem i niedowierzaniem śledząc dyskusję o stronie internetowej w darknecie nazywanej „Amazonem z narkotykami”.

Na forum ktoś skarżył się, że strona ta, nosząca nazwę Silk Road, jest niebezpieczna – sprzedawana w internecie heroina może zabić ludzi, którzy nie umieją jej brać. Poza tym przez ten bazar z dragami bitcoin, nowa elektroniczna waluta, może zyskać złą reputację. Inni jednak odpowiadali, że dzięki tej stronie kupowanie narkotyków stanie się bezpieczniejsze i że doskonale wykorzystuje ona możliwość pozostania anonimowym w internecie w sposób, którego nikt jeszcze nie próbował.

Myśl Adriana była jednak zupełnie inna: to musi być oszustwo. Jak mało który autor znał przecież internet od podszewki. Od prawie dwóch lat był blogerem piszącym dla Gawkera, serwisu plotkarskiego z siedzibą w Nowym Jorku. Pracując nocami i w weekendy, stał się znany z wyszukiwania i opisywania aktywności trolli internetowych i hakerów. Przemierzał mroczne, niebezpieczne zakątki sieci i czerpał stamtąd historie o ludziach, którzy robią różne pojebane rzeczy. Ale czy ktokolwiek jest na tyle szalony, żeby założyć taką stronę? – zastanawiał się. Wiedział, że może się o tym przekonać tylko w jeden sposób. Zainstalował Tora, wszedł na witrynę Silk Road i dowiedział się, że owszem.

Odkrył, że można tam dostać każdy możliwy narkotyk – naliczył dokładnie trzysta czterdzieści trzy rodzaje. Czarna smoła, afgański haszysz, marihuana Sour 13, ecstasy. Wszystko po cenach rynkowych, a miejscami nieco taniej. Wystarczyło wymienić trochę pieniędzy na bitcoiny, a potem trochę bitcoinów na dragi, i czekać, aż poczta dostarczy towar.

Adrian podchodził jednak sceptycznie do myśli, że nawet jeśli strona Silk Road jest prawdziwa, ktokolwiek chciałby tam kupować narkotyki. Zarejestrował się na forum jako Adrian802 (802 to numer kierunkowy w Connecticut, gdzie się wychował), a następnie opublikował wpis z pytaniem, czy ktoś zgodziłby się anonimowo udzielić wywiadu, bo zamierza napisać artykuł o tej niepokornej stronie. Dostał kilka odpowiedzi, a potem czyjś numer telefonu. Spacerując po chodniku przed Café Grumpy, przeprowadził rozmowę z programistą Markiem o tym, jak to jest kupować narkotyki przez internet.

– Miałem wrażenie, że przeniosłem się do przyszłości – powiedział Mark, a potem wyjaśnił, że zamówił u kogoś z Kanady dziesięć listków LSD, a cztery dni później listonosz dostarczył mu kwas do domu.

Na pytanie Adriana odpowiedział ktoś jeszcze: najwyraźniej była to osoba prowadząca Jedwabny Szlak.

W miarę jak serwis Silk Road zyskiwał na popularności, Ross robił się coraz bardziej nerwowy. Kiedy niecałe pięć miesięcy wcześniej publikował pierwsze anonimowe wpisy na forach, nie zdawał sobie sprawy, jak szybko zwiększą one ruch na stronie. Z początku napływ klientów był powolny, przybywało od kilkunastu do kilkudziesięciu, ale od czasu likwidacji Good Wagon Books sklep

z narkotykami zaczął się raptownie rozrastać. Teraz towarem handlowały tam setki ludzi, a kupowały go tysiące.

Ross również zarabiał na własnej działalności. Grzybki, które w większości już sprzedał, przyniosły mu solidny zysk rzędu dziesiątków tysięcy dolarów. Wiązało się to z mieszanką euforii i strachu. Stale martwił się tym, że Julia miała rację i da się go namierzyć. Wciąż musiał uspokajać sam siebie, że nikt nie jest w stanie powiązać go ze stroną Silk Road. To znaczy nikt oprócz dwóch osób.

Kilka tygodni wcześniej powiedział staremu kumpłowi ze studiów Richardowi, że jest założycielem Amazona z narkotykami. Nie miał innego wyboru, ponieważ bez wyjaśnienia Richard odmówił dalszej pomocy. „Powiedz mi wszystko albo nie mieszaj mnie do tego – napisał na czacie. – Oficjalnie zabraniam ci ponownie wspominać o twoim tajnym projekcie, chyba że mi go zdradzisz”. Bez fachowej wiedzy Richarda Ross miałby kompletnie przerąbane. Gdyby strona przestała działać, zostałby sam w mrocznym zawiłym labiryncie. Nie miał więc innego wyboru i musiał odkryć karty.

Z początku Richard był w szoku. Gdy jednak poznał motywację stojącą za stworzeniem strony, zgodził się dalej pomagać. Na pewno swoje zrobiło parę woreczków grzybków, które w ramach podziękowania Ross sprezentował staremu kumpłowi. Richard sam zaczął również robić zakupy na stronie: zamawiał tam ecstasy, trawę, vicodin i antybiotyki na receptę. (Bał się zarazków, dlatego rozkoszował się możliwością kupna leków bez chodzenia do lekarza). Był przy tym przekonany – ponieważ pomógł w pisaniu kodu – że nie da się ich obu powiązać ze stroną.

Wyzwaniem zupełnie innego kalibru było natomiast uspokojenie Julii, że Rossowi nic nie grozi. Przez ostatnie dwa miesiące stale kłócili się o Silk Road. Teraz, gdy konta na stronie zakładały co tydzień setki ludzi, dziewczyna bała się, że Ross, którego miała nadzieję pewnego dnia poślubić, zostanie złapany i spędzi resztę życia w więzieniu.

– Wszystko jest zabezpieczone – zapewniał ją, przekonując, że Tora nie da się złamać, a bitcoiny są zupełnie anonimowe. – Nic mi nie grozi. Zaufaj mi, nikt nie może stwierdzić, że to ja stoję za tą stroną.

Przestrogi Julii nie dawały mu jednak spokoju, do tego doskonale zdawał sobie sprawę ze swoich ograniczonych umiejętności programistycznych. Aby mieć pewność, że skutecznie zaciera ślady, postanowił zatrudnić innych

ekspertów (poza Richardem), którzy poprawiliby protokoły bezpieczeństwa. Opublikował więc ogłoszenie na Silk Road i okazało się, że kilku nastawionych antyrządowo programistów jest chętnych do pomocy w powstrzymaniu tych na górze, w niepełnym wymiarze godzin oraz za opłatą.

Jak na razie o stronie Rossa nie pisała prasa, co zaskakujące, zważywszy na liczbę dyskusji na niektórych forach, on sam nie był zaś pewien, czy jest na to gotowy. Nadszedł jednak czas. Ktoś posługujący się pseudonimem Adrian802 myszkował po stronie i powiadamiał jej klientów, że pracuje nad artykułem dla Gawkera na temat tego projektu.

Ross wiedział, że nie powstrzyma dziennikarza, uznał więc, że najlepiej będzie do niego napisać. Był uprzejmy, podziękował za zainteresowanie i wyraził opinię, że dzięki Silk Road kupowanie narkotyków jest bezpieczniejsze. „Nasza społeczność jest niesamowita” – napisał jako anonimowy administrator strony. Potem, zupełnie nieświadom konsekwencji, postanowił iść z Adrianem802 na całość i wykorzystać okazję do rozpowszechnienia libertariańskiego przekazu. Wyjaśnił, że jego strona miała pokazać władzy, że pozbawianie ludzi ich praw to zło. „Przestańcie dofinansowywać państwo podatkami i przekierujcie swoją energię na czarny rynek” – napisał do Adriana.

Nie przewidział, że taki przekaz będzie miał daleko idące, ponure skutki.

1 czerwca 2011 roku o godzinie 16.20 Adrian siedział w Café Grumpy, sączył czarną kawę i patrzył, jak jego artykuł o Silk Road trafia do sieci. Tytuł brzmiał: PODZIEMNA STRONA, NA KTÓREJ KUPISZ KAŻDY MOŻLIWY NARKOTYK. Tekst zaczynał się od słów: „Prowadzenie pogaduszek z twoim dilerem jest do kitu. Kiedy kupujesz kokainę, ktoś może cię zastrzelić. A gdyby można było kupować i sprzedawać narkotyki w internecie tak samo jak książki czy żarówki? Teraz można: witajcie na Jedwabnym Szlaku”.

Tarcza na moich plecach

– O co chodzi, kotku? – zapytała Julia, leżąc w łóżku obok Rossa i podziwiając linię jego szczęki.

Ross nie odpowiedział. Był zajęty czytaniem artykułu o swojej stronie. Wiedział, że opublikowany przed kilkoma dniami tekst Adriana Chena na Gawkerze może spowodować wrogą reakcję władz. Rzeczywistość przekroczyła jednak wszelkie wyobrażenia.

Z lękiem uruchomił nagranie wideo towarzyszące czytaniu właśnie artykułowi. I oto w małym prostokątnym okienku senator Chuck Schumer stał ze strapioną miną na konferencji prasowej. Po jego prawej i lewej ręce na stelażach znajdowały się powiększone wydruki strony Silk Road. Mównicę ozdabiała niebiesko-biało-złota pieczęć Senatu Stanów Zjednoczonych, wyraźnie widoczna dla zgromadzonej prasy i Rossa.

– To istne centrum handlowe z nielegalnymi substancjami, najzuchwalsza próba handlu narkotykami w internecie, z jaką się dotąd spotkaliśmy – oznajmił Schumer gromadzie dziennikarzy. – Przebija wszystko, co dotąd widzieliśmy, o całe lata świetlne.

O kurka! Niedobrze. Jasne, Ross liczył na to, że jego strona zyska zainteresowanie i uwagę. Czegoś takiego jednak się nie spodziewał, zwłaszcza we wczesnym stadium istnienia bazaru narkotykowego.

Na następnym ujęciu Schumer siedział przed komputerem, a na ekranie znajdowała się strona Rossa. Senator przesuwiał palcem po wyświetlaczu, wymieniając przy tym na głos dostępne towary.

– Tu jest heroina, opium, marihuana, są ekstazy, psychodeliki, stymulanty... – Tworząc liczbę mnogą od słowa „ecstasy”, senator pokazał, jak bardzo nie orientuje się w temacie.

Trzaskały flesze: pyk! pyk! pyk!

– Co tylko przyjdzie wam do głowy, oni to mają – stwierdził Schumer z niedowierzaniem.

Gdy Ross czytał artykuł powiązany z nagraniem, robiło mu się niedobrze. Schumer z Nowego Jorku oraz Joe Manchin, ówczesny młodszy senator z Wirginii Zachodniej, zaapelowali do Departamentu Sprawiedliwości (Department of Justice, DOJ) i Agencji do Walki z Narkotykami o zamknięcie Amazona z narkotykami – natychmiast!

Kurka! Kurka wodna! Ross zadarł z największym łobuzem na świecie i ten łobuz zamierzał odpowiedzieć na cios.

– Zobacz – powiedział do Julii, a potem oparł się o wezglowie i ponownie włączył nagranie. – Namalowali mi tarczę strzelniczą na plecach.

– Ross, nie jest dobrze – odparła przerażona dziewczyna, patrząc na ekran.

Zainteresowanie Senatu Stanów Zjednoczonych to ostatnia rzecz, jakiej Ulbricht w tej chwili potrzebował. Może za miesiąc albo za pół roku mógłby sobie z tym poradzić. Ale nie teraz.

W ciągu ostatnich kilku dni za artykułem w Gawkerze poszła istna nawałnica kolejnych materiałów prasowych. Strona Rossa, dotąd niewidoczna dla mediów głównego nurtu, z szokującą gwałtownością stała się tematem wiadomości w całym kraju. Zajmowały się nią uznane marki. O sprawie pisał „The Atlantic”, mówiono o niej na antenie radia NPR, stacje telewizyjne, w tym ABC i NBC, poświęciły jej oddzielne materiały („Mówią, że to Amazon z narkotykami...”). Nie wspominając już o setkach wpisów na blogach, dyskusjach na forach dotyczących narkotyków i w mediach społecznościowych oraz artykułów na libertariańskich stronach.

Mimo że Silk Road trafił do mainstreamowej prasy, większość ludzi czytających o tej stronie wciąż nie wierzyła, że w internecie naprawdę można kupić narkotyki z dostawą do domu. Sądziła, że to na pewno coś w rodzaju nigeryjskiego szwindlu albo może pułapka zastawiona przez organy ścigania na niczego niepodejrzewających idiotów, żeby przymknąć ich wszystkich naraz. Ale nawet jeśli byli to idioci, tysiące ludzi instalowało Tora i rejestrowało się na stronie Silk Road, żeby przekonać się o wszystkim na własne oczy. W końcu zajrzeć nie zaszkodzi, prawda?

Ross obserwował powiększające się bazy danych i coraz wolniej działającą witrynę z mieszanką przerażenia i zachwyty. W noc po publikacji artykułu prawie nie zmrużył oka. Leżał w łóżku, patrząc w laptopa, albo siedział na

krześle ergonomicznym w sypialni i obserwował, jak ludzie z całego świata zakładają konta na stronie.

Nazajutrz rano otumaniałego i zdenerwowanego Rossa powitała katastrofa. Nie, władze nie zamknęły strony. Ani nie zaatakowali jej hakerzy. Nic z tych rzeczy. Było znacznie gorzej.

O ile niektórzy wchodzili na stronę Silk Road tylko po to, żeby się rozejrzeć, o tyle inni rzeczywiście kupowali i sprzedawali narkotyki. I za każdym razem, kiedy ktoś dokonał transakcji, z konta Rossa znikają bitcoiny. Co tu się, u diabła, dzieje? – myślał. W kodzie musiał być jakiś błąd. Zyski Ulbrichta, wynoszące już dziesiątki tysięcy dolarów, co parę godzin kurczyły się dosłownie o kilkaset dolarów. Ross musiał rozwiązać problem, o którego istnieniu dotąd nawet nie wiedział.

To było straszne. Godzinami analizował kod strony w poszukiwaniu błędu, aż w końcu uświadomił sobie, że pierwotnie zbudował Silk Road na standardowym programie o nazwie „bitcoind” powiązany z systemem płatności na stronie. Teraz okazało się, że wykonał to połączenie niewłaściwie. Rzecz w tym, że nie miał pojęcia, jak znaleźć błąd w kodzie. Wiedział tylko tyle, że w gruncie rzeczy stworzył kasę, z której pieniądze wypadały dołem, ilekroć ktoś ją otworzył, i znikają w przestrzeni. Obecnie, wraz z gwałtownym napływem nowych klientów, ta kasa otwierała się i zamykała w oszałamiającym tempie.

Gdy przeprowadził obliczenia, wyszło na to, że zważywszy na tempo transakcji na stronie, serwis Silk Road wkrótce stanie się niewypłacalny. Ross będzie pierwszym człowiekiem w historii, który stworzył w internecie nielegalną stronę z narkotykami, i pierwszym, który zbankrutował przez to, że stworzył gówniany kod.

Nie było wyboru: musiał zacząć od tych problemów, z którymi umiał sobie poradzić. Podjął bolesną decyzję o wyłączeniu możliwości rejestracji nowych użytkowników, co miało choć odrobinę odciążyć serwery. Następnym zadaniem było ustalenie, dlaczego przy każdej transakcji znikają pieniądze. W tym celu niezbędne było przepisanie kodu w języku programowania, który ewidentnie od początku kiepsko znał.

Przez następne kilka dni prawie nie spał, a jeszcze mniej jadł. Julia starała się go utrzymać przy życiu, przynosząc ulubione kanapki Rossa z masłem

orzechowym i dżemem, ale gdy wracała po paru godzinach, okazywało się, że kanapka leży nietknięta obok laptopa.

Rossa cały czas szarpał niepokój. Po niemal tygodniu zmagania się z poważnymi problemami, awarii strony oraz wypowiedzeniu przez senatorów wojny Jedwabnemu Szlakowi i jego założycielowi do Rossa na dobre zaczęło docierać, co tak naprawdę robi i jakie są tego konsekwencje.

– Oni mnie szukają – powiedział do Julii pewnego wieczoru wyczerpany, niemal w katatonii.

– Co ty nie powiesz! – odparła.

Widziała go już w takim stanie, gdy kilka miesięcy wcześniej został przyłapany na hodowaniu grzybków. Wtedy też na jego twarzy malowała się dziwna mieszanka podniecenia i strachu. Zupełnie jakby ciało Rossa zamieszkiwały dwie różne osoby. Jedną był nieśmiały miły chłopak, który autentycznie chciał pomagać ludziom i uczynić świat lepszym, a drugą – niepokorny buntownik gotów stanąć do walki z całym aparatem państwowym Stanów Zjednoczonych. Uroczy Ross i Zbuntowany Ross.

– Może pora z tym skończyć – zasugerowała, gdy i ona pojęła potencjalne konsekwencje. – Może to wszystko rozwija się za bardzo i za szybko.

Uroczy Ross nic jednak nie powiedział. Natomiast Zbuntowany w pocie czoła szukał błędów w kodzie, przez które ulatniały się jego zyski. Nie tylko nie zamierzał słuchać rady Julii i przerwać pracy nad stroną, ale zamiast tego planował wzmocnić zabezpieczenia, żeby senatorzy nigdy go nie znaleźli.

Julia mówi Erice

Julię ogarnął spokój. Leżała na podłodze, wsłuchując się w orkiestrę dźwięków za oknem. Wyły syreny nowojorskiej policji, szeleściły drzewa, pociągi na naziemnych odcinkach metra na Bronxie skrzypiały i piszczały. Czekał, aż trawa zacznie działać, dziewczyna uświadomiła sobie, jaką czuje ulgę, że spędzi bez Rossa cały tydzień.

– Trzymaj – powiedziała jej przyjaciółka Erica, oddając jej skręta.

Julia przyłożyła go do ust i zaciągnęła się skunksowatym dymem. Zastanawiała się, czy zdradzić Erice powód nagłej wizyty w Nowym Jorku. Na razie nie powiedziała nikomu – żywej duszy – o Silk Road, grzybkach, senatorach i hakerach, których jej chłopak zatrudniał teraz do pomocy przy stronie. Nie pisnęła ani słowa. Ostatnio jednak zaczęła się bać, nie tylko o Rossa, ale i o siebie. Nie wiedziała, czy w tym wszystkim nie mogą oskarżyć jej o współudział. Co prawda nie napisała nawet linijki kodu i nie zarobiła ani grosza, lecz mimo to była przerażona. Z niewiadomego powodu Ross wciąż dzielił się z nią każdą nową tajemnicą, oczekując, że zachowa to dla siebie – i że zaakceptuje całe przedsięwzięcie z perspektywy moralnej.

Na początku, osiem miesięcy wcześniej, kiedy Ross uruchomił Silk Road, różne niewiadome rzeczywiście jej nie przeszkadzały, bo strona miała mały zasięg i była nieistotna. Od tamtej pory wiele się jednak zmieniło. Ze sprzedażą trawy nie miała problemu. Jeszcze nigdy nie słyszała, żeby od bucha z bonga ktokolwiek przedawkował. A grzybki... przecież rosły w ziemi i dawały ludziom szczęście. W ostatnich miesiącach na stronie pojawiły się jednak nowe towary. Crack, kokaina, heroina, różne odmiany silnie uzależniających narkotyków, o których Julia w życiu nie słyszała, powstające w tajnych laboratoriach w Azji. Jej wątpliwości się nasilały.

– A jak ktoś przedawkuje? – zapytała, gdy w sklepie internetowym Silk Road pojawiły się crack i heroina.

– Mamy system ocen – odparł stanowczo Ross. – Więc jeśli ktoś sprzeda zły towar, dostanie złą ocenę i nikt więcej nic od niego nie kupi.

– A jeżeli ten ktoś umrze? Jak wystawi złą ocenę, skoro nie żyje?

Takie rozmowy trwały godzinami, kręcili się w kółko i nie dochodzili do porozumienia. Cokolwiek powiedziała Julia, Ross zawsze miał jakąś odpowiedź, często w otoczce intelektualnej analizy albo teorii libertariańskiej. Kiedy zaś spór zatoczył koło zbyt wiele razy, chłopak kończył rozmowę słowami: „No cóż, musimy się pogodzić z tym, że mamy w tej kwestii różne zdania”.

Owe różnice zdań, a także aktualne zainteresowanie witryną ze strony mediów i władz, sprawiły, że okazjonalne sprzeczki zakochanych przerodziły się w codzienną wojnę.

– Musisz to rzucić! – krzychała Julia. – Pójdiesz na całe życie do więzienia. Jak mam wziąć ślub i założyć rodzinę z kimś, kto siedzi w więzieniu?

Na to Ross odpowiadał spokojnie:

– Nie mogą mnie złapać, bo chronią mnie Tor i bitcoiny. – Następnie wygłaszał przeciwioną tyradę na temat swojej spuścizny. Oznajmiał, że strona będzie jego największym darem dla społeczeństwa. Pomagał ludziom, zapewniał im poczucie bezpieczeństwa, bo nie musieli kupować dragów na ulicy, przez co można było wylądować w więzieniu albo, co gorsza, zostać rannym lub zginąć. Czy Julia tego nie widziała? Czy nie chciała w tym uczestniczyć?

Zupełnie jakby stale korzystali z tego samego scenariusza: wybuchała kłótnia, a potem któreś z nich demonstracyjnie wychodziło z pokoju albo z mieszkania. Po kilku godzinach miłość znów przyciągała ich do siebie. Godzili się i zasypiali objęci. Julia śniła o domku z białym płotem i gromadce rozchichotanych dzieci biegających po ogrodzie, a Ross – o tym, że Silk Road urośnie w siłę tak bardzo, że pewnego dnia jej założyciel zdoła dzięki niej obalić obowiązujące prawa antynarkotykowe i będzie wychwalany za pozytywny wpływ, jaki miał na społeczeństwo. Nazajutrz rano kłótniwi kochankowie zaczynali wszystko od początku.

Strona zaczęła wpływać również na inne aspekty ich związku. Julia chciała chodzić na tańce i oczekiwała, że skoro Ross zarabia tyle pieniędzy na prowizjach, będzie ją zabierał do dobrych restauracji. Jemu tymczasem zupełnie wystarczało jedzenie kanapek z masłem orzechowym i dżemem w trakcie

pisania kodu na laptopie. Bywało, że nie mył się przez kilka dni, ledwo się do niej odzywał i po prostu siedział na krześle w sypialni (często nago), pracując na komputerze.

Julia tak bardzo martwiła się stanem ich związku, a także samego Rossa, że zaczęła miewać regularne ataki paniki. Zerkąła na mężczyznę w sklepie spożywczym, zastanawiając się, czy to nie policyjni tajniacy, którzy wiedzą, że żyje z twórcą Silk Road. Płakała pod prysznicem. Bardzo kochała Rossa, ale on najwyraźniej bardziej kochał swoją stronę.

Trwało to tygodniami, a każdy dzień był powtórzeniem poprzedniego, aż pewnego wieczoru Ross wrócił do domu z ogniem podniecenia w oczach. Zachwycony oznajmił Julii, że musi jej coś pokazać. Otworzył laptopa, grzebał w nim przez kilka sekund, a potem obrócił komputer w jej stronę. Miesiącami robił wszystko, aby przekonać dziewczynę, że w Silk Road powinny być dostępne twarde narkotyki. Odwoływał się do swoich kluczowych argumentów, że państwo nie powinno dyktować ludziom, co mogą, a czego nie mogą wprowadzać do własnego organizmu, i że bez wojen narkotykowych spadłyby zarówno przestępczość, jak i przemoc. Jeśli nawet Julia niekoniecznie zgadzała się z poglądami Rossa, rozumiała jego sposób myślenia, który w teorii miał sens. Nic jednak nie mogło jej przekonać o wartości tego, co miał jej właśnie pokazać.

– Patrz – powiedział z dumą, wskazując na ekran laptopa. – Na stronie ktoś właśnie wystawił na sprzedaż broń.

Julia popatrzyła z niedowierzaniem i ogarnęły ją mdłości.

– Ross – odezwała się błagalnym tonem. – To nie jest normalne.

– Dlaczego nie? Posiadanie broni to nasze konstytucyjne prawo, więc powinniśmy mieć...

Przerwała mu:

– Wy tłumacz mi, dlaczego ktoś chce kupować broń anonimowo.

– Nie do mnie należy zadawanie takich pytań – odparł Ross poirytowany tym, że Julia nie podziela jego entuzjazmu. – To nie ja decyduję, dlaczego ktoś coś robi. Wybór należy do ludzi.

– Tak, ale... – zaczęła, lecz nie pozwolił jej skończyć.

– Czyli państwo może mieć broń, a ludzie nie? – zapytał. (Później powtarzał ten argument w rozmowach na stronie Silk Road, oznajmiając prywatnie swoim

pracownikom: „Zawsze byłem zwolennikiem prawa do posiadania broni. Broń wyrównuje siły w walce z tyrańską władzą”).

Julia instynktownie wiedziała, że jej sumienie się nie myli. Ale nawet gdy przedstawiała mądre, przekonujące riposty, Ross kończył rozmowę stwierdzeniem: „No cóż, musimy się pogodzić z tym, że mamy w tej kwestii różne zdania”.

Dla niej to był moment, w którym powiedziała „dość”. Lekkie narkotyki? Jasne. Twarde narkotyki? Dobrze. Może Ross miał rację, może rzeczywiście mamy prawo robić z własnym organizmem, co chcemy. Czy władze mogą mówić, że wolno nam pić alkohol, który zabija rocznie dziewięćdziesiąt tysięcy Amerykanów, palić papierosy, które w Stanach zabijają czterdzieści tysięcy ludzi miesięcznie, a nawet jeść czerwone mięso, codziennie wywołujące zawały u setek osób, ale nie wolno nam palić trawy, która jeszcze nigdy nikogo nie zabiła? Jednak na kupowanie anonimowo nielegalnej broni Julia nie mogła się zgodzić. Kilka tygodni później wsiadła w samolot do Nowego Jorku. Pomyślała, że jesień na północnym wschodzie kraju pomoże jej oczyścić umysł. Erica powitała ją serdecznym uściskiem. Potem rozłożyły się na dywan w salonie i gadały.

W oddali przez okno Julia widziała miękkie niebiesko-białe światła Yankee Stadium rozjaśniające nocne niebo. Trudno było o scenerię bardziej odmienną od chaosu, który otaczał ją przez ostatnie miesiące. Słuchając pomruków Bronxu, Julia podjęła decyzję. Usiadła i odwróciła się do Eriki.

– Muszę ci coś powiedzieć – oznajmiła.

– Co?

– Obiecuj mi, że nigdy nikomu tego nie powtórzysz. Nigdy! Ross by mnie zabił.

– Przysięgam! – odparła Erica, ciekawa sekretu, który między nimi zawisł. – Obiecuję.

Julia jeszcze raz mocno zaciągnęła się dżointem i na kilka sekund przytrzymała dym w płucach. Wydmuchnęła go, przez moment patrzyła, jak chmura bieli rozwiewa się w powietrzu, a potem powiedziała Ericie wszystko.

Coś ty zrobiła?!

Ross miał łzy w oczach, kiedy pędził po schodach do mieszkania Julii. Ogarnięty strachem zmieszany z wściekłością otworzył drzwi, wpadł do środka i zaczął na nią krzyczeć.

– Nie wierzę, że to zrobiłaś! – wrzasnął, zatraskując za sobą drzwi. – Jestem skończony!

– O czym ty mówisz? – wyjąkała Julia, podnosząc wzrok znad laptopa, zszokowana tym nagłym wtargnięciem, ale jeszcze bardziej przerażeniem malującym się na twarzy chłopaka.

– Zdradziłaś moje zaufanie! – krzyknął, ocierając łzy. – Nie wierzę, że komuś powiedziałaś. – Był tak spanikowany, że cały się trząsnął. Gorączkowo usiłował wymyślić, co powinien zrobić. Przez całe życie jeszcze nigdy nie był tak wściekły. Ani tak bardzo się nie bał.

W tym momencie Julia wiedziała już dokładnie, co się stało, ale potrzebowała jeszcze kilku minut, żeby zrozumieć, jak do tego doszło. Bardzo szybko zorientowała się, że musi chodzić o Ericę. Ale jak Ross się teraz o tym dowiedział? I dlaczego był taki przerażony? Kiedy stał przed nią i aż się gotował, odtwarzała w myślach wydarzenia ostatnich kilku tygodni.

Wczesną wiosną, po powrocie z Nowego Jorku, postanowiła z nim zerwać. Powiedziała, że jeśli chce dalej prowadzić swoją stronę, musi sobie znaleźć inne miejsce, bo ona dłużej nie pozwoli, żeby robił to u niej. Wobec tego Ross wynajął mieszkanie na drugim końcu Austin. Choć rozdzieliły ich animozje, ze względu na miłość (i seks) utrzymywali kontakt i spotykali się raz na jakiś czas.

Wkrótce po wyprowadzce chłopaka Julia namówiła Ericę, żeby przeniosła się z Nowego Jorku do Austin i wynajęła u niej wolną sypialnię. Wszystko szło doskonale, aż pewnego wieczoru na imprezie Erica miała złego tripa po kwasie kupionym na stronie Silk Road i wylądowała w szpitalu. Gdy stamtąd wróciła, między nią a Julią wybuchła kłótnia. Ross, który akurat był w mieszkaniu,

próbował rozdzielić dziewczyny. To tylko bardziej je rozwścieczyło i wybuchła taka awantura, że trzeba było wzywać policję. Ross, który początkowo próbował pomóc, wkrótce stracił cierpliwość i wyrzucił Ericę z mieszkania. Gdy dziewczyna wsiadała do taksówki, żeby wrócić do Nowego Jorku, Ross i Julia sądzili, że to koniec tematu. Krzyżyk na drogę, Erico; dzięki za historię, którą jutro opowiemy znajomym.

Nazajutrz rano chłopak wrócił do siebie, otworzył ukochanego laptopa, sprawdził statystyki Silk Road, a potem wszedł na swoje konto w mediach społecznościowych. I oto na jego tablicy na Facebooku widniał w całej okazałości publiczny wpis Eriki, widoczny dla wszystkich. „Władze na pewno z przyjemnością usłyszą o stronie Rossa Ulbrichta z narkotykami” – napisała dziewczyna. Równie dobrze mogła zawiesić w internecie gigantyczny neonowy billboard.

Ross najchętniej zapadłby się pod ziemię. Zaczął płakać. Szybko skasował wpis. Sięgnął drżącymi rękami po telefon i zadzwonił do Eriki. Serce mu łomotało.

– Tak mi przykro – wyjąkał, a łzy lały mu się po twarzy. – Błagam, obiecaj mi, że nigdy nikomu nie powiesz o stronie.

Słyszając go zapłakanego, brzmiącego, jakby chciał się zabić, Erica zapewniła, że nie piśnie ani słowa, po czym się rozłączyła.

W głowie Rossa szalał jednak huragan myśli. Kto jeszcze wie? Kurka! Na te pytania mogła odpowiedzieć tylko jedna osoba. Ross wsiadł do pikapa, wcisnął gaz do dechy, pośpieszył do mieszkania Julii i wbiegł po schodach.

– Zdradziłaś moje zaufanie! – krzyknął. – Komu jeszcze powiedziałaś?

– Nikomu, daję słowo – zaklinała się dziewczyna. Po jej policzkach ciekły strugi łez. – Sama nie wierzę, że powiedziałam Ericie. Strasznie cię przepraszam. To było takie głupie. Wymknęło mi się, wcale nie chciałam...

Ross wpadł w gniew.

– Kłamiesz! Nie mogę ci ufać.

Słyszając te oskarżenia, Julia przeszła do ofensywy:

– Zostawiłaś mnie w tym wszystkim samą. Opowiadałaś o tych rzeczach, nie zastanawiając się, co mi grozi.

– To poważne naruszenie bezpieczeństwa – odparł Ross – bo teraz ktoś, kto naprawdę mnie zna i wie, jak wyglądam, ma świadomość, że to ja stworzyłem stronę.

Był surowy i bezlitosny. Julia zawiodła jego zaufanie, a Ross uważał to za coś znacznie gorszego niż wszystkie sytuacje, w jakich on ją postawił. Sam fakt, że podała komuś jego imię, że wyjawiała najlepiej strzeżony sekret, oznaczał, że była skończona. Dziewczyna patrzyła mu w oczy i czuła, że swoim wytłumaczeniem tylko jeszcze bardziej go wkurzyła.

– Może to jest znak, że w ogóle nie powinieneś prowadzić tej strony – wydusiła z siebie, a potem zapłakana padła na podłogę, błagając go o wybaczenie.

– Nie... nie jest – zająknął się Ross. Koncentrował się teraz na tym, co powinien zrobić. – To znaczy, że będę musiał się ukryć. Będę musiał wyjechać z Austin. I to wszystko przez ciebie.

Julia załkała.

– Przepraszam. Ja...

Ale było już za późno.

– To koniec – powiedział chłopak. Obrócił się i wyszedł z mieszkania, trzaskając za sobą drzwiami.

Jared i pięćdziesięcotonowy *Flaming*

Chicagowska Federal Plaza wydawała się ciemna i ponura na tle późnolistopadowego nieba – z wyjątkiem dwóch plam koloru, które rozbijały mrok. Jedną była czerwono-biało-granatowa flaga Stanów Zjednoczonych terkocząca z zapalem na wietrze. Drugą zaś masywna jaskrawoczerwona rzeźba pod tytułem *Flaming*, stojąca bez ruchu pośrodku ciemnoszarej powierzchni placu.

Ten pięćdziesięcotonowy *Flaming* i jego abstrakcyjne stalowe łuki są pierwszą rzeczą, jaką widzi wiele osób wysiadających z metra na plac. Większość przechodzi obok rzeźby albo pod nią, zmierzając do jednego z sąsiednich budynków federalnych, wśród których są poczta, sąd oraz najbardziej onieśmielający z gmachów – trzydziestopiętrowa czarna wieża przy South Dearborn Street 219 znana jako Dirksen Federal Building.

Pewnego ranka pod koniec listopada 2011 roku w Dirksen Federal Building znajdowali się dwaj mężczyźni o nazwisku Der-Yeghiayan. Na osiemnastym piętrze pięćdziesięciodziewięcioletni Samuel Der-Yeghiayan poprawiał togę i przeglądał dokumenty, szykując się do rozpraw, które miał tego dnia poprowadzić jako sędzia federalny. Szesnaście pięter niżej jego trzydziestojednoletni syn Jared szedł korytarzami Biura Okręgowego Prokuratora Federalnego ze swoim wielkim pękatym plecakiem na ramieniu, wypełnionym laptopami i teczkami ze zdjęciami dowodów, a także kostką Rubika. W rękach trzymał duży biały pojemnik z kancelarii pocztowej wypełniony mniej więcej trzydziestoma kopertami różnych rozmiarów i kształtów.

Młody Jared Der-Yeghiayan ledwo panował nad nerwami w drodze na spotkanie, które miało być najważniejszym w jego karierze. Nie uszło jego uwadze, że jeśli da dupy, wiadomość o wpadce prędko dotrze na górę, do gabinetu ojca.

Workowate codzienne ciuchy, które nosił na lotnisku O'Hare, zamienił na zbyt duży czarny garnitur i świeżo wyprasowaną białą koszulę. Za nim nieśpiesznym krokiem szedł opiekun jego grupy z HSI. Obaj zameldowali się w gabinecie federalnego prokuratora śledczego do spraw narkotyków, nadzorującego wszystkie sprawy związane z narkotykami, jakie prowadzono w stanie Illinois.

Krótko się przedstawili, po czym Jared z hukiem upuścił na podłogę pojemnik z pocztą, który trzymał w rękach. Prokurator spojrzał na ten przedmiot, a potem na Jareda, wyraźnie zbity z tropu. Nie to spodziewał się zobaczyć, gdy zgodził się na spotkanie poświęcone przemytowi narkotyków przez internet. Zdjęcie kilku kostek heroiny? Jasne. Parę kilo bielutkiej kokainy? Pewnie. Kilogramy marihuany? A jakże. Ale pudło z pustymi kopertami? Nie za bardzo. Mimo wszystko prokurator rozsiadł się wygodniej, żeby posłuchać, w czym rzecz.

Jared zaczął tłumaczyć, czym jest strona Silk Road oraz jak działa, a jednocześnie po kolei wykladał na stół koperty z pojemnika, jakby rozdawał karty w kasynie.

– W tej – powiedział, wskazując na jedną z kopert – było LSD. – Schylił się i wyjął kolejną. – W tej amfetamina. – I kolejną. – W tej kokaina... Ketamina... Heroina... – Później z pojemnika wyciągnął białą kopertę z chicagowskim adresem. – A tu – pogrzebał w plecaku, żeby wyjąć z niego teczkę z aktami sprawy Silk Road, po czym położył na biurku zdjęcie maleńkiej różowej pastylki – była tabletką MDMA.

Od czerwca, kiedy znalazł tamtą pierwszą tabletkę ekstazy w kopercie z Holandii, Jared zastanawiał się, jak przekonać swojego przełożonego, a teraz prokuratora federalnego, by pozwolili mu rozpocząć śledztwo w sprawie strony Silk Road. Przez ostatnie kilka miesięcy wszystko prowadziło do tej właśnie chwili.

Po tym, jak jego przełożony w HSI wyraził zgodę na zajmowanie się Silk Road w ramach pobocznego projektu, Jared zaczął obsesyjnie zbierać wszystkie skrawki dowodów, jakie przechodziły przez lotnisko Chicago O'Hare. Co wieczór jeździł swoim starym autem służbowym (które inni agenci nazywali Zbokowozem, bo wyglądał jak samochód pedofila) do centrum pocztowego na lotnisku i zbierał koperty z narkotykami wyłowione w ciągu dnia spośród przesyłek.

– Chcę, żebyś zatrzymywał i odkładał każdą taką kopertę – powiedział do Mike’a, celnika, który znalazł pierwszą różową pigułkę.

– Po co ci one? – zapytał tamten, zdumiony tą prośbą. – Małe paczki z narkotykami nigdy nikogo nie interesują.

– Pracuję nad czymś – odparł Jared. – Zbieraj je, wkładaj do worków na dowody, a ja będę je od ciebie odbierał.

Po publikacji artykułu na Gawkerze liczba przechwyceń gwałtownie wzrosła. Jared zbierał z kolei więcej kopert i jego gabinet w HSI sam zaczął przypominać kancelarię pocztową. Na podłodze za biurkiem leżała już ponad setka kopert, starannie ułożonych w trzech pojemnikach, a ich wybór Jared prezentował teraz federalnemu prokuratorowi śledczemu.

– To nie może być takie łatwe – stwierdził prokurator, z powątpiewaniem podchodząc do słów agenta oraz fotografii na jego laptopie. A zresztą nawet gdyby było takie łatwe, chodziło o niewielkie ilości narkotyków, nie był więc przekonany, czy to naprawdę najważniejsza sprawa, jaką powinno się zajmować jego biuro.

– Tu nie chodzi o narkotyki – odparł z zapalem Jared. – Tu nie chodzi o jedną pigułkę. – Ćwiczył tę przemowę tygodniami, dlatego zrobił głęboki wdech i mówił dalej: – Chodzi o całą stronę internetową i o to, co sobą reprezentuje. O to, że jej użytkownicy wykorzystują nasz internet, zbudowany przez rząd Stanów Zjednoczonych, utrzymują anonimowy serwer, również stworzony przez rząd Stanów Zjednoczonych, i posługują się systemem pocztowym Stanów Zjednoczonych do tego, aby unikać przestrzegania praw naszego kraju. A my nie możemy ich nijak powstrzymać.

Gdy te słowa wybrzmiały, w gabinecie zapadła cisza.

– To dopiero początek – kontynuował Jared. – Teraz są tam narkotyki, ale w następnej kolejności może się pojawić terroryzm. Proszę sobie wyobrazić najgorszy scenariusz, w którym grupa w stylu Al-Kaidy wykorzystuje tę stronę albo jej dokładną kopię, żeby skoordynować atak na Amerykę, wszystko przy użyciu narzędzi stworzonych przez Stany Zjednoczone.

Jego argument był prosty. Sklep Silk Road to nie tylko elektroniczny kartel narkotykowy. To wielce lukratywny start-up oferujący wiele możliwości. Amazon zaczynał jako wirtualna księgarnia, zanim zmienił się w supermarket z najróżniejszymi produktami. Natomiast Google, który na początku był wyszukiwarką internetową, teraz próbował konstruować samochody, które

prowadzą się same. Jared powtórzył, że nie chodzi o to, czym Silk Road jest teraz, ale czym może stać się w przyszłości. Stronę najwyraźniej prowadził jakiś geniusz, który technologię i politykę rozumiał równie dobrze jak swoich odbiorców. I kimkolwiek była ta osoba, należało ją powstrzymać, zanim strona zmieni się w ruch, którego później nie da się powstrzymać.

Przedstawiony przez Jareda obraz napęłniał prokuratora panicznym strachem. Jared przyszedł go ostrzec, że tak samo jak porywacze, którzy zaatakowali World Trade Center przy użyciu amerykańskich samolotów, ludzie odpowiedzialni za stronę Silk Road mogli zniszczyć fundamenty Ameryki, korzystając z narzędzi stworzonych w Stanach. Konsekwencje tej wizji były przerażające.

Prokurator przerwał mu w pół zdania:

– Dobrze – powiedział, zerkając na koperty na stole, a potem na Jareda. – Tak, przydzielimy kogoś do pańskiej sprawy.

Z Austin do Australii

„Sprzedaję swojego pikapa – oznajmił Ross wszystkim znajomym na Facebooku. – Czekam na oferty!”

Austin spowiła jesień, rok 2011 zbliżał się do końca, a Ross miał tylko dwa tygodnie, żeby spakować swoje życie do pudeł, sprzedać niepotrzebne rzeczy, a potem wyjechać z miasta.

Pitolona Erica. Gdyby nie umieściła na Facebooku tej złośliwej wiadomości, że Ross jest bossem narkotykowym, baronem albo kimś w tym stylu, aż tak by mu się nie śpieszyło do wyjazdu z kraju. Na kilka tygodni przed zdarzeniem, które zapoczątkowało cały ten chaos, chodziło mu po głowie, by odwiedzić siostrę Cally w Australii, spędzić tam trochę czasu, odpocząć od Julii oraz swoich bliskich i przyjaciół w Teksasie. Teraz jednak podróż okazała się koniecznością, i to rychłą.

Ross był niemal pewien, że w porę skasował przerażający wpis Eriki, ale jeśli tak się nie stało i ktoś go przeczytał, groziły mu kłopoty, z jakimi nie byłby w stanie sobie poradzić. Ponadto nie wiedział, czy po tym facebookowym wyskoku dziewczyna po raz kolejny nie da o sobie znać. Gdyby rzeczywiście była mściwa, z łatwością mogłaby pójść krok dalej i powiadomić FBI lub DEA, albo wręcz tych senatorów, którzy przed kilkoma miesiącami wzięli Silk Road na celownik.

Jedno było pewne: Ross nie chciał ryzykować. Błyskawicznie podjął najważniejsze decyzje, żeby jak najszybciej uciec z Austin do Australii.

Pikapa sprzedał prędko. Rzeczy osobiste rozdał. Inne poupychał do kartonów i schował pod łóżkiem w domu rodziców, obok pudełka z figurkami z *Dungeons & Dragons*, które malował w dzieciństwie. Spakował kilka rzeczy potrzebnych na co dzień, między innymi szary T-shirt z dekoltem w szpic, jedyną parę dżinsów oraz, co najważniejsze, swojego laptopa.

Podjeźrzliwie patrzył na otoczenie. Zaczynała go ogarniać paranoja. Czy poluje na niego DEA albo FBI? Czy tamten facet to policjant? A tamta kobieta? Czy wszyscy znają jego tajemnicę? Najbardziej stresował się jednak, gdy myślał o tych osobach, którym powiedział o Silk Road. Nie chodziło o to, że mówiąc im o stronie, postąpił głupio czy naiwnie. Po prostu wtedy jeszcze nie mógł przypuszczać, że serwis tak bardzo się rozrośnie. W dniu uruchomienia strony wyobrażał sobie, że na jego internetowym targowisku będzie robić zakupy kilkadziesiąt osób. Szybko zrobiło się z tego kilka tysięcy. Teraz, gdy był poszukiwany przez dziennikarzy, senatorów i nie wiadomo ilu stróżów porządku, musiał się wycofać.

Kilka dni przed odlotem do Australii, gdy był już spakowany, a paszport i laptopa miał na podorędziu, wybrał się do domu swojego przyjaciela Richarda Batesa i zapukał do drzwi. Richard w zasadzie przestał mu pomagać w kwestiach programistycznych, ponieważ przerażały go popularność strony i zainteresowanie mediów. Wciąż jednak był oprócz Julii jedyną osobą, która znała prawdziwą tożsamość twórcy Silk Road. Ross musiał załatwić tę sprawę, zanim dowie się ktoś jeszcze.

Był wczesny wieczór 11 listopada 2011 roku. Richard jako nerd od tygodni planował imprezę dla uczczenia matematycznej anomalii 11.11.11, kiedy to pełna data ułoży się w ciąg jedenastek. Ross przyjechał przed jej rozpoczęciem. Zastukał dosyć gwałtownie.

– Muszę z tobą o czymś porozmawiać – oznajmił.

Weszli do surowego, niemal szpitalnie czystego mieszkania Richarda. Nieskazitelną biel mąciły tylko nieliczne dekoracje związane z wieczornymi obchodami.

– Czy powiedziałaś komuś o... no, wiesz... moim zaangażowaniu w Silk Road?

Richard, jak zwykle nieśmiałym szeptem, wyjaśnił nerwowo, że już prawie komuś powiedział, ale się powstrzymał, czyli krótko mówiąc: nie. Nikt inny o tym nie wiedział.

Ross wyjaśnił, że na Facebooku ktoś opublikował wpis o prowadzonej przez niego stronie z narkotykami, która z pewnością zainteresowałaby władze. Słyszając to, jego przyjaciel poczuł znajomy strach. Na pewno mógłby zostać oskarżony o współudział, skoro pomógł Rossowi stworzyć tę stronę i wiedział, kto za nią odpowiada. Słabowity Richard mógł trafić na całe życie do więzienia,

podobnie jak sam Ross. A jeśli Richard do czegoś z całą pewnością się nie nadawał, to do życia za kratkami.

– Musisz zamknąć stronę – powiedział błagalnym tonem. – Nie warto za nią iść do więzienia.

Ross przewidział taką odpowiedź.

– Nie mogę jej zamknąć – odparł.

– Dlaczego?

– Dlatego – rzekł z powagą – że komuś ją oddałem.

CZĘŚĆ II

Jutro Carla Force'a

Większość ludzi idzie przez życie z myślą, że jutro dokonają czegoś wielkiego. Jutro będzie ten dzień, kiedy wstaną rano i zrozumieją, po co przyszli na świat. Potem jednak jutro przychodzi – i mija. Podobnie jak pojutrze. Wkrótce uświadamiamy sobie, że tych dni jutrzejszych nie zostało nam już wiele.

Carl Force dobrze znał to uczucie. Nie przypuszczał, że tak to się skończy, że wyląduje w bladofioletowym boksie niewyróżniającego się biurowca w centrum Baltimore i będzie się gapił w ekran komputera aż do chwili, gdy przyjdzie pora zebrać swoje rzeczy i wyjść. Kolejny dzień, kolejne jutro.

Carl był kimś, kogo w organach ścigania nazywa się „agentem słonecznym”, czyli pracującym tylko wtedy, gdy na dworze jest jasno. (Sam często mówił o sobie w ten sposób, trochę żartem, a trochę z dumą). Kiedy zegar wybijał piętnastą, wymykał się z biura i służbowym chevroletem impala wracał na drugą stronę miasta do żony i dzieci.

Każdemu, kto przechodził obok jego boksu, Carl kojarzył się z człowiekiem z ulicy, dilerem narkotyków. Na łysej głowie prawie zawsze nosił czarną wełnianą czapkę. Miał ciemne, zapadnięte oczy, a szpakowaty zarost skrywał zmarszczki na jego nalanej twarzy. Do tego na całym ciele miał tatuaże, w tym czarny celtycki tribal, który wił się po plecach i ramionach.

Tak jak większość weteranów Agencji do Walki z Narkotykami Carl miał czterdzieści parę lat i był zblazowany. Owszem, pracował jako gliniarz od narkotyków, ale jego robota była równie prozaiczna jak każdego pracownika w korpo. Większość czasu spędzał przy biurku wpatrzony w ekran komputera, sącząc wystygłą kawę z jednego z promocyjnych kubków, które na przestrzeni lat przywoził z konferencji DEA. Czasem słuchał Hope 89,1, miejscowej chrześcijańskiej radiostacji, która sączyła mu do ucha Modlitwę Pańską i obietnicę, że jeśli będzie wypełniał nakazy Biblii i postępował właściwie, otrzyma życie, jakiego zawsze pragnął.

Nie zawsze tak to wyglądało. Kiedy trzynaście lat wcześniej, pod koniec 1999 roku, wstąpił do Agencji, była ona całym jego życiem – kiedy jadł, spał i srał. Na samym początku absolutnie uwielbiał dreszczyk towarzyszący nalotom: pobudkę o czwartej nad ranem, wkładanie kamizelki kuloodpornej, sprawdzanie komory broni, a potem wyważanie drzwi kopniakiem i wydzieranie się na grubych dilerów i nic nieznaczących ćpunów: „Nie ruszać się!” oraz „Wszyscy, kurwa, na ziemię!”.

Bardziej ekscytującą pracę trudno było sobie wymarzyć. Z czasem jednak wczesne pobudki zaczęły męczyć. Wyważanie drzwi z kopa już tak nie podniecało. A gdy jeden diler trafiał do więzienia, jego miejsce na ulicy zajmował kolejny.

Przemiana z lekkomyślnego żółtodzioba w zblazowanego weterana przebiegała powoli. Z początku Carl nie potrafił samodzielnie znajdować dobrych spraw. Potem z trudem przychodziły mu zatrzymania. Dochodziła do tego duża presja związana z pracą tajniaka, w której trzeba kogoś złapać, zanim on złapie ciebie. Do upadku przyczyniło się również to, że potajemnie sam zaczął nadużywać. W końcu nie wytrzymał stresu i jako agent został zatrzymany za jazdę po pijanemu, co cztery lata później doprowadziło go do załamania nerwowego. Niewiele brakowało, a straciłby wszystko: rodzinę, pracę, kota. Wtedy jednak zainterweniował Bóg i Carl dostał szansę na odkupienie, czyli tę biurową posadę agenta słonecznego. Od tamtej pory do jego boksu nie trafiało zbyt wiele ciekawych propozycji.

Pewnego dnia pod koniec stycznia 2012 roku miało się to jednak zmienić.

Carl siedział za biurkiem, czekając, aż minie kolejny dzień, gdy nagle jego przełożony Nick zawołał go do swojego gabinetu. Takie chwile zdarzały się często: krzyk Nicka i polecenie przyjęcia jakichś spraw, które większość agentów uważała za niedorzeczne. Należały do nich regularne przydziały „wyskoków”, jak nazywano jazdę po Baltimore zakończoną zatrzymaniem się na którymś rogu, by wyskoczyć z samochodu i złapać pomniejszych dilerów. Większość agentów uważała to za żalosny sposób walki z problemem narkotykowym, w przeciwieństwie do polowania na dużych bossów, które faktycznie mogło coś zmienić.

Kiedy jednak Nick wołał, to szedłeś. W jego gabinecie jak zwykle panował mrok. Choć przełożony Carla miał to szczęście, że przypadło mu okno ze skromnym widokiem na nagie, zamarznięte teraz Baltimore, rolety miał zawsze

opuszczone, tak że nie wpadał tam nawet najmniejszy promień światła. Mrok potęgowały plakaty Iron Maiden i Metalliki, którymi Nick obwiesił ściany.

– No więc – odezwał się szef do Carla – właśnie miałem telefon na temat Silk Road.

Carl się ożywił. Usłyszał o tej dziwnej stronie internetowej miesiąc wcześniej na spotkaniu funkcjonariuszy organów ścigania, kiedy śledczy z U.S. Postal Service (amerykańska agencja pocztowa) wygłosił na ten temat krótką pogadankę. Opowiedział o nowym zjawisku, które rozpleniło się w węzłach pocztowych w całym kraju. Polegało na tym, że wielu ludzi przesyłało sobie niewielkie ilości narkotyków. Jak wyjaśnił inspektor, punkt łączący dilerów i nabywców nosił nazwę Jedwabnego Szlaku.

Zaintrygowany jego słowami Carl sprawdził to później w internecie i przeczytał kilka artykułów, między innymi ten Adriana Chena na Gawkerze. Zastanawiał się nad konsekwencjami tego procederu, które były olbrzymie. Uważał, że w internecie nie da się robić takich wyskoków jak na ulicy. Ponieważ jednak zupełnie nie znał się na informatyce śledczej, nigdy nie przyszło mu do głowy, że mogliby go przydzielić do tej sprawy. Aż do chwili, kiedy Nick wezwał go do gabinetu i zapytał, czy chce wesprzeć grupę agentów HSI Baltimore.

– Znaleźli informatora, który mówi, że może ich doprowadzić do właściciela strony – wyjaśnił szef.

Gdy Carl zapytał, czemu zawdzięcza propozycję przyłączenia się do śledztwa, Nick wyjaśnił, że grupa HSI w Baltimore nie jest zespołem antynarkotykowym i zwykle zajmuje się tropieniem podrabianych produktów, czyli, jak się wyraził, „fałszywych torebek Louis Vuittona i tego typu gówien”. Dlatego jeśli zespół z Baltimore chciał się zająć narkotykami, potrzebował w składzie kogoś z DEA.

– Wchodzisz w to? – spytał Nick.

Carl zastanowił się przez moment. Znalazł się na takim etapie kariery, że spokojnie mógłby powiedzieć: „Nie jestem zainteresowany”, wyjść z ciemnego gabinetu Nicka i żyć dalej jako agent słoneczny, trenować drużynę futbolową syna, w weekendy chodzić z żoną i dziećmi do kościoła i być może któregoś dnia uświadomić sobie, że jego jutrem jest rodzina. Lub też mógł się włączyć do tego śledztwa i być może – kto wie? – wyrobić sobie nazwisko w DEA.

– Jasne – powiedział. Zgodził się wziąć tę sprawę.

Wyszedł z gabinetu przełożonego, nie wiedząc, że to jedno słowo pchnie go w mroczny i chciwy podziemny świat, który wciągnie go bez reszty, a pokusy Jedwabnego Szlaku sprawią, że straci wszystko, co dla niego ważne.

Variety Jones i Wąż

Ross przebywał w Australii dopiero od kilku tygodni, kiedy pewnego dnia zbudził się z dziwnego snu. Stał w nim oko w oko z olbrzymią trzydziestometrową stonogą o ciemnych oczach i potężnych ruchliwych nogach. W tle majaczył wąż, jeszcze większy i bardziej złowieszczy niż stonoga, wijący się w ciemności.

Ross nie wiedział, co to oznaczało ani dlaczego we śnie nie bał się tych groźnych stworzeń. Nie wydawały mu się ani trochę złe. Albo może takie były, ale on nie dostrzegał ich prawdziwej natury. W miarę upływu dnia nie potrafił się jednak pozbyć myśli o oślizgłych istotach, aż w końcu opowiedział o śnie na Facebooku, ciekaw, co on może znaczyć.

Być może jego podświadomość po prostu odreagowywała wyzwania, jakie przez ostatnie miesiące rzucała mu rzeczywistość. W Teksasie był zupełnie wycieńczony z powodu podwójnej presji wynikającej z prowadzenia strony Silk Road i utrzymywania tego projektu w tajemnicy. W najtrudniejszych momentach zastanawiał się nawet, czy nie powinien porzucić tego biznesu, po prostu z niego zrezygnować. Odkąd jednak przeprowadził się do Sydney, żeby być bliżej siostry, życie Ulbrichta znacznie się poprawiło. Narastający niepokój Teksasu ustąpił miejsca błogiemu spokojowi Antypodów. Teraz Ross całymi dniami surfował na złotych plażach, pił z nowymi kumplami piwo w tiki barach, z powodzeniem flirtował z dziewczynami, a pomiędzy tymi towarzyskimi aktywnościami pracował przy stronie Silk Road.

Jednak nawet uroki plaży Bondi, przy której mieszkał, nie były w stanie całkowicie wyciszyć strachu związanego z prowadzeniem start-upu, który trudnił się międzynarodowym handlem narkotykami. W szczególności Ross nie mógł się do końca pogodzić z faktem, że oprócz Eriki, której słowa zawsze mógł zbagatelizować jako pogłoski, dwoje ludzi – Julia i jego stary przyjaciel Richard – z całą pewnością wiedziało, że to on stworzył Silk Road. Na potrzeby

Richarda ułożył historię o oddaniu strony komuś innemu. Pozostawała jeszcze Julia. Bez względu na to, co by zmyślił, i tak oboje wiedzieli, że autorem strony jest on. Choć pod wieloma względami był geniuszem, nie miał pojęcia, w jaki sposób posprzątać ten bałagan.

Na szczęście w jego życiu miał na dobre zagościć ktoś, kto dokładnie wiedział, jak rozwiązywać takie problemy, a także jak radzić sobie z wieloma innymi znaczącymi przeszkodami, które hamowały rozwój Silk Road.

Poprzez stronę Ross codziennie miał kontakt z dziesiątkami różnych ludzi: sprzedawcami, kupującymi oraz kilkorgiem libertariańskich pracowników, którzy w niepełnym wymiarze godzin pomagali w razie różnych kłopotów programistycznych. Wszyscy oni posługiwali się ksywami mającymi ukryć ich tożsamość, takimi jak SameSameButDifferent, NomadBloodbath czy SumYunGai. (Ross używał po prostu pseudonimów Silk Road lub Admin). Jedną z osób, z którymi Ross ostatnio zaczął rozmawiać, posługująca się pseudonimem Variety Jones, niemal od razu wydała mu się inna niż wszyscy.

Sprzedawał nasiona marihuany, ale nie był pierwszym lepszym dilerem. On (przy założeniu, że był to mężczyzna) był istnym sommelierem, kimś, kto potrafi określić rodzaj nasion i ich szczep na podstawie samego tylko zdjęcia. Na dodatek, w przeciwieństwie do hord niecierpliwych, nachalnych dilerów na stronie, Variety Jones, czyli VJ, jak go nazywano na forach, był sprytny i inteligentny. Wiedział wszystko o wszystkich, na stronie i poza nią – również o jej założycielu.

Zaledwie dwa dni po śnie o stonodze i wężu Ross zaczął rozmawiać z VJ-em przez TorChata, komunikator gwarantujący użytkownikom anonimowość. „Chcę z tobą pogadać o sprawach związanych z bezpieczeństwem – napisał Variety Jones w jednej z pierwszych wiadomości. – O bardzo wielu sprawach związanych z bezpieczeństwem”.

Ross był tym bardzo zainteresowany, bo świetnie już zdawał sobie sprawę z tego, że szukają go nie tylko amerykańskie służby, lecz zapewne również władze dziesiątek innych krajów. Ponieważ strona przynosiła realne zyski, a jej właściciel tygodniowo zarabiał dziesiątki tysięcy dolarów na handlu narkotykami i bronią, wkrótce do polowania na pewno mieli dołączyć kolejni. Jedynym sposobem na ukrycie się przed policją było wyposażenie strony w lepsze zabezpieczenia. Owszem, Ross był zdolnym koderem, po

donkiszotowsku patrzącym w przyszłość, ale wiedział lepiej niż ktokolwiek, że precyzyjne zabezpieczenie strony go przerasta.

Im więcej rozmawiał z Variety Jonesem, tym bardziej się przekonywał, że doskonale się uzupełniają – VJ był specjalistą dokładnie w tych dziedzinach, w których Ross radził sobie najslabiej. Co być może najważniejsze, Jones szybko udowodnił, że byłby doskonałym adiutantem – przysłowiowym złym gliną u życzliwego szefa. „Nikommu, kto choć trochę mnie zna, nie przyszłoby do głowy mi podpaść – ostrzegł Ulbrichta VJ. – A gdyby komuś przyszło, to zaraz dzwoniłby z przeprosinami”.

Variety Jones przedstawił się jako czterdziestopięcioletni Kanadyjczyk mieszkający obecnie w Anglii, a z odpowiedzi na pytania Rossa dotyczące programowania jednoznacznie wynikało, że wie, co robi. Powiedział, że kilka miesięcy wcześniej, wkrótce po publikacji artykułu na Gawkerze, wraz z drugą osobą znaleźli sposób, aby wejść na serwery Silk Road. Pewnej nocy, niczym włamywacze, którzy dostają się do czyjegoś domu tylko po to, żeby się rozejrzeć, poszperali w plikach strony i upewnili się, że nie prowadzą jej władze. (Oczywiście po tej wiadomości Ross o mało nie zesrał się ze strachu. Kto jeszcze mógł tam buszować?)

Gdy VJ nabrał przekonania, że twórca Silk Road nie jest tajnym agentem DEA czekającym na to, aby aresztować biednych, niczego niepodejrzewających obywateli, a do tego naprawdę chce zakończyć wojnę z narkotykami, postanowił go wesprzeć. (Bądź co bądź gdyby strona się rozrosła, sam VJ mógł zarabiać więcej, sprzedając więcej narkotyków). Zatem był dostępny, chętny, aby służyć radą.

Najpierw jednak pragnął się upewnić, że twórca strony zdaje sobie sprawę ze stawki, o jaką toczy się gra. „Nie chcę cię dołować ani nic – napisał do Rossa – ale musisz rozumieć, że to, co robimy, podpada pod amerykańską ustawę o baronach narkotykowych. Grozi za to kara śmierci [...], minimum to dożywocie”.

Ross wiedział o tym jak nikt inny. Czuł jednak, że to, co robi, naprawdę zmieni świat i wyzwoli ludzi. Z tego powodu perspektywa spędzenia życia w więzieniu albo wyzionięcia ducha na krześle elektrycznym nie wystarczała, żeby go zniechęcić. „Gaz do dechy i gramy o wszystko, przyjacielu” – odpowiedział, pokazując, że konsekwencje zupełnie go nie zrażają.

Kiedy to już sobie wyjaśnili, przeszli do kolejnej fazy współpracy. VJ zaczął robić Rossowi mowy motywacyjne.

„Przypomnij sobie magazyn Life – pisał. – Odniósł tak wielki sukces, że musieli go zamknąć”. Według VJ-a koszt druku tego atrakcyjnego powojennego czasopisma z fotografiami przekraczał jego cenę kioskową, dlatego im więcej ludzi kupowało „Life’a”, tym mniej zarabiali jego właściciele. Aż w końcu popularność pisma stała się tak duża, że „zbankrutowało od sukcesu”. Variety Jones ostrzegał, że to samo może spotkać Silk Road, jeśli założyciel w miarę rozrastania się strony nie zadba o koszty serwerów i zatrudnianie właściwych ludzi.

Ross z zachwytem czytał te słowa. Do tej pory, prowadząc stronę, czuł się zupełnie sam, nie miał z kim omówić wątpliwości kołających mu się w głowie. Teraz zaś pojawił się człowiek z odpowiedziami na pytania, których Ross nigdy nikomu nie zadał. „Powiedz mi więcej” – poprosił VJ-a.

Wkrótce zaczął korzystać z najróżniejszych jego rad. Wysyłał pytania do nowego przyjaciela, siedząc w swoim mieszkaniu w Sydney albo pobliskiej kawiarni, i chłonał wszystko, co Variety Jones miał mu do zaoferowania. Nie rozmawiali już co kilka dni, ale co kilka godzin, a w końcu – co kilka minut. Każda taka wymiana zdań stanowiła dla Rossa konstruktywną lekcję, czy to na temat ustawiania plików konfiguracyjnych bitcoina na serwerze, zarządzania zwaśnionymi frakcjami dilerów na stronie, czy to zrozumienia, jak jest postrzegany przez przeciętnych użytkowników strony.

Relacja między Ulbrichtem a Jonesem miała jednak podłoże osobiste. Największą wartość miała rola VJ-a jako kogoś w rodzaju executive coacha – mentora pomagającego młodemu założycielowi przezwyciężyć problemy, które dotyczą każdego twórcę start-upu. Variety Jones był dla Rossa kimś takim jak Bill Campbell, który pomagał twórcom Twittera i Google’a, czy Marc Andreessen doradzający Markowi Zuckerbergowi z Facebooka.

„Jakie są moje mocne strony?” – zapytał Ross pewnego popołudnia, licząc na to, że nowy powiernik pokaże mu lustro, w którym założyciel Silk Road ujrzy swój prawdziwy wizerunek.

„Nie odsłaniasz kart – odparł VJ. – Naprawdę rozumiesz, że to już nie zabawa, że stworzyłeś poważną działalność, która oznacza egzystowanie na granicy życia i śmierci”. Następnie wymienił kilka zalet szefa witryny, między

innymi to, że widać, że jest dobrze wykształcony, a wiele osób na stronie widzi w nim Steve'a Jobsa internetowego świata narkotyków.

„Super” – odpisał Ross. Następnie zadał delikatniejsze pytanie: „A jakie mam słabości?”.

Variety Jones nie wahał się ani chwili. „Nie potrafisz odróżnić zaskrońca od żmii – stwierdził. – I masz rażące braki w wiedzy na temat bezpieczeństwa”.

„Czekaj – przerwał mu Ross. – O co chodzi w tej metaforze z węzami?”

„O rozpoznawanie, kiedy coś jest niebezpieczne, choć wydaje ci się niegroźne”.

To była istotna uwaga, która tylko spotęgowała u Rossa głód odpowiedzi. W tej znaczącej chwili, gdy za oknem słyszał szum fal na plaży Bondi i czuł łagodne australijskie powietrze, pewne palące pytanie wciąż pozostało niezadane. Czy Variety Jones, jego nowy przyjaciel, to niewyczerpane źródło mądrości, rzekomy geniusz w dziedzinie cyberbezpieczeństwa, sugerował, że nie tylko chce pomóc Rossowi, ale realizuje jakiś szerzej zakrojony plan? Jeśli było to ostrzeżenie, założyciel Silk Road okazał się zbyt pochłonięty rozmową, żeby zwrócić na nie uwagę. Nie zastanowił się nad tym, którym z dwóch węży może być Variety Jones: niegroźnym zaskrońcem czy gigantycznym jadowitym demonem.

„Powiedz mi więcej – odpisał zamiast tego. – Powiedz mi więcej”.

Jared idzie na zakupy

Na dworze wciąż jeszcze było ciemno, kiedy Jared otworzył oczy i wyjrzał przez okno w salonie. Otumaniony, dopiero po kilku sekundach zrozumiał, że znowu zasnął na kanapie w ubraniu przed migoczącym telewizorem. Wrócił z pracy o północy, a odpłynął pewnie koło drugiej, oglądając swój ulubiony program *Antiques Roadshow*. Ponieważ teraz była szósta, udało mu się przespać – trzecia, czwarta, piąta... – chyba całe cztery godziny. Dla niego to właściwie rekord.

Co noc nie pozwalała mu zasnąć jego obsesja: strona Silk Road. Usiłował rozwiązać tę sprawę samodzielnie, ale grzązł w gąszczu formalistycznego szczegółarstwa i kiepskich pomysłów. Każdy obierany kierunek był blokowany przez biurokrację. Szefowie, szefowie szefów oraz ludzie, o których istnieniu w administracji Jared dotąd nawet nie wiedział, zaczęli wypytywać, co robi ten agent żółtodziób i dlaczego. Czy agent HSI naprawdę powinien zajmować się stroną internetową handlującą pojedynczymi paczkami narkotyków? Czy temu dzieciakowi nie należałoby dać czegoś ważniejszego do roboty? Za kogo on się, kurwa, uważa?

Śledztwo okazało się olbrzymim ciężarem, praca odciskała piętno na małżeństwie agenta i łatwo było zrozumieć narastającą frustrację jego żony Kim, która miała pretensje, że Jared spędza mniej czasu w domu niż poza nim. Na dodatek wszystkie te godziny niewiele dawały. Wciąż nie miał żadnych tropów i nie wiedział, jak ugryźć kwestię strony zapewniającej użytkownikom anonimowość. Na szczęście wkrótce miało się to zmienić.

Jared tygodniami obmyślał plan działania. Wiedział, że ze względu na zabezpieczenia przeglądarki Tor nie znajdzie szefa strony – albo szefów, bo dopuszczał też i tę opcję. Jednakże orientował się również, jak działa każda siatka przestępcza, i rozumiał, że jeśli zacznie na samym dole, z czasem dotrze

wyżej. W tym przypadku oznaczało to, że musiał kupować narkotyki. Dużo narkotyków.

Nie spodziewał się, jak trudny okaże się zakup dragów w internecie. Nie dlatego, że na Silk Road był problem ze zdobyciem heroiny czy cracku (przeciwnie, było to szokująco łatwe), ale do tej pory w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego nikt jeszcze tego nie robił. Inaczej niż w przypadku zatrzymania kontrabandy w porcie albo zorganizowania kontrolowanego zakupu, by zgarnąć kogoś na ulicy, handel narkotykami w internecie przypominał istny Dziki Zachód, w którym nie przewidziano żadnych protokołów. Potrzeba było zgód na iluś szczeblach, wielu spotkań i olbrzymiej ilości papierkowej roboty, zanim Jaredowi w końcu pozwolono wpaść w szal zakupów na Amazonie z dragami.

Do tego dochodziło wyzwanie w postaci nabycia bitcoinów. Na zakupy przyznano mu 1001 dolarów. Wziął tę gotówkę, wpłacił ją do banku, a potem znalazł internetowy kantor bitcoinów, żeby wymienić dolary na kryptowalutę. Było to trudniejsze niż kupno narkotyków za gotówkę na ulicy albo znalezienie używanego roweru na Craigsliście, ale mimo wszystko zaskakująco bezbolesne, zważywszy na to, co nabywał.

Podczas debiutanckiej wyprawy Jedwabnym Szlakiem Jaredowi przyświecały trzy cele. Pierwszym było dotarcie przez towar do samych dilerów. Drugim – powiązanie ogłoszeń na stronie z konkretnymi narkotykami i opakowaniami, tak by stworzyć profil dotyczący wyglądu przesyłek z serwisu Silk Road, podobnie jak zrobił to z khatem, kiedy pracował w Urzędzie Celnym i Ochrony Granic. Wreszcie zaś chciał przeprowadzić drobny, ale ważny test.

Wiedział, że pracownicy poczty w różnych węzłach na terenie Stanów Zjednoczonych znajdują narkotyki, ale – i było to duże „ale” – nikt nie miał pojęcia, jaki odsetek takich przesyłek pozostaje niezauważony, czyli ile tabletek i woreczków z proszkiem przechodzi urzędnikom koło nosa. Równie dobrze transakcje na stronie Silk Road mogły opiewać na parę tysięcy dolarów rocznie albo na miliony miesięcznie. Nikt nie znał prawdziwej liczby. Jared miał jednak pomysł, jak to ustalić.

Zaczął od wypełnienia koszyka na stronie. Nabył kilka tabletek ekstazy, trochę herbatki z nasion maku, syntetycznej marihuany i różne stymulanty z wielu krajów świata. W sumie kupił towar od osiemnastu dilerów i podał adres tajnej skrytki pocztowej na lotnisku O'Hare.

Oprócz Mike'a, który znalazł tamtą pierwszą jaskraworóżową pigułkę, oraz kilku wyżej postawionych osób z HSI nikt nie wiedział o jego zamówieniach – ani o tym, że przyjdą one właśnie tego ranka w połowie stycznia 2012 roku.

Kiedy Jared podniósł się z kanapy i przetarł zaspane oczy, jedenaście kilometrów nad nim w międzynarodowym porcie lotniczym Chicago O'Hare szykowało się do lądowania samolot niosący kilka kopert mających znaleźć się w tajnej skrytce. Mimo zmęczenia Jared był pełen energii. Właśnie takiej pracy pragnął – zajęcia, które coś znaczyło. Przez lata czuł się dokładnie jak tamta różowa pigułka: maleńka kropla w wielkim oceanie. Teraz dostał szansę, by mieć wpływ na rzeczywistość. Może nawet żeby wyrobić sobie nazwisko. Stoczył się z kanapy i ospale powlókł na piętro, by pomóc żonie przygotować ich synka Tyrusa do żłobka. Były pocałunki na do widzenia, Tyrus trochę chichotał, a potem Jared wsiadł do Zbokowozu i pojechał do pracy.

Dzień zaczął się jak każdy inny: w HSI Jared zajmował się różnymi sprawami, a potem z nastaniem zmroku wracał na lotnisko szukać narkotyków. Wieczorem chwycił mróz. Jared czuł to, gdy szedł do kolosalnego centrum pocztowego na skraju lotniska, brnął po zmrożonej ziemi do tylnego wejścia i wkraczał do krainy lamp halogenowych.

W pokoju zatrzymań czekał na niego rozradowany Mike. Miał niespodziankę: dwie białe koperty formatu dziesięć na dwadzieścia centymetrów z adresem skrytki Jareda, pochodzące od tego samego diler.

– Znalazłem twoje dragi! – oznajmił z dumą.

To jednak była jedyna przesyłka, którą namierzył, zarówno tego wieczoru, jak i w kolejnych dniach. Z osiemnastu zamówień, jakie Jared złożył na Silk Road, jedna paczka zaginęła po drodze, a szesnaście pozostałych dotarło do skrytki niezauważonych przez nikogo we władzach federalnych. Nie wróżyło to dobrze nowej wojnie z narkotykami.

Tego wieczoru Jared, Mike i jeszcze jeden pracownik wzięli dostarczone dragi, wdziali niebieskie gumowe rękawice ochronne, rozłożyli opakowania i zawartość na stole konferencyjnym w centrum pocztowym, a potem robili zdjęcia, opisywali, co znaleźli, i rejestrowali każdy banalny szczegół jako element materiału dowodowego.

Koło północy Jared ruszył w godzinną drogę powrotną do domu, a kiedy dotarł na kanapę, przed telewizor z programem *Antiques Roadshow*, miał

w głowie tylko jedno pytanie: kim są szefowie Silk Road i co może zrobić, żeby ich złapać?

Straszny Pirat Roberts

Przed Rossem z każdej strony wybuchały fajerwerki, a z góry towarzyszył im potężny huk. Bum! Bum! Bum! Od tafli jeziora odbijały się odcienie czerwieni, zieleni i różu. Mężczyzna patrzył na to zachwycony, przytulając się do swojej nowej przyjaciółki Laury i do siostry, żeby się ogrzać. Wylądował w Wietnamie parę dni wcześniej, uprzednio spędziwszy noc na ławce na lotnisku w Singapurze – co bardziej pasowałoby do dawnego Rossa od programu *The Amazing Race* niż do milionera, którym wkrótce miał się stać. Wartość sprzedaży narkotyków na stronie Silk Road, uruchomionej zaledwie przed rokiem, właśnie przekroczyła próg pół miliona dolarów miesięcznie, co z kolei miało się przełożyć na setki tysięcy dolarów prowizji trafiających wprost do kieszeni właściciela. Mimo to Ross nie uważał pieniędzy za coś, co należy ostentacyjnie wydawać, dlatego po wylądowaniu w Hanoi ten amerykański baron zameldował się w hostelu i z radością odkrył, że zdążył w samą porę na obchody Nowego Roku Księżycowego i cudowny pokaz fajerwerków.

Nowy Rok Księżycowy stanowił dla niego idealny moment iluminacji. Był znakiem nowego początku. Czasem, w którym – jak przeczytał Ulbricht – wolno było zapomnieć o kłopotach minionego roku i z nadzieją myśleć o kolejnym. Co ważniejsze, to święto w pewnym sensie wymyślono na nowo i to samo działo się z Rossem przez ostatni tydzień.

Kilka dni wcześniej pracował akurat przy stronie Silk Road, kiedy jego nowy przyjaciel i powiernik Variety Jones przysłał mu dziwaczne pytanie: „Widziałeś kiedyś *Narzeczoną dla księcia?*”.

To było niespodziewane, nawet jak na VJ-a, tym bardziej że kilka minut wcześniej rozmawiali o problemach programistycznych i sprzedaży narkotyków. Film, o który spytał przyjaciel, to kultowa czarna komedia z połowy lat osiemdziesiątych o przygodach parobka, który zostaje piratem i musi uratować księżniczkę Buttercup z ognistego bagna.

Doprawdy niezwykle pytanie. Rozmowy obu mężczyzn często jednak zbaczały na różne tory. Przez ostatnie kilka tygodni dyskutowali po kilka godzin dziennie na rozmaite tematy. Odkąd się zaprzyjaźnili, niemal nie było godziny, w której Ross i Variety Jones nie zagadywaliby do siebie. Tak bardzo się zbliżyli, że większość wieczorów kończyli cyfrową wersją pościelowych pogaduch. („Dobra, idę spać. Widzimy się rano” – pisał Ross. „Tylko dobrze się wyspij” – odpowiadał VJ). Większość poranków rozpoczynali z kolei od pozdrowienia, żeby sprawdzić, jak się miewa przyjaciel. („Hej, dzień dobry” – pisał jeden. „Siemka, siemka” – odpowiadał drugi). Przez resztę dnia gadali o polityce, wojnie z narkotykami, porno, książkach i śmiali się ze swoich żartów. VJ zawsze umiał rozśmieszyć Rossa. „Mój listonosz jest dilerem narkotyków – napisał, kiedy przyszła paczka. – Tylko jeszcze o tym nie wie”.

Więź między Variety Jonesem i Rossem tak bardzo się wzmocniła, że w ostatnich tygodniach najdłuższym okresem, w którym ze sobą nie rozmawiali, było dwa i pół dnia w okolicach sylwestra. Kiedy Ross witał nowy rok, oglądając pokaz fajerwerków w Australii i opatrując komuś łokieć po pijackim incydencie, Variety Jones przebywał w Londynie i głęboko spał, bo wcześniej zarzucił parę tabletek ecstasy, wypił dwie butelki szampana i odplynał pół godziny przed wybiciem północy. Łącząca mężczyzn więź stała się tak silna, że kiedy VJ wrócił do pracy po przerwie, Ross powitał go słowami: „Tęskniłem za tobą :)”.

Variety Jones był sympatyczny, dowcipny i błyskotliwy, a co ważniejsze, był osobą, której Ross Ulbricht mógł naprawdę zaufać – w świecie, w którym nie można było ufać nikomu. Po raz pierwszy od założenia Silk Road Ross miał najlepszego przyjaciela. Oczywiście VJ również na tej przyjaźni zarabiał. Ulbricht płacił mu za usługi, czasem aż sześćdziesiąt tysięcy dolarów naraz, co pozwalało pokryć koszty podróży i opłacić programistów pracujących dla VJ-a.

To był idealny moment na rozwój takiej relacji, jako że stres związany z prowadzeniem strony wciąż narastał. Na początku sklep internetowy oferował grzybki halucynogenne i trochę trawy. Teraz można tam było kupić niemal każdy narkotyk, nieraz w bardzo dużych ilościach. Ludzie handlowali również najróżniejszą bronią: dostępne były pistolety Beretta, pistolety maszynowe Uzi, karabiny AR-15, nieskończone ilości amunicji oraz tłumiki. Wszystko to ścigało jeszcze większą uwagę mediów. Prasa piętnowała rząd za to, że wciąż nie doprowadził do zamknięcia strony. „Osiem miesięcy po tym, gdy senator

Chuck Schumer skrytykował bitcoina, Jedwabny Szlak wciąż znakomicie prosperuje” – brzmiał jeden z nagłówków.

Ross odczuwał z tego powodu ogromną presję. Jego nowy najlepszy przyjaciel miał jednak plan. Plan, który w pewien sposób wiązał się z ich rozmową na temat filmu *Narzeczona dla księcia*.

Na pytanie VJ-a Ross odpowiedział mniej więcej twierdząco: jego rodzice, podobnie jak rodzice wielu dzieciaków z tego pokolenia, mieli kopię filmu na kasecie VHS.

„Czyli znasz historię Straszego Pirata Roberta?” – napisał Variety Jones.

Ross nie do końca ją sobie przypominał, zaczął jednak opisywać, co pamiętał na temat filmu i jego głównego bohatera. Kiedy skończył, Variety Jones uzupełnił streszczenie: chodziło o gościa o imieniu Westley, który przejął po kimś innym miano Straszego Pirata Roberta. Przez lata przejmowały je kolejne osoby, a te wcześniejsze odchodziły na emeryturę. Dlatego nikt nie wiedział, kto był pierwszym Straszonym Piratem Robertsem.

„Tak” – zgodził się Ross. To było to. To ten film.

A potem padły te słowa: „Musisz zmienić nazwę użytkownika z Admina na Straszego Pirata Roberta” – napisał VJ.

Te słowa świeciły na monitorze jak zawieszony w alternatywnej rzeczywistości. „Straszny... Pirat... Roberts”.

Cóż za wspaniały pomysł! Ross był zachwycony. Ooo, dobre. Naprawdę dobre. Pseudonim Straszego Pirata Roberta, który formalnie był piratem, pasował też idealnie do symboliki kapitana, którą Ross posługiwał się na forach już wcześniej.

VJ zauważył, że zmiana imienia pozwoli Rossowi przede wszystkim wymazać ślady z przeszłości i uwiarygodnić historię o tym, że rzeczywiście oddał komuś Silk Road. To idealne alibi: powiedzieć, że ustąpił i przekazał własność strony, wraz z tytułem jej szefa, innej osobie. „Zapoczątkuj legendę” – nalegał Variety Jones.

Nie miał pojęcia, jak poważnie Ross potraktuje tę sugestię, choć domyślał się, że przyjmie ją z entuzjazmem. Ross już wcześniej przyznał, że o jego powiązaniach z Silk Road wiedzą dwie osoby. W grudniu Jones zapytał: „Czy w realu ktokolwiek może się domyślać, że to ty, kimkolwiek jesteś, zapoczątkowałaś Silk Road? Dziewczyna, chłopak, laska, z którą gadasz, kumple z neta, których znasz od lat? Babcia, ksiądz, rabin, striptizerka?”.

„Niestety tak – odpowiedział Ross. – Są dwie [osoby], ale myślą, że sprzedałem stronę i porzuciłem ten interes”. Zawahał się przez chwilę, po czym wyjaśnił, że kilka miesięcy wcześniej powiedział tym osobom, że przekazał stronę komuś innemu. „Z jedną pewnie już nigdy nie będę rozmawiał, a od drugiej się oddałem”. Potem dodał: „Nikommu więcej nie powiem, nigdy nie popełnię tego samego błędu”.

Teraz, gdy zbliżał się Nowy Rok Księżycowy, Ross miał idealną okazję, aby wymyślić siebie na nowo. Zapomniał o troskach minionego roku i liczył na to, że kolejny będzie lepszy. Jego nowy najlepszy przyjaciel Variety Jones wymyślił zaś genialny, oszałamiający, cudowny sposób na rozwiązanie nie tylko problemu Julii, ale również problemu Richarda, problemu Eriki i każdego innego problemu, który mógłby się wiązać z odkryciem, kto jest autorem strony.

Gdyby ktoś go nakrył, teoretycznie Ross mógł przyznać, że niestety rzeczywiście był zaangażowany w początki projektu o nazwie Silk Road, ale prowadzenie strony powodowało zbyt duży stres. Jeśli zaś ktoś zapyta: „Co zrobiłeś ze stroną, kiedy przestałeś przy niej pracować?”, odpowie: „Oddałem ją komuś innemu”. Gdy spytają: „Komu?”, stwierdzi po prostu: „Nie wiem, kto to był. Wiem tylko tyle, że mówił o sobie Straszny Pirat Roberts”.

Carl Force rodzi się na nowo

Piętrowy dom w stylu kolonialnym na obrzeżach Baltimore wyglądał idyllicznie. Z przodu urocza kamienna ścieżka zakręcała obok dwóch olbrzymich dębów. Tył domu wychodził na wijący się strumyk, gdzie wśród jeżyn i rajskich jabłoni biegały lisy i jelenie. Ta utopijna sceneria wystarczyła, by Carl Force i jego żona zakochali się w tym domu – idealnym miejscu, aby wychować tam dzieci i może w przyszłości spędzać czas na emeryturze.

Jednak odkąd tylko Carl podpisał umowę z bankiem, dom stał się jednym wielkim koszmarem. Trapiły go wszystkie problemy, jakie tylko można sobie wyobrazić, między innymi z elektrycznością i wyciekami. Carl z bólem odkrył również, że większość ścian w ogóle nie ma izolacji. Ta budowla z papieru pochłonęła niemal wszystkie rodzinne oszczędności. „Rudera”, jak nazywał ją Carl, okazała się dodatkowym źródłem stresu pośród wielu innych. Często leżał w nocy, wpatrzony w mrok i wsłuchany w krzyk ciszy przedmieść, rozmyślał o swojej przeszłości, przyszłości oraz o tym, jak odrobi straty poniesione z powodu zakupu domu.

W przeciwieństwie do większości ludzi, którzy po długim dniu w pracy wyciągali się na kanapie, włączali telewizor i otwierali piwo, trzeźwy Carl postępował dokładnie odwrotnie. Ten dorosły łysy mężczyzna z tatuażami na całym ciele wracał do domu i trzepał poduszki. Nie mógł się powstrzymać. Był w takim momencie życia, że stres wywołany przez pracę i rozsypujący się dom sprawiały, że mógł spokojnie zasiąść do kolacji dopiero po godzinie sprzątania. Za to dziwactwo czasami obwinał zespół obsesyjno-kompulsywny, który sam u siebie zdiagnozował, ale tak naprawdę przyczyna go nie obchodziła. Potrząsanie poduszką w powietrzu, aż całe pierze w środku równo się ułoży, uspokajało go bardziej niż jakiegokolwiek piwo.

W ostatnich tygodniach jednak cały stres minął. Po raz pierwszy, odkąd pamiętał, Carl czuł, że życie dodaje mu energii. Był jak nowo narodzony.

Ochrzczony Jedwabnym Szlakiem.

Kiedy przydzielono go do baltimorskiego zespołu HSI, by pomógł w sprawie strony internetowej, z początku był zaintrygowany, ale podchodził do zadania nonszalancko. Nadarzała się okazja, żeby zająć się czymś innym niż typowe wyskoki, nie mogło to jednak zmienić jego stylu życia agenta słonecznego. A potem jeden z kolegów z Baltimore pokazał mu, jak ściągnąć Tora i poruszać się po forach na Silk Road, i Carlem zawładnęła obsesja.

Wkrótce zrozumiał, że ta strona może zmienić wszystko. DEA mogło się stać organem do walki z cyberprzestępczością. Inne agencje, takie jak FBI czy NSA (National Security Agency – Agencja Bezpieczeństwa Narodowego), które nigdy nie zajmowały się narkotykami, mogły stworzyć komórki przypisane do tego typu celów w internecie. Pojął, że to nowe pogranicze, Dziki Zachód. A on chciał być jednym z szeryfów.

Zaczął chłonąć wszystko, co tylko znalazł na temat Silk Road. Przeglądał niekończące się dyskusje na stronie, poczynawszy od opisu metod wstrzykiwania heroiny w gałki oczne aż po sposoby zabezpieczania paczek z narkotykami, tak by nie zwróciły one uwagi służb pocztowych. Czytał wpisy szefa strony, osoby, która wcześniej nazywała siebie Adminem, a od niedawna zaczęła się posługiwać pseudonimem Straszny Pirat Roberts.

Agenci HSI w Baltimore ostrzegli Carla, i to stanowczo, żeby na razie nie zakładał konta na Silk Road. „Nie rób na stronie nic głupiego – usłyszał od przełożonych. – Nie chcemy, żeby ktokolwiek dowiedział się, że służby namierzyły stronę”.

Carl miał jednak na kogo polować, więc powracały uczucia, których doświadczał na początku kariery. Dreszcz emocji przeszywał całe ciało. Zupełnie jakby ktoś odsunął kurtynę, za którą stał młodszy, żwawszy Carl Force, czekający, żeby sprawdzić się przed szefem, przed kolegami z pracy, przed żoną – i przed sobą samym.

Wkrótce również dni agenta słonecznego zaczęły się wydłużać. Teraz wraz z zachodem słońca Carl zatrzymywał się na podjeździe, biegł na piętro do wolnego pokoju na tyłach domu i otwierał służbowego laptopa z DEA, by penetrować Jedwabny Szlak i czytać nowe wpisy szefa strony. Poduszki chwilowo musiały poczekać. Była robota do wykonania. Carl musiał zanurzyć się głębiej w świat Silk Road i obmyślić, jak zamknąć tę stronę.

„O kapitanie, mój kapitanie”

Plemię Jedwabnego Szlaku nie polubiło nowej ksywy swego przywódcy – ono było nią kurewsko zachwycone. Wszyscy zaangażowani zobaczyli w niej sygnał do walki, maskę na twarzy wodza rewolucji. Jeśli Kuba miała Che Guevarę, a Irlandia – Michaela Collinsa, wojna z narkotykami miała mieć Straszego Pirata Robertsą.

Na forach Silk Road poświęconych dyskusji o wszystkim, co związane z działalnością strony, wrzało od rozmów o pseudonimie szefa. Dilerzy i nabywcy byli podekscytowani świadomością, że nie tylko sprzedają i kupują narkotyki, ale stoją w obliczu zrywu, który na zawsze odmieni cały system prawny. Pracownicy Rossa również natychmiast polubili tę ksywkę, bo nadawała tożsamość komuś, komu do tej pory brakowało indywidualności. Jeszcze przed chwilą ich szef był ulotną, anonimową postacią za klawiaturą, teraz zaś stał się groźnym piratem, który poprowadzi ich do walki z rządem Stanów Zjednoczonych. I na Boga, on tę pieprzoną walkę wygra.

Wszyscy zaczęli zwracać się do Rossa z szacunkiem per Straszny Pirat Roberts albo w skrócie: SPR. Ci będący najbliżej Ulbrichta (głównie pracownicy) wybrali mu jeszcze bardziej znaczący przydomek: „Kapitan”. Po kilkadziesiąt razy dziennie zwracali się w ten sposób do swego dowódcy. „Dzień dobry, kapitanie”. „W gotowości, kapitanie”. „Też tak myślę, kapitanie”. „Dobrych snów, kapitanie”. „Dobranoc, kapitanie”.

Ross był tym wszystkim zachwycony. Po raz pierwszy od wielu miesięcy był ożywiony, dostrzegał wyraźny kierunek, w jakim mógł zwrócić swój okręt. I był to jego okręt. Niczyj inny.

„O kapitanie, mój kapitanie”.

Zanim Ross poznał Variety Jonesa, zadawał sobie pytania o to, co robi. Czy na pewno warto? Początkowo żył w ciągłym strachu, że przez prowadzenie strony na resztę życia trafi do więzienia albo wręcz przejdzie zieloną milą na

krzesło elektryczne. Godził się z tą myślą, bo przypominał sobie, że walczy o coś, w co wierzy, a ponieważ pomagał ludziom, ryzyko było warte nagrody. Choć uporał się z tą przeszkodą, nie potrafił do końca zaakceptować rzeczywistości, w której musi okłamywać całe otoczenie.

Garstka pracowników wyciągnęła go z depresji, stale powtarzając swemu szefowi, jak bardzo są dumni z uczestnictwa w tak wielkim i rewolucyjnym dziele. Jasne, otrzymywali wynagrodzenie za usługi programistyczne – większość zarabiała kilkaset dolarów tygodniowo – ale nie chodziło tylko o pieniądze; byli wdzięczni Rossowi za to, że mogli się zaangażować w ten projekt.

Jeden z pracowników powiedział Ulbrichtowi, że zostawił inne prace i powinności w życiu, „żeby realizować się w tym przedsięwzięciu”. Stwierdził, że perspektywa legalizacji narkotyków i zadbania o to, by przyszłe pokolenia nie spędzały życia w więzieniu za sprzedaż dragów, a nawet ich posiadanie, była ważniejsza niż cokolwiek innego. Kolejny oznajmił z dumą: „Naprawdę możemy zmienić świat. [...] Mamy ogromne szczęście. [...] Taka okazja trafia się kilka razy na milenium”.

Tendencja tak bardzo się zmieniła, że wobec wspaniałych perspektyw, jakie rysowały się przed serwisem Silk Road, Ross zaczął prowadzić dziennik. Uświadomiwszy sobie głębię swej wizji, w jednym z pierwszych wpisów zanotował: „Wyobrażam sobie, że pewnego dnia ktoś sporządzi historię mojego życia, dlatego dobrze byłoby je szczegółowo opisać”. O rosnącym znaczeniu jego działań przypominało wiele rzeczy. Z finansowego punktu widzenia strona radziła sobie tak dobrze i obsługiwała tyle zamówień, że stał się milionerem. Ponieważ jednak nadal był oszczędnym człowiekiem, nie kupował za te pieniądze nic ostentacyjnego, co najwyżej parę razy poszedł na dobry obiad. Cały jego dobytek nadal mieścił się idealnie w małej torbie.

O ile jednak ta strona życia Rossa związana z Silk Road wyglądała doskonale, o tyle dręczyła go świadomość, że musi okłamywać ludzi. Gdy rodzina lub przyjaciele pytali, czym zajmuje się zawodowo, każdemu udzielał innej odpowiedzi. „Zajmuję się day tradingiem”. „Pracuję nad grą komputerową”. „Kupuję i sprzedaję cyfrową walutę”. Ilekroć mówił coś takiego, odczuwał wyrzuty sumienia. Zawsze miał obsesję na punkcie „wierności swojemu słowu”, jak to określał, dlatego ciążyło mu to ciągle oszukiwanie.

Nie mógł także wykazywać się szczerością na Silk Road. Nie miał wyboru, tam również musiał wszystkim kłamać – z oczywistych względów. Kilka razy coś mu się jednak wymknęło, czasem przypadkiem, ale częściej dlatego, że komuś musiał powiedzieć trochę prawdy. Nie tak dawno pewnego popołudnia wyznał Variety Jonesowi, że kiedyś był fizykiem eksperymentalnym. Zaliczył wtopę ze Smedleyem, swym nowym głównym programistą, któremu opowiedział o podróżach po Australii i Azji. Innemu pracownikowi, Inigowi, opisał wycieczki pod namiot z ojcem Kirkiem. Nieraz wspominał o tym, że uwielbia wędkować.

Teraz Ross miał lepszy sposób na oddzielenie faktów od fikcji. Stając się SPR-em, mógł nosić maskę, dzięki której był dwiema różnymi osobami. W świecie rzeczywistym pozostawał Rossem Ulbrichtem, a w internecie – Straszny Pirat Robertsem.

„Tak, kapitanie!”

Jako Ross wciąż mógł mówić o swoich zamierzeniach dotyczących legalizacji narkotyków, libertarianizmie i pracy z bitcoinami, w ogóle nie zbliżając się w myślach do Silk Road, a co ważniejsze, nie miał przy tym wrażenia, że okłamuje tych, których kocha. Natomiast po włożeniu maski Straszego Pirata Roberta inna osoba kierowała okręt na nieznane i potencjalnie nieetyczne wody. SPR mógł przekraczać granice, do których Ross nigdy by się nie zbliżył, a wszystko po to, żeby strona wzniosła się na jeszcze wyższy poziom.

„O kapitanie, mój kapitanie”.

Jako Straszny Pirat Roberts Ross nie musiał już nikogo stale okłamywać. Oprócz samego siebie.

Ross na stryczek albo do domu

Palce Rossa pulsowały, kiedy pisał na klawiaturze. Czerwone obwódki krawędzi paznokci niemal krwawiły od stałego zaciekłego obgryzania. Problem polegał na tym, że nie umiał się powstrzymać. Całe jego ciało ogarniał niepokój, a wtedy zaczynało się gryzienie.

Ta prawidłowość się umacniała, a on nie wiedział, jak ją przerwać. Strona działała świetnie, wszystko szło jak z płatka, aż tu nagle – BUM! – następował jakiś kataklizm. Awarie serwerów, hakerskie próby włamania do banku z bitcoinami, zły kod wymagający naprawy, dobry kod wymagający aktualizacji, konflikty między nabywcami i dilerami narkotyków, zagubione przesyłki, oszuści i skradzione bitcoiny. Choć te problemy były zrozumiałe, zważywszy na charakter jego pracy, pojawiały się zniechęca i Ross musiał je rozwiązywać natychmiast, gdziekolwiek się znajdował.

Czasem było to łatwe (jak łatanie dziur w kadłubie okrętu, gdy atakował jakiś haker). Inne kłopoty nękały stronę od samego początku (jak znajdowanie tych dziur, zanim znajdą je hakerzy). Bywało jednak, że pojawiał się problem, przez który Ross tracił dziesiątki tysięcy dolarów w ciągu kilku minut. Na przykład niedawno dowiedział się, że przez jakiś podrzędny kawałek kodu, który własnoręcznie napisał, komuś w ciągu jednego dnia udało się ukraść siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów w bitcoinach. To właśnie w takie dni w kółko obgryzał paznokcie.

Na jego szczęście utrata takiej kwoty nie mogła go doprowadzić do bankructwa. Teraz zarabiał na stronie tak duże sumy, że miał kłopoty z ich praniem i wymianą na fizyczną walutę. W grudniu miesięczne obroty ze sprzedaży narkotyków na stronie Silk Road wyniosły pół miliona dolarów. Teraz, w marcu, osiągały taką wysokość w tydzień. Kiedy Variety Jones obejrzał wykresy wzrostu, jego komentarz był bardzo trafny. „Ja pierdolę – napisał do SPR-a. – To znaczy teoretycznie wiedziałem, ale jak zobaczyłem

wykres, to... no ja pierdolę!” Wykres, który miał na myśli, był żółtą linią ilustrującą wzrost i zyski ze strony: biegła cały czas w górę i w prawo, aż wylatywała poza ekran.

Variety Jones poświęcił kilka minut na obliczenia. Wynikało z nich, że przy utrzymaniu aktualnego tempa poziom sprzedaży wyniesie milion dolarów już w kwietniu, czyli za miesiąc, a w połowie lata ten wynik się podwoi. Według najgorszego scenariusza rok 2012 miał się zamknąć sumą stu milionów dolarów. Gdyby zaś obecna trajektoria się nie zmieniła, do końca 2013 roku kwota ze sprzedaży narkotyków w serwisie Silk Road osiągnęłyby wartość blisko miliarda dolarów.

Zysk Rossa z prowizji wynosił teraz średnio dziesięć tysięcy dolarów dziennie i rósł – dosłownie – z godziny na godzinę. Jego realny majątek podwajał się i potrajał co kilka tygodni wraz ze wzrostem kursu wymiany bitcoinów. Jeśli w poniedziałek na jednym ze swoich kont bitcoinowych Ross miał sto tysięcy dolarów, w piątek to samo konto mogło być warte dwieście tysięcy, chociaż nawet nie kiwnął palcem. Jeżeli przewidywania VJ-a były prawidłowe, w przypadku bessy Ross do końca 2014 roku powinien zarabiać sto milionów dolarów rocznie. W przypadku hossy, gdyby wartość bitcoinów nadal rosła w obecnym tempie, mógłby lada chwila zarabiać dziesięć razy tyle.

Wraz ze stosami cyfrowych pieniędzy pojawiały się jednak zupełnie nowe problemy. Oprócz tego, że trzeba je było zamienić na gotówkę – i to tak, by nie zorientował się fiskus – więcej pieniędzy oznaczało również większą liczbę klientów, co przekładało się na masę kłopotów. Między dilerami i kupującymi toczyły się zaciekłe konflikty, wraz z napływem odwiedzających witrynę zwalniały serwery, a służby coraz bardziej interesowały się stroną.

„Cała ta kasa będzie mało warta, kiedy trafimy za kratki” – napisał Ross do VJ-a, gdy omawiali zawrotny wzrost obrotów na stronie i wiążący się z tym niepokój; niepokój, nad którym Ross musiał zapanować, bo wiedział, że inaczej to uczucie zapanuje nad nim, a to nieuchronnie doprowadzi do jakiegoś błędu. Błąd jest zaś najprostszym sposobem, żeby dać się złapać. To z kolei ostatnia rzecz, jakiej pragnęli Ross, VJ i dziesiątki tysięcy ludzi sprzedających i kupujących towary na stronie.

„Musimy się zabezpieczyć – argumentował Jones – i przygotować plan”.

Z jego pomocą więc Ross to właśnie opracował: plan.

Przede wszystkim miał opuścić Australię i wrócić do domu. Podróże sprawiły, że zyskał nową perspektywę, której tak potrzebował, ale miesiące spędzone w drodze przyniosły także całkiem nowe zmartwienia. Z początku mieszkanie u siostry w Australii dało Rossowi ulgę i ukojenie. Zakochał się w tamtejszym idyllicznym klimacie i dobrej zabawie, w smagających falach na plaży Bondi. Ponieważ nie ograniczał go etat, Ulbricht wkrótce wyruszył w miesięczną podróż po Azji. Wyglądał jak każdy młody człowiek wędrujący z plecakiem po wyspach Pacyfiku, nocował w schroniskach młodzieżowych i jadł makaron kupiony u przydrożnych sprzedawców. Jedyna różnica między nim a ludźmi, których poznawał na szlaku, polegała na tym, że tamci w większości byli splukanymi studentami, chcącymi poznać świat przed powrotem do Ameryki czy Europy, gdzie mieli znaleźć pracę i się ustatkować. Ross natomiast potajemnie prowadził największą na świecie stronę internetową z narkotykami, a jego osobisty majątek wart był miliony dolarów. Ze swoim skromnym dobytkiem i skołtunioną fryzurą nie wyróżniał się z tłumu. Chyba że na stronie coś poszło nie tak.

Ross nie miał wyboru i musiał prowadzić witrynę Silk Road z kawiarenek internetowych i przeraźliwie powolnych azjatyckich hotspotów, co oznaczało, że za każdym razem wchodził na stronę na oczach dziesiątek ciekawskich ludzi mogących zajrzeć mu przez ramię. Z tego powodu często w samym środku rozmowy informował pracowników, że musi się przemieścić.

„Zmieniam miejscówkę, zw” – pisał. „Przemieszczam się”. „To miejsce przestało mi się podobać”. „Muszę się ruszyć, zaraz wracam”. „Zmieniam lokalizację”.

Jeśli zauważył, że ktoś zerknął na ekran jego komputera, czasem po prostu zatrząskiwiał laptopa. Potem wymykał się (oby) niepostrzeżenie. Często jednak nie miał innego wyjścia i musiał tkwić w pobliżu internetu, kręcić się jak mucha, która czeka, aż pies zrobi kupę. Jako Straszny Pirat Roberts powiedział swemu powiernikowi: „Całe swoje życie organizuję wokół tego, aby korzystać z komputera na osobności”. I ten styl życia go wykańczał.

„Zw, muszę się ruszyć”.

Jednym z najgorszych doświadczeń podczas podróży była wizyta w sennym miasteczku surferów w samym środku tajlandzkiej dżungli. Plan zakładał, że Ross będzie korzystał z fal, cieszył się plażą, wędrował wśród palm, może zapali zioło i (jeśli wszystko dobrze pójdzie) pozna ładną młodą plecakowiczkę.

Jednak gdy tylko dotarł na miejsce, wszystko poszło katastrofalnie źle. Wskutek poważnego błędu programistycznego ktoś zaczął kraść bitcoiny z jego konta. Ross musiał to naprawić natychmiast – a nie było to proste.

Zadekował się na cały dzień w miejscowej kawiarence internetowej, bez przerwy obgryzał paznokcie i rozpaczliwie usiłował powstrzymać kradzież, gdy tymczasem miejscowi i plecakowicze beztrudnie włączyli się po drogach gruntowych w miasteczku, pili piwo i surfowali w ciepłych falach oceanu. („Ludzie mieli mnie tam za świra – opowiedział później Variety Jonesowi. – Siedziałem nad laptopem 18 godzin na dobę, obgryzając paznokcie. Ci wszyscy luzacy na wakacjach patrzyli na mnie i myśleli: wtf?!”).

Niepokój Ulbrichta potęgowała obawa, że ktoś zobaczy na jego ekranie logo Silk Road albo zdjęcia narkotyków lub też zacznie pytać o kod, nad którym właśnie pracował. Co gorsza, jakiś miejscowy, chcąc zapunktować u koleżków z lokalnej policji, mógł anonimowo powiadomić władze.

W chwilach maksymalnej przytomności umysłu ten niepokój paraliżował Rossa. Ponieważ jego strona pozwalała na zakup narkotyków z dowolnego miejsca z dostępem do internetu, teoretycznie był ścigany na całym świecie. To oznaczało, że podlegał prawu niemal każdego kraju na Ziemi. A ostatnim miejscem, w którym chciałby zostać aresztowany za umożliwianie sprzedaży ogromnych ilości narkotyków, była Azja Południowo-Wschodnia, gdzie ludzi z Zachodu wieszano za przemyt nawet kilkudziesięciu gramów heroiny.

Ross mógł więc zrobić tylko jedno. Gdy stało się jasne, że nikt nie zauważył wpisu Eriki na Facebooku i nikt nie podejrzewa Rossa Ulbrichta o bycie kimkolwiek innym, wybrał datę powrotu do Teksasu. To nie wystarczyło, żeby ukończyć niepokój związany z prowadzeniem strony, lecz w tej kwestii również miał plan. Obiecał Variety Jonesowi, że zacznie chodzić na długie spacery, zdrowo się odżywiać dla poprawienia koncentracji i trzykrotnie wydłuży czas codziennej medytacji, do trzydziestu minut. Korzystając z rad VJ-a, zamierzał poradzić sobie ze stresem, który powodowało prowadzenie największej strony internetowej z narkotykami, jaką widział świat.

A paznokcie? Dziesiątego kwietnia, kilka dni przed wylotem z Australii, Ross wszedł do apteki, położył kilka dolarów na ladzie, a potem wyszedł z buteleczką płynu przeciw obgryzaniu paznokci. Z podnieceniem opowiedział o nowym nabytku Variety Jonesowi. Oznajmił, że przez najbliższy tydzień

będzie nakładał tę magiczną maść na paznokcie co najmniej raz dziennie. „Pora rzucić nałóg” – oświadczył.

Nie dane mu było jednak długo wytrwać w tym postanowieniu. Po powrocie do Ameryki miał odkryć, że w ciągu ostatnich miesięcy znacznie wzrosła nie tylko skala działania Silk Road, ale także determinacja organów ścigania, żeby złapać Straszego Pirata Roberta.

Carl, Eladio i Nob

Dla agenta DEA praca pod przykrywką to jeden z najbardziej ekscytujących, ale i wykańczających nerwowo elementów służby. Jeśli zrobisz wszystko dobrze, możesz złapać ludzi pozbawionych skrupułów; ale jeśli zrobisz coś źle, oni mogą złapać ciebie.

Carl Force przekonał się o tym na własnej skórze jako początkujący agent DEA niemal czternaście lat wcześniej, gdy prowadził jedną ze swoich pierwszych spraw w małym miasteczku Alamosa w Kolorado. Trafił tam po aresztowaniu i pozyskaniu informatora, który obiecał umożliwić zakup narkotyków od miejscowych dilerów. Miasteczko znajdowało się tuż przy północnej granicy Nowego Meksyku, przez co stanowiło idealny punkt przemytu kokainy i metamfetaminy do kraju.

Informator umówił parę spotkań, by rozkręcić operację, ale sprawy niemal od razu się pogmatwały. Ilekroć Carl przyjeżdżał na miejsce, żeby pod przykrywką nabyć narkotyki, informator wpadał w panikę i upierał się, że agent za bardzo przypomina gliniarza, więc naraża całą akcję (a być może również życie ich obu).

Carl nie lubił, gdy ktoś mu mówi, co ma robić, ale kiedy spojrzał w lustro, stwierdził, że informator ma rację: wyglądał zupełnie jak gliniarz. Zdecydował się więc na drobną przemianę. Przekłuł uszy, włożył w nie złote kółka, zapuścił włosy i zaczął się ubierać mniej jak agent DEA, a bardziej jak ktoś, kto zarabia na życie sprzedażą narkotyków. Żeby nikt nie zakapował go jako fedka, stworzył sobie również alter ego o złożonej historii. Była to dla niego ważna lekcja. Nie możesz tak po prostu pojawić się gdzieś pod przykrywką i powiedzieć, że pracujesz w świecie zorganizowanej przestępczości. Musisz być gotowy udowodnić komuś, że tak jest.

Ponad dekadę później, siedząc w biurze DEA w Baltimore i wpatrując się w ekran rejestracji konta na stronie Silk Road, Carl miał ponownie wcielić tę

lekcję w życie. Starannie odrobił pracę domową, przygotowując się do tej właśnie chwili. Zanim jednak założył konto, musiał wymyślić, kim będzie na Jedwabnym Szlaku. W przeciwieństwie do pracy tajniaka w świecie rzeczywistym, tym razem miał ukrywać się za ekranem komputera, co oznaczało, że mógł być, kimkolwiek zechce. Mógł być czarnym, białym, Latynosem albo Chińczykiem. Mężczyzną, kobietą albo kimś pomiędzy. Internetowy świat był jego sceną; Carl musiał tylko zdecydować, kto wyłoni się zza kurtyny.

Zaczął od tego, co znał – sięgnął po historie ze swego pobytu na południu. Zdecydował się na postać przemytnika z Dominikany, który rocznie przerzucał do Stanów Zjednoczonych towar wart dwadzieścia pięć milionów dolarów, głównie kokainę i heroinę. Nazwał go Eladio Guzman, wykorzystując nazwisko najskrytniejszego barona narkotykowego epoki przedinternetowej, El Chapo Guzmana, szefa meksykańskiego kartelu Sinaloa. Następnie stworzył swojemu Guzmanowi szczegółową historię, według której znał ludzi z całej Ameryki Południowej trudniących się przemytem narkotyków, praniem brudnych pieniędzy i zlecaniem zabójstw. Aha, do tego był ślepy na jedno oko, więc nosił opaskę. Żeby wszystko wyglądało autentycznie, DEA stworzyła mu fałszywe prawo jazdy z prawdziwym zdjęciem i nowym zmyślonym nazwiskiem.

Na stronie nikt nie używałby jednak własnego nazwiska, nawet fałszywego. Dlatego tak jak szef Silk Road nazwał siebie Straszny Piratem Robertsem, Carl również musiał stworzyć ksywę dla zmyślonego alter ego. Postanowił sięgnąć do kolejnego źródła, które dobrze znał: do Biblii. Można to uznać za przecucie, wynik wieloletniego doświadczenia albo przesadną pewność siebie, ale chciał, żeby jego pseudonim odzwierciedlał los, jaki spotka Silk Road wskutek jego pracy. Wybrał nazwę biblijnego miasta zniszczonego przez króla – Nob.

Carl Force stał się więc Eladiem Guzmanem, dominikańskim przemytnikiem narkotyków posługującym się w internecie ksywką Nob.

Po powrocie do domu oznajmił swej dwunastoletniej córce, że potrzebuje jej pomocy. Wziął białą kartkę i czarnym markerem nabazgrał na niej „CHWAŁA NOBOWI”. Potem zasłonił rzekomo ślepe oko przepaską, naciągnął ciemny kaptur na łysą głowę, podniósł kartkę, a córka zrobiła mu zdjęcie. Później założył sobie konto jako Nob.

Przez ostatni miesiąc spotykał się z baltimorskimi agentami, żeby omawiać strategię dochodzenia. Plan nie różnił się zbyt od koncepcji Jareda. Zamierzali prowadzić śledztwo (oczywiście konkurencyjne, bo wiedzieli, że Jared prowadzi swoje w Chicago), aresztując dilerów i powoli posuwając się naprzód. Dyskutowali o tej strategii podczas niezliczonych narad, przy czym Carl uważał, że to zbyt żmudna ścieżka. Mógł też po prostu powiedzieć „pieprzyć to” i spróbować zapukać wprost do drzwi samego bossa.

Wybrał właśnie to drugie rozwiązanie. W czwartek dwudziestego pierwszego kwietnia około południa usiadł do komputera, przyjął nową tożsamość przemytnika i napisał mejla do Straszego Pirata Roberta. „Szanowny panie Silk Road – zaczął – jestem ogromnym wielbicielem pańskiej pracy”. Po tych słowach uznania Nob krótko przedstawił się jako człowiek o „znaczących możliwościach”, działający w branży narkotykowej od ponad dwudziestu lat. Przyznał szczerze, że projekt Silk Road uważa za przyszłość handlu narkotykami, przede wszystkim zaś miał propozycję: „Chcę kupić tę stronę”. Kliknął „wyślij” i czekał na odpowiedź.

Kiedy członkowie zespołu HSI Baltimore dowiedzieli się, co zrobił Carl, wpadli w szal. Zaczął działać na własną rękę, zanim jeszcze zdążyli ustalić dalsze działania. Przełożeni zadzwonili do zastępcy głównodowodzącego agenta specjalnego (assistant special agent in charge, ASAC), którego głównym zadaniem było właśnie pilnowanie, by ludzie tacy jak Carl nie działali na własną rękę. Carla to jednak nie obchodziło. Po prostu wpatrywał się w swoją skrzynkę pocztową, czekając na odpowiedź od Straszego Pirata Roberta.

Sprawdził po południu – nic. Nazajutrz rano – dalej nic. Jutro, mówił sobie. Straszny Pirat Roberts odpisze jutro.

Chicago Jareda kontra Baltimore Carla

Małeńki gabinet Jareda w HSI coraz mniej przypominał biuro, a coraz bardziej – przedłużenie centrum pocztowego na Chicago O’Hare. Wzdłuż ścian piętrzyły się na wysokość małego dziecka pojemniki wypełnione po brzegi kopertami – w sumie było ich mniej więcej pięćset. Wszystkie miały jedną wspólną cechę: w którymś momencie zawierały narkotyki kupione na stronie Silk Road. Ściany nad pojemnikami z pocztą były ozdobione wydrukami i zdjęciami różnych narkotyków – tabletek, worków i bryłek – które kiedyś znajdowały się w kopertach.

Nie ulegało wątpliwości, że sprawa Silk Road wciągnęła bez reszty obsesyjnie upartego Jareda. Pracował on nad systemem, który pozwoliłby powiązać koperty (i narkotyki) z konkretnymi sprzedawcami na stronie. Kiedy celnicy odnajdywali jakąś przesyłkę, Jared bez względu na porę dnia czy nocy wsiadał do Zbokowozu i jechał na lotnisko, gdzie odbierał narkotyki, robił zdjęcia, wypełniał dokumenty zatrzymania i wiozł to wszystko do swojego biura. Potem siadał do komputera i przeglądał fotografie dostępnego towaru, usiłując wykombinować, skąd pochodzi przesyłka.

Ponieważ na stronie Silk Road działały teraz tysiące dilerów, zadanie nie należało do łatwych. Jared jednak zawsze był gotów na mozolne i pochłaniające całą energię działania. Zdawał sobie sprawę, że dzięki temu kiedy (choć na razie było to raczej „jeśli”) w końcu złapią szefa Silk Road, on będzie dysponował setkami kilogramów dowodów na powiązanie strony z prawdziwymi narkotykami.

Dużo się nauczył, samodzielnie robiąc zakupy w sklepie Silk Road. Orientował się już, kto co sprzedaje i czym może się różnić z wyglądu towar pochodzący z różnych krajów. (Niektórzy sprzedawcy używali kopert bąbelkowych. Czasem narkotyki chowano w codziennych przedmiotach takich jak pudełka płyt CD. Część dilerów ukrywała je w wydrążonych bateriach. Inni

przyklejali listki LSD na odwrocie zdjęć). Gromadząc wszystkie te informacje, odkrył jednak również coś niepokojącego. Strona rozwijała się zbyt szybko, by ktoś za nią nadążył.

Przez te kilka miesięcy, odkąd Jared zajął się sprawą, Jedwabny Szlak stał się fenomenem. Codziennie pisano o nim w prasie na całym świecie, a kolejni potencjalni nabywcy narkotyków i broni nabierali pewności siebie, więc baza klientów szybko rosła. Spore zainteresowanie prasy wiązało się z konsekwencjami nie tylko dla szefa Silk Road, ale także dla Jareda. Te wszystkie artykuły w gazetach i na blogach oznaczały, że o stronie dowiadywali się kolejni agenci, domyślał się więc, że wkrótce również zechcą się nią zająć. I miał rację.

Pewnego późnego popołudnia wiosną 2012 roku siedział w swoim gabinecie, przetrząsał najnowsze koperty przechwycone przez celników i jak lekarz oglądający zdjęcie rentgenowskie unosił fotografie narkotyków, by porównać je z tymi na stronie internetowej. Zadzwoił do swojej żony Kim. Chciał dokończyć pracę, zahaczyć jeszcze o lotnisko, a potem wrócić do domu, kiedy nagle z komputera dobiegło głośne DING! zwiastujące przyjście nowego mejla.

Nie był to pierwszy lepszy mejl. System używany do rejestracji prowadzonych śledztw powiadamiał każdego z agentów, kiedy ktoś w administracji państwowej przeczytał akta danej sprawy. Wiadomość otrzymana właśnie przez Jareda oznaczała, że dwie osoby z Biura Śledczego Bezpieczeństwa Krajowego w Baltimore, siostrzanej komórki należącej do tej samej agencji, w tej chwili przeglądają jeden z jego dokumentów. Kiedy tak siedział wpatrzony w ekran i zachodził w głowę, o co chodzi, rozległo się kolejne DING! A potem następne. Po chwili wokół rozbrzmiewały takie dźwięki, jakby starsza pani wygrała główną nagrodę w Las Vegas. DING! DING! DING! DING!

Kiedy zdezorientowany Jared zastanawiał się, co jest grane, zrobiło się jeszcze dziwniej. Jego przełożony w Chicago dostał mejla od innego przełożonego w Baltimore z informacją, że grupa agentów chce przyjechać do Wietrznego Miasta, by porozmawiać o Silk Road. Jakby ta niespodziewana prośba sama w sobie nie była dostatecznie osobliwa, agenci z Baltimore zamierzali przylecieć ze swoim prokuratorem federalnym.

To mogło oznaczać tylko jedno: Baltimore miało apetyt na sprawę prowadzoną przez Jareda. On jednak nie chciał, żeby ktokolwiek mieszał się do

jego polowania na Straszego Pirata Roberta. To było jego śledztwo, nie ich, zresztą inni z pewnością utrudnialiby mu łowy. Zdawał sobie również sprawę z tego, że jeśli powie to głośno, skończy się wewnętrznymi sporami, a te z kolei doprowadzą do „spotkania dekonfliktacyjnego”, na którym o tym, komu powierzyć śledztwo, zdecyduje ktoś wysoko postawiony. To nie był dla Jareda dobry scenariusz. W starciu ze starszymi agentami na pewno by przegrał. Dlatego on i jego szef z HSI zgodzili się przyjąć zespół z Baltimore w Dirksen Federal Building, gdzie nie tak dawno temu Jared namówił chicagowskiego prokuratora federalnego na śledztwo w sprawie Silk Road.

W dniu spotkania Der-Yeghiayan przybył do domu pięćdziesięcotonowego *Flaminga*, spodziewając się jednego albo dwóch ludzi z baltimorskiej ekipy. Do gabinetu wtoczyła się jednak istna armia złożona z agentów, asystentów oraz ich własnego federalnego prokuratora śledczego, który przedstawił się jako Justin.

Kiedy mieli już za sobą formalności i niezręczne uściski dłoni, odezwał się prokurator z Baltimore:

– Dziękujemy za to spotkanie. Jaredzie, czytaliście twoje raporty. – Na moment zerknął w jego stronę. – Robisz naprawdę świetną robotę, to są doskonałe dokumenty.

Wiem, kurwa, że czytaliście moje raporty – pomyślał Jared. Od tygodni dostaje na skrzynkę alerty co piętnaście, kurwa, minut. Powstrzymał jednak emocje. Zamiast odpowiedzieć, tylko się uśmiechnął i pokiwał głową.

Prokurator z Baltimore wyjaśnił, że obecni w pomieszczeniu agencji HSI, Mike i Greg (którzy pracowali z Carlem Force'em) przy okazji aresztowania trafili na poszlakę: zatrzymali dilerę, który poszedł na współpracę i podał im listę nazwisk osób handlujących narkotykami na stronie Silk Road. Następnie prokurator poinformował, że wyśledzą ludzi na tej liście, a „jedno z tych nazwisk będzie należało do szefa Silk Road”. Jego zespół siedział cały dumny z tego planu.

Jared nie mógł się powstrzymać i musiał im przerwać:

– Nie zdajecie sobie sprawy, z czym się mierzycie – powiedział zdenerwowany. – Nie macie szacunku dla Tora, bitcoinów i...

Justin z Baltimore zignorował jego uwagę i dał do zrozumienia, że śledztwo w sprawie witryny Silk Road przejmie baltimorskie HSI. Może pozwoli, żeby Chicago dołączyło, o ile Jared będzie mógł wspomóc śledztwo.

Rozwścieczony Jared chciał mu znowu przerwać, ale uprzedził go jego własny przełożony, najwyraźniej równie zirytowany tym, że agenci z Baltimore wparowali do ich miasta i próbowali się tu rzucić.

– Powiem wam, co zrobimy – oznajmił wojowniczym tonem. – Wy zajmiecie się swoją robotą, a my swoją.

W pokoju zapadła cisza. Wszelkie ślady serdeczności z początku spotkania zniknęły. Następnie zwierzchnik Jareda oznajmił, że jeśli HSI Baltimore wejdzie w paradę śledztwu prowadzonemu przez HSI Chicago, zwróci się wyżej i odpowiednio rozwiąże sprawę.

– Jeśli będzie trzeba, przeprowadzimy dekonfliktację.

Na moment zrobiło się cicho, a potem znowu odezwał się Justin:

– W porządku – rzekł, a grupa z Baltimore zaczęła się szykować do wyjścia.
– Ale jesteśmy w zasadzie pewni, że zamkniemy tę stronę w ciągu paru tygodni.

Bunt

Przechodzi przez to każdy założyciel.

Kiedy Facebook wprowadził oś czasu, kilkumilionowa baza użytkowników wściekła się z powodu naruszenia prywatności związanego z mimowolnym dzieleniem się z innymi każdym wydarzeniem czy postem. Mark Zuckerberg nie miał jednak wyboru – musiał zwiększać dochody, a to była droga w tym kierunku. Uber przechodził przez to samo, kiedy firma stanowczo odmówiła rezygnacji z systemu cen dynamicznych, który sprawiał, że koszt przejazdów praktycznie bez ostrzeżenia rósł dwu-, trzy-, a czasem nawet ośmiokrotnie. Travis Kalanick nie miał jednak wyboru – musiał zwiększać dochody. Każda firma z branży technologicznej mierzyła się z takimi wyzwaniem: Twitter, Google, Apple, Yahoo. Wszystkie pozornie robiły swoich klientów w wała dla własnego zysku. Ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, że są to po prostu trudne decyzje, jakie muszą podejmować szefowie, żeby przeżyć.

Jeśli więc Ross myślał o dalszym rozwoju Silk Road, również musiał je podejmować. I dokładnie tak samo jak zmiany na Facebooku, w Uberze i każdym innym start-upie w Dolinie Krzemowej wkurzyły dotychczasowych użytkowników, dilerów na stronie Silk Road oburzyły najnowsze decyzje Straszego Pirata Roberta. Do tego stopnia, że zaczęto mówić o buncie na pokładzie.

Pogłoski o rebelii niosły się po okręcie tygodniami. Z początku Ross to lekceważył, uznając, że rozsiewa je po prostu paru niezadowolonych sprzedawców. Teraz jednak rozmowy na ten temat stawały się coraz głośniejsze, mówiono, że na stronie może dojść do rewolty, a może nawet masowego exodusu.

Niepokoje zaczęły się na początku tego roku, kiedy Ross postanowił podnieść prowizję pobieraną od sprzedawców na stronie. Dotąd bez względu na to, czy ktoś kupił mały woreczek nasion marihuany za pięć dolarów, czy

kokainę wartą pięć tysięcy, serwis Silk Road za umożliwienie tej transakcji potrącał prowizję w wysokości 6,23 procent. Taki podatek doskonale sprawdzał się w przypadku drobnych handlarzy, których każda sprzedaż kosztowała grosze. Dilerzy zbywający największe ilości narkotyków byli jednak zmuszeni do płacenia olbrzymich prowizji. Żeby tego uniknąć, niektórzy z najpoważniejszych zawodników zaczęli dokonywać transakcji na boku, za które szef całego przedsięwzięcia nie dostawał ani grosza.

Straszny Pirat Roberts i Variety Jones obmyślili więc plan. Sporządzili „orzędzie o stanie szlaku”, w którym ogłosili zmianę dotychczasowych opłat. „Od tej pory zamiast jednej stawki prowizji – napisał Ross w liście do użytkowników – będziemy pobierać wyższą opłatę za tańsze artykuły, a niższą za droższe, podobnie jak robi to eBay”. W oświadczeniu znalazła się informacja, że odtąd od zamówień poniżej pięćdziesięciu dolarów będzie pobierane dziesięć procent prowizji, zaś od zamówień wartych ponad tysiąc dolarów – półtora procent, z kilkoma pośrednimi progami, co w sumie miało dać zrównoważoną skalę prowizji. Ross zakończył swoje „orzędzie o stanie szlaku” słowami Fidela Castro z przemówienia w 1962 roku: „Wierzę, że przed nami świetlana przyszłość i że wkroczymy w nią zwycięsko”.

Nie wszyscy nabywcy i sprzedawcy podzielali jednak tę opinię na temat przyszłości. Co prawda niektórzy cieszyli się z zapowiedzianych zmian w opłatach (zwłaszcza handlujący dużymi partiami narkotyków), inni jednak byli wściekli, a najbardziej dilerzy, którzy sprzedawali małe dawki w znacznych ilościach. W ciągu zaledwie kilku minut na forach Silk Road wybuchła chaotyczna debata.

Ta reakcja autentycznie wprawiła Rossa w zmieszanie. Było mu wręcz przykro. Czy ci ludzie nie pojmowali, że gdyby nie on i jego rewolucyjne idee, Jedwabny Szlak w ogóle by nie istniał? Gdyby nie jego praca, dalej kupowaliby i sprzedawali dragi na ulicy, ryzykując aresztowanie lub, co gorsza, wpłatanie się w brutalną wojnę gangów, okradzenie, pobicie albo wręcz śmierć podczas transakcji, w której coś poszło nie tak. A jednak mieli czelność narzekać na drobną zmianę prowizji. Czy nie wiedzieli, że to wszystko nie mogłoby działać samo z siebie? Że to nie jest pitolony non profit? To jest, kurka, biznes!

Ross bardzo przejął się negatywną reakcją na zmiany prowizji. Wystosował odpowiedź, której sens był taki, że w gruncie rzeczy wszyscy mogą się iść pieprzyć. „Czy wam się to podoba, czy nie, ja jestem kapitanem tego statku –

wykrzyczał w odpowiedzi na krytykę. – Jeżeli nie podobają wam się reguły gry albo nie ufacie kapitanowi, możecie zejść z pokładu”.

Nie była to najlepsza przemowa motywacyjna do załogi. Na szczęście z upływem czasu fala oburzenia opadła i większość ludzi zaakceptowała zmiany. Garść niepokieszonych dilerów wciąż jednak nie mogła się z nimi pogodzić. Do Rossa zaczęły docierać pogłoski na temat ich planów.

„Podejrzewam, że niektórzy myślą o ewakuacji albo stworzeniu konkurencyjnych stron – napisał SPR do VJ-a. – Nie chcę buntu”.

Variety Jones postanowił więc zapuścić się na dolne pokłady, wmieszać się w dilerów i nabywców, aby przekonać się, ile osób jest zaangażowanych w rewoltę oraz czy rzeczywiście może do niej dojść.

To właśnie mniej więcej w tym czasie, pewnego późnego popołudnia pod koniec kwietnia, w skrzynce pocztowej Straszego Pirata Roberta pojawił się mejl z niejasną propozycją. Wiadomość zaczynała się od słów „Szanowny panie Silk Road, jestem ogromnym wielbicielem pańskiej pracy”. Nadawca przedstawiał się jako Nob i dalej krótko wyjaśniał, że od dziesięcioleci przemycza narkotyki z Ameryki Południowej. Najlepsze było zakończenie listu. „Chcę kupić tę stronę”.

Gdyby niespodziewana oferta kupna strony trafiła do skrzynki Rossa pięć miesięcy wcześniej, kiedy stres najbardziej dawał mu się we znaki, a relacje osobiste nigdy nie były tak złe, zapewne zgodziłby się praktycznie bez namysłu. Napisałby pewnie: „Daj mi worek bitcoinów i strona jest twoja. Tylko uwaga: jeszcze nie umie załatwiać się w domu”. Ale dzisiaj, w połowie kwietnia – nawet mimo pogłosek o potencjalnym buncie – Ross myślał o przyszłości zupełnie inaczej.

Teraz prowadził prawdziwy biznes. Miał niemal tuzin pracowników, którzy poprawiali kod, monitorowali fora i zajmowali się wsparciem użytkowników. U jego boku stał Variety Jones, który pomagał mu sterować okrętem. Ross zaczynał pojmować, że projekt Silk Road będzie o wiele bardziej znaczącym dziełem, niż kiedykolwiek by sądził. Co ważniejsze, niedawno doznał olśnienia, że to właśnie ta strona internetowa, która miała swój początek jako nieśmiały sen, stanie się dziełem jego życia. I rzeczywiście zmieniała się w istne opus magnum.

Uważał, że mimo wszystko nie zaszkodzi odpisać temu Nobowi, kimkolwiek był, i przekonać się, ile jest skłonny zapłacić. Gdyby projekt Silk Road był start-

upem w Dolinie Krzemowej, oferta finansowa stanowiłaby jedną z metod oceny jego wartości. Bądź co bądź, co się mogło zdarzyć najgorszego? Dostanie od Noba zaniżoną propozycję i na tym skończy się rozmowa. Kliknął przycisk „odpowiedz”, wpisał bardzo krótką, ośmiowyrazową wiadomość i nacisnął „wyślij”. „Jestem otwarty na propozycję. Co masz na myśli?” – brzmiał mejl.

Czekając na odpowiedź od VJ-a w sprawie buntu, Ross zajął się swoimi sprawami. Szykował się właśnie do wycieczki pod namiot z kumplami z liceum.

Wrócił do Teksasu kilka tygodni wcześniej. Tak jak obiecał Variety Jonesowi, medytował wcześniej rano albo późnym popołudniem, a potem przez kilka godzin pracował nad stroną. Żeby nie postradać zmysłów i nie ulec lękom przed organami ścisania, po pracy prowadził życie towarzyskie jak każdy programista na zwykłym etacie. Chodził na wędrowniki do lasu położonego tuż za Austin, z jednymi kolegami ze szkoły palił trawę, z innymi uprawiał wspinaczkę. I na szczęście odkąd wrócił do Stanu Samotnej Gwiazdy, nie natknął się na Julię.

Minęło kilka dni, zanim Nob znowu się odezwał, ale jego kolejny mejl był zaskakujący. Twierdził w nim, że aby móc złożyć oficjalną ofertę kupna Silk Road, najpierw musiałyby przejrzeć dokumenty finansowe, w tym „miesięczną sprzedaż brutto na stronie, sprzedaż netto, prowizje potrącane od sprzedaży, łączną liczbę sprzedawców, łączną liczbę nabywców, koszty konserwacji i aktualizacji strony (?), wynagrodzenia dla administratora i moderatorów”.

Ha! – pomyślał Ross. Nie ma mowy!

Te dane widziały tylko dwie osoby na świecie; jedna nazywała się Straszny Pirat Roberts, a druga – Ross Ulbricht. Wszystkich szczegółów nie znał nawet Variety Jones.

SPR grzecznie odmówił udostępnienia danych Nobowi, uzasadniając to wysokim ryzykiem, że informacje trafiłyby w ręce służb. Mimo to postanowił rzucić potencjalną ceną za stronę, by przekonać się, czy rozmówca w ogóle jest zainteresowany kupnem. Zresztą już samo rozmyślanie nad wartością jego dzieła było podniecające. Wartość Facebooka szacowano na osiemdziesiąt miliardów dolarów. Twitter był wart dziesięć miliardów, mimo że tamtejsze zarządzanie to istny cyrk. Nawet jeśli wartość Silk Road nie osiągnęła (jeszcze) podobnych poziomów, to dla odpowiedniego kupca na pewno przedstawiała porównywalną wartość. „Myślę, że oferta za całość musiałaby być dziewięciocyfrowa, żebym ją rozważył” – napisał Ross do Noba.

Kontynuowali rozmowę, a tymczasem odezwał się Variety – z podszeptami i gotowym raportem dla Straszego Pirata Roberta. Wyglądało na to, że pogłoski o buncie są prawdziwe. Grupa dilerów niezadowolonych z nowych stawek prowizji rozważała dalsze kroki.

Ross dowiedział się, że pierwszą opcją, jaką biorą pod uwagę, jest przeniesienie się na nową, znacznie mniejszą stronę, która pojawiła się niedawno. Nosila nazwę Black Market, czyli Czarny Rynek. Opcja numer dwa: stworzenie własnej konkurencyjnej strony z o wiele niższymi prowizjami. Wreszcie najgorszy scenariusz, podobny do tego, co w realu dzieje się na co dzień w firmach, gdy rada nadzorcza dymisjonuje dyrektora generalnego. Dilerzy rozmawiali mianowicie o zhakowaniu strony (co było możliwe, zważywszy na mnóstwo luk w zabezpieczeniach) i jej przejęciu.

Bardziej niepokojąca od któregośkolwiek z tych scenariuszy okazała się jednak druga sprawa, którą Variety Jones odkrył podczas swojej misji rozpoznawczej. Jak wyjaśnił SPR-owi, kłopot nie polegał tylko na tym, że ludzie byli niezadowoleni z wysokich prowizji. Na horyzoncie majaczyła znacznie poważniejsza kwestia. Taka, która nigdy nie wpadłaby Rossowi do głowy, kiedy kilka lat wcześniej wymyślił Jedwabny Szlak.

Miliard dolarów?!

Carl siedział przy swoim laptopie i czytał mejla od Straszego Pirata Robertsza. Zaczynał się on od słów: „Trudne pytanie. To dla mnie coś więcej niż biznes, to rewolucja, która stała się dziełem mojego życia”. Potem padała cena: „Myślę, że oferta za całość musiałaby być dziewięciocyfrowa, żebym ją rozważył”.

Dziewięciocyfrowa! Widząc to słowo, Carl nieomal się zakrztusił. Mogło chodzić o zaledwie sto milionów dolarów albo aż o dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć milionów. Wiedział jednak, że SPR na pewno nie ma na myśli tej najniższej kwoty. Zaskoczyło go to, jak wielkim przedsięwzięciem musi być cały serwis Silk Road.

Do tej pory wszyscy w zespole specjalnym w Baltimore oraz w DEA zakładali, że wartość strony jest stosunkowo mała. Ta wycena jednak temu przeczyła. Agenci DEA wyobrażali sobie, że Jedwabny Szlak może być wart kilka milionów. Carl sądził, że maksymalnie – choć to mało prawdopodobne – mogłoby chodzić o dwadzieścia pięć milionów. Ale dziewięć cyfr? Teraz był podekscytowany koniecznością obmyślenia odpowiedniej reakcji na tak wysoką kwotę.

Ostatnio zrobił się bardzo pobudliwy. Jego nastrój bywał wręcz nieprzewidywalny, Carl ciągle miotał się między buzującym entuzjazmem a drażliwością i niepokojem o losy śledztwa. Te uczucia tylko potęgował czas upływający między kolejnymi odpowiedziami od SPR-a, bo nieraz trzeba było na nie czekać całymi dniami.

Żeby zapanować nad emocjami, Carl czasami ćwiczył – no, tak jakby. Co prawda zdarzało się, że korzystał z bieżni w służbowej siłowni DEA, poza tym jednak walczył ze stresem, uprawiając zapasy z kolegami z pracy. Tarzał się z innymi dorosłymi mężczyznami po podłodze baltimorskiego biura agencji, zupełnie jakby należeli do podziemnego kręgu. Potem wstawał zdyszany i wracał do laptopa, żeby sprawdzić, czy SPR nie odpisał.

Formalnie rzecz biorąc, gdy odpowiadał Strasznemu Piratowi Robertsowi, ponownie naruszał protokół. Niedawno zrugął go jego szef Nick. Twierdził, że ilekroć Carl kontaktuje się z SPR-em, powinien porozumieć się z zespołem z Baltimore (który nazwano zespołem specjalnym Marco Polo), a wszelka korespondencja ma być zatwierdzona przez przełożonych. Agent specjalny Carl Force był jednak na służbie od czternastu lat i największą złość wzbudzały w nim dwie grupy: jedną byli zwierzchnicy, a drugą – zwierzchnicy młodszy niż on (czyli wszyscy w zespole Marco Polo).

Nie ma mowy. Nigdy w życiu. Zupełnie nie interesowało go komisyjne korespondowanie z baronem narkotykowym. Przemyślawszy mejla od SPR-a, znowu postanowił działać na własną rękę.

„Mógłbym zapłacić dziewięćcyfrową kwotę, ale nie jestem pewien, czy strona Silk Road jest w tej chwili tyle warta” – napisał jako Nob. Potem dołączył propozycję, która musiała zainteresować szefa strony. „Chciałbym stworzyć poboczny projekt dla największych dilerów, noszący nazwę »Masters of the Silk Road« [Władcy Jedwabnego Szlaku]. Duży handlarze mogliby tam łatwo sprzedawać narkotyki na kilogramy, a nawet tony, zamiast na uncje”. Nob zapewnił SPR-a, że mógłby pomóc w prowadzeniu tego nowego Costco^[1] z narkotykami, ponieważ zna szlaki przemytnicze na całym świecie. Wreszcie zaoferował Strasznemu Piratowi Robertsowi zastrzyk gotówki w wysokości dwóch milionów dolarów w zamian za dwudziestoprocentowy udział w projekcie Władcy Jedwabnego Szlaku.

Kliknął „wyślij”, po czym pomaszerował do gabinetu Nicka, by z buntowniczą radością oznajmić mu, co zrobił. Nick oczywiście dostał szału. Na wyznanie Carla zareagował potokiem przekleństw: „jeb się”, „jebać to” i „jebane tamto”.

Carl miał gdzieś opinię Nicka. Jasne, zadzierał ze swoim szefem, wiedział jednak, że za coś takiego nikt nie może go zwolnić. To jedyna zaleta biurokracji związanej z pracą w administracji państwowej: często trudniej kogoś zwolnić niż zatrudnić. A co do tych „nygusów” – jak określał członków zespołu z HSI Baltimore – miał głęboko w dupie, co powiedzą.

Sprawa była prosta: Carl wszedł w bezpośredni kontakt z szefem serwisu Silk Road, a jeśli jego plan się powiedzie, nawiąże z nim relację. Jeżeli to się uda, agent Carl Force wpakuje Straszniego Pirata Roberta za kratki w ciągu

kilku tygodni. Założyciel sklepu internetowego wylądował w więzieniu, a agent Force zostanie okrzyknięty bohaterem, który go złapał.

Kandydat na miliardera w Kostaryce

Wszędzie panował taki spokój. Ocean, powietrze, niebo. Ross chłonał otoczenie i czuł się do głębi szczęśliwy. Był wczesny poranek w Kostaryce, ponad spokojną taflą wiał łagodny wiatr ze wschodu. Ross siedział na unoszącej się na wodzie desce surfingowej.

Przez ostatnie miesiące nad Silk Road majaczyło widmo buntu, ale ostatecznie do wybuchu nie doszło, chociaż parę osób odpowiedzialnych za próbę rebelii przeniosło się do nowych, znacznie mniejszych konkurentów w darknecie.

Po pozbyciu się wichrzycieli strona znowu działała stosunkowo płynnie – pracownicy robili swoje pod kierownictwem kapitana Straszego Pirata Roberta – i nadal rozwijała się w oszałamiającym tempie. Zyski Rossa zwiększały się z każdą sekundą, i to dosłownie, ponieważ wartość bitcoinów gwałtownie rosła. To było tak, jakby przed snem włożył do kieszeni banknot dolarowy, a nazajutrz rano znalazł tam dwa (albo i trzy) dolary. W efekcie osobisty majątek netto Ulbrichta wynosił teraz dziesiątki milionów dolarów.

Ross ulepszał również protokoły bezpieczeństwa. Żeby mieć pewność, że ludzie, którzy dla niego pracują, nie zostali zdekspirowani przez policję, nakazał najbliższym doradcom przyjęcie systemu haseł i odzewów, które znali tylko oni. Tak więc jeśli pytał pracownika „jak pogoda?”, ten musiał odpowiedzieć dokładnie taką frazą: „Kurczę, ale tu na Bahamach zimno”. Jeśli napisałby coś innego, na przykład „Ładna, a u ciebie?”, Ross zorientowałby się, że coś jest nie w porządku i mógłby natychmiast zamknąć konto takiej osoby. Każdy pracownik miał własne hasło i odzew. „[Jeśli zapytam] czy możesz mi zasugerować dobrą książkę – napisał do jednego z podwładnych – masz odpowiedzieć: Polecam poczytać Rothbarda”.

Jeszcze ważniejsze było jednak to, że w końcu wymyślił, jak zakończyć temat Julii i jej wiedzy na temat Silk Road. Zamierzał rozwiązać tę sprawę raz

na zawsze za parę tygodni, po powrocie do Teksasu.

Poleciał do Kostaryki pod koniec maja, żeby ukryć się na magicznym skrawku ziemi, który posiadała tam jego rodzina: półtorahektarowej enklawie na południowym końcu kostarykańskiego półwyspu, noszącej nazwę Casa Bambu. Był to raj z dostępem do internetu.

To miejsce było dla Rossa szczególnie z wielu powodów. W dzieciństwie, kiedy nie przebywał w Teksasie, dorastał tutaj, penetrował dżunglę z siostrą, siedział na werandzie z matką, słuchając odgłosów wyjców, a z ojcem uczył się surfować na miniaturowej desce z pianki. Miał jednak bardziej znaczącą przyczynę, by kochać Casa Bambu: była jedną z inspiracji, które doprowadziły do powstania strony Silk Road. Dwadzieścia lat wcześniej rodzice Ulbrichta zakochali się w tej okolicy podczas urlopu i postanowili zbudować na pastwisku rodzinny dom wakacyjny. Ojciec Rossa (z kilkoma przyjaciółmi i miejscowymi) postawił cztery chatki, które łącznie tworzyły zasilane energią słoneczną ustronie w stylu *Szwajcarskich Robinsonów*. Przez część roku Ulbrichtowie wynajmowali dom turystom, więc raj sam na siebie zarabiał, i to z nawiązką. To osiągnięcie zainspirowało Rossa, który postanowił także zbudować coś od zera. No i proszę, jak mu wyszło!

Pewnego razu zwierzył się Variety Jonesowi ze swych wcześniejszych wybujałych marzeń, które teraz wydawały się w zasięgu ręki. Miał na myśli zwłaszcza potajemną deklarację, którą złożył sam sobie w 2004 roku, że zanim osiągnie trzydziestkę, jego majątek wyniesie miliard dolarów. Bardzo długo wydawało się, że w tych staraniach poniesie sromotną klęskę. Teraz jednak, dwa miesiące po dwudziestych ósmych urodzinach, cel wcale nie wydawał się już taki nieosiągalny. Gdy Ross zapoznał się z aktualną tendencją wzrostu i obliczył przyszłe obroty strony Silk Road, powiedział VJ-owi podczas jednej z długich rozmów „to się może zdarzyć”. Było całkiem prawdopodobne, że za dwa lata zostanie miliarderem.

Pokazał VJ-owi najnowsze arkusze kalkulacyjne z zestawieniem przychodów i prognoz dotyczących działalności strony, a ten zareagował pełnymi szoku słowami „ja pierdołę!”, po czym dodał: „Wygląda na to, że w 2012 na luzie zarobimy sto milionów! Cel: miliard w 2013!”.

„No to wio” – odpisał Ross.

Aby to osiągnąć, strona musiała się dalej rozwijać. SPR i VJ eksperymentowali z różnymi pomysłami, między innymi wymyślili konkurs

„4/20”^[2], którego uczestnicy mogli wygrać w losowaniu różne nielegalne rzeczy, a także trochę legalnych, na przykład w pełni opłacone wakacje plus kieszonkowe.

Variety Jones i SPR wiedzieli jednak, że konkursy i sama witryna Silk Road to za mało, by zapewnić Rossowi upragniony status miliardera. Strona wymagała dywersyfikacji i wejścia na inne rynki, co umożliwiłoby dotarcie do większej liczby klientów. Mężczyźni rozważali stworzenie całej rodziny podziemnych stron internetowych, które wykorzystywałyby markę Silk Road. Strona SilkDigital mogłaby oferować artykuły elektroniczne do ściągnięcia, na przykład wykradzione oprogramowanie albo narzędzia dla hakerów, SilkPharma zaś proponowałaby leki przeciwbólowe, stymulanty i zamulacze. SPR i VJ brali też pod uwagę stworzenie strony z bronią. Takie rozszerzenia wymagały jednak pracy. Ross postanowił więc pojechać do niewielkiego rajku rodziców w Kostaryce, żeby skoncentrować się na tym właśnie problemie.

Matka i ojciec nie mieli pojęcia, nad czym pracuje ich syn. Kto spojrzałby na własne dziecko, które kiedyś było harcerzem, potem fizykiem, jako dwudziestolatek oddawało książki do miejscowego więzienia, i pomyślałby: „Może właśnie staje się jednym z największych dilerów narkotyków na świecie?”. Nikt. Coś takiego nie przyszłoby im do głowy. Kiedy Lyn i Kirk patrzyli na syna, widzieli błyskotliwego dwudziestoosmioletniego idealistę, który spędza tak dużo czasu przy komputerze, ponieważ handluje akcjami.

Ross wierzył, że przyjdzie taki dzień, w którym zapoczątkowany przez niego ruch będzie nie do powstrzymania, dzięki czemu udowodni rządowi Stanów Zjednoczonych, że jedyny sposób na wygraną w wojnie z narkotykami to ich pełna legalizacja. Wtedy i tylko wtedy Straszny Pirat Roberts będzie mógł ściągnąć maskę, a Ross Ulbricht wyjdzie na scenę i ukloni się publiczności. Matka z dumą spojrzy na syna, bohatera ruchu libertariańskiego, ruchu, który zakiełkował w jego sercu podczas dyskusji przy rodzinnym stole w Austin.

I on, i VJ wiedzieli jednak, że nie nastąpi to jeszcze teraz.

Ross wyskoczył z wody na plaży w Kostaryce, otarł piasek z ciała i spałaszował śniadanie, a potem pobiegł pracować na osobności na laptopie, z dala od wścibskich spojrzeń. „Z całą pewnością jestem w tej chwili w magicznym miejscu – powiedział Variety Jonesowi po zalogowaniu się w okienku czatu. – Chodzę narąbany tlenem i morską bryzą”.

Na horyzoncie jednak majaczyło już znajome widmo kłopotów, bo VJ chciał porozmawiać o czymś jeszcze.

„Stary, martwię się o naszego zwycięzcę” – napisał, odnosząc się do osoby, która w ich konkursie 4/20 wygrała opłacony wyjazd i parę tysięcy kieszonkowego.

„O co biega?” – zapytał SPR.

„Próbuje detoksu. Heroina. Nie wychodzi mu, a świeży przyływ kasy chyba nie pomógł”.

„O rany. Kurwa, co my wyrabiamy?” – odpisał Ross, a potem zażartował: „Trzeba było przemyśleć pomysł podrzucenia czterech koła narkomanowi. Może naszą następną nagrodą powinny być 3 miesiące na odwyku?”.

„Aha – zgodził się VJ. – Kiedy Gillette robi promocje, to nie ma takich problemów”. Potem żartem stwierdził, że slogan następnego konkursu powinien brzmieć: „Wygraj 3 miesiące na odwyku! Im więcej narkotyków kupisz, tym większą masz szansę na wygraną!”.

Ross skierował rozmowę na pilniejsze kwestie, a mianowicie na sposoby rozbudowy strony Silk Road i zapewnienia jej dalszego wzrostu, tak aby osiągnąć upragniony dziesięciocyfrowy wynik. Spokojne kostarykańskie niebo poszarzało. Na horyzoncie pojawiła się gwałtowna burza, która złowieszczo zbliżała się do lądu.

Variety Jones jedzie do Szkocji

Była ciemna i cicha noc w szkockim Glasgow, na zegarze w pokoju hotelowym właśnie minęła druga w nocy, a siedzący przy komputerze mężczyzna w średnim wieku sączył wodę, żeby ukoić pragnienie.

Człowiek znany jako Variety Jones łyślał i wyglądał niechlujnie. Miał poplamioną koszulkę wyciągniętą pod szyję i zmęczone oczy z obwisłymi powiekami niczym plastikowa figurka, którą ktoś postawił za blisko ognia. Przeszedł w życiu piekło, jego ciało wyniszczyły lata choroby, narkotyków i więzienia, ale wyraźnie cieszył się tą podróżą. Na ekranie komputera widniało kilka okien. W jednym znajdował się chyba kod programu, a w drugim dwuosobowy czat.

Mężczyzna o obwisłych powiekach kliknął okienko czatu i zaczął pisać.

„Stuku stuku stuk” – napisał do SPR-a i nacisnął enter.

Po chwili pojawiła się odpowiedź: „Stukando”.

„Jestem w krainie puszek piwa po 12 euro w minibarze – poinformował Jones. – Sama radość!”

„Witaj, hotelowy rachunku”.

Przez ostatnie kilka miesięcy VJ siedział przyczajony w Londynie z dziewczyną i pracował nad stroną Silk Road ze swym nieoficjalnym szefem, Straszny Piratem Robertsem. Ich relacja przeważnie układała się wspaniale. Umiejętności mężczyzn wzajemnie się uzupełniały, a ich światopogląd był w dużej mierze zbieżny. Po przyjeździe do Glasgow, żeby świętować śmierć wuja (tak, świętować, bo klan Jonesów, jak wyjaśnił SPR-owi mężczyzna, urządza huczniejsze pogrzeby niż wesela, podczas nich trumna stoi pośrodku pubu, są tańce i picie, wokół zmarłego wujka kręci się czterystu bliskich i znajomych), Jones włączył komputer, żeby spiknąć się z SPR-em i rozstrzygnąć pewien spór moralny, który prowadzili.

Nieczęsto się kłócili. Jonesa i Straszego łączyła niezachwiana więź – prawdziwa serdeczna przyjaźń, która zrodziła się rok wcześniej, kiedy poznali się na Silk Road. Wzmacniało ją wspólne przekonanie, że narkotyki powinny być legalne, broń też. VJ był lojalnym sługą i towarzyszem. Mówił nawet o kupnie firmy ze śmigłowcami, żeby wyciągnąć SPR-a z więzienia, gdyby go kiedyś złapano. „Pamiętaj, że kiedy pewnego dnia wyjdiesz na spacer, ja będę siedział w tym nisko i szybko lecącym helikopterze, obiecuję – napisał do Straszego. – Generujemy tyle \$, że mógłbym wynająć jakieś małe państwo, żeby cię odbić”.

Nawet jednak przy tak silnej więzi zdarzały się fundamentalne różnice zdań co do kierunku, w jakim zmierzała strona. W pewnej kwestii Variety Jones rozpaczliwie usiłował zmienić punkt widzenia SPR-a.

W jego mniemaniu w ogóle nie podlegało wątpliwości, że Straszny Pirat Roberts jest libertarianinem pełną gębą, przekonanym, że Silk Road powinna być miejscem, w którym można sprzedać i kupić wszystko. Nie istniały żadne zasady, sklep oferował nielegalne towary na każdą literę alfabetu: amyl, benzo, crack, DMT, ectasy, feta, GHB... Variety Jones miał jednak poważny problem z literą „H”. Nie przeszkadzało mu nic przed nią i po niej, ale heroiny nie cierpiał.

„Nawet z koksem nie mam problemu – pisał do SPR-a – ale hera... Stary, w więzieniu widziałem gości... Wolałbym, żeby tego gówna nie było”.

Otwarcie mówił o swoim pobycie za kratkami. Opowiadał długie i zabawne historie o ludziach, których tam poznał, i szczegółach omijania systemu, między innymi o tym, że w brytyjskich więzieniach, w których przebywał lata temu, walutą były puszki makreli. „Traktuję [więzienie] jak przebywanie w kraju trzeciego świata z kiepską infrastrukturą komunikacyjną” – żartował.

Dzielił się ze Straszonym Piratem Robertsem więziennymi historiami nie dla zabawy, ale w ramach przygrywki do opowieści o tym, co heroina robi z ludźmi. W pierdłu badania na obecność narkotyków przeprowadzano losowo, ale zawsze w tygodniu, od poniedziałku do piątku. Każdy wiedział, jak długo poszczególne narkotyki utrzymują się w organizmie. Jeśli na przykład jakiś więzień palił trawę, ślady pojawiały się w sikach przez miesiąc. Dlatego za kratkami nikt po nią nie sięgał. Heroina pozostaje natomiast w krwiobiegu przez góra dwa dni. Co oznacza, że jeśli dasz w żyłę w piątek, w poniedziałek rano nic już nie zostanie, w samą porę, aby przystąpić do badania.

„W piątki – pisał VJ – ludzie walili herę jak dzicy”. W skrzydle o zaostrzonym rygorze, gdzie przebywał, dni hery nazywano Piekielnymi Dniami. „Goście łądowali tygodniową dawkę hery w cztery godziny”. Wycie więźniów, kiedy odlatywali, zamieniało się w jęki, gdy schodzili, a potem następował cały tydzień świrowania i rzygania na zwale, nie mogli spać, szarpali się w łózkach, czekając na następny piątek, by mogli uśmierzyć ból z poprzedniego, i cały cykl zaczynał się od nowa. „Źle to wtedy wyglądało – dodał VJ. – Chcieli tylko spać”.

Teraz, już od dawna na wolności, w roli prawej ręki szefa największej strony z narkotykami na świecie, Variety Jones stanął przed dylematem moralnym.

SPR rozmawiał z południowoamerykańskim przemytnikiem Nobem o przerzucie dużych ilości heroiny przez Wielką Brytanię i hurtowej sprzedaży na stronie Masters of the Silk Road. Zanim jednak mogli zacząć pracę nad tym projektem i przyjąć pieniądze od Noba, musieli się upewnić, że ten gość jest w porządku. SPR poprosił więc VJ-a, swego *consigliere*, o pośredniczenie w próbnej transakcji.

Jones napisał Strasznemu wprost: „Myślę, że nie mógłbym zarabiać na imporcie hery. Jak chcesz, będę ci służył pomocą i radą, ale nie chcę z tego czerpać korzyści”.

Ross nigdy nie widział na żywo skutków działania heroiny. Przyznał VJ-owi, że opis Piekielnych Dni brzmi okropnie. Nie wpłynęło to jednak na jego system wartości. Jak argumentował jeszcze na Penn State, nie do niego należało decydowanie, kto co może wprowadzać do organizmu. „Oddzielam moralność osobistą od biznesowej – wyjaśnił Jonesowi. – Pomógłbym przyjacielowi zerwać z uzależnieniem i namawiałbym go, żeby w ogóle w to nie wchodził, ale nigdy nie uniemożliwiłbym mu tego bezpośrednio, chyba że sam by mnie poprosił”.

Variety Jones zastanawiał się, jak mocno naciskać w tej kwestii. Starał się, jak mógł, doradzać Strasznemu Piratowi Robertsowi, czasem jednak ego SPR-a brało górę. Nieraz zdarzało się, że VJ tracił cierpliwość. „Powinieneś zachowywać się jak Steve Jobs, nie jak Larry the Cable Guy^[3] – napisał Strasznemu w związku z jednym z wcześniejszych sporów. – Przywódcy są liderami, a nie rzucają hasła na chybił trafił i patrzą, które zażre”.

SPR często próbował bronić swoich opinii, ale nie miał sposobu na Variety Jonesa, maestra klawiatury, wybitnego dyskutanta i godnego rywala, który

potrafił postawić się Strasznemu na dowolny temat – i często to robił.

Rozmowa o heroinie trwała przez jakiś czas, nic jednak nie wskazywało na to, żeby SPR zamierzał ustąpić. Dlatego VJ, siedząc w ciemnym pokoju hotelowym w Glasgow, w końcu postanowił pozwolić mu wygrać.

Zdecydowały dwa czynniki. Pierwszy sięgał czasów, gdy Jones po raz ostatni pozwolił, by podobna różnica zdań wbiła klin między niego a współnika w interesach. Było to wiele lat wcześniej, kiedy VJ współzarządzał forum internetowym handlującym nasionami marihuany. Spór spowodował upadek tamtego przedsięwzięcia i, jak twierdził Jones, zakończył się strzelaniną w Teksasie.

Ale co ważniejsze, Variety Jones postanowił ustąpić, ponieważ miał znacznie szerzej zakrojone plany związane z projektem Silk Road. Straszny Pirat Roberts jeszcze o tym nie wiedział, ale VJ nie zamierzał pozostać zwykłym pracownikiem – pragnął być współkapitanem okrętu.

Otwarcie zbrojowni

Ross przewidział wiele różnych scenariuszy związanych z Silk Road, ale tego – nie. Wiele lat wcześniej wyobrażał sobie wolny rynek, na którym każdy może kupić i sprzedać wszystko, nie będąc przy tym śledzonym przez rząd. Nie byłoby biurokratów dyktujących ludziom, co mogą wciągać, łykać czy wstrzykiwać. Strona byłaby całkowicie wolna i otwarta. I dokładnie taka się stała.

Dla niektórych nabywców i handlarzy ta wolność stanowiła jednak problem. Wyluzowani ludzie kupujący i sprzedający zioło nie chcieli być kojarzeni z nabuzowanymi ludźmi kupującymi i sprzedającymi kokainę. Części dilerów twardych narkotyków nie podobało się towarzystwo prawicowych świrów, którzy handlowali bronią. Z kolei niektórzy goście od broni nie chcieli trafiać do jednego worka z oślizgłymi dilerami heroiny. I tak w kółko. Mimo że wszyscy oni prowadzili nielegalną działalność, każdy był przekonany, że jego zabroniony towar jest przyzwoitszy niż inny.

Variety Jones był wyjątkowo wyczulony na tę niewidoczną dynamikę. Już od jakiegoś czasu ostrzegał szefa, namawiając go na wyrzucenie ze strony broni, żeby nie stracić handlarzy trawą. Na dodatek mainstreamowi klienci czuliby się dzięki temu bardziej komfortowo. „Babcia mogłaby do nas zajrzeć po tanie leki z Kanady – argumentował – i nie natknęłaby się na glocka 9 mm w drodze do kasy”.

Ross widział to jednak inaczej. Pod wieloma względami umiejętność zaakceptowania działań każdego człowieka była jego supermocą. Praktykował tę filozofię od czasów szkoły średniej aż do urzeczywistnienia Silk Road. Nie pojmował więc, dlaczego inni nie mogą po prostu zająć się swoimi sprawami i cieszyć się stworzonym przez niego wolnym światem.

Ze względu na tę bezwarunkową gotowość Rossa do akceptacji innych na stronie można było teraz nabyć ponad dwa tysiące różnych narkotyków, a także

artykuły laboratoryjne potrzebne do produkcji własnych dragów oraz do ich przechowywania i sprzedaży. Były też towary cyfrowe, takie jak keyloggery, programy szpiegujące i inne podobne urządzenia pozwalające włamać się do czyjejs poczty elektronicznej albo kamery internetowej. Ludzie mogli nabyć podrobione dokumenty, w tym paszporty, fałszywe dowody tożsamości, a nawet banknoty nie do odróżnienia od prawdziwych. Był wreszcie najbardziej kontrowersyjny dział strony zatytułowany „Broń”, który rozrósł się tak bardzo, że można tam było nabyć wszystko od pistoletów aż po karabiny automatyczne AR-15. W ofercie znajdowały się naboje, granaty, a jeśli trzeba, to nawet wyrzutnia raketowa.

Ross mógł sobie być libertarianinem, ale jeśli chciał rozwijać swój świetnie prosperujący biznes, musiał udobruchać co bardziej konwencjonalnych nabywców.

„Broń odstraszy większość mainstreamowych klientów” – stwierdził Variety Jones.

Dlatego Ulbricht postanowił wprowadzić pewne zmiany. Jeżeli rzeczywiście pragnął legalizacji narkotyków, a był to jego ostateczny cel, musiał rozwiązać problem broni. Nie zakazał co prawda jej sprzedaży – bo nie zakazałby niczego – zamiast tego postanowił jednak stworzyć dla niej oddzielną stronę.

Gdy omawiali temat z VJ-em, razem wybrali nazwę Armory, czyli Zbrojownia. (Pierwotnie miała to być „Jedwabna Zbrojownia”, żeby zachować związek z wyrobioną marką Silk Road, obaj uznali jednak, że brzmi to zbyt dziwnie. Wedle słów VJ-a: „Jedwabna Zbrojownia brzmi tak, jakby sprzedawano tam kałasznikowy z Hello Kitty”).

Na szczęście uruchomienie Zbrojowni nie okazało się zbyt trudne; nie trzeba było przecież tworzyć nowej strony od zera. Ross po prostu zaczerpnął kod z witryny Silk Road, dodał nowe logo – duże wojskowe „A” ze skrzydłami – i zmienił kilka elementów wizualnych strony.

Utworzenie Armory nie rozwiązywało jednak kilku istniejących problemów ze sprzedażą broni. Ross liczył na to, że korzystanie ze strony będzie równie proste jak kupienie dwudziestkidwójki w lokalnym Walmarcie. Okazało się jednak, że wysyłanie broni pocztą jest znacznie bardziej skomplikowane niż włożenie do koperty kilku listków kwasu (które wyglądają jak bibułki). Ross musiał zadbać o to, aby ludzie kupujący i sprzedający broń za pośrednictwem Armory mogli ją sobie przesyłać bez ryzyka, że pod ich drzwi zawita ktoś

z ATF (Bureau of Alcohol, Tobacco, Firearms and Explosives, czyli Biura ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych) i odstawi ich do więzienia.

Wciąż jednak zadawał sobie pytanie, jak to zrobić. Nie mógł przecież zadzwonić na najbliższą pocztę przy Park Drive w Austin i powiedzieć: „Dzień dobry, chciałbym przesłać znajomemu trochę broni. Jaki jest najlepszy sposób, żeby to zrobić?”. Postąpił więc tak jak większość ludzi w jego wieku, kiedy czegoś nie wie: sięgnął po media społecznościowe. Na swoich kontaktach na Facebooku i Google+ zadał pytanie: „Czy ktoś z was zna kogoś, kto pracuje w UPS, FedExie albo DHL?”. Gdy pewien znajomy zainteresował się, po co mu kontakt do takiej osoby, Ross odpisał: „Bo mam pomysł na start-up w branży spedycji, ale zero doświadczenia w tej kwestii”.

Utworzenie strony z bronią wiązało się z jeszcze jednym problemem – oznaczało, że służby będą szukać nie tylko osób kierujących Silk Road, ale także ludzi stojących za Zbrojownią. (Nie wspominając już o Masters of the Silk Road, stronie dla hurtowników, która po otwarciu wywołałaby zainteresowanie rządów jeszcze większej liczby państw).

Uwaga, jaką teraz poświęcały stronie media, niewątpliwie miała dodatkowo wzrosnąć po uruchomieniu Armory. Nie było zatem wątpliwości, że stawka jest coraz wyższa. Wszystkie te przerażające scenariusze skłoniły Variety Jonesa, noszącego teraz tytuł szefa do spraw bezpieczeństwa, do decyzji, że nadeszła pora, aby zejść głębiej do podziemia. Najlepszym do tego miejscem była Tajlandia, gdzie już raz się ukrywał i gdzie, jak wyjawiał SPR-owi, miał w kieszeni paru policjantów. Powrót do Tajlandii oznaczał jednak, że swoją ukochaną musiał zostawić w Londynie.

„Chronię ją przed ostrzałem – napisał Strasznemu Piratowi Robertsowi. – Wszyscy muszą myśleć, że się rozstaliśmy. Jeżeli trafię do Guantanamo, nie chcę, żeby ona siedziała w sąsiedniej celi”.

„Paskudnie”.

„Ona wie, że zmieniam świat i że to dla niej groźne. Moje towarzystwo jest niebezpieczne”.

Ross był świadom, że wobec zwiększonego zainteresowania stroną on również będzie musiał się przemieścić. Powrót za granicę nie miał w tej chwili sensu, ale pozostanie w Teksasie, blisko rodziny, również nie wchodziło w grę. Dalsze kłamstwa i możliwość ujawnienia stanowiły zbyt duże ryzyko.

Potrzebne mu było miejsce, gdzie mógłby spędzać przy laptopie osiemnaście godzin na dobę i nikt nie pytałby, nad czym pracuje i dlaczego jest aspołeczny. Co oznaczało, że musi wyjechać do San Francisco.

Po uruchomieniu projektu Armory Ross zaczął planować przeprowadzkę na zachód. Kontaktował się ze znajomymi, którzy tam mieszkali, zastanawiał się, gdzie zamieszkać i pod jaką przykrywką. Zanim jednak zdecydował się na podróż, chciał domknąć jedną sprawę. Otworzył przeglądarkę internetową, wszedł na profil Julii na Facebooku i wysłał do niej wiadomość z pytaniem, czy mogą się spotkać.

Ross ucisza Julię

Ross maszerował Rainey Street w Austin, mijał rzędy starych domów przerobionych na bary i zmierzał w kierunku apartamentowca Windsor on the Lake. Było późne popołudnie latem 2012 roku, a na ulicy panował względny spokój. Kilkoro ludzi siedziało na ławkach pod gołym niebem pośród cichych dźwięków Teksasu, piło piwo i pałaszowało lokalne dania z grilla. Ross podszedł do budynku mieszkalnego, wyjął telefon, wystukał numer i czekał, aż ktoś odbierze. Już dawno nie był w Austin i nie zamierzał zostać tu długo. Przed opuszczeniem Stanu Samotnej Gwiazdy, być może na dobre, musiał jednak rozwiązać największy z problemów.

– Cześć – powiedział do telefonu. – Jestem przed wejściem.

Minutę później zjawiała się Julia, zbiegła po schodkach i powitała go entuzjastycznie. Po długim uścisku na dzień dobry zrobiła krok wstecz i zmierzyła Rossa wzrokiem od stóp do głów. Oceśniła jego strój (niebieskie dżinsy, czarny pasek, szary T-shirt z dekoltem w szpic i pasujące do niego adidas), a potem się roześmiała. Od początku ich romansu minęło tyle czasu, życie obojga potoczyło się zupełnie innym torem, a mimo to stał przed nią teraz Ross Ulbricht, praktycznie niezmienny.

– Masz na sobie te same ciuchy, które kupiłam ci na Penn State! – zachichotała.

On tylko się uśmiechnął.

Nie widzieli się od tamtej pamiętnej nocy w październiku i Julia cieszyła się na ponowne spotkanie. Zabrała go do środka, żeby oprowadzić go po swoim studiu.

Wszędzie leżały buduarowe fotografie, niektóre wisały na ścianach, inne stały oparte na biurku. Ross natychmiast rozpoznał duże zdjęcie kobiety wyginającej grzbiet. Powstało w mieszkaniu, w którym dwa lata wcześniej eksperymentował z hodowlą pierwszej partii grzybków w szufladzie z bielizną

Julii. Jak daleko zaszedł od tamtej pory! Za ledwie dwadzieścia cztery miesiące wcześniej nie miał kasy ani celu w życiu; teraz był bogaty i zdeterminowany jak nigdy.

– Wow, super mieszkanie – powiedział do podrygującej przed nim Julii.

– No nie? Jesteś ze mnie dumny? – odparła żywiłowo. – Chodzę z nowym facetem. Zabiera mnie na różne wycieczki i fajne kolacje.

– Ty to wiesz, jak mi poprawić samopoczucie – zażartował, a potem rzucił: – No, ja też spotykam się z dziewczyną.

Po krótkiej pogawędce zapytał, czy mogą iść na spacer, żeby o czymś pomówić.

– Oczywiście – zgodziła się rozpromieniona Julia.

Złapała go za rękę i razem zeszli po betonowych schodkach na ulicę, a potem ruszyli ścieżką w kierunku jeziora Lady Bird.

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy szli wijącą się dróżką, trzymając się za ręce, i opowiadali sobie o wszystkim, co wydarzyło się w ich życiu przez ostatnie miesiące. Julia wciąż kochała Rossa i w głębi duszy miała nadzieję, że wrócił, by ją odzyskać. W końcu dotarli do drzewa, które było tak szerokie, jak wysoki był Ross. U stóp drzewa na skraju wody leżał olbrzymi kamień. Usiedli na nim razem.

– No więc tak – odezwał się Ross i wziął głęboki oddech, szykując się, by oznajmić Julii coś ważnego. – Chciałbym, żebyś wiedziała, że rzuciłem stronę. Rzuciłem Silk Road.

– Dzięki Bogu! To wspaniale. – Dziewczyna nachyliła się i mocno go uścisnęła. Nie puściła go przez długi czas.

Nad nimi liście szeptały na wietrze. Ross patrzył na różowe, żółte i pomarańczowe refleksy słońca na wodzie, po czym wziął kolejny głęboki oddech i zaczął tłumaczyć Julii, dlaczego zrezygnował. Strona stała się za dużym przedsięwzięciem, to był zbyt wielki stres, wydawało mu się, że nadszedł dobry moment, aby przekazać ją komuś innemu.

– Przykro mi, że w ogóle ci o niej powiedziałem – powiedział ze smutkiem. – Biorę pełną odpowiedzialność...

– Dziękuję – odparła. Do oczu napłynęły jej łzy.

– Zarządzając stroną, czułem się taki potężny – rzekł, a potem na moment zamilkł, jakby recytował kwestię w teatrze. – Przepraszam.

Julia jeszcze raz mu podziękowała, i za przeprosiny, i za rezygnację z prowadzenia strony. Nachyliła się i zaczęli się całować. Po kilku chwilach Ross cofnął się i spojrzał jej w oczy.

– Muszę wiedzieć jeszcze tylko jedno. Czy powiedziałaś komuś o stronie? Poza Ericą?

– Nie – odparła szybko.

– Nikomu?

– Nie. Nie mówiłam nikomu. Tylko Erice. – Poczowała ukłucie wyrzutów sumienia, że w ogóle zdradziła jego sekret. – Kocham cię, Ross.

– Ja ciebie też – powiedział i całowali się dalej, a za nimi słońce zachodziło za horyzont. Po chwili dodał: – Nie mogłem spokojnie żyć dalej, zanim nie upewniłem się, że nikt nie wie.

Rozmawiali jeszcze o przeszłości. Ross opowiedział Julii o swoich podróżach – o Tajlandii, plażach, dżunglach i rzeźbie wykonanej w całości z bardzo dużych penisów, o Australii, piknikach z siostrą oraz o tym, że podróże kazały mu się zastanowić nad swoim życiem i cieszyć się tym, że nie ma już nic wspólnego z Silk Road. Od wody zaczęło ciągnąć chłodem, więc zaproponował, by ruszyli w drogę powrotną.

– To co teraz zrobisz? – zapytała Julia, gdy przechodzili przez Rainey Street w kierunku jej domu.

Wyjaśnił, że za parę dni przeprowadza się do San Francisco. Planuje napisać apkę ze starym kumplem z Austin, René Pinnellem.

– Przez jakiś czas pewnie się nie zobaczymy – powiedział poważnie.

Julia odparła, że smutno jej z powodu jego wyjazdu, ale cieszy się, że uwolnił się ze szponów tej okropnej strony.

– No – zgodził się. – Też się cieszę, że się jej pozbyłem. To było zbyt stresujące.

Kiedy zbliżyli się do drzwi studia, pochylił się i po raz ostatni pocałował Julię.

– Kocham cię – powiedziała.

Nic nie odpowiedział. Jeszcze tylko przez sekundę trzymał ją w ramionach, a potem się odwrócił. Odszedł w ciemność, sam.

CZĘŚĆ III

Chris Tarbell, FBI

Przez cały dzień Chrisa Tarbella dręczyło pewne pytanie – w biurze, na lunchu i teraz, kiedy szedł z kolegami z pracy przez Dolny Manhattan. Kiedy przecięli Broadway i skręcili w prawo w Center Street, nie mógł się dłużej powstrzymać i musiał je zadać.

– Dobra – powiedział do otaczających go mężczyzn – gdybyście musieli... – Zanim jednak zdążył skończyć, wszyscy zaczęli się krzywić, doskonale wiedząc, co się szykuje.

Żarty Tarbella typu „czy wolelibyście” były humorystycznymi pytaniami, często w złym guście, zadawanymi zawsze wtedy, gdy koledzy najmniej się ich spodziewali, tak by celowo wziąć ich z zaskoczenia. Wahały się od kompletnie niesmacznych do najdziwniejszych. „Czy wolelibyście przespać się ze swoją matką, czy ze swoim ojcem?” „Czy wolelibyście być o połowę niżsi, czy dwa razy ciężsi?” „Czy wolelibyście mieć erekcję przez rok, czy czkawkę do końca życia?”

– Tarbell, skąd ty bierzesz te bzdety? – zapytał jeden z kolegów.

– Ale serio – ciągnął Tarbell. – Gdybyście musieli... no wiecie, nie mieli wyboru...

Szli dalej, kumple robili miny, a on dręczył ich niczym starszy brat nękający młodsze rodzeństwo. Na moment przestał, gdy dotarli do Whiskey Tavern, lokalnej spelunki przy Baxter Street naprzeciwko komisariatu policji, wciśniętej między dwa lokale firm specjalizujących się we wnoszeniu kaucji za aresztowanych.

Wszyscy gliniarze i pracownicy służb państwowych mieli swoje knajpy, w których zaszywali się po pracy. Strażacy chodzili do Social Baru przy Ósmej Alei, policjanci – do Plug Ugliers przy Trzeciej, a członkowie Cyberwydziału będącego częścią nowojorskiego biura FBI pomieszkiwali w Whiskey Tavern.

Agent specjalny Chris Tarbell i jego zespół odwiedzali tę podłą norę co najmniej pięć razy w tygodniu.

Gdy przychodzili, piegowata barmanka Meg witała ich słowami „cześć, chłopcy”, a potem oznajmiała, że „pokój na zapleczu jest do waszej dyspozycji”. Część baru, którą miała na myśli, zawsze była zarezerwowana dla ekipy do spraw zwalczania cyberprzestępczości, a jeśli agenci zjawiali się niezapowiedziani, Meg wyrzucała osoby, które akurat tam siedziały.

Ponieważ okazja była tego dnia wyjątkowa, Tarbell zamówił parę butelek szampana, czyli „czampana”, jak wymawiał to słowo. (Owym „czampanem” był Miller High Life – tak zwany szampan wśród piw, w tawernie po cztery dolary za pół litra).

Większość agentów FBI ubierała się tak samo, w zbyt duże ciemne garnitury i białe koszule z kołnierzykami na guziki, więc łatwo można było ich pomylić z bankierami lub prawnikami. Nie dotyczyło to jednak Chrisa Tarbella, który wyglądał jak gliniarz pracujący dziesięć przecznic stąd: był krótko ostrzyżony, miał młodą twarz, która nie pasowała do krępego stukilkunastokilogramowego ciała, a jego zuchwały krok znamionował pewność siebie.

Gdy rozpoczęli wieczór hulanki, gwiazdą był właśnie Tarbell. Bądź co bądź to właśnie on niedawno doprowadził do unieszkodliwienia okrytej złą sławą grupy hakerów o nazwie LulzSec, mimo że zdaniem mediów i ekspertów od bezpieczeństwa nie dało się jej rozbić. LulzSec było wyjątkowe pod tym względem, że w przeciwieństwie do dawnych hakerów, którzy włamywali się do różnych instytucji dla korzyści finansowych, ta niecna ekipa przez ostatni rok grasowała w internecie „dla lulzów” – to neologizm oznaczający „dobrą zabawę”. Do ich komediowych ataków należało między innymi wyłączenie strony CIA, włamanie na serwery Sony Pictures oraz publikacja fałszywych wiadomości o śmierci Ruperta Murdocha na witrynach brytyjskich gazet „The Times” i „The Sun”. A wszystko to dla śmiechu. Po wielu miesiącach pracy pod przykrywką Chris Tarbell i jego zespół z FBI dokonali systematycznych aresztowań ludzi stojących za LulzSec na całym świecie – w Chicago, Irlandii i Nowym Jorku. To właśnie dlatego towarzystwo świętowało dziś w Whiskey Tavern.

Meg pojawiła się na tyłach baru z brudną czarną tacą, na której stało dwadzieścia kieliszków do szotów, połowa z tanią whisky, a druga – z sokiem

z ogórków. Postawiła tę mieszankę, specjalność baru znaną jako *pickleback*, na stole.

– Czyja dzisiaj kolej na wypicie z tacy?! – huknął Tarbell do grupy otaczających go mężczyzn, którzy znowu się skrzywili.

Wymyślił ten rytuał – znany jako „picie z tacy” – wiele lat wcześniej. Chodziło o to, żeby ktoś wypił mętny eliksir złożony z soku z ogórków, whisky i każdego innego płynu, który chlupał na tacy przed podaniem napojów. Jeśli nikt nie miał dość odwagi, sam Tarbell zawsze był chętny podjąć to obrzydliwe wyzwanie.

W wieku trzydziestu jeden lat zdążył już wyrobić sobie renomę jednego z najlepszych agentów od cyberprzestępczości w FBI, a może wręcz na świecie. Owszem, sprawa LulzSec trafiła do niego przypadkiem, bo ktoś zadzwonił na infolinię, a on akurat podniósł słuchawkę. Od innych agentów odróżniało go jednak to, co z tą informacją zrobił: skaptował głównego hakera grupy, znanego jako Sabu, i wykorzystał go do pogrążenia całej organizacji. Ze względu na zdolności Tarbella do znajdowania ludzi w internecie media wkrótce miały obwołać go Eliotem Nessem cyberprzestrzeni – na cześć słynnego agenta z czasów prohibicji.

To nie przypadek, że znalazł się tam, gdzie był, i że piął się po szczeblach kariery w FBI. Tak to właśnie zaplanował, podobnie jak planował wszystko inne. Ciężko pracował na dyplom magistra informatyki, a potem poszedł do policji. Po ponad dekadzie pracy po osiemnaście godzin dziennie przebił się do FBI i został agentem specjalnym. Na tym nie poprzestał. Kiedy nie spędzał czasu z żoną i dziećmi, nadal studiował informatykę śledczą w zakresie wszystkich wyobrażalnych platform.

Znosił to, ponieważ niczego tak nie pragnął, jak być najlepszym we wszystkim, co sobie założył. Jeśli kumpel z siłowni wyciskał na ławeczce sto osiemdziesiąt kilo, Tarbell poświęcał długie miesiące na podnoszenie ciężarów, żeby wycisnąć dwieście (i rzeczywiście dopinał swego).

Z czasem nauczył się, że sposób na przebicie innych polega na tym, żeby przewidzieć coś, zanim to się wydarzy, i umieć zareagować. Przygotowywał się do wszystkiego. W wieczór poprzedzający egzamin SAT w liceum na próbę przejechał trasę do miejsca, gdzie miał się odbyć test, aby mieć pewność, że zdąży na czas. To samo zrobił przed sprawdzianem sprawności fizycznej w FBI. W ciągu pierwszych tygodni pracy w Biurze stworzył drobiazgową mapę całej

siedziby z oznaczeniem każdej osoby i opisem wszystkiego, co musi o niej wiedzieć.

Tę obsesję planowania zabierał ze sobą do domu. Oznajmił żonie Sabine, że muszą mieć tajne hasło na wypadek, gdyby coś się działo. „Ruchome piaski – powiedział. – Tego hasła użyjemy, jeśli któreś z nas będzie miało kłopoty: ruchome piaski”. Kiedy zaś chłopcy od cyberprzestępczości szli pić, Tarbell z wyprzedzeniem wysłał SMS-a do piegowatej Meg, żeby wiedziała, ilu osób ma się spodziewać. Nie ma to jak zaplanowany wypad do spelunki.

Tego wieczoru w Whiskey Tavern było aż pięćdziesięciu pracowników agencji rządowych świętujących zatrzymanie członków LulzSec. Kiedy Tarbell zlizywał z warg sok z ogórków i whisky, podszedł do niego Tom Brown, federalny prokurator śledczy Południowego Dystryktu Nowego Jorku, który miał później prowadzić sprawę hakerów z LulzSec.

– No, Tarbell – powiedział, szykując się, by zadać pytanie, które dręczyło go przez cały dzień. – Co teraz? Co będziesz teraz robił?

Tarbell obejrzał się poirytowany. Miał za sobą parę miesięcy pracy po dwadzieścia cztery godziny na dobę, a Tom już męczył go o następny cel.

– Kurwa mać – odparł – dopiero skończyliśmy sprawę. Nie możemy najpierw poświętować?

– Jasne, że możecie – rzekł Tom lodowatym tonem, po czym wypił łyk drinka – ale po prostu chciałem wiedzieć, czym zajmiemy się w następnej kolejności.

Wyraźnie podpuszczał Tarbella, bo znał już odpowiedź.

– Jest cel, którego nikt nie potrafi rozgryźć – rzekł Tom, po czym wyjaśnił, że „nikt” to między innymi DEA, HSI oraz garść innych agencji z całego świata.

Agenci FBI do spraw cyberprzestępczości wypili trochę czampana i słuchali, co Tom ma do powiedzenia.

– Uważam, że teraz powinniśmy się wziąć za Silk Road.

Ross przyjeżdża do San Francisco

Okolicę Alamo Square od dawna uważa się za jedną z najpiękniejszych w San Francisco. Kilka kwartałów, które składają się na ten skromny rejon położony nieopodal centrum miasta, okolonych jest przeszłością, a roztacza się z nich widok na przyszłość. Wzdłuż placu stoją „malowane damy” – domy w stylu wiktoriańskim zbudowane pod koniec dziewiętnastego wieku w znacznej mierze dzięki pieniądзом zarobionym w okresie gorączki złota, która wybuchła trochę wcześniej. Na wschód, po drugiej stronie surowej Market Street, niemal codziennie wyrastają kolejne nowoczesne szklane wieżowce, w których mieszczą się fortuny wykute podczas nowej gorączki złota: mrowie hojnie finansowanych prywatnych firm, często wycenianych na ponad miliard dolarów, czyli tak zwanych jednoróżców. Gdy kilkanaście lat wcześniej pękła bańka internetowa, rozpoczął się powrót start-upów do miasta i pojawiły się miliardy dolarów na ich finansowanie.

W jasne chłodne popołudnie latem 2012 roku w parku pośrodku Alamo Square chichotała garstka dzieci podskakujących na placu zabaw, a psy spuszczone ze smyczy szczekały i goniły się po pagórku. Tam, pośród całej tej szczęśliwości, leżał na trawie Ross Ulbricht i chłonał to nowe miejsce.

Zakochał się w rejonie zatoki San Francisco niemal w tej samej chwili, gdy po raz pierwszy postawił stopę na tutejszej ziemi. Wszystko było takie magiczne i nowe. Płaskie, przypominające prerie teksańskie aleje zostały zastąpione przez ulice falujące niczym niekończący się rollercoaster. Billboardy przy autostradzie nie reklamowały wyścigów NASCAR, Jezusa ani najlepszych steków w mieście, ale tajemnicze wyszukiwarki, serwisy społecznościowe, a nawet nowe elektroniczne waluty.

Ross przybył do tego wspaniałego świata kilka tygodni wcześniej, pełen zachwytu i energii. Wszystko, co posiadał, to mała torba z ubraniami i laptop.

Czuł się wolny jak nigdy: był bezdomnym baronem jednego z najszybciej rozrastających się imperiów narkotykowych na świecie.

Decyzja o tym, gdzie się zatrzymać, była prosta. Jego kumpel z Austin René Pinnell, który mieszkał teraz w San Francisco, i jego dziewczyna Selena zaoferowali Ulbrichtowi wolny pokój w swoim małym, lecz przytulnym mieszkaniu. Wkrótce po rozpakowaniu przez Rossa nielicznego dobytku trójka przyjaciół szybko wypracowała wspólne nawyki: wieczory spędzali na odkrywaniu miasta, gotowaniu kolacji i rozmowach o sensie życia. (Był jednak temat, którego Ross nie poruszał: Silk Road. Nie zamierzał po raz kolejny popełnić tego błędu). Razem grali w karcianki, twistera, scrabble (Ross często wygrywał) i przytulali się na dobranoc.

Co rano po śniadaniu René i Selena udawali się do pracy, a nowy współlokator Ross machał im na do widzenia, a potem szedł ulicą do pobliskiej kawiarni, skąd zarządzał swoim imperium narkotykowym.

Najbezpieczniejszym miejscem do pracy, jakie znalazł, była mała kawiarnia o nazwie Momi Toby's przy Laguna Street, położona w dogodnej odległości jednej przecznicy od domu Reného przy Hickory Street. Przypominała francuskie bistro z małymi stolikami i krzesłami na zewnątrz. Mieli tu darmowe wi-fi, a wewnątrz było dużo miejsc do siedzenia, co pozwalało Rossowi ulokować się plecami do ściany, tak aby nikt nie widział ekranu jego komputera, a co za tym idzie – Jedwabnego Szlaku.

Z upływem tygodni Ross poznawał w mieście nowych ludzi, co wiązało się z pewnym stresem. Oczywiście nie mógł z nimi rozmawiać o tym, czym zajmuje się zawodowo, ale mógł mówić o swoich inspiracjach. Bądź co bądź mentalność nakazująca wykorzystywać technologię do zakłócenia niewydolnego systemu nie była w San Francisco niczym dziwnym, ale raczej normalnym. Pod bardzo wieloma względami programiści i przedsiębiorcy, których Ross poznawał, byli tacy sami jak on. Patrzyli na otaczający ich świat i widzieli, że administracja państwowa to skupisko niepotrzebnej biurokracji, że branża taksówkarska traktuje klientów jak gówno, hotele narzucają wygórowane opłaty i podatki, służba zdrowia to oszustwo podporządkowane potrzebom agencji ubezpieczeniowych, a nie chorych, samochody na ropę pozwalają usprawiedliwić wieczną wojnę na Bliskim Wschodzie, a narkotyki są nielegalne tylko dlatego, że rząd chce kontrolować obywateli. Wszystkie te kwestie były skutkami błędów poprzednich pokoleń. Rodzice gruntownie

spierdolili świat, w którym żyły ich dzieci, więc teraz to właśnie mieszkańcy San Francisco – tacy jak Ross – mieli go naprawić za pośrednictwem technologii. Nie ma, kurwa, za co!

Ulbricht był również pokrzepiony tym, że w otaczających go start-upach wcielano w życie libertariańskie ideały. On zaś robił to samo, tyle że zamiast walczyć z taksówkami, hotelami, służbą zdrowia czy żłopiącymi benzynę autami, próbował pokonać rząd Stanów Zjednoczonych prowadzący żalosną, szkodliwą wojnę z narkotykami.

Dyrektorzy innych start-upów nie różnili się wiele od niego. Wszyscy czytali te same książki Ayn Rand, udostępniali na Facebooku te same cytaty: „To nie kwestia tego, kto mi pozwoli. Kwestia tego, kto mnie powstrzyma”. Na blogach i w oświadczeniach szefowie tych firm używali również takich samych haseł co Straszny Pirat Roberts: „Niech decyduje rynek, a nie rząd”. „Niech o tym, kto wygra, decydują ludzie, a nie politycy”. „Zmieniamy świat i czynimy go lepszym”.

Przede wszystkim jednak nowe przyjaźnie Rossa stanowiły idealne antidotum na problemy, których doświadczał teraz z powodu swojego sklepu internetowego. Najbliższy powiernik zaczynał mu niestety działać na nerwy. Variety Jonesowi nie tylko nie podobała się sprzedaż heroiny, co kłóciło się z libertariańską filozofią Rossa, która stała za projektem Silk Road. VJ twierdził również, że choć owszem, pomaga Strasznemu uwalniać ludzi ze szponów państwa, ostatecznie są tylko dilerami narkotyków. Ross kategorycznie się z tym nie zgadzał.

„Dopóki w naszych działaniach nie przekraczamy pewnej granicy – napisał – dopóty czynimy tylko dobro”.

„Ha, stary, jesteśmy dilerami narkotyków, przestępcami – odpowiedział VJ. – Niby jakiej granicy mamy nie przekraczać?”

„Morderstwo, kradzież, oszustwo, robienie ludziom krzywdy – wymieniał SPR, urażony takim pytaniem. – To jest ta granica. Chyba można powiedzieć, że wytyczamy nową granicę. Zgodnie z nią nie jesteśmy przestępcami”.

W tej dyskusji odbijała się echem inna sugestia VJ-a: żeby Ross zatrudnił wpływowego prawnika. „Musisz wybrać człowieka najlepszego w swojej dziedzinie, z najlepszymi kontaktami – napisał Jones. – Ta dziedzina to międzystanowy przemyt narkotyków, pranie brudnych pieniędzy, przestępczość zorganizowana i znajomość prawa o baronach narkotykowych”. Ross jednak

uważał, że przecież nigdy nie da się złapać, więc po co mu najlepszy prawnik? Takie myślenie oznaczałoby dopuszczanie do siebie porażki.

I wreszcie najważniejsza kwestia w stosunkach między przyjaciółmi i wspólnikami: wyglądało na to, że VJ chciał mieć większe udziały w Silk Road. Może dlatego od początku był taki miły? Może kiedy obmyślił genialny plan przechrzczenia twórcy strony na Straszego Pirata Robertsa, liczył na to, że pewnego dnia sam zostanie piratem na mostku kapitańskim?

Ostatnio ich spory osiągnęły punkt kulminacyjny, kiedy VJ napisał: „Myślę, że musimy to sformalizować” – czyli utworzyć oficjalną spółkę z nimi dwoma jako wspólnikami. „Choćby po to, żeby uniknąć konfrontacji w przyszłości”.

Ta sugestia zaskoczyła Rossa i doprowadziła do kolejnej dyskusji.

„Posłuchaj, jak to wygląda – napisał VJ. – Mnie pasują dwie opcje. Pierwsza: pół na pół. Druga: ja biorę wszystko”.

Co on, do licha, wygadywał?! Ross nie zamierzał rezygnować z kontroli nad swoim projektem. Oto jedyny człowiek w świecie internetowym, któremu ufał i który służył mu niezliczonymi radami, teraz stawiał mu ultimatum.

„No, wszystkiego przecież nie weźmiesz – odpowiedział SPR. – Mógłbyś ze mną rywalizować i może byś wygrał, ale...”

VJ zauważył, że atmosfera robi się napięta, więc starał się załagodzić spór. „Ej, nie idźmy tą drogą. Nigdy tego nie zrobię, przysięgam. Ale wiem, co wnoszę do interesu, czyli cholernie dużo”.

„Zdaję sobie z tego sprawę”.

„Stary, chcę równego podziału – napisał Jones. – Granie drugich skrzypiec średnio mi pasuje”.

Rossa jednak takie partnerstwo nie interesowało. W aktualnym układzie strona była jego światem, w którym to on decydował, co wolno, a czego nie. On wybierał, kto dostanie podwyżkę, a kto jej nie dostanie. Ludzie, którzy ciężko pracowali, otrzymywali nagrody – tak jak niedawno zatrudnieni pracownicy, którym Ross dał dodatkowe kilkaset dolarów w bitcoinach, kiedy zabłysnęli. Gdy chciał nagrodzić Smedleya, głównego programistę, robił to na własnych warunkach. „Naprawdę stajesz na wysokości zadania. Twoje podstawowe wynagrodzenie to 900 dolarów, ale dorzucę ci bonus”. A kiedy inny jego pomagier, Inigo, potrzebował funduszy na remont domu, Straszny dał mu dodatkowe pięćset dolarów, by ten przekazał je wykonawcy robót. Podejmowanie takich decyzji należało do bossa, którym był Ross, nie VJ.

Co by było, gdyby tego typu sprawy musiał konsultować ze swoim pomocnikiem? Wielkie dzięki! Poza tym jak sprawowałby wtedy władzę i utrzymywał kontrolę nad stroną? I tak trudno było pilnować, żeby ludzie terminowo zaczynali pracę i zgodnie z oczekiwaniami Rossa wypełniali raporty na koniec zmiany. Nawet dyscyplinowanie pracowników sprawiało mu przyjemność. Gdy potrzebowali solidnej bury, mówił im (zawsze w swoim stylu tandetnej przekomarzanki), że „zrąbali sprawę”.

Zbyt ciężko na to wszystko pracował, żeby oddać coś komuś za darmo. Wkrótce po tej rozmowie na parę dni przestał rozmawiać z VJ-em. Wycofał się do świata rzeczywistego – do San Francisco.

Kiedy podniósł się z trawiastego pagórka na Alamo Square i sięgnął po brązową torbę z laptopem, żeby ruszyć z powrotem do mieszkania, nie miał żadnych wątpliwości: to właśnie było miejsce dla niego. W tym mieście uczyni z projektu Silk Road największy start-up, jaki widział świat. Kiedy jednak szedł Sacramento Street, mijając pięknie malowane wiktoriańskie domy i nowoczesne szklane wieżowce, nie wiedział jeszcze, że wkrótce stanie wobec wyzwań, jakich nie znał właściciel żadnego innego start-upu na świecie. Że już za kilka miesięcy zacznie się zmagać z nieuczciwymi gliniarzami i zbuntowanymi pracownikami i będzie musiał podejmować decyzje dotyczące zlecenia tortur i zabójstw, żeby chronić rozrastający się interes.

Chris w Jamie

Minęło kilka miesięcy, odkąd FBI zatrzymało hakerów z LulzSec i wszyscy zdążyli już wyleczyć kaca po świętowaniu w Whiskey Tavern. Pozostawał jednak pewien aspekt tej sprawy, o którym Chris Tarbell nie mógł przestać myśleć.

Znajdował się właśnie w nowojorskim biurze FBI, w przestrzeni znanej jako Jama, gdzie wraz z innymi agentami – Ilhwanem Yumem i Thomem Kiernanem – rozważał, czy wydział do spraw cyberprzestępczości powinien włączyć się do śledztwa dotyczącego strony Silk Road, czy też zająć się jakimś innym celem.

Jama, w której siedzieli, przypominała obniżony salon, dostatecznie duży, aby zmieściło się tu kilka biurek i krzeseł. Istniała od dziesięcioleci i uznawano ją za najlepsze miejsce w całej nowojorskiej siedzibie agencji. Wiele lat wcześniej, zanim biurka zajęli tutaj Tarbell i reszta komputerowych nerdów, w Jamie rezydowali agenci zajmujący się przestępczością zorganizowaną. W owych czasach polowali na gangsterów, którzy trzymali się jak najdalej od wszelkiej technologii z obawy, że zostaną namierzeni choćby przez automat telefoniczny. Dzisiaj ludzie w Jamie ścigali takich, którzy właśnie dzięki technologii pozostawali nieuchwytni.

Dawni agenci i ci nowi mieli jednak ze sobą coś wspólnego: oba pokolenia łączyło zamiłowanie do robienia kawałów. Czasami Tarbell i jego koledzy smarowali komuś słuchawkę telefonu resztkami kanapki z mięsem, a potem dzwoniли z innego pokoju i patrzyli, jak kolega czy koleżanka rozmazuje sobie na uchu pieczeń i majonez. Pewnego razu Tarbell zrobił psikus innemu agentowi, łącząc klakson w jego aucie z pedałem hamulca, tak że za każdym razem, kiedy biedak w drodze do domu próbował hamować, trąbił na samochody przed sobą. Poza tym Tarbell zawsze miał na podorędziu jakieś pytanie z serii „czy wolelibyście”.

Biurko Chrisa pokrywały papiery i przedmioty dotyczące wcześniejszych śledztw. Pośrodku całego tego bałaganu stały trzy komputery: dwa tajne, używane wyłącznie wewnątrz, i jeden jawny, zarejestrowany jako maszyna FBI. Na ekranie tego ostatniego była właśnie otwarta strona Silk Road.

Agenci rozmawiali o witrynie, a Tarbell myślał o tym, że jeśli zajmą się tym śledztwem, zrobi wszystko, żeby uniknąć niewyobrażalnego błędu, jaki FBI popełniło podczas sprawy LulzSec.

Aby rozbić tę grupę się powiodło, federalnym musiały się udać dwa elementy operacji. Po pierwsze wszystkich podejrzanych należało aresztować jednocześnie, chociaż przebywali w różnych stanach i państwach. Hakerzy nie mogli dostać szansy, aby kogokolwiek powiadomić o zatrzymaniu, inaczej cała operacja spełzałaby na niczym. Tę część FBI zrealizowało idealnie. Zupełnie położyło natomiast drugą, równie istotną kwestię: każdego z podejrzanych konieczne należało zatrzymać przy jego otwartym laptopie. Gdyby hakerom udało się wyłączyć komputery, które były zaszyfrowane, wszystkie dane zostałyby w nich zamknięte na zawsze. Nawet najszybszym i najbardziej zaawansowanym maszynom w FBI złamanie hasła dobrze zaszyfrowanego komputera mogłoby zająć ponad tysiąc lat.

Jeden z najważniejszych członków LulzSec, których FBI wzięło na cel, był ponoć również najgroźniejszy. Nazywał się Jeremy Hammond i był aktywistą politycznym oraz hakerem aresztowanym już co najmniej sześć razy za protesty przeciwko nazistom i republikanom, włamania na prywatne serwery na całym świecie i udostępnianie informacji na WikiLeaks.

Plan zatrzymań członków LulzSec był następujący: Tarbell miał pojechać do Irlandii, by nadzorować aresztowanie jednego z najmłodszych hakerów grupy, żwawego dziesięcioletka. Zespół FBI w Chicago był gotów ruszyć po Hammonda. Starsi rangą agenci w Nowym Jorku oglądali transmisje na żywo z pozostałych zatrzymań. Zważywszy na powiązania Hammonda z grupami politycznymi oraz jego wcześniejsze aresztowania, istniała szansa, że kryjówka Jeremy'ego okaże się pełna innych aktywistów, w tym notowanych za przemoc. Dlatego w ostatniej chwili ktoś wysoko postawiony w FBI postanowił wysłać do Hammonda w pełni uzbrojoną brygadę antyterrorystyczną. Po raz pierwszy Biuro skorzystało wtedy z takiego oddziału, żeby zatrzymać kogoś siedzącego przed komputerem.

Był wczesny wieczór, gdy ciężarówki FBI wjechały do dzielnicy Bridgeport w Chicago, a dwunastu mężczyzn w kamizelkach kuloodpornych i z bronią maszynową ruszyło do jednopiętrowego ceglanego budynku, w którym ukrywał się Hammond. Drewniane drzwi wejściowe wyleciały z zawiasów i agenci wpadli do środka, wrzucili granat hukowy do kuchni po lewej stronie, a potem z bronią w ręku wbiegli do pozostałych pomieszczeń, krzycząc „FBI! FBI! FBI!”. Jednak w ciągu tych kilku sekund, które brygadzie antyterrorystycznej zajęło dotarcie na tył budynku, gdzie znajdował się Hammond, haker z dreadami na głowie spokojnie zatrzasnął klapę laptopa, a potem uniósł ręce i siedział sobie przy biurku przed zamkniętym komputerem. To tak, jakby podczas szeroko zakrojonego nalotu brygady antynarkotykowej podejrzani zdążyli spuścić dragi w sedesie, zanim funkcjonariusze dopadli łazienki.

Wszyscy agenci byli źli z powodu incydentu z laptopem, szczególnie jednak dręczyło to Tarbella. On nie popełniał błędów. Nigdy. A jednak wtedy popełnił.

Okazało się, że w sprawie Hammonda można było mówić o szczęściu w nieszczęściu. Może to przypadek, a może skutek lenistwa, ale z jakiegoś powodu haker nie zaszyfrował porządnie swojego komputera, dzięki czemu informatykom śledczym FBI w końcu udało się włamać do urządzenia za pomocą specjalnego programu typu *brute force*, który testuje kolejno wszystkie możliwe hasła, aż znajdzie to właściwe. Rządowy superkomputer potrzebował sześciu miesięcy, aby zgadnąć, że hasło Hammonda brzmiało „chewy12345”. Tarbell wiedział jednak, że udało się je złamać czystym fartem. Z tego właśnie powodu większość doświadczonych hakerów i użytkowników darknetu zabezpieczała komputery znacznie silniejszymi hasłami.

Teraz Tarbell siedział z kolegami w Jamie i rozmawiał o tym, jak ugryźć sprawę Silk Road. Zapewnił zespół, że gdyby postanowili zapolować na Straszego Pirata Roberta, nie popełnią już tego samego błędu co w przypadku Hammonda. Tarbell miał plan, jak zatrzymać SPR-a z rękami na klawiaturze.

Zabezpieczyć luki!

Spór między Straszny Piratem Robertsem a Variety Jonesem nie trwał długo. Byli sobie nawzajem potrzebni i dobrze o tym wiedzieli. Kłótnia stanowiła jednak punkt zwrotny w ich relacji. Teraz nie ulegało już wątpliwości, że rządzi SPR. A Jones wbrew ostrzeżeniom nigdzie sobie nie poszedł. Zarabiał miesięcznie dziesiątki tysięcy dolarów i potrzebował tych pieniędzy, czy mu się to podobało, czy nie. Ross również potrzebował VJ-a. Był gotów rozpocząć kolejny etap w historii swojego biznesu. Nadeszła pora, żeby zewrzeć szyki i zaprowadzić w tym nielegalnym imperium narkotykowym odrobinę korporacyjnego porządku.

„Chcę poruszyć kwestię, o jakiej jeszcze nie rozmawialiśmy” – napisał SPR do Variety Jonesa.

Podejrzywał, że te słowa zbiją VJ-a z tropu. Chociaż żaden z nich nie wiedział, jak wygląda ten drugi, przez ostatni rok dyskutowali właściwie o wszystkim, od spraw osobistych po zawodowe. Dzielili się nadziejami, marzeniami, lękami i pragnieniami, doradzali sobie we wszystkich aspektach. Straszny Pirat Roberts zaufał nawet Variety Jonesowi tak bardzo, że mówił mu osobiste rzeczy o Rossie Ulbrichcie – że kiedyś studiował fizykę i że dawno temu jedna dziewczyna z Teksasu złamała mu serce.

Kiedy więc Straszny oznajmił, że chce porozmawiać o czymś nowym, VJ był nieco zdezorientowany. „Nie wyobrażam sobie, żeby istniał temat, którego jeszcze nie poruszaliśmy”.

Był jednak taki, może najważniejszy ze wszystkich. „Lokalne zabezpieczenia” – napisał SPR.

Ach tak – pomyślał VJ.

Ross od miesięcy pracował nad załatwianiem dziur w kluczowych miejscach, czyli zarówno we własnym życiu, jak i na stronie. Kiedy hakerzy atakowali serwery, a on stale musiał się przenosić do innych kawiarni i miast, żeby

chronić swoje tajemnice, wielokrotnie mało już brakowało, aby wpadł. Doskonale wiedział, że potrzebuje planu, który zabezpieczy absolutnie każdą sferę jego życia narażoną na ryzyko.

Na razie go nie złapali. Sądził, że jeśli od tej pory będzie ostrożniejszy, nie złapią go nigdy. Zważywszy zaś na skalę zainteresowania stroną – każdego tygodnia wspominało o niej w setkach artykułów prasowych na całym świecie – ludzie polujący na Rossa będą coraz bardziej zdesperowani. Oferta Silk Road obejmowała już nie tylko narkotyki i broń; teraz można tam było dostać również leki syntetyczne z Chin, w tym nowe postaci syntetycznej heroiny w rodzaju fentanylu, substancji sto razy silniejszej od tradycyjnej morfiny, nie wspominając już o szerokiej gamie środków wybuchowych i innych niebezpiecznych towarów. Nadszedł więc czas, żeby wzmocnić bezpieczeństwo. Ross nie zamierzał ryzykować.

Na początek powierzył Variety Jonesowi zbadanie, czy na stronie mogą się czaić służby. Następnie przystąpił do zabezpieczania innych wrażliwych elementów, w tym swojego laptopa. Po pierwsze i najważniejsze upewnił się, że jego komputer, samsung 700Z, jest właściwie zaszyfrowany. Już wcześniej rozmawiał o tym z VJ-em, kilka dni po tym, gdy przeczytali o aresztowaniu kogoś, kto udostępniał informacje na WikiLeaks. W artykułach pisano, że mężczyzna posługiwał się tym samym hasłem do komputera i do oprogramowania szyfrującego, a FBI błyskawicznie złamało zabezpieczenia.

„Co za bakwan” – napisał wtedy VJ.

„Słabizna” – zgodził się Ross.

„Gdyby miał dobre hasło, niczego by nie zdobyli” – stwierdził VJ, mając na myśli fedziów, jak mówili o FBI. Potem dodał, że zatrzymany to idiota, ponieważ nie traktował kwestii bezpieczeństwa w sieci poważnie.

Po tej złowróżbnej lekcji Variety Jones podzielił się z SPR-em cenną radą: trzeba tak ustawić komputer, żeby wyłączał się automatycznie po określonym czasie braku aktywności. Co ważniejsze, należy mieć awaryjny wyłącznik, tak aby naciśnięcie danego klawisza natychmiast wyłączało maszynę. Dzięki temu jeśli fedzie złapią cię w miejscu publicznym, naciskasz przycisk i komputer jest zablokowany na zawsze.

Straszny odpisał, że tak właśnie robi. Teraz miał do VJ-a kolejne pytanie: czy powinien przechowywać wszystkie pliki w chmurze, tak by na jego laptopie nie można było znaleźć jakichkolwiek informacji związanych ze stroną Silk

Road? W takim wypadku gdyby przywódcę przedsięwzięcia kiedykolwiek dorwano z rękami na klawiaturze, nic nie łączyłoby go ze stroną. „Miło byłoby mieć świadomość, że na moim laptopie nie ma nic ważnego ani obciążającego” – napisał SPR. Po krótkiej dyskusji na temat wad i zalet takiego rozwiązania (minus był taki, że gdyby wszystko trzymać w chmurze, praca nad stroną przebiegałaby boleśnie powoli) Variety Jones zasugerował, żeby Straszny przechowywał całość plików związanych z Silk Road na swoim komputerze, ale zaszyfrował je, tak by fedzie nie mogły się do nich dostać, nawet gdyby zdobyły jego sprzęt.

Świetny pomysł! „Dobra, musiałem to tylko przegadać – napisał SPR. – Dzięki!”

W ramach planu awaryjnego – najbardziej poszukiwany w internecie człowiek nigdy nie mógł ich mieć zbyt wiele – Ross postanowił podzielić dysk twardy laptopa na dwie partycje. (To coś jak rozcięcie dżdżownicy na pół, tak że każda połówka się regeneruje i powstają dwie dżdżownice). Laptop stał się teraz w zasadzie dwoma różnymi komputerami z oddzielnymi kontami: jedna część urządzenia była w całości przeznaczona dla Straszego Pirata Roberta i wykorzystywana tylko w sprawach związanych z Silk Road. Druga służyła Rossowi i to z niej wysyłał mejle do rodziny i przyjaciół, wchodził na Facebooka i flirtował z dziewczynami na portalach randkowych.

To właśnie wtedy Ross ustanowił kardynalną zasadę, być może najważniejszą ze wszystkich nowych środków bezpieczeństwa. Nic, co można by powiązać w sieci z Rossem Ulbrichtem (sprawdzanie prywatnej poczty czy korzystanie z mediów społecznościowych), nie mogło się odbywać w części przeznaczonej dla SPR-a. Analogicznie nic, co prowadziło do Straszego Pirata Roberta (logowanie się na Silk Road, rozmowy z VJ-em, wgrywanie nowego kodu na serwery), nie mogło być wykonywane w części zarezerwowanej dla Rossa. Od jednej do drugiej tożsamości nie mógł prowadzić żaden ślad.

W ramach planu awaryjnego Ross zainstalował pułapki, które miały się uruchomić w bardzo mało prawdopodobnym przypadku, gdyby ktoś dostał się do jego laptopa. Jedna z nich powodowała wyłączenie się komputera, jeśli ktoś sprawdził historię w przeglądarce więcej niż sześć razy.

Kolejny etap operacji dotyczącej zwiększenia bezpieczeństwa wymagał potwierdzenia, że wszyscy ludzie pracujący dla Rossa to naprawdę buntownicy, którzy walczą o legalizację narkotyków, a nie pracownicy DEA czy FBI. W tym

celu SPR zaczął prosić osoby, które chciały pobierać wynagrodzenie z działalności prowadzonej pod szyldem Jedwabnego Szlaku, o fotografię dokumentu tożsamości potwierdzającego, kim naprawdę są – prawa jazdy albo paszportu. Wiedział, że prosi o wiele, było to jednak konieczne, jeśli nie chciał trafić do więzienia.

Odtąd ilekroć zatrudniał kogoś nowego, odbywał zwyczajową rozmowę, w której wyjaśniał, że taka osoba nie ma wyboru i musi wyjawić Strasznemu Piratowi Robertsowi, kim jest.

„Musisz zobaczyć mój dokument tożsamości?” – zapytał SPR-a nowy pracownik ChronicPain, który miał dołączyć do zespołu, by pomóc w zarządzaniu forami.

„Tak” – odpowiedział SPR. (Bez wątpienia).

„Nie mogę ci po prostu powiedzieć, jak się nazywam?”

„Potrzebuję dokumentu z twoim aktualnym adresem” – napisał Straszny, a potem, żeby uspokoić ChronicPaina, dodał, że skan dokumentu „będzie przechowywany w postaci zaszyfrowanej i pewnie nigdy nie będę go musiał odszyfrować”.

„Czyli chyba muszę ci po prostu zaufać” – stwierdził nowy pracownik postawiony w sytuacji bez wyjścia.

„No tak”.

Ross wiedział, że większość osób się zgodzi. Możliwość udziału w ruchu, który stworzył Ulbricht, była dla jego pracowników ważniejsza niż odrobina ryzyka. I rzeczywiście, dokument ChronicPaina trafił do skrzynki SPR-a po kilku godzinach.

Był jeszcze jeden powód, by gromadzić te dokumenty. Ross powierzał pracownikom coraz więcej obowiązków, niektórzy mieli nawet dostęp do bitcoinów na stronie. Gdyby ktoś postanowił oszukać Straszniego Pirata Roberta, należało wiedzieć, kim jest i gdzie mieszka. Takie czyny musiały pociągnąć za sobą konsekwencje.

Ostatnim punktem na liście było przygotowanie cyfrowego zestawu ewakuacyjnego, po który Ross mógłby sięgnąć, gdyby nastąpiła katastrofa. Musiał zaplanować, co zrobi i dokąd się uda, jeśli do drzwi zastuka policja.

Otworzył na komputerze edytor tekstu i stworzył plik zatytułowany „Sytuacja awaryjna”. Zaczął spisywać w nim czynności, które musi wykonać, jeśli coś pójdzie nie tak. Sporządził listę na wypadek kataklizmu. „Zaszyfrować

i zgrać ważne pliki z laptopa na pendrive'a; zniszczyć dysk twardy laptopa i ukryć/zutylizować go; zniszczyć telefon i ukryć/zutylizować. Znaleźć mieszkanie za gotówkę na craigsliście. Stworzyć nową tożsamość (nazwisko, historia)".

Wiedział jednak, że jeśli przyjdzie dzień, w którym Ross i SPR będą zmuszeni się ukryć, nie wystarczy znaleźć lokal na Craigsliście i zmienić nazwisko, żeby być bezpiecznym. Musiał wymyślić bezpieczne miejsce ucieczki, może nawet w innym kraju. Takim, który akceptowałby piratów, przyjął Rossa Ulbrichta i Straszego Pirata Robertsa wraz z ich milionami dolarów majątku i ukrył obu, tak aby znaleźli się poza zasięgiem władz Stanów Zjednoczonych.

Jared w ślepym zaułku

Jakie to jest frustrujące! – pomyślał Jared.

Trzymając za rękę synka Tyrusa, szedł alejkami księgarni Barnes & Noble w Lincolnshire w stanie Illinois i oglądał regał po regale. Co parę kroków Tyrus, który miał teraz trzy i pół roku, zerkał z dołu na tatę, który uparcie czegoś szukał.

– Dzień dobry – odezwała się do nich dziarsko kobieta z punktu informacyjnego. – Czy mogę panu pomóc coś znaleźć?

– Yyy... – odparł Jared. – Szukam jakichś książek na temat Instytutu Misesa. – Rozejrzał się, by mieć pewność, że nikt nie usłyszał, o co prosi. Ostatnie, na co miał ochotę, to wdać się w dyskusję na ten temat z przypadkowym człowiekiem.

– Instytutu Miss Esa? – zapytała głośno kobieta, patrząc w komputer.

– Nie, Misesa. M-I-S-E-S-A – wyszeptał Jared. – To libertariański think tank związany z austriacką szkołą ekonomii... – Urwał, uświadomiwszy sobie, że dla stojącej przed nim kobiety zapewne brzmi to jak bełkot. Brzmiało tak nawet dla niego samego. Jared potrzebował jednak tych książek, aby przejść do następnego etapu śledztwa, które zaczynało grzęznąć w martwym punkcie.

Od początku roku przechwycił prawie dwieście przesyłek z narkotykami przybywających do kraju tylko dzięki temu, że przewidział, jak będą wyglądać. W ten sposób zakłócał działanie serwisu Silk Road najlepiej, jak mógł. Aresztował również kilku dilerów handlujących na stronie, w tym jednego z najbardziej pracowitych, sprzedającego ecstasy i inne narkotyki z Holandii. Później przejął również parę kont dilerów, co pozwoliło mu lepiej zrozumieć zasady funkcjonowania sklepu. Wciąż jednak nie zbliżył się ani trochę do zidentyfikowania założyciela strony. Już tyle razy zabrnął w ślepy zaułek, że w końcu postanowił zgłębić umysł Straszego Pirata Roberta, i właśnie dlatego

stał teraz w księgarni Barnes & Noble w Lincolnshire, pytając z zawstydzeniem o Instytut Misesa.

Ostatnie tygodnie spędził za biurkiem, zawsze z kostką Rubika w dłoni. Czytał wszystkie wpisy twórcy Silk Road i szukał charakterystycznych cech jego języka. W miarę rozrastania się strony przesłania SPR-a stawały się coraz śmielsze. O ile z początku chodziło mu tylko o legalizację narkotyków, o tyle teraz coraz częściej pisał o tym, jak straszny jest amerykański aparat państwowy, który został stworzony do nadużywania władzy. W jednym z wpisów chełpił się, że „państwo nie jest w stanie położyć swych złodziejskich, zbrodniczych łap na [stronie Silk Road]”.

Na podstawie wszystkich tych tekstów Jared zaczął tworzyć profil Straszego Pirata Roberta. Zapewne był on człowiekiem dobrze wykształconym, młodym, niebogatym, ale i niebiednym. Co prawda chciał zniszczyć amerykański system prawny, ale również działał dla własnego zysku. SPR sam to nawet przyznał w jednym z wpisów: „pieniądze to dla mnie jeden z czynników motywujących. [...] Cieszę się również garścią przyjemności Pierwszego Świata, na które moim zdaniem zasłużyłem. [...] W porównaniu do większości znanych mi ludzi i tak żyję dość skromnie”. Z lektur Jareda wynikało jednak również, iż SPR mocno wierzy w to, że dzięki jego działalności świat staje się lepszy. „Wiem, że to brzmi tandetnie – napisał pewnego razu Straszny – ale chcę móc kiedyś spojrzeć na swoje życie z poczuciem, że zrobiłem coś cennego, co pomogło ludziom”.

Szukając elementu, którego inni nie dostrzegali, Jared zaczął analizować prawidłowości w wypowiedziach SPR-a. Po pierwsze Straszny często używał słowa „epicki”, co sugerowało, że jest raczej młodszy niż starszy. W swoich wpisach posługiwał się również emotikonami, ale nigdy nie używał kreski w roli nosa, czyli zapisywał uśmieшки jako :) zamiast bardziej staromodnego :-). Wyróżniającą cechą SPR-a było zdaniem Jareda to, że kiedy na forach chciał coś potwierdzić, w miejsce angielskiego *yes* albo *yeah* zawsze pisał *yea*.

SPR stale polecał swoim zwolennikom książki: wymieniał całą litanię tytułów z Instytutu Misesa. Jared chciał zrozumieć sposób myślenia Straszego, więc i on je czytał. Te teksty były jednak tak hermetyczne, że zdawały się pozbawione sensu. Jared odnosił wrażenie, że autorzy swoimi argumentami chcą po prostu usprawiedliwić robienie różnych rzeczy bez przyjmowania odpowiedzialności za wpływ, jaki to może mieć na innych ludzi.

Ani przeczytane książki, ani szeroko zakrojone analizy nie zbliżyły Jareda do SPR-a. Na domiar złego agent dostał wiadomość od pracowników Biura Śledczego Bezpieczeństwa Krajowego w Baltimore, że Carl Force, agent DEA, zdołał zbliżyć się do Straszego Pirata Roberta i komunikuje się z nim pod przykrywką. Słyszając to, Jared niechętnie poprosił zespół HSI Baltimore o zgodę na przejrzanie zapisów czatów Carla w poszukiwaniu kolejnych prawidłowości w języku SPR-a.

Gdy przyszedł mejl z częścią tych zapisów, Jared był zszokowany na widok tego, co tamten agent pisze do Straszego. Carl Force przekazywał właścicielowi strony znacznie więcej informacji, niż powinien otrzymywać człowiek, który jest obiektem polowania. Agent opisywał działanie dróg przemytu narkotyków i instruował, jak hurtowo kupować i sprzedawać heroinę. Wkradanie się w łaski podejrzanego, którego chcesz wywabić z ukrycia, to jedno, ale w tym wypadku Force posunął się o kilka kroków za daleko.

Jared siedział przy biurku w Chicago, wpatrywał się w te wszystkie pudła z pocztą na podłodze, książki Misesa na biurku i zdjęcia narkotyków na ścianach. Czuł potworną frustrację tym, że trafia na kolejne ślepe zaułki. Potrzebował w tym śledztwie jakiegoś przełomu. Czegokolwiek, choćby drobnego znaku, że jest na dobrym tropie.

Pirat na Dominice

– Witamy na pokładzie, dziękujemy za wybór naszych linii lotniczych. – Głos zatrzeszczał w głośnikach, podczas gdy samolot powoli sunął po płycie międzynarodowego portu lotniczego San Francisco. – Na wszelki wypadek informujemy, że kamizelka ratunkowa znajduje się pod państwa siedzeniem.

Ach tak. Złowrogie ostrzeżenie, co zrobić w sytuacji awaryjnej. Opowieść ku przestrodze będąca idealną alegorią życia Rossa, który siedział teraz w połowie długości kabiny samolotu i nerwowo rozmyślał o ostatnich dwóch godzinach i najbliższych dwóch tygodniach.

Przewidywał spokojny poranek, podczas którego zamierzał pakować do torby ostatnie rzeczy przed podróżą. Zamiast tego po przebudzeniu odkrył, że stronę Silk Road właśnie atakują hakerzy, którzy doprowadzili do unieruchomienia serwerów. Żeby odeprzeć szturm, przez cały ranek gorączkowo pracował ze swoim zaufanym programistą Smedleyem.

„Chyba powinniśmy zainstalować tego wafła, żeby sprawdzić wyniki z mod-seca” – pisał Smedley, usiłując zrozumieć, co się dzieje. „Wszystko z rozszerzeniem .txt może iść do /etc/modsecurity”.

„Daj mi pomyśleć” – odpowiedział SPR, gorączkowo odliczając minuty do odlotu.

„Wyłącz wszystko”.

„OK. Potrzebujemy mysql, yea?”

Tak właśnie upłynęło kilka porannych godzin. Potem Ross nie miał wyboru i musiał ruszyć w podróż, zostawiając odpieranie ataku hakerów Smedleyowi.

To wszystko było więc teraz nieistotne. Biedny SPR nie miał możliwości zalogowania się na Silk Road przez co najmniej sześć godzin, aż do następnej przesiadki. Musiał wierzyć, że Smedley i zespół pracowników, którzy za swe usługi dostawali od dziewięciuset do półtora tysiąca dolarów tygodniowo, zapanuje nad sytuacją. Postanowił, że pójdzie spać. To właśnie robi. Po

wylądowaniu musi być wyspany. Kiedy maszyna wyrównała lot na jedenastu tysiącach metrów, odchylił się w fotelu i zamknął oczy.

Mimo że spokojnie mógłby sobie kupić learjeta (albo dwa) i latać prywatnie, wolał zachować dyskrecję i podróżować liniami komercyjnymi. W efekcie pokonanie ponad sześciu i pół tysiąca kilometrów z San Francisco miało mu zająć prawie dwie doby. Najpierw musiał zatrzymać się w Atlancie i przesiąść się na samolot do San Juan w Portoryko. Nazajutrz, zmęczony i zamroczony, małym samolotem śmigłowym miał przelecieć nad kilkunastoma wyspami tropikalnymi, by w końcu dotrzeć do Wspólnoty Dominiki – w samym środku Karaibów.

Nie były to wakacje, lecz ucieczka do najgłębszej kryjówki. Ostatni punkt planu awaryjnego stworzonego kilka miesięcy wcześniej. Po miesiącach poszukiwań i konsultacji z Variety Jonesem okazało się, że Wspólnota Dominika, której obywatelstwo można zdobyć w zamian za „inwestycję” w wysokości około siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów, to idealne miejsce, aby Ross mógł ukryć Straszego Pirata Robertsa przed fedziami, a także schować swoje nieopodatkowane miliony dolarów przed Wujkiem Samem.

Cała wyprawa na Dominikę była żmudna i wyczerpująca. Ross wysiadał z samolotu, znajdował sobie ustronny kącik na lotnisku i otwierał laptopa, żeby SPR mógł się zalogować na Silk Road i prowadzić wojnę z hakerami, a potem biegł na następny lot. Powtarzało się to kilkakrotnie, aż w końcu wylądował w tropikach. Po wyjściu na płytę zobaczył malutki budynek lotniska z niebieskim dachem, otoczony palmami, które wyglądały jak macki. Podróż taksówką do Fort Young Hotel przy Victoria Street, gdzie miał rezerwację, trwała prawie godzinę.

Dotarł na miejsce, zameldował się, zalogował na stronę i natychmiast poczuł ulgę, widząc, że Smedley udaremnił atak. Wszystko wróciło do normy – chwilowo. Zamknął laptopa, wpełzł pod miękką białą kołdrę i spał przez czternaście godzin.

Po przebudzeniu dobiegły go odgłosy Karaibów. Ptaki – mewy, pelikany i kolorowe papugi – gadały ze sobą, a przez okno wlewał się dźwięk wody rozbijającej się o skały w dole. Ross wyszedł na balkon i spojrzał w prawo, na pustą przystań statków wycieczkowych. Z lewej strony widział Champagne Beach i fragment miasteczka Pointe Michel. To powinien być idealny poranek w raj, ale gdy SPR wszedł do internetu, czekało na niego piekło. Okazało się,

że kiedy Ross spał, napastnicy wrócili i całkowicie sparaliżowali Silk Road. Haker posługujący się pseudonimem JE przysłał SPR-owi mejla z żądaniem zapłaty dziesięciu tysięcy dolarów w bitcoinach za przerwanie ataku. Właściciel strony napisał do swojego doradcy Variety Jonesa z pytaniem, co robić. „Zapłać” – odpowiedział VJ.

Bądź co bądź dziesięć tysięcy dolarów nic dla SPR-a nie znaczyło. Jako że serwis Silk Road codziennie obsługiwał transakcje warte ćwierć miliona, każda godzina ataku kosztowała więcej niż skromne żądania hakera. (Wkrótce dziesięć tysięcy zmieniło się w dwadzieścia pięć).

SPR niechętnie przelał pieniądze. „Musiałem schować dumę do kieszeni” – napisał do Jonesa po przekazaniu bitcoinów napastnikowi. Strona jednak znów działała – ale tylko na razie. Przed rozpoczęciem kolejnej fazy szturm należało załatać wiele dziur na okręcie. VJ obiecał, że wraz ze Smedleyem zajmie się uporządkowaniem bałaganu i przygotowaniem na nowe ataki. „Ty trochę pomedytuj – poradził SPR-owi. – Odnajdź spokój i w ogóle”.

Ross cieszył się, że ich wzajemna relacja była tak dobra, jak wcześniej. Znowu wymieniali się czułymi uwagami, zwłaszcza gdy na noc wylogowywali się ze strony. „Kocham cię, stary :)” – pisał Straszny do VJ-a, który odpowiadał: „Chłopie, wiesz, że ja ciebie też”. Kiedy indziej, gdy jeden kończył dzień słowami „buziaki i tak dalej”, otrzymywał odpowiedź: „buziaki pysiaki”.

Kiedy więc Variety Jones polecił SPR-owi medytować, Ross właśnie to zrobił. Zamknął laptopa i ruszył przez hotel w poszukiwaniu gorącej kąpieli. Pięknie położony obiekt znajdował się na miejscu trzystuletniego fortu na samym skraju wyspy. Na dachu mieścił się basen typu infinity, a obok niego parujące jacuzzi. Ross wślizgnął się do gorącej wody i poczuł, jak uchodzi z niego ciężar problemów, które spoczywały na jego ramionach, a pochodziły z dwóch światów. Patrzył na olśniewające Morze Karaibskie i oddychał głęboko. Ogarnął go spokój.

Chaotyczne wydarzenia w rodzaju ataków hakerów i żądań okupu nie zaprzętały go zbyt długo. Pod wieloma względami zaczęły go nawet cieszyć.

„Jakie my mamy szczęście, że spotykają nas takie kłopoty – napisał do VJ-a. – Zawsze chciałem się zmagać z poważnymi problemami, ale nie wiedziałem, czy się tego doczekam”. Jak wyjaśnił, takie problemy sprawiały, że zastanawiał się nad spuścizną, którą pozostawi, kiedy go zabraknie.

„Wygranie wojny narkotykowej będzie proste” – stwierdził Jones.

„Myślę, że to już w zasadzie przesądzone” – odparł Ross.

SPR nie był pierwszym piratem, który odwiedził Dominikę. Przez setki lat wyspa była domem tych prawdziwych, którzy chowali łupy w jaskiniach całego archipelagu. Teraz tacy jak Straszny mogli ukrywać swój cyfrowy majątek na tutejszych kontach bankowych, nie martwiąc się, że wyciągnie po niego rękę rząd Stanów Zjednoczonych.

„Mój główny priorytet to teraz zdobycie nowego obywatelstwa” – powiedział SPR Jonesowi, który z kolei poradził mu: „Pamiętaj, że twój plan musi uwzględniać co najmniej dwie awaryjne lokalizacje”. Przebywając na Dominice, Ross zaczął rozważać także inne kraje, między innymi Włochy, Monako, Andorę, Kostarykę, a nawet Tajlandię, jako alternatywne miejsca, w których mógłby mieszkać, gdyby musiał wiać.

Zniknięcie wiązało się jednak z konsekwencjami. Ross martwił się o najbliższych i o to, czy zniósłby perspektywę, że nigdy więcej ich nie zobaczy. „Tu się wychowałem – napisał do VJ-a, gdy rozmawiali o opuszczeniu Stanów Zjednoczonych. – Tu jest moja rodzina”. Co ważniejsze, przyznał, że pewnego dnia sam chciał założyć rodzinę. „Najgorsze, że nie mam z kim rozmawiać o takich rzeczach. To wszystko kołacze mi się tylko w głowie”.

Jones znał to uczucie jak nikt, więc udzielał przyjacielowi trafnych i zarazem surowych rad. „Najlepsza rzecz, jaką ci teraz mogę poradzić, to żebyś zaplanował sobie parę lat bez żadnych związków emocjonalnych – napisał. – Jakaś była może cię wpakować do więzienia na całe życie”.

„Ja się wcale nie skarżę” – odpowiedział Straszny Pirat Roberts i podkreślił, że „zajebicie mieć takie problemy”.

Przez następne dwa tygodnie Ulbricht zajął się metodyczną realizacją celu. Procedura uzyskania obywatelstwa nie sprowadzała się bynajmniej do podrzucenia komuś pod drzwi torby banknotów studolarowych ani pendrive'a z bitcoinami. Ross musiał zebrać listy polecające od wieloletnich przyjaciół z Teksasu, których poinformował, że rozważa przyjęcie dominickiego obywatelstwa ze względu na interesujące perspektywy podatkowe dla osób spoza Stanów Zjednoczonych. Potem należało wypełnić oficjalne formularze, złożyć dokumenty, przejść kontrole, a nawet badanie medyczne. Cała ta biurokracja była irytująca, ale Ross musiał się z nią uporać w trosce o SPR-a i jego przyszłość, gdyby trzeba było skorzystać z planu awaryjnego.

Kiedy nie zajmował się wnioskiem o obywatelstwo, nawiązywał na Dominice znajomości. Poznał Lou, trzydziestoparoletnią krzepką miejscową kobietę, która oprowadzała go po zatoczkach i slumsach i poila dużymi ilościami drinków z coca-colą, dominicką specjalnością. Ross spędzał sporo czasu na plaży, gdzie kopał piłkę z Kemą, innym miejscowym. O zmierzchu pływał w Lagoon River, a potem wieczorami siedział pod altaną na Purple Turtle Beach, jadł dania z grilla, plantany oraz ryż i imprezował długo w noc, słuchając dochodzącego z oddali szumu fal rozbijających się o brzeg. To naprawdę był raj.

Na pytania nowych znajomych o to, co robi w ich kraju, Ross odpowiadał po prostu: „Jestem tu służbowo”. Co niestety niespecjalnie odbiegało od prawdy.

Podczas tej wyprawy zmuszony był poświęcać więcej czasu, niżby chciał, na prace nad stroną. Nadzorował niekończące się zgłoszenia klientów, którzy narzekali na to, że narkotyki nie docierają na czas, strona działa za wolno lub ktoś ich nęka na forach. Trzeba było odpierać coraz częstsze ataki hakerów domagających się coraz wyższych okupów, ukrywać się przed federalnymi i inspirować pracowników. Kurka, to była naprawdę ciężka praca. Konto Rossa było jednak pełne po brzegi. Ilekroć dopadał go kryzys, wystarczyło, że popatrzył na arkusz kalkulacyjny z liczbami – trudno o lepszą motywację do dalszych wysiłków.

Na szczęście w tym szczególnie trudnym okresie szykowało się dla niego wytchnienie: wieczór filmowy! Czerpiąc inspirację z klubów, do których Ross należał na Penn State, żeby ulżyć swojej samotności, wymyślił Wieczory Filmowe na Jedwabnym Szlaku, a także założył Klub Książkowy Straszego Pirata Roberta.

Tego wieczoru polecił wszystkim użytkownikom strony, żeby „W piątek szesnastego o godz. 20 czasu wschodniego” jednocześnie nacisnęli „play” i włączyli film *V jak Vendetta* (podał link do jego ściągnięcia). Jak wyjaśnił towarzyszom z okrętu, film opowiadał o państwie policyjnym i zamaskowanym buntowniku znanym jako V, prowadzącym walkę z rządem.

I rzeczywiście, o dwudziestej czasu wschodniego ludzie na całym świecie, między innymi w Ameryce, Tajlandii i Australii, wcisnęli „play” na laptopach. Na Dominice Ross siedział w pokoju hotelowym, zachwycony przekazem oglądanego filmu. Niektóre kwestie mógłby napisać sam SPR. „Obywatele nie

powinni obawiać się swoich rządów – mówił V. – To rządy powinny obawiać się swoich obywateli”.

Przez następny tydzień pracy nad stroną Ross czuł się pokrzepiony wymową filmu. Jednak w przeciwieństwie do V miał inny cel: zarabiał pieniądze, i to dużo.

Gdyby Silk Road wyceniono jako start-up w Dolinie Krzemowej, teraz z pewnością byłby jednym z owych słynnych jednorożców wartych ponad miliard dolarów. Inwestorzy śliniliby się na myśl o spotkaniu z dyrektorem generalnym strony i wpompowaniu w firmę kolejnych kilku milionów. O ile większość start-upów przez pierwsze lata istnienia notuje straty, o tyle serwis Silk Road rozkwitł do tego stopnia, że był wart więcej niż całe państwo, które odwiedzał teraz Ross, czyli Dominika. Na razie jednak nie była to firma, ale nielegalne przedsięwzięcie. Nie miała dyrektora, lecz przywódcę pirata. Pirata, który właśnie pakował walizki w Fort Young Hotel, szykując się do opuszczenia raję. Ross spędził na wyspie dwa tygodnie i rozpatrywanie wniosku o obywatelstwo było już w toku, dlatego przyszła pora na powrót do domu.

Podróż do Stanów trwała prawie dwa dni. W końcu Ross wylądował w międzynarodowym porcie lotniczym San Francisco po pokonaniu sześciu i pół tysiąca kilometrów.

Z pozoru wydawało się, że cała jego wycieczka minęła niezauważona, że Straszny Pirat Roberts wymknął się ze Stanów Zjednoczonych, a potem wrócił, i nikt tego nie wykrył – co zresztą było prawdą. Ross miał jednak mniej szczęścia.

Kiedy amerykański celnik wsunął paszport do elektronicznego skanera, Ross William Ulbricht nie wiedział, że jego nazwisko oraz miejsce, z którego przybył, właśnie są przekształcane na milion jedynek i zer. Ani że ta informacja w ciągu ułamków sekund przemknęła z komputera celnika przez cały kraj po tych samych kablach, które pozwalały ludziom kupować i sprzedawać narkotyki na stronie Silk Road, i wylądowała w bazie danych należącej do Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

Carl lubi SPR-a

Na papierze zespół specjalny Marco Polo był gwiazdorską grupą utalentowanych ludzi, złożoną z Carla Force'a z baltimorskiego oddziału DEA oraz innych agentów z różnych lokalnych komórek władz federalnych, między innymi poczty, która pomagała w przejmowaniu przesyłek, oraz agencji Secret Service śledzącej przepływ pieniędzy (narkotykami oczywiście zajmował się Carl). W trakcie miesięcy, które upłynęły od utworzenia zespołu, grupa ogłosiła, że to właśnie ona jako pierwsza w Stanach Zjednoczonych rozwiąże sprawę Silk Road.

Niemal od początku w Marco Polo panował jednak zamęt. Po pierwsze szybko zaczęła się poważna walka o wpływy. Ten, kto doprowadziłby do zamknięcia strony, miał przejść do historii jako bohater. To było śledztwo na miarę kariery. W rezultacie niektórzy członkowie zespołu kopali dołki pod bardziej doświadczonymi agentami, usiłując przejąć kontrolę nad śledztwem (i często im się to udawało).

Zwieńczeniem tego całego chaosu był Carl Force, który nie przyjmował rozkazów od nikogo, nawet własnego szefa. Kiedy prośby pochodziły od innych członków zespołu, najczęściej całkowicie je ignorował.

Nie po raz pierwszy w karierze zachowywał się w ten sposób. Podczas jednej ze swych ostatnich operacji jako tajniak w realnym świecie, wiele lat przed wcieleniem się w rolę Noba na stronie Silk Road, podjął działania na własną rękę i wkrótce narobił sobie poważnych kłopotów w DEA oraz u własnej żony.

W tamtych czasach pracował w grupie dilerów narkotyków. Coraz bardziej zagłębiał się w ich tajny świat, licząc na to, że okażą mu większe zaufanie, co pozwoli przeprowadzić szeroko zakrojony nalot. W tym działaniu pod przykrywką był jednak odrobinę za dobry. Gdy manipulował przestępcami, których zamierzał aresztować, zaczął tracić z oczu granice między byciem

gliniarzem a przyjacielem. W klubach nocnych upijał się na umór z ludźmi, których obserwował, a kiedy do niego i jego nowych kumpli przychodziły kobiety, zamiast je przeganiać i koncentrować się na obserwacji podejrzanych, upojony alkoholem przyjmował te dziewczęta z szeroko otwartymi ramionami. Wkrótce rozróżnienie między fałszywym dilerem narkotyków a agentem DEA i pobożnym ojcem rodziny zamazało się do tego stopnia, że Carl musiał porzucić tajną operację i pójść na odwyk. Potem, już trzeźwy, wylądował za biurkiem w Baltimore.

Gdy wiele lat później postanowił zostać Nobem, tłumaczył sobie, że to inny rodzaj pracy pod przykrywką. Tym razem nie groziły mu pokusy półświatka, ponieważ siedział za komputerem. Jednak zupełnie jak za dawnych czasów pracy z kartelem świat Straszego Pirata Roberta coraz bardziej go wciągał. Po dniu spędzonym w biurze DEA Carl wracał do swojego starego domu w stylu kolonialnym, szedł prosto do wolnego pokoju i włączał komputer, żeby rozmawiać z człowiekiem, na którego miał polować.

Pokój, z którego pisał do SPR-a, prezentował się nieszczególnie. Stały tam pojedyncze łóżko oraz regał, który kiedyś należał do ojca Carla. To właśnie tu agent siadywał na starym brązowo-białym fotelu z nogami wyciągniętymi na miękkim podnóżku, podczas gdy Nob, jego internetowe alter ego, gadał z SPR-em o wszystkim i o niczym, a Pablo, niezrównoważony psychicznie kot rodziny, który nie cierpiał być dotykany, obserwował go z łóżka.

Czasami rozmawiali o rodzinie, a Carl zapewniał, że modli się za Straszego i jego bliskich. Kiedy indziej gadali o zdrowiu.

„Opowiedz mi o swojej diecie” – poprosił Carl.

„Ograniczam węglowodany – odpisał SPR. – Zero chleba, makaronu, płatków śniadaniowych, napojów gazowanych. Jem dużo jajek na twardo”.

Carl mógł godzinami rozmawiać z SPR-em między innymi dlatego, że widział wyraźnie, że ten człowiek jest samotny. Cały ten czas spędzony w ukryciu odciskał piętno na właścicielu Silk Road. Wyraźnie szukał on pocieszenia u ludzi, z którymi kontaktował się w internecie. Carl sprytnie uznał, że może to wykorzystać, i starał się nakłonić SPR-a, aby zaprzyjaźnił się z Nobem i chętniej dzielił się z nim informacjami. Tu trochę manipulacji, tam trochę oszustwa, i lada moment Straszny Pirat Roberts będzie mu jadł z ręki.

To działanie odnosiło jednak odwrotny skutek – nie dlatego, że Carlowi nie udawało się zbliżyć do SPR-a, ale dlatego, że zbliżał się aż za bardzo.

Rozmawiali godzinami o związkach, muzyce i przyszłości branży narkotykowej.

Dotąd Carl, który na froncie wojny z narkotykami walczył od ponad dekady, zwykle aresztował jednego dilerka tylko po to, by jego miejsce zajął następny. Tracił więc poczucie, że to, co robi na tym świecie, ma sens. Teraz argumenty Straszego Pirata Robertsa zaczynały brzmieć w jego uszach dość rozsądnie. Może odpowiedzią na wszechobecną przemoc, marnotrawstwo środków rządowych i gnicie setek tysięcy ludzi w więzieniach była po prostu legalizacja narkotyków? Może Carl stał w tej wojnie po niewłaściwej stronie? Może, może, może.

Gdzieś pośród tych wszystkich „może” zaczął zachwycać się Straszonym. Pozdrawiał go czule. „Witaj, przyjacielu – pisał. – Czy dobrze się miewasz?” Kiedy indziej radził: „dbaj o siebie”, a zawsze, kiedy żegnali się wieczorem, życzył: „śpij dobrze”. Były również komplementy: „Jesteś najbardziej interesującym człowiekiem na świecie, bądź zawsze nienasycony, przyjacielu!”. Raz zażartował nawet: „Kocham cię”, na co Straszny odpisał: „Przez ciebie się czerwienię :)”. Wkrótce po tej wymianie Carl zaczął podpisywać listy do SPR-a: „Z miłością, Nob”.

Jasne, częściowo po prostu wczuwał się w rolę, ale częściowo było to coś więcej. W miarę zacieśniania ich relacji, oprócz próby wywabienia z ukrycia szefa okrytej złą sławą strony z narkotykami i bronią, Carl wbrew własnym interesom zaczął mu doradzać, jak jeszcze lepiej się zabezpieczać. „Możesz zrobić jedno z dwojga – napisał. – Przeprowadzić się do innego kraju, gdzie nie sięga prawo twojego rodzimego państwa, albo pogodzić się [ze świadomością, że] zawsze mogą cię złapać”.

Doradzał Straszniemu, żeby ten zainteresował się alternatywnymi paszportami, a może również poszukał na wszelki wypadek innego miejsca do życia. Nauczył go, że międzynarodowe szlaki przemytu narkotyków działają w oparciu o „martwe skrzynki” takie jak schowki na dworcach kolejowych, gdzie dilerzy zostawiają narkotyki lub broń, a potem przekazują nabywcy szyfr do zamka, aby tamten mógł zabrać towar i zostawić pieniądze, w ogóle nie spotykając się ze sprzedawcą. To był idealny sposób, żeby nabywcy na stronie Silk Road nie musieli korzystać z poczty. W końcu poradził SPR-owi, by znalazł prawnika.

Czasem jednak Carl dostrzegał granicę między byciem agentem DEA a fałszywym dilerem narkotyków. Bywało, że postępował zgodnie z zasadami, na przykład kiedy pomógł partnerowi w śledztwie, Mike'owi McFarlandowi z HSI Baltimore, zamawiać narkotyki u drobnych dilerów na stronie, a potem ich aresztować. Latem tego roku zatrzymali kilka osób i przejęli ich konta, by tą drogą podejść kolejnych sprzedawców. Aresztowali między innymi mężczyznę z Baltimore handlującego na Silk Road metamfetaminą. Dopadli również człowieka w Lincoln w Nebrasce, który sprzedawał fenazepam, bromowazkę (substancję podobną do LSD), leki na receptę takie jak xanax i valium oraz, jako bonus, broń.

Jednak nawet wtedy, gdy Carl wykonywał swoją robotę jako gliniarz, bywał rozrabiaką. Pewnego razu połączył siły z innym agentem, Shaunem Bridgesem, który pracował w Secret Service i wstąpił do zespołu Marco Polo, żeby pomóc w śledzeniu przepływu pieniędzy. Obaj próbowali zaangażować do pomocy NSA. Bridges wyglądał groźnie, miał wąskie zmrużone oczy, czarną bródkę i krótką fryzurę podkreślającą odstające uszy. Było w nim coś, co mówiło „z tym gościem lepiej nie zadzierać”, ale Carl tego nie dostrzegł.

Krążyły pogłoski, że pracownicy NSA, czyli No Such Agency [Nie ma takiej agencji], jak ją nieoficjalnie nazywano, potrafią się włamać do każdego komputera na świecie. Carl liczył na to, że pomogą mu złamać zabezpieczenia Tora i znaleźć Straszego Pirata Roberta. Mimo że wszyscy inni członkowie zespołu Marco Polo wiedzieli, że NSA nie tyka spraw związanych z narkotykami, Carl i Shaun byli zdeterminowani, aby włączyć ją do śledztwa. Dlatego pewnego dnia, bez wiedzy reszty, umówili się na tajne spotkanie z jednym z kontaktów Shauna z tej agencji. Nie chcieli zostawiać śladu w postaci dokumentów, więc wszystko załatwili osobiście.

Analitik, z którym się spotkali, choć pełen zrozumienia dla ich losu i wyczerpującego polowania na Straszego Pirata Roberta, poinformował, że NSA ma prawo zajmować się wyłącznie celami, które zagrażają bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych. „Przykro mi, nie możemy wam pomóc” – powiedział. A tak na marginesie, ta rozmowa nigdy się nie odbyła.

Dwaj agenci nie zamierzali jednak poddać się tak łatwo. Shaun podrzucił Carlowi alternatywny pomysł.

– Spróbujmy kupić na stronie materiały wybuchowe!

W ten sposób mogliby wykazać, że Silk Road i inne strony w darknecie mogą być niebezpieczne dla kraju.

– Wchodzę w to! – odpowiedział radośnie Carl.

Kiedy poinformował o planie swojego szefa Nicka, został ostrzeżony, by tego nie ruszał, ponieważ bomby nie mieszczą się w uprawnieniach DEA, tak samo jak narkotyki w uprawnieniach NSA.

Ale to Carl tu rządził, przynajmniej w jego własnym mniemaniu, nikt więc nie mógł mu dyktować, co ma robić. Razem z Shaunem zaplanowali zakup w sieci bomb rurowych i zamówienie ich na adres tajnej rządowej skrytki pocztowej, tak by udowodnić analitykowi z NSA, że witrynę Silk Road można wykorzystać do ataków na terytorium Stanów Zjednoczonych. Wkrótce jednak dotarło do nich, że przypadkowe odkrycie przesyłki z bombami rurowymi może wywołać na poczcie lekkie zamieszanie, więc w ostatniej chwili realizacja planu została wstrzymana.

Gdy ten sposób na dotarcie do właściciela Silk Road określą drogą zawiódł, Carl wrócił do zacieśniania przyjaźni z SPR-em. W tym celu pisał do szefa strony, co tylko chciał. Nic więc dziwnego, że niemal każdy, kto czytał zapisy rozmów Noba i Straszego, zaczynał się zastanawiać, dlaczego są one aż tak szczegółowe.

Nick, szef Carla w DEA, czytał je wielokrotnie i za każdym razem wpadał w szal. Wzywał podopiecznego do siebie, zatrząskiwał drzwi i wśród hałasu muzyki heavymetalowej wybuchał wściekłością. (Carl znajdował przyjemność we wkurzaniu szefa, więc siedział w jego gabinecie niespieszony).

– Robię to tylko po to, żeby się do niego zbliżyć – mówił Nickowi agent bez cienia skruchy, choć była to tylko w połowie prawda. – Muszę zdobyć zaufanie SPR-a.

Trudno byłoby uznać, że to podejście nie działa. Nie dało się też wykluczyć, że Carl doprowadzi do zamknięcia Silk Road, zanim zrobią to inni agenci, przy tym zaś stawało się jasne, że na to samo ma chrapkę wiele osób w agencjach rządowych, w tym (jak słyszał Carl) Jared Der-Yeghiayan z Chicago. Można więc było przymknąć oko na osobliwe kontakty Carla z SPR-em, jeśli miały oznaczać wygraną ekipy Marco Polo.

Właśnie dlatego kiedy Carl zaproponował kontrolowaną sprzedaż narkotyków, w której pośrednikiem miał być nie kto inny jak sam SPR, nikt nie uznał tego za zły pomysł.

Carl wymyślił, że Nob, jego internetowe alter ego, sprzeda jakiemuś nabywcy hurtową ilość kokainy lub heroiny. Tak jak się spodziewał, Straszny Pirat Roberts był chętny do udziału w transakcji.

„Za ile możesz sprzedać 10 kilo?” – zapytał SPR Noba pewnego popołudnia.

„Heroiny?”

„Tak, heroiny”.

Wcielając się w rolę, Nob wyjaśnił, że ma tylko „meksykańską brązową, a nie chińską białą”, ale pierwsze dziesięć kilo poszłoby za pięćdziesiąt siedem tysięcy za kilogram, czyli łącznie za nieco ponad pół miliona dolarów. Gdyby sprzedaż przebiegła pomyślnie, później opuściłby cenę do pięćdziesięciu pięciu tysięcy, a potem do pięćdziesięciu trzech. Powiedział Strasznemu, że za mniejszą sumę może natomiast sprzedać kilogram kokainy.

„Dobra” – odpisał SPR. Znajdzie kupca na kilo koks.

Szef Silk Road przystąpił więc do załatwiania transakcji, a tymczasem przestawało być jasne, kto będzie reprezentował jej drugą stronę. Czy pobożny agent DEA pragnący złapać Straszego Pirata Roberta i pławić się w chwale po arestowaniu największego dilerów w swej karierze? Czy może Nob, nieustraszony przemytnik narkotyków, który chciał pomóc SPR-owi w bezpiecznej podróży Jedwabnym Szlakiem?

Nerka na sprzedaż!

Ross stał w swojej sypialni obok łóżka z pomietą białą pościelą i zapinał guziki różowo-zielonej kraciatej koszuli. Szykował się na wyprawę w poszukiwaniu kolejnej przygody w San Francisco.

Przez ostatnie kilka miesięcy zgłębił każdy zakątek rejonu zatoki. Były dni, kiedy jeździł na południe do Bernal Heights i wspinał się na szczyt wzgórza. Chodził na długie spacery wzdłuż pomostów, na których opalały się lwy morskie. Wybrał się też z Reném, swoim przyjacielem i współlokatorem, na północ, przez most Golden Gate do Marin, gdzie chodzili szlakami wśród sekwoi, przedzierali się przez słoną mgłę i przystawali co parę kroków, by podziwiać tysiącletnie drzewa, które zdawały się dotykać nieba. Pomiedzy takimi wyprawami wypływał z przyjaciółmi na rejsy po wzburzonych wodach zatoki i niemal ocierał się o Alcatraz, słynne więzienie, gdzie niegdyś był osadzony Al Capone, amerykański gangster, który walczył z rządem Stanów Zjednoczonych w czasach prohibicji.

Do jednego z najbardziej pamiętnych zdarzeń podczas pobytu Ulbrichta w San Francisco doszło w czwartkowe popołudnie na początku grudnia, kiedy Ross i René trafili do Współczesnego Muzeum Żydowskiego w dzielnicy South of Market.

Na ulicach pełno było bezdomnych, głównie narkomanów, którym nie powiodło się w życiu. Obwozili cały swój dobytek w wózkach z supermarketu między jadłodajniami i klinikami odwykowymi, mijając wielkie szklane budynki, w których warte miliardy dolarów start-upy rosły w siłę z godziny na godzinę. Dzień, w którym dwaj przyjaciele weszli do muzeum, był chłodny, padał lekki deszczyk. Krążyli po jasno oświetlonych przepastnych salach, aż natknęli się na metalową skrzynię wielkości szopy z dużymi, pękatymi czerwonymi literami STORYCORPS na boku. Ross i jego przyjaciel otworzyli drzwi i usiedli w środku przed dwoma mikrofonami. Zapaliło się czerwone

światełko na znak, że to, co sobie teraz powiedzą, zostanie nagrane. Zaczął Ross, przedstawił się i powiedział:

– Mam dwadzieścia osiem lat – mówił spokojnym, chrypliwym głosem.

Nagranie było elementem eksperymentu, któremu patronowało National Public Radio. Skrzynia, w której teraz siedzieli, podróżowała po kraju, a Amerykanie byli zachęceni do tego, aby opowiadać swoje historie dla potomności, starając się uchwycić zmiany zachodzące aktualnie w Stanach Zjednoczonych. Niektóre nagrania były smutne, na przykład to z rodzicami opowiadającymi o młodym synu, który chorował na śmiertelną chorobę i umarł, bo nie mógł się doczekać przeszczepu szpiku kostnego. Inny mężczyzna mówił o tym, jak podczas służby w Afganistanie przeżył wybuch przydrożnej bomby. Były też historie bardziej podnoszące na duchu: na przykład opowieść o pewnej parze, która zakochała się w sobie podczas huraganu Katrina.

Być może Ross nie postępował najrozsądniej, zwracając na siebie uwagę. Ale skoro Straszny Pirat Roberts mógł na Silk Road stale mówić prawdę o społeczeństwie, to dlaczego Ross nie mógł zrobić tego samego w realnym świecie? Nikt się przecież nie zorientuje, że człowiek, który zaraz przemówi do mikrofonu, prowadzi w rzeczywistości dwa życia.

Mężczyzn poinstruowano, by mówili do kogoś, kto może słuchać tej rozmowy za dwieście lat. Zaczęli od powodów swojego przyjazdu do San Francisco. René, jak sam powiedział, przybył tam „dla start-upów i pieniędzy”. Następnie przyszła kolej na Rossa, żeby wyjaśnił, jak znalazł się w tej metalowej skrzyni.

– Mieszkalem w Austin w Teksasie – zaczął, a potem urwał, jakby w myślach tam wrócił. – I yyy... – zająknął się, spoglądając w przestrzeń. – Yyy...

René patrzył na niego i czekał, aż przyjaciel skończy zdanie. Zdawał się nie mieć bladego pojęcia, w jakie rejony zabrnął właśnie umysł Rossa.

Chociaż Ulbricht bardzo się zbliżył do Reného, dotrzymał obietnicy złożonej rok wcześniej samemu sobie. Nigdy więcej nie powie nikomu ze świata rzeczywistego o internetowym uniwersum, które stworzył. Miał nauczkę po doświadczeniach z Julią.

Mimo to trudno było ukrywać prawdę. Znajomi z realu mówili do niego na przykład: „czemu nie spróbujesz tego pomysłu na biznes albo nie zajmiesz się tamtą apką?”, na co Ross odpowiadał po prostu: „Dobry pomysł, stary.

Zastanowię się”. Ale jak napisał pracownikom na Silk Road, miał wtedy ochotę „wykrzyzczyć im: »Bo prowadzę przestępczy interes wart miliony dolarów!!!!«”.

Kłamstwo miało swoją cenę. Żeby rozdzielić te dwa światy i usprawiedliwić czyny, których był zmuszony dokonywać – w jednym opowiadał zmyślane historie rodzinie i znajomym, a w drugim podejmował stanowcze decyzje o rozległych konsekwencjach – mężczyzna w różowo-zielonej kraciastej koszuli nabrał niezwyklej biegłości w rozgraniczaniu życia Rossa Ulbrichta i Straszego Pirata Robertsa.

Kiedy Ross wybierał się na przechadzki z przyjaciółmi (albo sam), najważniejsze decyzje, jakie musiał podejmować przez cały dzień, dotyczyły tego, gdzie rozpocznie przygodę i co zje na lunch. Gdy zaś wchodził w rolę Straszego Pirata Robertsa, Ross zniknął, a SPR napawał się władzą związaną z ustalaniem reguł w świecie zamieszkiwanym przez setki tysięcy ludzi. To on decydował, kto może przebywać na jego wyspie i co wolno, a czego nie wolno tam robić. Co więcej, SPR – pozornie będący tą samą osobą co wychowany przez mamę słodki Ross – potrafił podejmować trudne decyzje, przed którymi jeszcze kilka lat temu by uciekał.

Zaledwie dwa tygodnie wcześniej zetknął się na stronie z pytaniem, jakiego nigdy nikt nie zadał Rossowi w klubach dyskusyjnych na Penn State.

„Jest taka kwestia – napisał jeden z pracowników. – Czy zezwalamy na sprzedaż nerek i wątrób?”

No cóż, Ross nie spodziewał się, że ludzie będą handlować na Silk Road organami. „Jest już oferta? – zapytał. – Czy dopiero ktoś chce sprzedać?”

Wtedy pracownik przesłał mu mejla, który trafił do działu wsparcia strony. Anonimowy nadawca chciał handlować nerkami, wątróbami i innymi narządami. Jak twierdził, sprzedaż wszystkich tych organów wewnętrznych miała się odbywać „za obopólną zgodą” sprzedawców i nabywców.

Na czarnym rynku nerka mogła kosztować ponad dwieście sześćdziesiąt tysięcy dolarów (choć nerka osoby z Chin była warta tylko sześćdziesiąt tysięcy), a dobra wątroba – sto pięćdziesiąt tysięcy. Niemal każdą część ludzkiego ciała można było sprzedać, i to z olbrzymim zyskiem. Na przykład szpik kostny chodził po dwadzieścia trzy tysiące dolarów za gram (dla porównania za gram kokainy płacono sześćdziesiąt dolarów). Rodzina, która nie mogła zdobyć szpiku dla umierającego syna za pośrednictwem niewydolnej amerykańskiej służby zdrowia, chętnie zapłaciłaby za niego w darknecie.

„Tak, jeśli dawca wyraża zgodę, to w porządku” – odpisał SPR, a potem wyjaśnił pracownikowi, że „kwestie moralne stają się proste, gdy rozumiesz zasadę nieagresji”. Powoływał się na ten sam libertariański argument, którego tyle razy używał w debatach na Penn State. Zgodnie z nim na wolnym rynku wszystko jest dozwolone pod warunkiem, że bez powodu nie stosujesz wobec kogoś przemocy. (Jeśli zaś ktoś spróbuje cię skrzywdzić, masz pełne prawo bronić siebie i swojej własności. Libertariańskim światem rządzi reguła „oko za oko”). Sprzedaż wątroby albo śledziony na stronie internetowej jest całkowicie moralna i słuszna, podkreślił SPR.

Oprócz handlu organami ostatnio zaakceptował też na Silk Road sprzedaż trucizny.

„No więc ten... mamy handlarza sprzedającego cyjanek – powiadomił szefa kolejny z pracowników. – Nie bardzo wiem, jakie jest nasze stanowisko. Facet nie zgłosił produktu jako trucizny, ale to jedna z najbardziej znanych trucizn używanych do zabójstw i samobójstw”. Na końcu wiadomości pracownik napisał „lol”.

SPR poprosił o link do oferty. Sprzedawca przyznawał, że cyjanku można użyć po to, żeby się zabić (w siedem do dziewięciu sekund) – do każdego zamówienia dołączał darmowy egzemplarz e-booka pod tytułem *The Final Exit* [Wyjście ostateczne], poradnika dla samobójców. Cyjanek ma jednak także niegroźne zastosowania, zaznaczał handlarz, służy do czyszczenia złota i srebra, a ponadto to „idealne lekarstwo na trąd”.

Po kilku minutach rozmyślał SPR odpisał pracownikowi: „Myślę, że zezwolimy”. Potem powtórzył motto przyświecające stronie: „To substancja, a my w przypadku wątpliwości wolimy niczego nie zakazywać”.

Bądź co bądź strona Silk Road była tylko platformą – taką samą jak Facebook, Twitter czy eBay – na której użytkownicy wymieniali się ideami i walutą. Kim więc był SPR, żeby się nie zgodzić? Przecież Twitter nie dyktuje, jakie opinie wolno wpisywać w tym małym okienku na górze ekranu. Niezależnie od tego, czy w stu czterdziestu znakach chcesz błysnąć geniuszem, czy gadać głupoty – proszę bardzo. W internecie możesz mówić, co tylko zechcesz, to twoje prawo dane od Boga, tak samo jak kupno i sprzedaż dowolnych produktów i wprowadzanie ich do organizmu – jeżeli tak postanowisz.

Taki sam cel przyświecał Rossowi w przypadku broni, kiedy uruchamiał witrynę Armory. Niedawno jednak był zmuszony ją zamknąć, bo przesyłanie broni palnej pocztą okazało się za trudne. W efekcie zbyt mało osób było skłonnych robić tam zakupy, więc SPR na razie ponownie umożliwił sprzedaż broni na Silk Road do czasu znalezienia nowych sposobów anonimowego przekazywania sobie tego typu towarów. Niezależnie od tego, czy chodziło o broń, narkotyki, trucizny czy narządy, według Straszego Pirata Roberta ludzie mieli prawo to wszystko kupować i sprzedawać.

„Oczywiście – zgodził się pracownik. – To przecież czarny rynek :)”.

„Zgadza się – napisał Ross. – A my zapewniamy na nim porządek i przyzwoitość”.

Choć te decyzje mimo wszystko były dla właściciela trudne, granica między tym, gdzie kończył się Ross, a zaczynał SPR, coraz bardziej się zacierała. I tak samo jak każdy ambitny dyrektor generalny start-upu z San Francisco nie rozumiał, jak pojedyncza decyzja podjęta przed komputerem może ostatecznie wpłynąć na życie niezliczonych ludzi.

„Myślę, że zezwolimy”. Tymczasem w metalowym pudle znajdującym się we Współczesnym Muzeum Żydowskim René znowu zaczął mówić. Spoglądając na przyjaciela, stwierdził:

– Wydaje się, że żyjemy w San Francisco w szczególnym momencie.

Ross, który właśnie wrócił z kolejnego snu na jawie, zgodził się z przyjacielem.

– Też mam takie wrażenie – powiedział. – Czuję, że świat jest w ruchu.

Rzeczywiście tak było, a pod wieloma względami wszystkie te zmiany wywoływali otaczający ich ludzie. Przez następne pół godziny rozmowa toczyła się wokół rodziny, przyjaciół i narkotyków (oraz tego, że Ross uwielbiał je jako nastolatek). Potem Ulbricht opowiedział o swojej niedoszłej narzeczonej z Teksasu i o tym, jak jej zdrada sponiewierała go emocjonalnie.

– Czy teraz jesteś bardziej zdystansowany? – zapytał René.

– O tak – odparł Ross. – I to jak.

Potem René podzielił się niedawnym olśnieniem: tak ciężko pracujemy, i właściwie po co?

– Nie istnieje taki sukces, żebym czuł się szczęśliwy przez cały czas – stwierdził. – Te drobne osiągnięcia to ulotne chwile.

Ross podrapał się po brodzie, jakby nie zgadzał się z przyjacielem.

– Wydaje mi się, że jest jakaś dobra strona... eksploatacja się do granic wytrzymałości – powiedział. – Miałem podobne doświadczenia w swojej pracy: kiedy staje się ona wszystkim, jest ważniejsza niż cokolwiek innego.

Zaczęli się zbliżać do końca nagrania. Ale zanim się pożegnali, René zapytał przyjaciela, gdzie chciałby być za dwadzieścia lat.

– Do tego czasu chciałbym mieć znaczący pozytywny wpływ na przyszłość ludzkości – odpowiedział tamten.

Potem René spytał:

– Myślisz, że będziesz żył wiecznie?

– Sądzę, że jest to możliwe – odparł Ross do mikrofonu. – Poważnie, myślę, że w pewnej formie mogę żyć wiecznie.

Biały dom w Utah

Mały dom przy East 600 North Street w Spanish Fork w stanie Utah czasy świetności miał już za sobą. Białe panele sidingowe były obłupane wskutek lat zaniedbania, podobnie jak drewniany płot okalający działkę. W niebo Utah z każdej strony wznosiły się nieduże białe iglice znaczące niezliczone miejsca modlitwy. Bądź co bądź był to kraj mormonów, kolebka Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich.

W czwartkowy poranek w połowie stycznia 2013 roku ciszę co kilka minut zakłócał dźwięk samochodu przejeżdżającego przez pobliskie skrzyżowanie. W oddali niósł się echem trzepot kilkunastu szarpanych wiatrem postrzępionych flag amerykańskich, które wisały wzdłuż pobliskich ulic.

Tego dnia zdarzyło się jednak coś niecodziennego. Wzdłuż drogi stała nietypowa liczba aut, w tym również pozbawiona okien biała furgonetka, która parkowała naprzeciwko domu po drugiej stronie jezdni. Gdyby jakiś przechodzień mógł zajrzeć do środka, zobaczyłby grupę mężczyzn sprawdzających komory broni maszynowej, naciągających kominiarki i poprawiających kamizelki kuloodporne.

Tuż po jedenastej, gdy naprzeciwko białego domu otwierał swe podwoje HuHot Mongolian Grill, oferujący nielimitowany bufet za osiem dolarów i dziewięćdziesiąt dziewięć centów, z furgonetki wyłonił się mężczyzna ubrany w niebieskie dżinsy, adidas i granatową kurtkę z emblematem U.S. Postal Service na rękawie. Podeszedł do białego domku z niewielką paczką w rękę i głośno zapukał.

– Halo! – zawołał, dudniąc pięścią w siatkowe drzwi. – Jest tam kto?

Nikt nie odpowiedział, ale wyraźnie było widać, że ktoś rzeczywiście jest w domu. Mężczyzna w pocztowej kurtce położył paczkę na rozlatującej się kraciatej wycieracze przed wejściem i ruszył z powrotem do furgonetki.

Agent specjalny Carl Force z DEA obserwował ten spektakl ze stojącego w pobliżu nieoznakowanego samochodu policyjnego.

– On się na to nie nabierze – powiedział do znacznie starszego agenta, który siedział obok.

– Daj mu chwilę – odparł tamten. – Wyjdzie.

Carl czekał, rozkoszując się spokojem tej chwili: rozległe niebo i łopoczące flagi, dokoła ośnieżone góry Wasatch, a dalej rozległa pustka. Wylądował tutaj wraz z pozostałymi mężczyznami, ponieważ Nob, jego internetowe alter ego, obmyślił genialny plan zakładający, że Straszny Pirat Roberts znajdzie mu nabywcę na kilogram kokainy. SPR błyskawicznie skontaktował go z dilerem na stronie, a po uzgodnieniu ceny w wysokości dwudziestu siedmiu tysięcy dolarów Carl dostał adres niejakiego Curtisa Greena, który pracował dla SPR-a i zgodził się przyjąć kokainę jako pośrednik, by przekazać ją kupującemu.

Gdy tylko dobili targu, zespół specjalny Marco Polo musiał się szybko przygotować do akcji. Na szczęście Carl miał w Utah kontakty w Wydziale Poważnych Przestępstw, który zgodził się wypożyczyć do tej operacji kilogram kokainy z magazynu z dowodami.

Kilka dni później Carl odebrał koks oraz pudełko przesyłki priorytetowej. Zanim włożył do środka narkotyki, kilka razy przejechał po pudełku pikapem, aby stworzyć wrażenie, że paczka sporo przeszła podczas transportu. Agenci zdecydowali się na tak zwaną dostawę kontrolowaną, która polegała na tym, że jeden z nich, udając pracownika poczty, doręczy paczkę do domu Greena, a potem dokonają aresztowania. Ponieważ jednak chodziło o zespół Marco Polo, cała operacja zmieniła się w jeden wielki bałagan, odkąd tylko wylądowali w Utah. W szczególności agent, który miał za zadanie przebrać się za listonosza, postanowił wcale się za niego nie przebierać. Na czas doręczenia paczki tylko niedbale narzucił kurtkę pocztową na swoje zwykłe ubranie.

– Gość w ogóle nie wygląda jak pracownik poczty – powiedział Carl do siedzącego obok burkliwego agenta, kiedy fałszywy listonosz wsiadał z powrotem do białej furgonetki.

Minęło kilka minut, aż w końcu skrzypiące drzwi zniszczonego domu otworzyły się i pojawił się w nich przysadzisty mężczyzna o krótkich ciemnych włosach. Wyglądał zza progu niczym nieśmiałe zagubione zwierzę. Był to Curtis Green. Miał chyba nieco ponad czterdziestkę, a na jego twarzy malował się wyraźny niepokój. Carl wiedział, że Green to jeden z ważniejszych

pracowników w rozległej sieci dilerskiej Straszego Pirata Roberta. Spędzał całe dni zamelinowany w tym domu, pośrednicząc w umowach między sprzedawcami a kupującymi i rozstrzygając spory, gdy transakcje się nie powiodły.

Green spojrział prosto na białą furgonetkę, potem w dół na przesyłkę, i ostrożnie wyszedł na werandę. Z różową laską w dłoni pakuł paczkę, po czym schylił się, by ją podnieść i obejrzeć. To była przesyłka priorytetowa w pudełku nie większym od cegły, bez adresu zwrotnego. Green nosił saszetkę na pas, która lekko się poruszała, kiedy człapał. Uznał chyba, że nie chce mieć z tą paczką nic wspólnego, bo cisnął ją do kosza na śmieci stojącego na trawie i pakuł z powrotem do domu.

– Co, do chuja?! – zawołał Carl.

Mężczyźni w furgonetce także patrzyli z niedowierzaniem. Co teraz? Wiedzieli przecież, że nie można aresztować kogoś za wyrzucenie paczki kokainy do śmieci. Gdy zastanawiali się, co robić, na progu znowu pojawił się Green i rozejrzał się powoli tak samo jak kilka minut temu. Tym razem wyjął przesyłkę z kosza i zabrał do środka. Zamknęły się za nim drzwi.

Nadszedł czas. Już po kilku sekundach zgrzytnęły tylne drzwi białej furgonetki, za czym poszła kaskada kolejnych trzasków drzwi w autach zaparkowanych za rogiem. Z samochodów wysypały się dziesiątki mężczyzn z miejscowej brygady antyterrorystycznej oraz z DEA uzbrojonych w długą czarną broń, którzy przebiegli po wyschłej trawie przed wejściem. Pojawił się czarny taran i uderzył w drzwi białego domku. Agenci zespołu specjalnego Marco Polo wpadli do środka.

– Na ziemię! – krzyknął jeden z nich do Greena, który stał nad otwartą paczką proszku, z nożyczkami w dłoni i chmurą kokainy na twarzy.

Jąkając się, mężczyzna wykonał polecenie i czym prędzej położył się na podłodze. Zawołał swoje dwa psy rasy chihuahua, Maxa i Sammy, które obszczekiwały uzbrojonych mężczyzn.

– Ręce na widoku! – zawołał któryś z agentów.

Max, starszy z psów, nie mógł dłużej znieść tego zamętu i zesrał się na podłogę w salonie, a młodsza suczka Sam próbowała pogryźć sznurowadła innemu agentowi. Ponad całym tym chaosem na ścianie wisiały zdjęcia żony i dzieci Greena oraz kwadratowa ozdobna płytką z napisem: „Gdybym wiedział, że przyjdiesz, tobym posprzątał!”.

Curtisa Greena przeszukano – funkcjonariusze znaleźli dwadzieścia trzy tysiące dolarów upchane w torebce zawieszanej w pasie – i odczytano mu jego prawa. Był wyraźnie przerażony, obiecywał gliniarzom, że zrobi, co tylko zechcą, powie wszystko, co chcą wiedzieć, pokaże im, jak działają bitcoiny, i zaprowadzi do komputera, z którego logował się na Silk Road.

Policjanci na tyłach domu przetrząsnęli szuflady Greena, a z jednej wyjęli duże czarne dildo jego żony, które stało się tematem żartów. Inni zeszli do piwnicy, gdzie natrafili na kilka połączonych ze sobą komputerów tworzących, jak się dowiedzieli, koparkę bitcoinów. Było na nich włączone oprogramowanie ściągnięte przez Greena, które bez przerwy przetwarzało liczby w poszukiwaniu bitcoinów, które można by zamienić na prawdziwą gotówkę.

Podczas gdy gliniarze przeszukiwali rzeczy Greena, jeden z agentów HSI z Baltimore wziął nieśmiałego mężczyznę na stronę i zaczął zadawać mu pytania. Carl i agent Secret Service Shaun Bridges mieli zaś w tym czasie sprawdzić komputer Curtisa. Wkrótce odkryli, że Green jako pracownik Silk Road miał na stronie konto ze specjalnymi przywilejami, pozwalające zmieniać hasła użytkowników, a nawet całkiem ich wylogować. Jak wyjaśnił potem mężczyzna, te uprawnienia administracyjne przyznał mu sam Straszny Pirat Roberts.

Kiedy Carl i Shaun zgłębiali konto Greena w poszukiwaniu dowodów, które zbliżyłyby ich do zatrzymania SPR-a, zauważyli, że z uprawnieniami administracyjnymi Greena wiązała się jeszcze jedna niezwykła rzecz. Wyglądało na to, że jako moderator miał on dostęp do bitcoinów innych ludzi zarejestrowanych na Silk Road. Ściśle mówiąc, do setek tysięcy bitcoinów. Gdyby chciał, mógłby łatwo zabrać te pieniądze. Wszyscy przecież wiedzieli, że bitcoiny, zupełnie jak gotówki, nie da się wyśledzić. Green nigdy jednak by tego nie zrobił, z obawy przed bezwzględnym odwetem ze strony Straszego Pirata Roberta. Można by również sądzić, że nie zrobiliby tego agenci zespołu specjalnego Marco Polo, którzy przysięgali chronić obywateli, „tak mi dopomóż Bóg”.

Jednak w ciągu najbliższych dni, bez wiedzy kogokolwiek w domku przy East 600 North Street w Spanish Fork ani w całej administracji państwowej Stanów Zjednoczonych, Shaun Bridges z Secret Service miał zrobić coś niewyobrażalnego. Zaczął grzebać w należącym do Greena komputerze i korzystając z jego loginu, po kryjomu podebrał z kont innych użytkowników

Silk Road trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Zamiast przekazać te pieniądze agencjom rządowym jako dowód w sprawie, potajemnie przelał całą kwotę na swoje prywatne konta w internecie.

Na tym się nie skończyło. Nie minęło wiele czasu, zanim Carl Force, szlachetny, pobożny ojciec – całkiem niezależnie od Shauna Bridgesa – również zaczął czerpać pieniądze z działalności strony Silk Road. Zamiast przywłaszczać sobie środki tak jak Shaun, sprzedawał informacje Strasznemu Piratowi Robertsowi w zamian za setki tysięcy dolarów w bitcoinach. Te informacje zapewniały Rossowi Ulbrichtowi przewagę nad organami ścigania polującymi na szefa Silk Road.

Zupełnie tak jak kiedyś, Carl przekraczał granicę między śledzeniem przestępcy a stawianiem się nim.

Tak mi dopomóż Bóg.

Torturowanie Curtisa

Hol hotelu Marriott w Salt Lake City był równie nijaki i cichy jak każdy inny, z wykładziną twardą jak beton i nieświeżym zapachem kawy unoszącym się w powietrzu. W kącie grał telewizor, u dołu ekranu przesuwiał się pasek, a powyżej spiker odczytywał najświeższe wiadomości o tym, że w Stanach Zjednoczonych sprzedaż nowych domów spadła o 7,8 procent w stosunku do poprzedniego miesiąca i gospodarka znowu się chwieje.

Na górze w jednym z apartamentów na podłodze leżała różowa laska. Kilka kroków dalej w łazience pracownik pocztowy z zespołu specjalnego Marco Polo podtapiał właściciela tej laski, Curtisa Greena. Głowa Greena zanurzała się pod wodą, a ręce w panice młóciły powietrze, zaś stojący naprzeciwko Carl Force z DEA filmował te tortury kamerą cyfrową.

Minął tydzień, odkąd DEA wyważyło taranem drzwi domu Greena, wdarło się do środka i tak bardzo spłoszyło jego biedne psy, że (dosłownie) zesrały się ze strachu. Po aresztowaniu, spisaniu zeznań i wypuszczeniu z lokalnego posterunku Green wrócił do domu, padł na kanapę i zaczął płakać. Domyślał się, że teraz będzie musiał znaleźć prawnika, wyznaczą mu datę rozprawy i być może pójdzie z DEA na układ w zamian za łagodniejszy wyrok. Sprawy potoczyły się jednak inaczej.

Po akcji zespół specjalny Marco Polo wrócił do Baltimore, a mormonowi Greenowi kazano się nie wychylać. Carl i reszta grupy wychodzili z założenia, że zdążą go przesłuchać później, a tymczasem mogli penetrować jego komputer w poszukiwaniu dalszych dowodów. Jak się jednak dowiedział Carl (jako Nob), Straszny Pirat Roberts już usłyszał, że jego pracownika aresztowano.

Wśród zamętu Shaun Bridges, Carl Force i pracownik pocztowy z zespołu specjalnego wrócili do Marriotta w Salt Lake City, żeby przesłuchać Greena i zdobyć jak najwięcej informacji, dopóki ten jeszcze miał dostęp do swoich plików na stronie Silk Road.

Green przybył do Marriotta z adwokatem i natychmiast zaczął pleść, że bezwzględny Straszny Pirat Roberts na pewno łąda chwila naśle na niego swoich zbirów, żeby go zabili. Mówił, że jest tak przerażony, że nie może spać. W Spanish Fork cały czas z lękiem wyglądał przez okno, tylko czekając, aż ktoś zapuka do drzwi i to będzie koniec Curtisa Greena razem z jego dwoma psami rasy chihuahua. Nawijał jak wystraszony nastolatek opowiadający dyrektorowi o osiłkach, którzy chcą go dorwać po szkole.

Ten mężczyzna zawsze był gadułą i, jak wkrótce stwierdził Carl, słabeuszem. W liceum koledzy przezywali go „Nito”. Młody pyzaty Green nie wiedział, co to znaczy, i śmiał się razem z nimi. Dopiero wiele lat później dowiedział się, że mieli na myśli odcinek między moszną a odbytem mężczyzny („ni to jaja, ni to dupa”).

Carl szybko zrozumiał, dlaczego ten pseudonim się przyjął. Po kilku minutach słuchania bełkotu Curtisa miał ochotę mu przyłożyć, kazać się zamknąć albo jedno i drugie. Green sprawiał wrażenie równie zdenerwowanego co jego półtorakilogramowe psy. Gdy opowiadał członkom zespołu Marco Polo o swojej roli w funkcjonowaniu sklepu internetowego i o straszliwym Strasznym Piracie Robertsie, czasami skamlał. Kiedy indziej powtarzał: „Jestem tylko grzecznym mormonem”.

W końcu, po paru godzinach przesłuchań, jego prawnik (który był najwyraźniej najgorszym prawnikiem w całym Utah) znudził się i postanowił sobie pójść, na odchodnym radząc klientowi, żeby powiedział glinom wszystko, co wie. Kiedy wyszedł, Nito się rozplakał. Carl rozmyślał o tym, jaki ten człowiek jest żaloszny, gdyż uosabia wszystko, czego agent nienawidził na tym świecie: był za słaby, żeby stawić czoło konsekwencjom własnych wyborów.

Okolo południa, wyczerpani po wielu godzinach przesłuchań, postanowili zejść do restauracji w Marriottcie na lunch. Gdy wszyscy jedli, Carl zalogował się na swoim laptopie jako Nob i zaczął rozmawiać z SPR-em, żeby sprawdzić, czy wie on coś więcej na temat człowieka, który siedział naprzeciwko. To właśnie wtedy, gdy Green skubał frytki i usiłował nie zdenerwować pilnujących go agentów DEA, Straszny opowiedział Nobowi, co się stało. Jeden z jego pracowników ukradł trochę bitcoinów, więc SPR nie był zadowolony. „Żadna fortuna – napisał – ale i tak strasznie mnie wkurzył”.

„Kto to jest i gdzie mieszka?” – zapytał Nob, zerkając znad laptopa na Nita, który odpowiedział nerwowym spojrzeniem.

„Wyślę ci jego dowód”.

Nob natychmiast spytał, dlaczego SPR ma dowód tego człowieka.

„Kazałem mu wysłać skan, kiedy go zatrudniałem – odpisał Straszny. – Właśnie na taką ewentualność”.

Rozmawiając z nim, Carl udawał, że nie wie, co stało się z jego kilogramem kokainy, lecz jednocześnie zdziwił się, że Green tuż po tym, jak został aresztowany, śmiał ukraść trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów w bitcoinach.

– Ukradłeś pieniądze SPR-owi? – zapytał zszokowany, że Nito mógłby coś takiego zrobić.

Shaun, który naprawdę je ukradł, milczał.

– Nie! – odpowiedział Green w panice. – Chyba żartujesz. Nawet bym nie wiedział, jak ukraść mu choćby parę groszy.

– Przyznaj się! – krzyknął Carl.

Wtedy włączył się Shaun. Spojrzenie jego wąskich, świdrujących oczu było onieśmielające.

– Przyznaj się, że ukradłeś te pieniądze!

– Nie ukradłem!

– Dlaczego go chronisz? – zapytał Carl.

– Ja tego nie zrobiłem – załkał Green.

W trakcie tej wymiany zdań na ekranie komputera Carla pojawiła się wiadomość od Straszego Pirata Robertsa. Pytał, czy Nob zna kogoś, kto mógłby pobić Greena i zmusić go do oddania pieniędzy. Ponieważ Carl pozował na wielkiego przemytnika narkotyków, odpisał, że oczywiście zna takich ludzi.

„Jak myślisz, jak szybko mogliby się tam zjawić? – spytał SPR. – I ile to cię będzie kosztować?”

Carl podniósł wzrok znad komputera i poinformował Curtisa, że plan jego dnia się zmienił – nieznacznie. Green, który ciągle bełkotał, wpadł w przerażenie, kiedy usłyszał, co się teraz stanie. Carl oznajmił, że pobicie musi wyglądać autentycznie. SPR oczekiwał dowodów.

Wrócili do pokoju hotelowego, a Carl kazał Curtisowi iść do łazienki. Napełnili wannę. Kamera została włączona, a wtedy pracownik poczty zanurzył głowę Greena w wodzie. Mężczyzna wymachiwał rękami, usiłując się uwolnić. Jego krzyki brzmiały pod wodą jak bulgot. Nie był w stanie oddychać. Po kilku sekundach pracownik poczty wyszarpnął go za włosy i pokazał twarz

podtapianego do kamery. Nito dyszał, próbował złapać oddech i ze wszystkich sił starał się znowu nie rozplakać.

– Chyba powinniśmy to powtórzyć – stwierdził Carl, zerkając ponad ekranem kamery na żalospną minę Greena.

Pracownik poczty był tego samego zdania, więc znowu złapał tamtego za głowę i wepchnął ją pod wodę. To był czysty chaos, zupełnie jak we *Władcy much*, tyle że to nie dzieci próbowały zabić biednego pyzatego Prosiaczka, ale agenci specjalni rządu Stanów Zjednoczonych podtapiali Nita.

Green błagał, żeby przestali, ale oni powtarzali całą procedurę raz za razem.

– Musi wyglądać autentycznie – warczał Carl.

– Przysięgam – powtórzył Green, po tym jak znowu wepchnęli mu twarz pod wodę. – Nie ukradłem tych pieniędzy!

– Przyznaj się! – krzyknął znowu Carl. – Przestań kryć SPR-a!

Podczas tych wszystkich wydarzeń jednej osoby nie było w łazience. Shaun z Secret Service powiedział pozostałym, że idzie złożyć komputer Greena jako materiał dowodowy w pobliskiej placówce agencji. W rzeczywistości zamierzał jednak ukraść ze strony Silk Road jeszcze więcej pieniędzy, o których nikt nie wiedział, że trafiają do niego. Gdy zamykał za sobą drzwi, krzyki Nita niosły się echem po apartamencie w hotelu Marriott, a Carl wciąż na niego wrzeszczał:

– Przyznaj się, zasrańcu!

– Przysięgam – łkał Green. – Nie ukradłem ani grosza!

Pierwsze morderstwo

Ross spodziewał się, że kiedyś do tego dojdzie. Że kiedyś będzie zmuszony podjąć taką bezwzględną decyzję i „sięgnąć po swoich żołnierzy”, jak powiedział współpracownikowi. Wyobrażał sobie, że zapewne nadejdzie chwila, gdy będzie trzeba odebrać życie zbuntowanemu dilerowi albo komuś, kto zagraża misji prowadzonej na Jedwabnym Szlaku. Ale nie jednemu ze swoich. A już na pewno nie Curtisowi Greenowi ze Spanish Fork w Utah.

Choć samo podjęcie decyzji było dla SPR-a wyzwaniem, przynajmniej jedna rzecz nie nastęczała kłopotów: wybór osoby, która to zrobi. Okazało się, że kiedy dysponuje się taką ilością gotówki jak Ross, nie brak osób chętnych i zdolnych kogoś zamordować – zwłaszcza na nieurodzajnych ziemiach Utah. Variety Jones miał dostęp do człowieka, którego nazywał po prostu „Irlandczykiem”, a który mógł przyjechać do Utah – z Irlandii – i sprawić, że Curtis zniknie. (Drobny problem polegał na tym, że Irlandczyk kiepsko znał się na technice, więc odzyskanie skradzionych trzystu pięćdziesięciu tysięcy dolarów w bitcoinach mogło stanowić dla niego trudność). Inigo, inny pracownik Silk Road i jeden z niewielu ludzi, którym SPR bezgranicznie ufał, zaoferował, że sam pojedzie na miejsce i zajmie się sprawą. Był jednak zdecydowanie zbyt cenny dla infrastruktury strony, żeby odgrywać rolę żołnierza. SPR postanowił więc, że robotę wykona Nob, południowoamerykański diler, z którym ostatnio się zżył.

Bądź co bądź to przecież właśnie Nob stracił kilogram „kolumbijskiego złota”, gdy tydzień wcześniej Greena aresztowało DEA. O tym ważnym fakcie Ross dowiedział się, po prostu wpisując nazwisko Curtisa w Google’u, gdy ten pewnego dnia nie zgłosił się do pracy. W ten sposób Ulbricht trafił na stronę ze spisem niedawnych zatrzymań. Tam prezentowała się w pełnej krasie fotografia pulchnego pracownika.

Budząc się pewnego chłodnego zimowego poranka w 2013 roku, Ross nie spodziewał się, że przyjdzie mu się zmierzyć z taką wiadomością. Jak powiedział VJ-owi na czacie, kiedy dowiedział się o Greenie, w pierwszej chwili czuł tylko mdłości. Po kilku godzinach obrzydliwy smak w ustach zastąpiło pragnienie zemsty.

SPR zastanawiał się, co robić. Na początek rozmówił się ze wszystkimi współpracownikami. Istniało realne niebezpieczeństwo, że Green wygada się na temat Silk Road, opowie federalnym o zasadach funkcjonowania strony i osobach zaangażowanych w jej obsługę. To plus skradzione trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów oznaczało, że w praktyce Ross miał trzy możliwości rozprawienia się ze zbuntowanym pracownikiem.

Pierwsza opcja była najprostsza: po prostu odwiedzić Greena w jego domu w Spanish Fork i odpowiednio go nastraszyć, żeby zwrócił pieniądze. Drugie rozwiązanie było trudniejsze, ale z pewnością sprawiedliwsze – polegało na tym, by pobić Greena za tę bezczelną zdradę. Któryś z ludzi SPR-a mógłby faceta przywiązać do krzesła, trochę mu przywalić, złamać parę palców albo nos, pogrozić jego rodzinie, tak żeby się przeląkł i oddał kasę. Oba sposoby wiązały się jednak z konsekwencjami: gdyby rozeszła się wiadomość, że szefowi Silk Road można ukraść setki tysięcy dolarów i puścić farbę na policji, Straszny Pirat Roberts zmieniliby się z najgroźniejszego pirata żeglującego po morzach darknetu w żalosego frajera. Od tej pory strona Silk Road uchodziłaby za miejsce, gdzie wolno bez konsekwencji łamać zasady. Zostawała zatem trzecia metoda uporania się z Greenem: zabicie go.

Ech, te decyzje. Jak szybko zmienia się życie. Jednego dnia zarabiasz trzysta dolarów tygodniowo jako badacz uniwersytecki. Śpisz w piwnicy, a cały twój dobytek to dwa czarne worki na śmieci, jeden z czystymi, drugi z brudnymi ciuchami. Twoim największym zmartwieniem jest zaś to, czy oddzwoni do ciebie ta ładna dziewczyna z kręconymi czarnymi włosami, którą właśnie poznałeś w klubie bębniarskim. Potem wpadasz na pomysł. Zaczyna się od luźnej myśli, czegoś w rodzaju dziecinnego marzenia o wielkim wynalazku. Ale kiedy już ta myśl utkwi ci w głowie, nie daje spokoju. Potem następuje jakieś zdarzenie, podobne do uderzenia pioruna w latawiec albo przypadkowego zanieczyszczenia pleśnią naczynia z bakteriami, i uświadamiasz sobie, że ta myśl jest naprawdę wykonalna. Wpisujesz do komputera linijki kodu i tworzysz świat, który wcześniej nie istniał. Nie ma w nim praw innych niż twoje. Sam

decydujesz, kto będzie miał władzę, a kto nie. Potem pewnego dnia budzisz się i już nie jesteś sobą; jesteś jednym z najszynniejszych dilerów narkotyków na świecie. I właśnie rozważasz, czy ktoś powinien nadal żyć. Jesteś sędzią we własnym sądzie. Jesteś Bogiem.

Bóg nie był jednak gotów odebrać życia drugiemu człowiekowi. Przynajmniej na razie. Wysłał więc Nobowi polecenie, żeby odnalazł Greena i trochę go pokiereszował.

„Ma zostać pobity. A potem każ mu odesłać bitcoiny, które ukradł – napisał. – Posadź go przed komputerem i go zmuś”. Następnie powtórzył, że odzyskanie pieniędzy „byłoby czymś niesamowitym”.

Nob odparł, że wyśle swoich ludzi do Utah w tym właśnie celu, i wyruszył na poszukiwania Greena.

Jednak mimo że Ross udzielił swoistego ułaskawienia, nadal nie był pewien, czy amnestia na taką skalę jest dobrym pomysłem. Jak to możliwe, żeby ktoś ukradł tyle pieniędzy szefowi Silk Road, a jedyną karą za to było marne pobicie?

Problem polegał na tym, że Ross nie przywykł do przemocy, chociaż wierzył w jej stosowanie, kiedy było to absolutnie konieczne.

W innym życiu, na Penn State, siedząc w Willard Building przy Pollock Road, bronił tego właśnie poglądu w dyskusji z Alexem i innymi kolegami z klubu College Libertarians.

– Tak, ale użycie siły jest całkowicie usprawiedliwione, jeśli musisz bronić swoich praw albo własności – argumentował młody Ross, omawiając jedną z ostatnich książek Murraya Rothbarda, które pochłaniał błyskawicznie.

W tamtych czasach były to po prostu idealistyczne, hipotetyczne polemiki grupy studentów. Część członków klubu przeniosła zresztą dysputę do baru Corner Room przy College Avenue, gdzie wśród rozmów o sporcie i brzęku szklanek piwa marki Samuel Adams studenci omawiali esej *War, Peace, and the State* Rothbarda. Autor wyjaśniał w nim, dlaczego wolno stosować przemoc wobec każdego „indywidualnego przestępcy”, który próbuje cię skrzywdzić albo ukraść twoją własność osobistą.

Im więcej teraz Ross się nad tym zastanawiał, już jako Straszny Pirat Roberts, tym bardziej miał wątpliwości, czy pobicie Greena to wystarczająca kara, która powstrzyma innych użytkowników strony przed zdradą. Zaczął myśleć, że nie ma wyboru i będzie musiał wystawić swe libertariańskie teorie

na ostateczną próbę. Bądź co bądź Curtis Green ukradł „własność osobistą” SPR-a. Całe trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów tej własności.

Kiedy Ross rozważał swoją decyzję, jego główny doradca podsunął mu inny argument.

„W którym momencie uznajemy, że mamy już dość czyjegoś podsrywania, i postanawiamy go zlikwidować?” – zapytał retorycznie Variety Jones, kiedy dowiedział się o kradzieży. W odniesieniu do Greena nie używał już nazwiska, ale nazywał go Dawcą Organów. Dla VJ-a heroina była szkodliwa i nie chciał mieć z nią nic wspólnego, ale morderstwo, no cóż, to zupełnie inna sprawa. Ponieważ Green został aresztowany, Variety Jones (który wiedział co nieco na ten temat) zauważył, że Dawca Organów może pójść na układ z fedziami i wyjawić im wszystko, co wie o Silk Road. Albo zwać z kraju z trzystu pięćdziesięcioma kawałkami należącymi do SPR-a.

Wkrótce do dyskusji dołączyli inni doradcy. „Półświatek ma swoje reguły – napisał któryś z nich. – I czasami problemy można rozwiązać tylko w jeden sposób”.

Na ramieniu SPR-a siedziało całe mnóstwo diabełków, a jedynym aniołkiem był Ross Ulbricht. (Nie mógł przecież zadzwonić do swojego najlepszego przyjaciela w realu, Renégo, i zapytać go o zdanie. Jak wyglądałaby ta rozmowa? „Cześć, stary, masz chwilę? Zastanawiam się, czy zlecić zabójstwo jednego takiego typu, który ukradł mi setki tysięcy dolarów zarobionych na narkotykach. Myślisz, że powinienem to zrobić?”)

Argumenty, które wszyscy przedstawiali SPR-owi, zaczynały nabierać sensu. To nie plac zabaw, tylko pieprzone imperium narkotykowe i ludzkie czyny musiały za sobą pociągać konsekwencje.

„Gdyby to był Dzikie Zachód, a trochę nim jest – odpisał Ross Jonesowi – powiesiliby cię za zwykłą kradzież konia”.

No właśnie! Teraz mówił z sensem! VJ podsycił ogień pytaniem, czego jeszcze trzeba, żeby szeryf na Dzikim Zachodzie zdecydował się na taki krok. „W którym momencie taka reakcja staje się odpowiednia?” – napisał.

„Dobre pytanie, nad którym zastanawiam się przez ostatnią dobę”.

W końcu Variety Jones wbił ostatni gwóźdź do trumny Greena. „No więc miałeś czas do namysłu – napisał. – To ty siedzisz na fotelu szefa i musisz podjąć decyzję”.

(„Ross, skocz w przepaść”).

„Nie miałbym problemu z załatwieniem tego gościa” – odpowiedział SPR.

I właśnie w tych siedmiu słowach zapadł wyrok na Curtisa Greena. Kilkoma uderzeniami w klawisze założyciel Silk Road zlecił swoje pierwsze morderstwo. Teraz musiał tylko znaleźć odpowiednią osobę, która go dokona.

FBI dołącza do polowania

Była godzina 4.45, kiedy srebrny SUV zatrzymał się na swym zwykłym miejscu parkingowym na rogu Church i Thomas Street na Dolnym Manhattanie. W samą porę. Wóz miał przyciemniane szyby, rządowe tablice rejestracyjne i niebiesko-czerwone światła policyjne ukryte pod osłoną chłodnicy. Drzwi SUV-a otworzyły się zamasyście i wysiadł z niego agent specjalny FBI Chris Tarbell ubrany w strój na siłownię i lekką kurtkę, mimo że w ten zimowy ranek temperatura w Nowym Jorku spadła do minus dziesięciu stopni Celsjusza.

Czy słońce, czy deszcz, czy śnieg, taki był rytuał Tarbella. Ćwiczył codziennie, zanim udał się do siedziby FBI mieszczącej się kilka przecznic dalej przy Federal Plaza 26. Dzisiejszy plan ćwiczeń miał być jednak inny. Chociaż agenci zajmujący się cyberprzestępczością nie stracili zainteresowania stroną Silk Road, w swoich działaniach nie wyszli nigdy poza dyskusję w Whiskey Tavern wśród czampana i szotów *pickleback*, głównie z powodu wpisanego w system biurokratycznego pieprzenia, którego Tarbell nie mógł znieść. Wysoko postawieni ludzie w Biurze (którzy nazywali je w skrócie „Biu”) argumentowali, że uprawnienia tego wydziału FBI nie obejmują narkotyków.

W końcu jednak, po miesiącach dyskusji o tym, jak wgryźć się w sprawę Silk Road, pojawiła się okazja do działania. Tego dnia miała do nich przyjść kobieta z nowojorskiego DEA, by pomówić o tym, czy Tarbell i jego ekipa mogą wziąć udział w dochodzeniu DEA.

Po wyjściu z siłowni Tarbell przebrał się w ciemny garnitur i białą koszulę, kupił kawę w pobliskim Starbucksie, a potem ruszył na dwudzieste drugie piętro budynku federalnego. Wraz z pozostałymi agentami usiadł w Jamie, a wkrótce dołączyła do nich kobieta z DEA w towarzystwie Serrina Turnera, federalnego prokuratora śledczego z Nowego Jorku, z którym FBI współpracowało przy sprawie LulzSec.

Agentka DEA miała na sobie dzinsy i sweter. Z dumą prezentowała odznakę i broń przy biodrze. Usiadła na wolnym krześle i wyjaśniła, że należy do nowojorskiego zespołu specjalnego, który pracuje kilka kilometrów dalej, w Chelsea. Przez ostatnie półtora roku raz po raz zajmowali się – „no, starali się zająć” – stroną Silk Road, ale ich próby wszczęcia śledztwa wiodły donikąd. Wkrótce po artykule na Gawkerze w czerwcu 2011 roku senator Chuck Schumer zrobił to, co większość polityków: zwołał w trybie pilnym konferencję prasową, na której wezwał państwo do zajęcia się stroną z narkotykami, chociaż nie miał pojęcia, co się z tym wiąże.

Jak wyjaśniła agentka, ponieważ w serwisie Silk Road handlowano narkotykami, to właśnie jej biuro władze poprosiły o zajęcie się stroną. Okazało się, że był to błąd, ponieważ DEA znało się tylko na przeprowadzaniu fizycznych nalotów na dilerów, a nie cyfrowych nalotów przy użyciu technologii takich jak bitcoin, Tor czy nawet darknet, cokolwiek to, kurwa, jest.

– Ci na górze są wkurzeni, że nie zrobiliśmy postępów – ubolewała kobieta. Wyjaśniła też, że szef strony – „który teraz nazywa się Straszny Piratem Robertsem, wiecie, z tego filmu *Naręczona dla księcia*” – robi się coraz bardziej bezczelny, jeśli chodzi o oferowane towary: handluje między innymi bronią i narzędziami hakerskimi. Co więcej, ten człowiek publicznie potępiał rząd Stanów Zjednoczonych. Nowojorskie DEA dotarło do ślepego zaułka i potrzebowało pomocy FBI.

Po zakończeniu spotkania Tarbell i jego ludzie powiedzieli rozmówczyni, że muszą porozmawiać we własnym gronie i będą w kontakcie. Uścisnęli sobie dłonie i się rozstali.

– No więc – powiedział Tarbell do agentów zgromadzonych w Jamie – widzę tu dwa problemy.

Po pierwsze jego zespół nie chciał odgrywać roli asystentów nowojorskiego DEA. Jeśli sprawą Silk Road miało się zająć FBI, to na własną rękę. Agentom „Biu” kiepsko wychodziła współpraca z innymi. Od zawsze. A zwłaszcza z tymi złamasami z DEA.

Z tego wynikała druga ważna sprawa: przełożeni w FBI mówili im już parę razy, że ich domeną nie są narkotyki, tylko komputery.

Spotkanie z agentką DEA podsunęło jednak Tarbellowi i jego ekipie pewien pomysł. Na stronie handlowano już nie tylko narkotykami. Ludzie sprzedawali tam również kilkaset rodzajów narzędzi hakerskich, w tym keyloggery, trojany

bankowe, aplikacje malware, spyware oraz całą masę innych elektronicznych towarów, które znajdowały się dokładnie w zakresie kompetencji mężczyzn rozmawiających teraz w Jamie.

To wtedy zespół FBI postanowił, że właśnie w taki sposób włączy się w sprawę Silk Road. Zamiast pomagać DEA w szukaniu dilerów, agenci do spraw cyberprzestępczości sami zajmą się stroną. Tarbell sięgnął po telefon i przedstawił tę strategię szefom.

Kilka tygodni później z góry wreszcie przysłała zgoda – zespół mógł rozpocząć śledztwo. Po miesiącach zwłoki z powodu rozbudowanej biurokracji i niepotrzebnych formalności Tarbell i jego towarzysze utworzyli nowe akta sprawy o numerze 288-3-696.

Oprócz HSI w Chicago, zespołu specjalnego w Baltimore i drugiej grupy funkcjonariuszy lokalnych i federalnych w Nowym Jorku teraz na Straszego Pirata Roberta polowała kolejna agencja: Cyberwydział FBI, a poszukiwaniami kierował Eliot Ness cyberprzestrzeni.

Biwak i bal

Luty 2013

„Nie pamiętam, czy ci mówiłem – napisał SPR do Iniga – ale nie będzie mnie do niedzieli wieczorem”.

Ross czuł ulgę, że wyjeżdża. Ostatnie kilka tygodni to była kompletna katastrofa. Zastanawiał się nawet, czy to z nim jest coś nie tak. W jego internetowym świecie nic nie szło, jak trzeba. Pracownicy wciąż dawali ciała (włącznie z Variety Jonesem, który nie napisał na czas nowych zabezpieczeń). W świecie poza siecią również nie szło lepiej: Ross był samotnym singlem, który nie mógł zasięgnąć porady u nikogo, komu naprawdę by ufał.

Na domiar złego odkrył, że oprócz trzystu pięćdziesięciu tysięcy dolarów wykradzonych dwa tygodnie wcześniej przez Curtisa Greena ktoś inny przywłaszczył sobie kolejne osiemset tysięcy.

Osiemset tysięcy dolarów, które po prostu zniknęły. To ponad milion dolarów skradzionych w ciągu kilku dni. Na szczęście taka kwota stanowiła teraz tylko niewielki ułamek oszczędności Rossa, ale i tak zabolalo. Oczywiście nastąpiła akcja odwetowa. SPR w końcu złożył zlecenie na Greena. Cena nie była wcale obłądna: czterdzieści tysięcy dolarów z góry i drugie tyle po zabiciu delikwenta.

Decyzja nie przyszła mu łatwo, to na pewno. Ross był jednak przekonany, że dokonał właściwego wyboru: pokazał światu, że stawia wyżej kwestię zapewnienia społeczeństwu bezpieczeństwa dzięki legalizacji narkotyków niż życie jednego człowieka, który mógł się wygadać federalnym. Poza tym Green złamał zasady świata SPR-a. Musiał ponieść konsekwencje. Bez tego zapanowałby chaos.

Przed wyjazdem Straszny wysłał Inigowi jeszcze jedną wiadomość z prośbą, żeby „pilnował gospodarstwa”. Potem Ross zamknął laptopa, zostawiając SPR-a ukrytego w zainstalowanym na komputerze oprogramowaniu szyfrującym. Tam, gdzie wybierał się na najbliższe kilka dni, nie potrzebował jego towarzystwa. Wziął torbę i wyszedł z mieszkania.

Temperatura w San Francisco przez większość dnia oscylowała w okolicach ośmiu stopni Celsjusza, mimo to Ross był ubrany tak, jakby wybierał się na plażę, a nie na północ, na dwudniową pieszą wędrówkę w głuszy. Jego towarzysze wyprawy przygotowali się odpowiednio: Selena, której urodziny świętowali, włożyła wełniane skarpetki i opatuliła się grubym szalikiem. René miał na sobie trzy warstwy, zupełnie jak cenne porcelanowe naczynie szykowane do wysyłki pocztą. Z kolei Kristal, siostra Seleny, która przyleciała z Portland, ubrała się tak, jakby jechała na kemping na Antarktydzie. Ross uznał natomiast, że na wycieczkę wystarczy mu para cienkich szortów Adidasa i nowe, przedziwne jaskrawoczerwone buty Vibram FiveFingers, w których wyglądał, jakby miał na stopach rękawiczki.

Już po paru minutach chłód nie miał jednak dla niego znaczenia; zrobiło mu się ciepło w środku, kiedy spojrzał na Kristal, która, szczerze mówiąc, była zbyt piękna, żeby martwić się swoim strojem. Zakochał się natychmiast. Oczarowała go. Długie, proste czarne włosy splotła z tyłu w idealny warkocz, dzięki czemu nic nie zasłaniało jej wspaniałych orzechowych oczu i idealnie pełnych różowych ust. Wyglądała zupełnie jak Pocahontas.

Załadowali torby do bagażnika, a potem Ross wskoczył do auta i ruszyli. Czwórka przyjaciół gadała równocześnie. Jechali drogą numer 101 i wkrótce zobaczyli most Golden Gate. Selena wyjęła aparat, żeby sfotografować dwie pomarańczowe wieże, które wydawały się nieskończenie wysokie. Ross patrzył na jaskrawoniebieskie niebo, równie bezkresne jak ocean, który widział na Dominice. Po prawej w oddali znowu majaczyło więzienie Alcatraz.

Podążali dalej wijącymi się drogami przez Sausalito, a potem wjechali do Mill Valley. Po czterech godzinach dotarli do miejsca, gdzie miał początek ich szlak. Zaczynał się jako wydeptana żwirowa dróżka, która prędko zmieniła się w kręty szlak konny. Wkrótce przyjaciół otaczała już tylko przyroda. Ross i René zachowali się jak prawdziwi dżentelmeni i zaproponowali, że poniosą paniom plecaki. Obaj założyli po jednym z tyłu i jednym z przodu. Zachwyceni przybili sobie piątki.

Na drugim końcu świata, w australijskim Perth, szesnastoletni Preston Bridges i jego kumple już od pewnego czasu planowali własne uroczystości. Preston wybrał już strój na bal maturalny i prowadził z innymi uczniami Churchlands Senior High School stałą dyskusję o imprezach, na które się wybiorą.

Był przystojnym chłopakiem, miał grube, puszyste brwi i zaczesane na bok blond włosy, które zwisały po jednej stronie twarzy. Godziny przed rozpoczęciem obchodów postanowił spędzić na plaży z kumplami, przepychając się w spienionej ciepłej wodzie i gadając o czekającym ich wieczorze.

– Wyglądasz jak po opalaniu natryskowym – zażartował jego ojciec Rodney, kiedy Preston wrócił do domu koło szesnastej.

Chłopak uśmiechnął się pod nosem i pobiegł korytarzem, żeby przebrać się w smoking na bal.

Nieco ponad godzinę później, około siedemnastej trzydzieści, Preston wyszedł ze swojego pokoju, jak się miało okazać, po raz ostatni w życiu.

Wyglądał elegancko w czarnym smokingu i idealnie zawiązanej muszce w tym samym kolorze. Kiedy przyjechała po niego matka Vicky, stwierdziła, że jest bardzo przystojny. Tata zrobił parę wspólnych zdjęć. Na jednym z nich Preston obraca się do rozpromienionej mamy, mocno ją przytula i całuje w policzek. Wkrótce potem wyruszył na bal.

Ross z trojgiem przyjaciół w końcu znaleźli miejsce na biwak i rozbili niebiesko-białe namioty na płaskim kawałku trawy na stoku, z którego rozciągał się widok na niekończący się zielony ocean północnokaliifornijskich daglezi. Pachniało sosnami i wszystkich opanował spokój – zwłaszcza Rossa. Kiedy usiedli na zboczu i patrzyli na beczynność świata, René powiedział, że tu jest jak w raj. Ross jadł pomarańcze, pistacje i wafle ryżowe. Niedługo potem rozpalili ognisko. Zapadała noc, a Ross i Kristal rozmawiali, patrząc w gwiazdy, wśród zapachu dymu, który niósł się ku niebu.

Reszta weekendu była dla Rossa jak sen. Pływał w jeziorze Kent pod zaporą Peters Dam – mimo lodowatej wody. Toczył się po zboczu jaskrawozielonego wzgórza, chichocząc jak dziecko. Grał w karty. Przyjaciele maszerowali, żartowali, rzucali frisbee i dosłownie podskakiwali, penetrując głąsę.

Najważniejsze było jednak to, że Ross i Kristal zakochali się w sobie jak para nastolatków na szkolnej potańcówce.

Hotel Sunmoon Resort w australijskim Perth był idealnym miejscem na afterek dla dwanaściorga nastolatków, którzy właśnie wyszli z balu maturalnego. Oferował niedrogie pokoje z balkonami wychodzącymi na esplanadę i wzburzony zielony ocean wzdłuż Scarborough Beach. Od basenu na dole bił łagodny zapach chloru. Preston z kolegami wspięli się na ostatnie piętro do apartamentu, który wspólnie wynajęli.

Noc trwała, a przez pokój przewijali się znajomi i przyjaciele. Około wpół do piątej, gdy chłopcy rozważali pójście spać, w hotelu pojawił się pewien nastolatek z niespodzianką. Nie był bliskim przyjacielem Prestona, ale chciał nim zostać, i przyniósł prezent.

– Co to jest?

– NBOME – wyjaśnił Prestonowi chłopak. – Coś jak LSD.

Wyjaśnił, że ten syntetyczny narkotyk wytwarza się w Chinach w niepodlegających kontroli laboratoriach. Co prawda jest sześćdziesiąt razy silniejszy od kwasu, ale zupełnie bezpieczny. Nastolatek opowiedział, że kupił „zestaw imprezowy”: płacisz za dziesięć, jeden dostajesz za free. Zamówienie złożył na stronie internetowej, o której ostatnio usłyszał. Nazywała się Silk Road. Narkotyki po prostu przyszły pocztą.

Spośród ośmiu chłopców obecnych wtedy w pokoju hotelowym pięciu postanowiło zarzucić NBOME. Chłopak dał Prestonowi dwa listki. Z pięciu młodych ludzi, którzy przyjęli narkotyk, tylko u jednego wystąpiło niemal natychmiastowe działanie niepożądane: u Prestona Bridgesa.

Momentalnie zaczął się dziwnie zachowywać. Otaczający go świat stał się surrealistyczny. Chłopak wpadł w panikę. „Co się, kurwa, dzieje?” Halucynacje przejmowały nad nim kontrolę, a on nie mógł nic zrobić. „Niech to się skończy!” Nie wiedział, gdzie jest ani co robi. Przyjaciele próbowali go uspokoić, ale bez skutku. Wszyscy byli przerażeni, a najbardziej sam Preston. Pokój zdawał się wirować wokół własnej osi. „Pomocy! Pomocy!” W koło i w koło. Preston zaczął biec. Wciąż był w hotelu. Wciąż na górnym piętrze. Ale i tak biegł. Wybiegł z balkonu na zewnątrz, dziesięć metrów głową w dół na parking w dole. W oddali zawyły syreny.

Kardiomonitor pikał powoli i miarowo, kiedy Preston leżał na noszach w szpitalu. Grube, puszyste brwi i zaczesane na bok włosy nie poruszały się, wokół chłopca wiły się teraz rurki. Nie miał już smokingu, do nagiego torsu przylepione były czujniki rejestrujące parametry życiowe. Czarną muszkę

zastąpił kołnierz ortopedyczny. Zniknął też charakterystyczny uśmiech Prestona Bridgesa – w zamian wepchnięto mu do gardła plastikowy przewód umożliwiający oddychanie.

Na jego widok matka osunęła na podłogę. Ojciec płakał w objęciach siostry Prestona. Przez cały dzień do szpitalnej salki przybywały setki uczniów szkoły. Wchodzili kolejno ósemkami i płakali, patrząc na kolegę, który nie tak dawno grał w piłkę i chodził na plażę, a teraz leżał przed nimi bez ruchu.

W poniedziałek po południu lekarz zaprosił rodzinę do małego pokoju w szpitalu. Przerażonym i zalanym łzami rodzicom i siostrze chłopca oznajmił, że o godzinie 15.48 szesnastoletni Preston Bridges zmarł.

A potem tak po prostu weekend dobiegł końca. Ross, René, Selena i Kristal spakowali się i wrócili, mijając pomarańczowe wieże mostu. Z powrotem do San Francisco. Z powrotem do Silk Road.

Ross przybył do domu z szerokim uśmiechem na ustach. Kiedy otwierał laptopa i logował się do swojego świata, czuł, że rozpiera go nowa energia.

„Wszystko szło gładko pod moją nieobecność?” – zapytał Iniga.

„No, nie działa się nic podniecającego”.

„Suuuuuper” – odpisał Straszny Pirat Roberts.

„Dziwne, nie? – stwierdził Inigo. – Bo jak cię nie ma, zawsze coś się dzieje. Zupełnie jakby ktoś zdjął klątwę”.

Życie się układało. Ross snuł z Kristal plany, że w najbliższych tygodniach odwiedzi ją w Portland. Chcieli pojechać do przytulnej chatki w lesie. Przez długi weekend mieli chodzić na masaże i zamawiać jedzenie do domku, a potem romantycznie się tulić.

Był tak podekscytowany perspektywą nowej miłości, że złamał jedną ze swoich zasad bezpieczeństwa: kilku pracownikom i powiernikom na stronie powiedział o świeżo poznanej dziewczynie. Nawet Nobowi, dilerowi przedzierzgniętemu w zabójcę, który właśnie szukał Curtisa Greena.

„Chyba jesteś w bardzo dobrym nastroju!” – napisał Nob.

„To prawda – odpowiedział SPR. – Chodzi o dziewczynę :) A raczej o kobietę. Anioła”.

Weekend miał gówniany początek, ale świetny finał. A wielką jędną wisienką na torcie było to, że w tym tygodniu strona Silk Road jak zwykle przyniosła fortunę ze sprzedaży narkotyków na całym świecie, w tym „zestawu

impresowego” zakupionego przez pewnego szesnastolatka z australijskiego Perth.

CZEŚĆ IV

Gary Alford, IRS

Chodniki Manhattanu przypominały nowojorczykom, że do lata jeszcze daleko. Wzdłuż ulic ciągnęły się na wpół zmrożone brudne masy szlamu, a wiatr niósł alejami lodowate śmieci niczym suche kule pustynnych roślin. Pewnego ranka w połowie lutego 2013 roku sznur kobiet i mężczyzn czekał w kolejce do kontroli bezpieczeństwa przed wejściem do masywnej beżowej wieży przy Broadway 290, tuż przy Duane Street. Choć onieśmiałąca była już sama bryła gmachu, to – niezależnie od temperatury na zewnątrz – na widok nazwy widniejącej na wschodniej ścianie budynku każdemu mógł przejść dreszcz po plecach. Na złotej tablicy napisano: INTERNAL REVENUE SERVICE.

Siedziba amerykańskiej izby skarbowej to jeden z nielicznych budynków administracji państwowej, w których człowiek posługujący się zawodowo kalkulatorem może mieć większą władzę od człowieka noszącego broń. Jednym z takich ludzi z kalkulatorem był Gary Alford, który codziennie przybywał do pracy w beżowej wieży punktualnie jak w zegarku. Kiedy ten rosły, groźnie wyglądający mężczyzna o szerokich barkach i kanciastej szczęce zastygał bez ruchu, to zupełnie tak, jak kowadło, które spadło na podłogę i nie da się przesunąć. Był Afroamerykaninem, a jego ciemna karnacja często wydawała się jeszcze ciemniejsza w kontraście z białą koszulą, którą zawsze nosił do pracy wraz z perfekcyjnie odprasowanym garniturem i krawatem.

Chociaż w garniturze wyglądał na zwyczajnego pracownika skarbowki, bynajmniej nie był zwyczajny, a liczne dziwactwa odróżniały go od reszty kolegów z pracy. Do największych jego dziwactw należało to, że wszystko – dosłownie wszystko – czytał trzy razy. Nie miało znaczenia, co to za tekst – jeśli składał się z liter, Gary czytał go raz, potem jeszcze raz, a potem znowu. Trzykrotnie czytał otrzymane mejle, zanim na nie odpowiedział. Trzykrotnie czytał artykuły prasowe. Książki, esemesy, artykuły naukowe, zeznania podatkowe. Jak tłumaczył ludziom, robił to, żeby zapamiętać więcej informacji

niż jego otoczenie. Kiedy był młodszy, usłyszał, że mózg zatrzymuje tylko niewielki odsetek wszystkich przeczytanych słów, uznał więc, że jeśli każdy fragment przyswoi co najmniej trzy razy, zapamięta więcej. Owszem, było to monotonne, ale nie różniło się pod tym względem od większości rzeczy, jakie robił Gary.

Każdy poranek był kopią poprzedniego. Gary jechał do pracy dokładnie tą samą drogą, przybywał do siedziby IRS dokładnie o tej samej godzinie i szedł tą samą wydeptaną ścieżką przez ten sam wyłożony marmurem hol.

Na piętrze, na którym pracował, nie było recepcji ani poczekalni, tylko dwoje zamkniętych drzwi – jedno po stronie północnej, a drugie po południowej. Na ścianie w korytarzu wisiał plakat z Alem Capone, amerykańskim gangsterem, który kontrolował sprzedaż alkoholu w czasach prohibicji. Jego zdjęcie z kartoteki przypominało pracownikom, że w latach trzydziestych Ala Capone nie załatwiły butelki z alkoholem ani dymiące spluwy, ale właśnie stara dobra matematyka w Wydziale Dochodzeń Kryminalnych IRS, w którym pracował Gary. I to właśnie dzięki IRS gangster wylądował w federalnym zakładzie karnym Alcatraz u wybrzeży San Francisco.

Podobnie jak większość kolegów Gary miał mocny nowojorski akcent. Dorastał w tym mieście, studiował, a teraz mieszkał tu z żoną i puchatą mieszkanką maltańczyka i yorka o imieniu Paulie. Jednak w przeciwieństwie do reszty agentów, z którymi pracował, wychowanych w wieżowcach mieszkalnych na przedmieściach Long Island, on pochodził z jednego z najgorszych osiedli komunalnych w mieście.

Urodził się na osiedlu Marlboro Houses w Gravesend latem 1977 roku. W tym samym tygodniu podczas burzy wywołanej przez straszliwą falę upałów piorun uderzył w elektrownię, pogrążając Nowy Jork w zupełnych ciemnościach. W ciągu kilku godzin od przyjscia Gary'ego na świat wokół zapanował chaos; w poszczególnych dzielnicach miasta dochodziło do grabieży, zamieszek i podpaień. (Gary lubił żartować: „Kiedy się urodziłem, sparaliżowałem całe miasto!”). Tego lata Nowy Jork był nękany nie tylko przez zamieszki i przerwy w dostawie prądu, ale także przez seryjnego zabójcę o pseudonimie Syn Sama.

Gary nie spędził na osiedlu komunalnym zbyt dużo czasu. W latach osiemdziesiątych jego rodzina przeprowadziła się dalej na wschód, do Canarsie, po tym jak wraz z nasilaniem się nowojorskiej epidemii cracku rynsztoki

Stillwell Avenue, przy której dotąd mieszkali, zaczęły się zapełniać kolorowymi fiolkami.

Trzydzieści lat później Gary siedział wśród wyblakłych zielono-białych boksów biurowych przy Broadway 290, sprawdzał pocztę (każdego mejla czytając trzy razy) i kończył pisać raporty z poprzednich śledztw, które dotyczyły ludzi próbujących ukryć pieniądze przed amerykańskim rządem w dalekich krajach.

Jednak choć poranek Gary'ego zaczął się tak jak każdy inny, w ciągu dnia sytuacja miała się drastycznie zmienić. Do młodego ambitnego agenta zadzwonił przełożony z IRS i zaprosił go do swojego gabinetu.

Kiedy Gary wszedł do pomieszczenia i zajął miejsce w niewygodnym żółtawozielonym fotelu, jego dyrektor natychmiast przystąpił do ofensywy.

– Jest taki zespół specjalny i chciałbym, żebyś do niego dołączył – powiedział. (Bez żadnych wstępnych pogaduszek, bądź co bądź było to IRS). Następnie przeszedł do wyjaśnienia, kto, co i dlaczego. Oznajmił Gary'emu, że śledztwo dotyczy strony internetowej, na której można kupować narkotyki i broń. – Co wiesz o stronie Silk Road?

(Gary nie wiedział nic i patrzył na szefa szeroko otwartymi oczami).

– A o Torze?

(Nie. Nic).

– A o bitcoinach?

(Pustka).

– No, to bez znaczenia – stwierdził przełożony. – Ten zespół specjalny zajmuje się narkotykami, a ty zajmiesz się aspektem śledztwa związanym z praniem brudnych pieniędzy.

(Dreszcz podniecenia).

– To wielka zmiana, Gary.

(I to jak cholera).

Jak dowiedział się Gary, grupa składała się ze śledczych należących do policji lokalnej i stanowej, agentów DEA oraz członków Biura Okręgowego Prokuratora Śledczego Południowego Dystryktu Nowego Jorku. Już to wystarczyło, żeby sprawa stała się dla niego ważna. Na koniec usłyszał, że przeprowadzi się do nowego biura w Chelsea, kilkadziesiąt przecznic na północ. Przyszła pora werbowania ludzi z kalkulatorami.

Gary wyszedł z gabinetu przełożonego wdzięczny za nowe zadanie i pełen energii. Po powrocie do swojego boksu natychmiast zalogował się do komputera i zaczął czytać o stronie Silk Road co tylko się dało, wszystko po trzy razy.

Na pierwszy ogień poszedł artykuł na Gawkerze. Potem Gary klikał dziesiątki innych nowszych linków, zgłębiał słowa i zdjęcia, a w końcu odchylił się w fotelu, wciąż wpatrując się w ekran, na którym migotały artykuły o stronie z narkotykami, bitcoinach i Torze. Wiedział doskonale od swojego szefa, że zespoły organów ścigania polowały na twórcę Silk Road od prawie dwóch lat, ale wszystkie obrane przez nie ścieżki prowadziły donikąd. Rozumiał również, że jeśli chciał pogрузić tę stronę i jej autora, musiał znaleźć nową technikę dochodzeniową.

Ale jak?

W głowie wirował mu tysiąc różnych myśli, gdy usiłował wykombinować, jak podejść do tej sprawy. Niemal natychmiast wpadł na pewien pomysł. Wrócił do czasów, których sam sobie nie przypominał, ale słyszał o nich mnóstwo historii: do lata 1977 roku, tego samego, w którym urodził się sam Gary Alford. Wspomniał historię Davida Berkowitza, amerykańskiego seryjnego mordercy, który w tamtym roku zabił w Nowym Jorku sześć osób, a siedem kolejnych ranił, człowieka lepiej znanego jako Syn Sama. Gary Alford wyobraził sobie, że w ten sam sposób, w jaki policja złapała tamtego bezwzględного mordercę, on złapie szefa Silk Road.

Życie i śmierć na szlaku

„Green został zlikwidowany – oznajmił Nob. – Wyślę ci zdjęcie na dowód”.

„Ok, dziękuję – odpowiedział Straszny Pirat Roberts. – Rozumiem, że nie udało im się go zmusić do oddania pieniędzy, które ukradł”.

„Raz musieli go nawet reanimować, bo w torturach czasami sztuczka polega na tym, żeby utrzymać gościa przy życiu” – odpisał Nob, a potem wyjaśnił, że Curtis Green, złodziej, który ukradł Strasznemu Piratowi Robertsowi trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów w bitcoinach, był torturowany i podtapiany, zanim w końcu umarł na zawał. „Przyczyną śmierci było uduszenie / pęknięcie serca”.

Kiedy Straszny nie zareagował na ten makabryczny opis morderstwa, Nob zapytał: „Wszystko ok?”.

„Jestem trochę wstrząśnięty – odparł SPR. – Ale wszystko ok”. Potem przyznał: „Po prostu te sprawy są dla mnie nowe”.

Variety Jones uspokoił go, że to, co zrobili, było nie tylko właściwą decyzją, ale jedyną możliwą. „Gramy na serio – napisał. – Czuję się z tym całkowicie komfortowo i będę spał jak dziecko dzisiaj i każdej następnej nocy”.

„Dobrze powiedziane – odpowiedział SPR. – Miłej reszty wieczoru, stary”.

„Będzie miła, wzajemnie. Słodkich snów”.

Kiedy SPR otworzył następny mejl od Noba, ujrzał fotografię nieżywego Curtisa Greena, który patrzył wprost na niego. Tłusta szczęka wisiała przekrzywiona na bok, a z ust zabitego wylewał się strumień wymiocin. Curtis miał przemoczoną koszulkę, zapewne po waterboardingu, któremu poddali go zbójce Noba, zanim złodziej wyzionął ducha.

Straszny zapisał zdjęcie w zaszyfrowanym folderze na swoim dysku, po czym napisał do Noba z pytaniem, gdzie przesłać pozostałe czterdzieści tysięcy dolarów za to zabójstwo. „Na to samo konto?”

„Tak”.

Ross był wyraźnie wstrząśnięty tym, co zrobił. Decyzja o zabiciu człowieka nie przysłała mu łatwo, ale wiedział również, że w przyszłości może być zmuszony ją powtórzyć, żeby zabezpieczyć swoje imperium przed ludźmi, którzy mu zagrażali. Nie wyobrażał sobie gorszego losu niż utrata kontroli nad tym, co stworzył. Bądź co bądź to przecież jego dziedzictwo, rzecz, dzięki której będą go pamiętać za dwieście lat. Tak bardzo chciał zostawić po sobie ślad w świecie i powiadomić ludzi (w odpowiednim czasie), że to właśnie jego dzieło.

Konieczność zlecenia czyjegoś zabójstwa jest po prostu ceną, jaką trzeba było za to zapłacić. Zresztą, kurwa mać, kim byli inni ludzie, żeby go oceniać? Takie decyzje musieli podejmować wszyscy najwięksi ludzie w historii. Prezydent Stanów Zjednoczonych robił to codziennie, naciskał guzik, który uruchamiał atak drona nad jakąś wioską w Afganistanie, zabijał ludzi, żeby chronić republikę. W biznesie było tak samo. Dziesiątki robotników w chińskich fabrykach, gdzie produkowano iPhone'y, rzucało się z okien z powodu fatalnych warunków pracy, ale Steve Jobs musiał zaakceptować te ofiary, no bo, do kurwy nędzy, on zmieniał świat na ogromną, przeogromną skalę. Taki po prostu jest los mężczyzn i kobiet, którzy chcą pozostawić po sobie ślad we wszechświecie.

Oprócz morderstwa Greena na Rossa spadały też inne problemy. Ostatnio hakerzy znowu zaczęli regularnie brać Silk Road na cel, wielokrotnie blokując stronę na wiele godzin. Choć pracownicy SPR-a niestrudzenie tworzyli zabezpieczenia, wkrótce jedyną metodą na powstrzymanie hakerów było wypłacanie im co tydzień pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Ross bardzo potrzebował chwili oddechu. Na szczęście podczas tego samego weekendu, w którym zapłacił Nobowi za usługę, a ten potwierdził, że Green nie żyje, Ross miał się zobaczyć ze swoją nową dziewczyną Kristal.

Od czasu wspólnej wycieczki przed kilka tygodniami uczucie między nimi naprawdę rozkwitło. Po nocy spędzonej w lesie przy ognisku i oglądaniu gwiazd wrócili do miasta i zaczęli snuć plany widywania się jak najczęściej. W mejlach i esemesach opowiadali sobie nawzajem o swojej przeszłości i dzielili się nadziejami na przyszłość – chociaż Ross o swoich marzeniach pisał tylko ogólnikowo.

Przez ostatni rok kierowania Silk Road czuł się taki samotny. Odniósł ogromny sukces, ale nie miał go z kim dzielić. Dlatego zakochał się w Kristal

bez reszty. Od jednego wspólnego weekendu szybko przeszli do spędzania razem wszystkich. Pewnego razu, kiedy poleciał do ukochanej do Portland, cały dzień spędzili w jej mieszkaniu przytuleni pod kołdrą. Innym razem wybrali się na poszukiwanie przygód na pobliskim kempingu, gdzie na cały weekend zadekowali się w chatce w lesie. Ross chodził tylko w niebieskim płaszczu kąpielowym i swoich pięciopalczastych butach, a Krystal – w zielonym szlafroku. Czuł, że żyje! Szkicował jej portrety. Po powrocie ona wysyłała mu swoje zdjęcia, na których puszczała mu całusa. Odpowiadał wiadomościami pełnymi uwielbienia. Ale nie powiedział jej o stronie. Tego nie mógł zrobić nigdy.

Między tymi spotkaniami nadal sterował okrętem płynącym po Jedwabnym Szlaku. Wymykał się i przemieniał się w superbohatera, który zalegalizuje narkotyki i uczyni świat bezpieczniejszym miejscem. Stawał się człowiekiem zmagającym się ze zgryzotami, z jakimi przychodzi się mierzyć tylko ludziom, którzy dysponują równie wielką władzą. I w tej chwili właśnie tę władzę musiał chronić najbardziej ze wszystkiego.

Zginął człowiek mocno powiązany z Silk Road oraz jego założycielem. Nietrudno było sobie wyobrazić, że wkrótce policja znajdzie ciało Curtisa Greena. Nie minie dużo czasu, zanim funkcjonariusze zrozumieją, co się stało. Morderstwo, strona internetowa, nalot w związku z kokainą – to wszystko nakieruje służby na Straszego Pirata Roberta. Ross potrzebował teraz oddanych sług, zdolnych prawdziwie bronić strony i pomóc jej się rozrosnąć w największe przedsięwzięcie na tej planecie.

Jak wyjaśnił jednemu z pracowników: „Ja gram o zwycięstwo”. Potem przypomniał, jaka jest stawka w tej grze: „Zanim umrę, chcę, by świat tak bardzo się zmienił, żebym mógł osobiście opowiedzieć swoją historię bez żadnych konsekwencji”.

Był w pełni świadom, że aby osiągnąć ten cel, potrzebuje większej liczby wojowników w swoich szeregach. „Chyba musimy mieć więcej personelu” – powiedział VJ-owi, gdy dyskutowali o sposobach wspięcia się z całą operacją na wyższy poziom. Zabili człowieka i kierowali teraz stroną pośredniczącą w handlu narkotykami i wszystkim, co nielegalne, o łącznej wartości setek milionów dolarów. Każdy z tych czynów wystarczyłby, żeby dostać dożywocie.

Nie chodziło o to, że Ross się obawiał. On naprawdę wierzył, że Straszego Pirata Roberta po prostu nie da się powstrzymać – nie można przecież

powstrzymać idei! Zarazem jednak wiedział, że najlepszy sposób na utrzymanie przewagi nad gliniarzami, którzy pewnego dnia mogą zapukać do jego drzwi, to wiedzieć więcej niż oni.

Po powrocie z weekendu spędzonego w chatce z Kristal był zdecydowany, żeby zwerbować więcej ludzi do ochrony świata, którym teraz rządził. Zależało mu na ściągnięciu nie tylko hakerów i dilerów narkotyków. Musiał podnieść poprzeczkę. Potrzebował armii zabójców i osiłków na wypadek, gdyby ktoś jeszcze został aresztowany albo spróbował wygadać się fedziom. Co jednak najważniejsze, potrzebował znaleźć kogoś w służbach, kto będzie mu donosił o wszystkim, co wiedzą federalni. Może lokalnego gliniarza, agenta FBI czy DEA albo nawet kogoś z Departamentu Sprawiedliwości? Był skłonny zapłacić tej osobie, ile tylko sobie zażyczy. Gra szła o zbyt dużą stawkę. Nie zamierzał pozwolić, żeby znowu coś się zjebało. Nadeszła pora, aby wyruszyć na wojnę.

Wielka zmiana Gary'ego

Kiedy Gary zameldował się w siedzibie nowojorskiej grupy uderzeniowej DEA, do której został oddelegowany, wszystko wydało mu się nie w porządku.

W przeciwieństwie do beżowego budynku IRS na Dolnym Manhattanie, otoczonego monolitami budynków federalnych i gmachami sądów, nowe miejsce pracy Gary'ego mieściło się powyżej Czternastej Ulicy, wśród hipsterskich spożywczaków i cukierni z babeczkami, w pobliżu osiedla komunalnego Chelsea-Elliot. W IRS ścianki każdego stanowiska pracy miały wysokość człowieka, co zapewniało prywatność agentom oraz ich arkuszom kalkulacyjnym. W nowym biurze boksy były natomiast niskie i otwarte. W rezultacie kiedy Gary siedział przy biurku, niezależnie od tego, w którą stronę skierował wzrok, patrzył komuś prosto w oczy. (Jak się potem dowiedział, było to celowe i miało skłonić członków grupy pochodzących z różnych rządowych agencji – DEA, IRS, policji lokalnej i stanowej – do rozmowy o swoich śledztwach). Nie miał tu prywatności. Ludzie w nowym biurze inaczej się też ubierali, w swobodne codzienne rzeczy, na przykład adidas i T-shirty. Gary takich nie posiadał, musiał więc iść z żoną na zakupy, żeby sprawić sobie dzinsy i wysokie buty, w których czuł się jak w cudzym ubraniu. Na co dzień zapięty pod szyję Gary znalazł się w zupełnie obcym środowisku.

Najbardziej nieswojo czuł się z polityką otwartych drzwi. W zespole specjalnym każdy dzielił się z każdym informacjami pozyskanymi w śledztwie. Obowiązywała zasada „wszyscy za jednego”, nieznaną korpusowi ubranych w garnitury solistów IRS samotnie liczących grosiki.

Przed dołączeniem do grupy Gary odrobił pracę domową: skrupulatnie przejrzał artykuły prasowe, wpisy na forach dotyczące Straszego Pirata Roberta i badania na temat darknetu, wszystko po to, żeby zaznajomić się ze sprawą, w którą miał się włączyć. Podczas lektury natrafił na pierwszą białą

księgę poświęconą bitcoinowi, napisaną przez twórcę tej cyfrowej waluty, anonimową osobę posługującą się pseudonimem Satoshi Nakamoto.

Przeczytał ten dokument raz i nic nie rzuciło mu się w oczy. Przeczytał ponownie i dalej nic. Za trzecim razem zauważył jednak coś w części poświęconej problemowi ruiny gracza. Ta koncepcja teoretyczna mówi o tym, że w grze hazardowej, bez względu na zasobność portfela danego gracza, kasyno dysponuje nieskończoną sumą pieniędzy, więc jeśli grający nie przestanie obstawiać zakładów, w końcu kasyno wygra. Gary uznał, że ta sama teoria ma zastosowanie w stosunku do SPR-a i strony Silk Road. Kasynem był rząd Stanów Zjednoczonych, a graczem – SPR. Ponieważ Straszny Pirat Roberts nie przestanie grać, w końcu musi przegrać.

Stwierdzenie, że Gary był podekscytowany tym śledztwem, byłoby grubym niedopowiedzeniem. Był wniebowzięty! Gdy tylko rozgościł się w nowym miejscu pracy (przynajmniej o tyle, o ile to możliwe), nowi koledzy wzięli go na odprawę. Właśnie wtedy bardzo szybko się przekonał, że nie wszyscy podchodzą do sprawy Silk Road z takim entuzjazmem jak on – już nie.

Śledczy byli zmęczeni i wypaleni, bo dochodzenie zaprowadziło ich donikąd. Dla nich nowo przybyły Gary ze swoim zapalem był jak dziecko, które budzi się w połowie sierpnia i myśli, że jest Gwiazdka. Jego towarzysze zauważyli też pewną jego cechę. Kiedy mówił, często sam sobie przerywał i rzucał retoryczne „wiecie?” albo „no nieee?!”. Robił to przez cały czas. Potrafił nawijać w najlepsze, a potem nagle w pół zdania zapadał się w sobie i jakby naśladując niedźwiedzia, ryczał „no nieee?!”, zaraz potem „wiecie? wiecie?”, a następnie po prostu mówił dalej, jak gdyby nigdy nic.

Abstrahując od wszystkich „wiecie” i „no nieee?”, agenci z zespołu wyjaśnili Gary’emu, na jakim etapie znajduje się śledztwo. Był maj 2013 roku, minęły dokładnie dwa lata od publikacji słynnego artykułu na Gawkerze. Dziesiątki agentów służb rządowych i zespołów specjalnych na całym świecie rozmyślały, jak rozgryźć problem Silk Road. Była grupa w Baltimore (Carl), był samotny agent w Chicago (Jared) i było kilkanaście innych zespołów rozsianych po całej Ziemi. Wszyscy próbowali odkryć tożsamość Straszego Pirata Roberta – ale sprawa jak dotąd pozostawała nierozwiązana.

W połowie odprawy poinformowano, że ponieważ wszystkie dotychczasowe pomysły zawiodły, grupa postanowiła wypróbować nową strategię. Zamiast narkotyków Gary miał śledzić przepływ pieniędzy. Agenci chcieli, by zaczął od

pewnego użytkownika Silk Road, który kupował i sprzedawał bitcoiny dla dilerów narkotykowych i twórców strony, odgrywając rolę cyfrowej pralni brudnych pieniędzy. Zadaniem Gary'ego było ustalenie, kim jest ten żywy bankomat przerabiający kryptowalutę na gotówkę. Gdy już będą to wiedzieli, zaczną monitorować część z tych bitcoinów.

Gary był bardzo chętny, aby podjąć się poszukiwań człowieka piorącego pieniądze, ale miał również pomysł na znalezienie Straszego Pirata Roberta.

– Jak? – zapytał z powątpiewaniem jeden z policjantów.

– Syn Sama – odparł Gary. W dzieciństwie tyle razy słyszał opowieści o nowojorskim seryjnym zabójcy znanym pod tym pseudonimem, że nie dało się tego zapomnieć. Wyjaśnił, że zawsze uderzało go to, w jaki sposób władze złapały tego człowieka.

Działo się to między 1976 a 1977 rokiem w tej samej okolicy, w której Gary się wychował. Syn Sama mordował, terroryzował Nowy Jork i robił z policjantów idiotów. Nieważne, ilu funkcjonariuszy i detektywów ratusz przydzielił do śledztwa, sprawy wciąż nie dawało się rozwiązać. Zespół specjalny powołany do schwytania mordercy nic nie osiągnął. Wkrótce po awarii prądu w 1977 roku pewien policjant postanowił jednak sprawdzić działanie nowej, twórczej metody. Uznał, że zamiast penetrować miejsca zbrodni w poszukiwaniu broni albo wskazówek, można przyrzeć się pozostawionym w tej okolicy samochodom i mandatom za złe parkowanie, które wystawiono w tym samym czasie, kiedy doszło do morderstw. Rozumował w ten sposób, że nawet najostrożniejszy morderca nie przerwałby akcji w połowie, żeby pójść do parkometru i dorzucić parę monet. Może więc Syn Sama w trakcie ataków dostał parę mandatów.

Po mozolnym przejrzaniu dziesiątek tysięcy naruszeń przepisów policjanci znaleźli prawidłowość. W odległości kilku przecznic od miejsc poszczególnych zbrodni kilka razy wystawiono mandaty na żółtego forda galaxie z 1970 roku, należącego do mężczyzny z Yonkers. Gdy detektywi udali się do domu właściciela auta, powitał ich David Berkowitz, buńczuczny dwudziestoczterolatek, który natychmiast przyznał się, że jest Synem Sama. „No, macie mnie” – stwierdził wtedy, a potem rzucił ostatni przytyk pod adresem policji: „Co tak długo?”.

Gary wyjaśnił swemu nowemu zespołowi, że podobieństwa są liczne. W 1977 roku tradycyjne techniki policyjne nie wystarczyły do rozwiązania

sprawy, podobnie jak w roku 2013 współczesne procedury polowania na dilerów narkotyków nie pozwalały złapać SPR-a. Obaj mężczyźni drwili z policji. Obaj stawali się coraz bezczelniejsi w miarę popełniania kolejnych przestępstw. A zarówno zespoły specjalne sprzed lat, jak i działające obecnie nie zdołały ich odnaleźć.

– Rozgryzę tę sprawę – oznajmił Gary każdemu, kto chciał słuchać. – Myślę, że naprawdę dorwę SPR-a.

Był przekonany, że tak samo jak latem 1977 roku Syna Sama udało się złapać dzięki mandatowi za złe parkowanie, tak teraz założyciel Silk Road musiał popełnić jakiś błąd. Gary wierzył, że gdzieś w ciemnym zakątku internetu znajduje się elektroniczny odpowiednik tych mandatów, który pomoże zdemaskować Straszego Pirata Roberta. A on, Gary Alford, zamierzał go znaleźć.

Ross schodzi do podziemia

Nadszedł czas, aby się ukryć. Tym razem jednak nie Straszny Pirat Roberts musiał zniknąć, ale Ross Ulbricht.

Od czasu zabójstwa Greena wydarzyło się wiele strasznych rzeczy. Ktoś szukał SPR-a, żeby się zemścić. Zrobiło się też gorąco, bo stronę Silk Road penetrowały FBI, DEA, HSI oraz garść innych agencji – to znak, że przestali się pierdolić. Ulbricht uznał, że pora rozpocząć lądowanie awaryjne.

Był początek czerwca 2013 roku. Ross nie miał wyboru: musiał przejrzeć listę, którą sporządził przed kilkoma miesiącami. Listę na wypadek kataklizmu. „Znaleźć mieszkanie za gotówkę na craigslistie – napisał wtedy sam do siebie. – Stworzyć nową tożsamość (nazwisko, historia)”.

Przeglądając oferty na serwisie ogłoszeniowym, trafił na idealne miejsce: osobny pokój w domu z trzema sypialniami w San Francisco przy Piętnastej Alei, niedaleko dzielnicy Outer Sunset. Czynnosc wynosił tysiąc dwieście dolarów miesięcznie i można było płacić gotówką. Wysłał mejla do właściciela, a zgodnie z drugim punktem na liście – „Stworzyć nową tożsamość (nazwisko, historia)” – nie przedstawił się jako Ross Ulbricht, ale użył fikcyjnego nazwiska Joshua Terrey. Kolejnego, którego jego zdaniem nigdy nie da się z nim powiązać.

Stworzenie nowej tożsamości miało się jednak okazać trudne. Istniały już przecież dwie osoby: Ross i SPR. Jeśli teraz miał pamiętać szczegóły dotyczące następnej, kłamstwa szybko zaczęłyby się ze sobą mieszać. Aby mieć pewność, że nie zapomni niczego, co dotyczyło Joshuy, trzymał się tych historii, które znał. Wyjaśnił, że on, Josh (w skrócie), jest dwudziestodwuletnim z Teksasu, który niedawno wrócił z podróży do Sydney. „Handluję walutami i trochę pracuję jako informatyk freelancer” – napisał Ross jako Josh do pary, która wynajmowała mieszkanie. „Większość czasu spędzam sam, głównie przy pracy”.

Nie musiał się martwić tym, że o nowym alter ego dowiedzą się przyjaciele z realnego świata tacy jak René czy Selena, bo obmyślił plan przewidujący rozdzielenie tych światów: starzy znajomi nie będą go odwiedzać w nowym miejscu, a nowi współlokatorzy nie pójdą na spotkanie z przyjaciółmi. Jeśli zaś chodzi o Kristal przyjeżdżającą z Portland w odwiedziny... Cóż, ta znajomość posypała się prawie tak szybko, jak się zaczęła. Gdy tylko zrobiło się poważniej, Ross stracił zainteresowanie. Jak możesz trwać w związku z kimś, komu dajesz tylko połowę siebie? To prawda, że chciał w przyszłości założyć rodzinę, jak zwierzył się kiedyś kumplom w realu i na stronie Silk Road. Ale jeszcze nie teraz i nie z Kristal.

Zresztą nie zaprzętał sobie tym głowy, bo kiedy właśnie schodził do podziemia, w jego życiu powoli, lecz niechybnie pojawiała się po raz kolejny inna wyjątkowa osoba. Osoba, z którą przysiągł nigdy więcej nie rozmawiać: Julia. Tego nie było na liście.

Zanim postanowił na trochę się ukryć, przeczytał książkę na temat produktywności. Jej przesłanie w dużej mierze odzwierciedlało podejście Rossa z czasów studenckich, kiedy to ograniczał zbędne, banalne elementy życia, nie mył się przez miesiąc i żył przez tydzień na jednej torebce ryżu. Jedną z porad w książce była propozycja, by czytelnik zresetował swój kalendarz internetowy i zaczął od nowa. Gdy Ross to zrobił, program odwołał jakieś dawne wydarzenie z Julią i automatycznie wysłał jej powiadomienie.

„Jak się miewasz? – odpisała. – Nadal myślę, że jesteś niesamowity”.

Od tej pory dawni kochankowie zaczęli ze sobą sporadycznie mejlować. Był to tylko flirt, ale kto wie, czy w przyszłości nie mógł znowu stać się czymś poważniejszym. Zresztą nawet jeśli nie, stanowił przynajmniej miłą rozrywkę pozwalającą Rossowi oderwać się od chaosu panującego w jego licznych już światach.

Jako Josh udał się na Piętnastą Aleję, żeby obejrzeć mieszkanie. Przedstawiono mu ludzi zajmujących pozostałe pokoje. Wręczywszy gotówkę Andrew Fordowi, który wynajmował ten lokal, Ross od razu się wprowadził.

Nowi współlokatorzy Josha nie wiedzieli, że dwudziestodziewięcioletni Teksaszczyk, który przybył jedynie z laptopem oraz małą torbą ubrań – których ilość wystarczała na tygodniową podróż – i właśnie rozpakowywał swój nieliczny dobytek, naprawdę nazywa się Ross Ulbricht. A już na pewno nie podejrzewali, że jest także Straszny Pirat Robertsem, dysponującym

dziesiątkami milionów dolarów w bitcoinach, znajdujących się w laptopie i na pendrive'ach w jego kieszeni. Widzieli w nim cichego, grzecznego day tradera, a nie człowieka, który za pośrednictwem Silk Road przez ostatnie miesiące kazał zabić z pół tuzina osób.

Tak, z polecenia Straszego Pirata Robertsa zginęli kolejni ludzie. Wkrótce po podtopieniu i zabiciu Curtisa Greena ktoś inny spróbował orznąć SPR-a na pięćset tysięcy dolarów w bitcoinach. Tym razem jednak szantażysta nie ukradł pieniędzy, ale groził ujawnieniem setek prawdziwych nazwisk i adresów użytkowników Silk Road, które jakimś cudem wykrał. Poinformował SPR-a, że jedyny sposób, by tego uniknąć, to zapłacenie mu pół miliona.

Ross nie zamierzał jednak ponownie dać się na to nabrać, dlatego zwerbował Hells Angels, nową grupę zbirów, których poznał na stronie, i zlecił im znalezienie oraz zabicie złodzieja. „Nie toleruję takiego zachowania – wyjaśnił im na czacie. – Zwłaszcza tutaj, na stronie Silk Road, gdzie anonimowość jest święta”.

Zleceniobiorcy zażądali stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów za „czyste” morderstwo. Straszny Pirat Roberts nie był tą ceną zachwycony i powiedział o tym Angelsom – za poprzednie zabójstwo zapłacił dwa razy mniej. Mimo wszystko negocjowanie z grupą bezwzględnych zbirów nie należało do łatwych zadań, a sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów obecnie nie stanowiło dla niego wygórowanej sumy, dlatego przystał na ten koszt. Po kilku dniach na skrzynkę pocztową SPR-a trafiło zdjęcie martwego człowieka. „Twój problem został rozwiązany. [...] Śpij spokojnie, on nie będzie już nikogo szantażował. Nigdy”.

Niestety na tym kłopoty Rossa się nie skończyły. Tuż przed tym, jak Hells Angels zamordowali szantażystę, ten przyznał, że wyjawiał swoje tajemnice czterem współnikom, z których jeden posługiwał się na stronie Silk Road pseudonimem tony76. SPR bez mrugnięcia okiem zapłacił pięćset tysięcy dolarów, żeby zabić również ich.

W dzienniku prowadzonym na komputerze odnotował to, co zrobił. „Wysłałem płatność angelsom za zlecenie na tony'ego76 i jego 3 współników”. Zaraz potem opisał skomplikowane prace, jakie tego dnia przeprowadził na serwerach strony: „Z powodu bardzo dużego obciążenia (300/16) strona była offline; refaktoring kodu na stronie głównej i podstronach kategorii, żeby były efektywniejsze”.

Wyglądało na to, że zlecenie morderstw, zupełnie jak kodowanie, staje się prostsze, gdy człowiek nabiera praktyki.

Jakby tego chaosu było mało, SPR-owi groził śmiercią ktoś o pseudonimie DeathFromAbove, kto twierdził, że wie o jego zaangażowaniu w zabójstwo Curtisa Greena. Ross najadł się też strachu, kiedy wskutek błędu w kodzie strony wyciekł do sieci adres IP serwera. Gdyby w tym momencie witrynę obserwował ktoś z FBI albo innej agencji, mógłby ustalić położenie serwera, na którym działał Jedwabny Szlak – co Ross utrzymywał w tajemnicy od ponad dwóch lat.

Tak więc morderstwa, groźby, współpraca z Hells Angels i niepokój związany z tymi wydarzeniami sprawiły, że Ross koniecznie musiał się ukryć.

Variety Jones zrobił zresztą to samo, wyjechał do Tajlandii, aby nie dać się złapać, jeśli wszystko wybuchnie. Wyjaśnił, że opłaca tam paru policjantów, którzy mieli go informować, gdyby ktokolwiek go szukał, tak by z łatwością mógł uciec, jeśli fedzie zapukają do drzwi.

Podczas gdy Strasznemu sypały się na głowę te wszystkie problemy, miał też pewien powód do radości. Już nie tylko VJ miał w kieszeni paru nieuczciwych gliniarzy. SPR również kilku najął. Rozesłał wici do zaufanych ludzi na stronie, tu coś obiecał, tam czymś zanęcił, i okazało się, że pewien informator w strukturach państwowych jest skłonny powiadamiać go za opłatą o postępach w polowaniu na Straszego Pirata Roberta. Oznajmił, że każda wiadomość będzie kosztowała marne pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Wciąż nie było wiadomo, jak wszystko się potoczy i czy pozyskane szczegóły pomogą Rossowi wymknąć się federalnym. Nie zaszkodziło jednak spróbować.

Na szczęście interes na stronie kwitł. Pod koniec lipca w serwisie Silk Road było zarejestrowanych prawie milion użytkowników, choć witryna działa nieco ponad dwa lata. Ross nigdy by nie pomyślał, że tamta pierwsza przehandlowana torebka grzybków zaowocuje powstaniem strony pomagającej milionowi ludzi w kupnie i sprzedaży narkotyków i innych nielegalnych towarów. Mimo całego stresu, który aktualnie go przytłaczał, ten doniosły fakt nie przestawał go oszałamiać. Dlatego zapłacenie informatorowi pięćdziesięciu tysięcy albo Hells Angels pół miliona za parę zabójstw stanowiło po prostu koszt prowadzenia interesu. Nie miało to w zasadzie wpływu na wysokość zysków ze strony.

Na szczęście Ross stał się wprawnym i pewnym siebie dyrektorem generalnym strony Silk Road. Teraz nie ulegało wątpliwości, że on tu rządzi,

i choć inni go wspierali, SPR był w każdej sprawie ostatecznym arbitrem i nie zabiegał już o akceptację niedysyjszego mentora Variety Jonesa. Jako szef często przypominał swoim pracownikom: „mamy odmienić cywilizację”. Robił im długie inspirujące wykłady i uczył się motywować swoją załogę, kiedy sytuacja stawała się napięta. I właśnie tego część współpracowników potrzebowała w obliczu ciągłej presji ze strony hakerów i służb.

„Pozwól, że podzielę się z tobą pewną przypowieścią” – napisał Straszny jednemu z pracowników. Zaczął od słów: „To było w średniowieczu w Europie...”. Pewien człowiek wszedł na plac budowy i zobaczył grupę robotników ociosujących kamienne bloki. Większość z nich pracowała powoli, z posepnymi, nieszczęśliwymi minami. „Co robicie?” – zapytał ów człowiek, a oni odpowiedzieli: „Nie widać? Ociosujemy kamienne bloki”. Potem jednak ujrzał innego robotnika, uśmiechniętego i z błyskiem w oku. Pracował on dwa razy szybciej od pozostałych, a jego ociosane bloki były idealne. Mężczyzna podszedł więc i zapytał: „Co robisz?”. Na co tamten obejrzał się i odparł: „Buduję katedrę na chwałę Bożą”. „Gdyby ktoś zapytał cię, co robisz – pisał dalej SPR do swojego pracownika – czy odpowiedziałbyś »użeram się z problemami ludzi«, czy »pracuję na rzecz uwolnienia ludzkości«?”

To dlatego Ross musiał się ukryć: bo miał za dużo do stracenia. Nie mógł dłużej pracować z dodatkowej sypialni Renégo. Nie mógł spacerować po Laguna Street i dekować się w ulubionej kawiarni Momi Toby's, żeby stamtąd zajmować się stroną. Na SPR-a polowało mnóstwo agencji rządowych, a DeathFromAbove groził mu śmiercią, dlatego konieczne było zachowanie większej ostrożności.

Kiedy w domu przy Piętnastej Alei niedaleko Outer Sunset zamknęły się drzwi sypialni, mężczyźni w salonie sądzili, że ich nowy współlokator Josh siada do pracy polegającej na handlu akcjami albo zdalnym wsparciu informatycznym.

Tymczasem w pokoju Ross, Josh i SPR wiedzieli, że wszyscy razem pracują przy budowie swojej „katedry na chwałę Bożą”, przyczyniając się tym samym do uwolnienia ludzkości od tyranii rządu Stanów Zjednoczonych.

Carl zmienia drużynę

W powietrzu unosił się zapach kawy. Carl siedział w swoim boksie w biurze DEA w Baltimore i pracował na laptopie. Wśród panującej wokół ciszy znów rozległ się dzwonek jego komórki. Carl dokładnie wiedział, kto dzwoni, jeszcze zanim podniósł telefon, na którym wyświetlił się numer ze Spanish Fork w Utah. To Curtis Green, Nito! Tego dnia dzwonił już chyba ósmy raz i robiło się to naprawdę wkurwiające.

– Nie mogę uwierzyć, że myślicie, że ukradłem pieniądze SPR-a – odezwał się w słuchawce piskliwy pomruk Greena. – Przysięgam, że nic mu nie ukradłem.

Carl był innego zdania.

– Kłamca z ciebie.

Posłuchał jeszcze trochę tego narzekania, a potem kazał Greenowi się wyluzować i nie wychylać, bo SPR wierzył, że Curtis jest martwy. Carl nastraszył dilera, że jeśli szef Silk Road dowie się, że Green jednak żyje, taki stan na pewno nie utrzyma się długo.

– Jak długo mam się kryć? – zapytał Curtis błagalnym tonem. – Od miesiący nie wychodzę z domu. – Potem zaczął skamleć, że nie ma nic wspólnego z kradzieżą pieniędzy.

Carl nie chciał dłużej słuchać tych bzdur, więc się rozłączył.

Po udawanych – ale nie do końca – torturach w hotelu Marriott Straszny Pirat Roberts poprosił Noba, by ten zlecił swoim zbirom zabicie Greena. Carlowi nie chciało się drugi raz lecieć do Spanish Fork, więc kazał Greenowi upozorować własną śmierć. Instrukcja była prosta: wsadź głowę do wody, jakby ktoś cię utopił. Potem otwórz puszkę zupy pomidorowej Campbell i wlej sobie do ust jej zawartość, żeby wyglądało tak, że umarłeś pod wodą i z wnętrzości eksplodowała ci jakaś wydzielina. A żebyśmy mieli co pokazać, niech żona zrobi twoim telefonem zdjęcie twego martwego ciała.

To kiepskiej jakości zdjęcie Nob wysłał Straszemu Piratowi Robertsowi na dowód, że zaszary złodziej Green został zamordowany. „Przyczyną śmierci było uduszenie / pęknięcie serca” – napisał.

Na tym sprawa miała się zakończyć. Wkrótce po tej wymianie wiadomości Carl zauważył jednak u Straszego pewną zmianę. Zupełnie jakby pozbawienie drugiego człowieka życia – a przynajmniej przekonanie, że do tego doprowadził – pozwoliło SPR-owi posmakować władzy, jakiej nie zaznał nigdy wcześniej. Szef Silk Road stawał się bardziej wymagający i pewny siebie. Kiedy Carl – po przyjacielsku, w stylu „jestem po twojej stronie” – próbował ostrzec SPR-a przed potencjalnymi konsekwencjami prowadzenia strony, ten zareagował w niespotykanym dotąd buńczucznym tonie.

„Nikt mnie do tego nie zmusił. Sam to wybrałem – oznajmił. – Z pełną świadomością grożących mi konsekwencji”. Potem wyraził niewzruszony pogląd, że serwis Silk Road rozrośnie się do takich rozmiarów, że „zmusi rządy do legalizacji” narkotyków. Przesłanie było jasne: nie kwestionuj decyzji Straszego Pirata Roberta, bo jest gotów zrobić wszystko, by osiągnąć swój cel.

SPR stał się również bardziej stanowczy w drobniejszych kwestiach. Gdy Nob spóźnił się na chat, podczas którego mieli rozmawiać o interesach, SPR go złąkał i zrobił mu długi wykład o lojalności i „dotrzymywaniu słowa”.

„O kapitanie, mój kapitanie”.

Nie potrzebował wiele czasu, by od przygnębienia śmiercią Curtisa Greena przejść do przekonania, że diler sam był sobie winny. „Jestem wkurzony, że obrócił się przeciwko mnie – napisał Straszny do Noba. – Jestem wkurzony, że musiałem go zabić. Chciałbym, żeby więcej ludzi miało mocny kręgosłup”.

Carl w pełni się z nim zgodził.

„To cecha, którą chyba najtrudniej znaleźć [u ludzi]” – stwierdził. Zauważył, że większość z nas ma w sobie lojalność, strach, chciwość i moc, „ale mocny kręgosłup jest rzadki”.

Wyglądało na to, że o tę cechę trudno było również u Carla.

Zupełnie jak jego kolega agent, który ukradł ze strony trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów, Carl też przez ostatnie miesiące szukał sposobu na wyciągnięcie z serwisu Silk Road pieniędzy dla siebie. Tłumaczył sobie, że to jedyna taka okazja w życiu. Nikt się nie dowie, to przecież bitcoiny, nie da się

ich namierzyć, są jak cyfrowa gotówka. Dlatego wymyślił plan. A właściwie kilka planów.

Pewnego popołudnia latem 2012 roku napisał do Straszego Pirata Roberta z propozycją. Okazało się, że Nob zupełnym przypadkiem zna skorumpowanego funkcjonariusza. Kto by pomyślał? Gościa, który zajmuje się akurat sprawą Silk Road. Ciekawe. Wyjaśnił, że człowiek ten ma na imię Kevin i jest gotów przekazywać SPR-owi informacje na temat śledztwa, ale w zamian za drobny datek.

SPR zainteresował się, skąd Nob zna tego nieuczciwego gliniarza.

„Sam do mnie przyszedł. Powiedział mi o dochodzeniu, które toczy się w mojej sprawie”.

„Dlaczego to zrobił?”

„Dla pieniędzy :) – odpisał Nob. – Kevin to bardzo inteligentny i przebiegły człowiek”.

Kiedy Carl powołał do życia fikcyjną postać Noba, posłużył się całą swoją wiedzą o przemyśle narkotyków w Ameryce Południowej. Teraz postępował podobnie – czerpał z własnych przeżyć i doświadczeń, tworząc Kevina, pozbawionego skrupułów agenta, który łamał reguły, żeby poczuć dreszczyk emocji. Właśnie zamierzał przekroczyć najświętszą granicę dla stróża prawa: zacząć odsprzedawanie tajemnic człowiekowi, na którego polował.

Do tej pory przełożeni Carla mogli śledzić wszystko, co pisał do SPR-a, ponieważ zapisy czatów trafiały w DEA do raportów ze śledztwa. Wiedząc o tym, Carl zaproponował Straszemu Piratowi Robertsowi, żeby część rozmów, w szczególności tych na temat informacji od Kevina, zabezpieczali przy użyciu PGP, bardzo bezpiecznego systemu szyfrującego każdą wiadomość. Skoro Carl miał popełnić poważne przestępstwo, chciał mieć pewność, że władze nigdy się o tym nie dowiedzą.

I tak oto narodziła się nowa relacja. Pod maską Kevina Carl mógł pomagać SPR-owi, który dzięki temu wyprzedzał o krok władze federalne. Skorumpowany gliniarz dzielił się całą poufną wiedzą na temat dotychczasowego śledztwa. W zamian za to wymagał datku w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów za każdą wartościową informację. SPR płacił ten datek nader chętnie. Plan był niezawodny: dzięki szyfrowaniu wiadomości mogli przeczytać tylko Carl i SPR, a płatność uiszczano w bitcoinach, więc nikt nie był ich w stanie namierzyć. Carl dostarczał Straszemu Piratowi Robertsowi

informacji o śledztwie, ukradkiem dzielił się nazwiskami osób, które mogły stać się podejrzanymi, albo operujących na stronie dilerów, których aresztowano i istniało ryzyko, że zaczną sypać. Ta istotna wiedza dawała SPR-owi przewagę nad federalnymi. W zamian za to człowiek, którego Carl powinien ścigać, płacił mu czasem pięćdziesiąt, czasem sto tysięcy dolarów. W sumie agent zarobił w ten sposób siedemset pięćdziesiąt siedem tysięcy.

Straszny Pirat Roberts uważał, że to dobrze wydane pieniądze, ponieważ gwarantowały, że jeśli ktokolwiek w służbach zorientuje się, kim naprawdę jest szef strony Silk Road, Ross zdoła uciec, zanim funkcjonariusze zapukają do jego drzwi.

Internetowy mandat za parkowanie

Gary Alford od miesiący czytał na temat Silk Road wszystko, do czego zdołał dotrzeć. Absolutnie wszystko, co najmniej trzykrotnie. Myśl, że uda mu się znaleźć Straszego Pirata Robertsa, stała się jego obsesją. A gdy w ostatni piątek maja 2013 roku leżał w łóżku z laptopem, pojawił się pierwszy znak, że jego wytrwałość przynosi owoce.

Gary miał za sobą typowy długi tydzień pracy w nowojorskim zespole polującym na SPR-a. Tego wieczoru wrócił do domu, zjadł smaczną kolację z żoną, po czym oboje powlekli się na piętro do sypialni. Pani Alford zasnęła niemal natychmiast, a ich pies Paulie zwinął się na skraju łóżka i cicho chrapał. Wiele ozdób w sypialni Alfordów było czerwonych. Kołdra, poduszki, a nawet ściany wyglądały tak, jakby ktoś pomalował je sprejem na kolor głębokiego karmazynu. W tym czerwonym pokoju Gary klikał na laptopie i cały czas czytał o Silk Road.

W ciągu ostatnich miesięcy przyjął kilka założeń na temat potencjalnej tożsamości SPR-a. Przestępca wykazywał się niezwykłą znajomością amerykańskiego systemu politycznego, co oznaczało, że zapewne mieszka w Stanach Zjednoczonych. Ponadto żeby zbudować taką stronę, musiał dysponować imponującą wiedzą informatyczną. No i wreszcie najważniejsza wskazówka.

Gary przeczytał wczesne posty twórcy Silk Road (każdy po trzy razy), w których ten twierdził, że kupowanie narkotyków na ulicy, gdzie inni ludzie mogą cię orznąć albo pobić, jest groźne, natomiast kupowanie na Jedwabnym Szlaku będzie znacznie bezpieczniejsze. Gary'ego, czarnoskórego mężczyznę, który wychował się na osiedlach komunalnych, natychmiast to oburzyło.

– Kogo on ma na myśli, pisząc „inni ludzie”? – powiedział do żony, kiedy rozmawiali o sprawie. – Widać, że w przeciwieństwie do mnie nie wychował się z tymi „innymi ludźmi”, bo inaczej by nas tak nie nazywał.

Co prawda stwierdzenie SPR-a poirytowało Gary'ego, ale dostarczyło mu również ostatniej, kluczowej wskazówki: Straszny Pirat Roberts był biały i zapewne pochodził z przedmieść. Te poszlaki pozwoliły zawęzić poszukiwania do, bagatelka, jakichś dwudziestu milionów ludzi. Jednak wskazówka to zawsze wskazówka.

Podobnie jak inni agenci zajmujący się sprawą Gary sporządził listę nazwisk osób, które potencjalnie mogły być Straszny Pirat Robertsem. Znaleźli się na niej między innymi programista o libertariańskich poglądach, pewien człowiek zajmujący się bitcoinami oraz inny, zarządzający forum internetowym. Szansa, że jedna z tych osób to SPR, była jednak znikoma.

Tego piątku późnym wieczorem, gdy Gary ułożył głowę na czerwonej poduszce, wpadł na pewien pomysł.

Zastanawiał się, kto pierwszy napisał w internecie o stronie Silk Road. Zgodnie z ogólną wiedzą był to Adrian Chen, bloger z Gawkera, autor słynnego pierwszego artykułu na ten temat. Może Straszny Pirat Robertsem jest właśnie Adrian Chen – pomyślał Gary. Jeśli tak, może napisał o Silk Road gdzieś indziej, zanim opublikował tamten tekst.

Gary otworzył więc na laptopie stronę Google'a i ponownie przeczytał artykuł z Gawkera, trzy razy. Podczas ostatniej lektury zwrócił uwagę na ciekawy link, z jakim dotąd się nie zetknął: zamiast końcówki.com adres strony Silk Road kończył się domeną .onion, wykorzystywaną przez przeglądarkę Tor.

Wobec tego Gary wrócił na Google'a, w pole wyszukiwania wpisał „Silk Road.onion” i ustawił filtrowanie według daty, tak aby zobaczyć wyłącznie wyniki sprzed 1 czerwca 2011 roku, czyli daty publikacji artykułu na Gawkerze. Tym razem pojawiła się tylko garstka niebieskich linków. Klik. Klik. Znowu klik. I oto nagle Gary zobaczył wpis na forum o nazwie Shroomery, opublikowany dokładnie o 16.20 w czwartek 27 stycznia 2011 roku – w tym samym tygodniu, kiedy podobno uruchomiono serwis Silk Road. Gary kliknął link i zaczął czytać.

„Natknąłem się na stronę o nazwie Silk Road” – napisał ktoś na Shroomery w 2011 roku. Gary dalej przeglądał forum zawierające wskazówki dotyczące hodowli grzybków halucynogennych, aż w końcu zauważył, że autor komentarza o Silk Road posługiwał się pseudonimem Altoid. Usiadł na łóżku.

– Dokąd idziesz? – zapytała jego żona przez sen, kiedy wstał.

– Na dół – szepnął.

Niebieska poświata laptopa zniknęła z sypialni. Paulie zeskoczył z łóżka i podreptał za swoim panem.

Gary usiadł na kanapie w salonie i szukał dalej. Znowu otworzył Google'a i tym razem wpisał „Silk Road.onion” oraz „Altoid”, a wtedy pojawiło się kilka innych niebieskich linków. Klik. Klik. Klik. Trafił na kolejny post w wątku na innym forum, w którym rozmawiano na temat stworzenia sklepu heroinowego, gdzie można by kupować herę w internecie przy użyciu Tora i bitcoinów. Tu również znajdował się komentarz autorstwa Altoida.

„Co za świetny wątek! Macie tu masę doskonałych pomysłów. Czy ktoś z was widział już Silk Road? – napisał Altoid mniej więcej w tym samym czasie, w styczniu 2011 roku. – To trochę taki anonimowy amazon.com”.

W ciągu kolejnych dni Gary skontaktował się z administratorami tych forów i powołując się na oficjalne uprawnienia, zażądał nazwisk i adresów mejlowych powiązanych z kontami Altoida. Konta zarejestrowano na adres frosty@frosty.com, fałszywy i prowadzący donikąd. Gary grzebał jednak dalej i odkrył, że Altoid we wpisie później skasowanym, ale wciąż obecnym w bazie danych forum, podał jeszcze jeden adres mejlowy. Jak się okazało, konto należało do właściciela adresu RossUlbricht@gmail.com.

Kolejne wyszukanie pozwoliło ustalić, że Ross Ulbricht to dobiegający trzydziestki biały mężczyzna z teksańskiego przedmieścia. W profilu nowego podejrzanego czegoś jednak brakowało: Ulbricht nie miał wykształcenia informatycznego.

Oczywiście to, że mężczyzna jako pierwszy napisał w internecie o Silk Road, absolutnie nie oznaczało, że jest twórcą narkotykowego Amazona. Równie dobrze zanim Altoid wspomniał o stronie na tych właśnie forach, dziesiątki albo i setki ludzi mogły o niej rozmawiać w prywatnych czatach albo w tych rejonach internetu, których nie da się przeszukać. To odkrycie wystarczyło jednak, żeby dodać nazwisko Rossa Ulbrichta do prowadzonej przez Gary'ego listy podejrzanych – ludzi, którzy w ten czy inny sposób mogli być związani z Silk Road.

Chociaż wtedy jeszcze o tym nie wiedział, Gary właśnie znalazł odpowiednik mandatu za parkowanie umieszczonego na samochodzie Syna Sama. Tyle tylko, że w tym przypadku był to niepozorny wpis pozostawiony na forum internetowym.

Tarbell znajduje błąd

Chris Tarbell wystrzelił z budynku Biura Okręgowego Prokuratora Federalnego przy Saint Andrews Plaza 1 w Nowym Jorku. Idąc szybkim krokiem w kierunku znajdującej się naprzeciwko centrali FBI, wsunął rękę do kieszeni i ścisnął w dłoni malutki szary pendrive, który mógł zmienić świat – w każdym razie świat Chrisa Tarbella.

Nie posiadał się z podniecenia na myśl, że na pendrivie mogą się znajdować serwery Silk Road. Tego ranka urządzenie przyszło pocztą od służb z Islandii. Jeśli jego zawartość nie była zaszyfrowana, mogła doprowadzić FBI do Straszego Pirata Robertsa.

Kiedy kilka miesięcy wcześniej FBI rozpoczęło oficjalne śledztwo dotyczące strony, Tarbell i jego mała grupa agentów federalnych już o tysiąc kroków wyprzedzali każdy inny rządowy zespół, który zajmował się sprawą. Bądź co bądź agenci do spraw cyberprzestępczości mieli wieloletnią wprawę w poszukiwaniu i aresztowaniu ludzi w darknecie, zatrzymywaniu hakerów, pedofilów, złodziei tożsamości, a nawet terrorystów, z których wielu posługiwało się tymi technologiami jako tajną bronią. Ekipa z FBI wiedziała również, że źli ludzie, na których polują agenci, najczęściej popełniają jakieś błędy. Czasem są to tylko drobne i pozornie niewinne wpadki, ale są. Nieraz żeby rozgryźć sprawę, po prostu trzeba taką znaleźć. I właśnie to ostatnio zrobił Tarbell.

Dzięki wiedzy z zakresu informatyki śledczej mógł przeglądać w internecie fora techniczne, gdzie dyskutowano o kodzie, który trzymał witrynę Silk Road w kupie, a na dodatek rozumiał, co tam piszą. Wkrótce po rozpoczęciu śledztwa Tarbell zauważył coś, co widzieli również inni doświadczeni programiści: po niedawnej aktualizacji serwera na stronie logowania do Silk Road został drobny, ale potencjalnie brzemienny w skutki błąd. Powodował on wyciek adresu IP

serwera, czyli ciągu numerów, który można porównać z adresem domu, tyle że zamiast na budynek wskazuje on na serwer, nawet ten ukryty w darknecie.

Po zbadaniu sprawy okazało się, że ten incydent dostarczył prawdziwą poszlakę; kilka godzin działania programu wykorzystującego błąd pozwoliło Tarbellowi zlokalizować serwer, na którym działał sklep Silk Road. Jak się okazało, serwer znajdował się na Islandii. (Parę godzin po znalezieniu błędu spostrzegł go również Straszny Pirat Roberts i załatał dziurę). Był to wielki przełom w sprawie, ale pozostawało niejasne, co – jeśli w ogóle cokolwiek – znajduje się na tym urządzeniu. Według jednego scenariusza serwer mógł dostarczyć FBI wszystkich potrzebnych informacji na temat ludzi zarządzających stroną. Jeśli jednak, co prawdopodobne, był zaszyfrowany albo wręcz zawartość została skasowana, zanim do niej dotarli, cała poszlaka nie zdałaby się absolutnie na nic.

Potrzeba było kilku tygodni, szybkiej wycieczki za ocean, sporej dozy prawnych przepychanek i wypicia kilku piw z paroma islandzkimi gliniarzami, żeby Islandia zgodziła się przekazać wszystkie informacje znajdujące się na serwerze. Potem zaś w połowie czerwca do Biura Okręgowego Prokuratora Federalnego przybyła pocztą kopia danych na szarym pendrivie. (Zapewne przyplłynęła do Ameryki razem z narkotykami zakupionymi na stronie Silk Road).

Trzymając teraz tego pendrive'a w dłoni, Tarbell przemknął obok ochroniarzy w budynku FBI. Przyłożył przepustkę do czujnika, a potem wjechał na dwudzieste drugie piętro w poszukiwaniu Thoma Kiernana, informatyka, z którym pracował w grupie do walki z cyberprzestępczością.

– Mam! – oznajmił radośnie, gdy odnalazł Thoma w laboratorium 1A.

Stanowisko komputerowe w tym laboratorium było długą ławą zapełnioną monitorami, klawiaturami i dyskami twardymi. Dwaj mężczyźni przysunęli sobie krzesła i usiedli przed jedną z maszyn. Tarbell podał Thomowi pendrive'a i patrzył wyczekująco, gdy ten podłączał go do komputera. Palce Thoma zaczęły tańczyć po klawiaturze, informatyk otwierał foldery i zagłębiał się w ich zawartość. Obaj byli podnieceni tym, co mogą odkryć w środku. A potem Thom sposepniał. Przygnębiony odwrócił się do Tarbella i wypowiedział ostatnie słowo, jakie chcieliby usłyszeć:

– Zaszyfrowane.

Przed nimi na ekranie widniał nieskończony ciąg losowych znaków, cyfr i liter układających się w absolutny bełkot. Tysiące linijek niezrozumiałych znaków.

Załamany Tarbell sięgnął po telefon i zadzwonił do Serrina Turnera z Biura Okręgowego Prokuratora Federalnego, człowieka, który przed momentem wręczył mu pendrive'a. Zostawił wiadomość na skrzynce głosowej: „Zadzwoń jak najszybciej, mamy duży problem”.

– Kurwa! – warknął, z hukiem odkładając telefon. – Koniec gry.

Po kilku bezsensownych próbach odblokowania folderów (to tak, jakby chcieć się włamać do Fort Knox przy pomocy spinacza) przygaszony Tarbell niechętnie wrócił do swojego biurka. Po południu oddzwonił Serrin.

– Co teraz zrobimy? – zapytał.

– Autentycznie nie mam pojęcia – odparł Tarbell. – Nie wiem, czy w ogóle da się coś zrobić. – Rozłączył się załamany. Z jego perspektywy gra naprawdę była skończona.

Po kilku dniach Tarbell zadzwonił do Serrina w innej sprawie. Pod koniec rozmowy ten drugi zapytał o postępy w sprawie Silk Road.

– Żadnych – powiedział Tarbell.

– I hasło nie zadziałało?

– Jakie hasło?

– Goście z Islandii przysłali nam je razem z pendrive'em – wyjaśnił Serrin.

– Nie podałeś mi żadnego hasła! – wypalił Tarbell zszokowany, że słyszy o nim po raz pierwszy. Podniecenie sprzed kilku dni wróciło.

– Dałbym głowę, że tak. Poczekaj, zaraz znajdę. – Serrin zaszeleścił papierami na biurku. – Hasło brzmi „spróbujcie to złamać NSA”, bez spacji.

Był to ze strony islandzkich służb przytyk pod adresem NSA po tym, jak kilka miesięcy wcześniej Edward Snowden ujawnił na łamach prasy mnóstwo ściśle tajnych informacji. Kiedy Thom wpisał hasło, pliki umieszczone na szarym pendrivie magicznie się otworzyły i oczom Tarbella ukazał się cały niezaszyfrowany serwer Silk Road.

– O kurde! – zawołał Tarbell.

– Święte słowa.

– Otwarte. Wszystko otwarte – oznajmił Tarbell Serrinowi przez telefon.

– Kurna, tak! – zapiszczał tamten. – Kurna... tak!

Kiedy Thom wraz z pozostałymi agentami wziął się do pracy przy rekonstrukcji bazy danych i uruchamianiu wirtualnego komputera, na którym miała się znaleźć kopia witryny Silk Road, Chris Tarbell poszedł na zaplecze i wyciągnął z plotera olbrzymią płachtę brązowego papieru o długości mniej więcej dwóch i pół metra. Przykleił ją taśmą do ściany w laboratorium 1A, po czym czarnym markerem napisał na samej górze „silk road”, a poniżej umieścił serię kratek i liczb.

W ten sam sposób, w jaki agenci FBI z Jamy, ścigający przestępczość zorganizowaną, kilka dekad wcześniej tworzyli na tej samej ścianie wykresy określające pozycję poszczególnych gangsterów w rozpracowywanej rodzinie mafijnej, teraz Tarbell na schemacie pełnym numerów i adresów IP zamierzał rozrysować miejsce ukrycia poszczególnych serwerów strony z narkotykami. Liczył na to, że tak jak kiedyś gangsterzy niższego szczebla wiedli federalnych aż do samego dona, któryś z tych serwerów doprowadzi wprost do Straszego Pirata Roberta.

Fałszywe dowody, część pierwsza

Dziesiąty lipca 2013 roku był na międzynarodowym lotnisku San Francisco wyjątkowo wietrznym dniem. Mocne podmuchy szarpały maszynami nadlatującymi znad zatoki. W niektórych samolotach pasażerskich bagaże przesuwały się w lukach, a w pocztowych paczki i koperty latały tam i z powrotem. Kiedy jednak do lądowania podchodził samolot pocztowy z Kanady, wiatr na krótką chwilę ustał i koła gładko spoczęły na płycie lotniska.

Maszyna się zatrzymała, a pełne kopert kartonowe pudła, które przywiozła, ruszyły w drogę do centrum pocztowego agencji celnej. Inspektorzy rozładowywali zawartość kolejnych pudeł na taśmociągi odpowiadające dużym i małym miastom w całych Stanach Zjednoczonych.

Rozpakowując jedno z pudeł, pracownik pełniący tego dnia służbę sięgnął po stos kwadratowych kopert, które przez całą podróż z Kanady pozostały blisko siebie. Oddzielnie żadna nie wydawała się podejrzana, ale zgromadzone razem wyglądały zastanawiająco. Rzucały się w oczy identyczny kształt i rozmiar kopert oraz z całą pewnością identyczny charakter pisma na każdej z nich: ostre litery nagryzmolone w pośpiechu na naklejkach. O dziwo adresy i nazwiska każdego z nadawców odrobinę różniły się od siebie w osobliwy sposób. Jedną kopertę wysłał Cole Harris z Vancouveru. Inną – Arnold Harris, też zamieszkały w Vancouverze, ale pod innym adresem. Trzecią zaś Burt Harris z jeszcze innego zakątka tego samego miasta. Trzej Harrisowie, każdy z innej części Vancouveru, o tym samym charakterze pisma na identycznych kopertach to rzecz nie tylko dziwna, ale podejrzana. Żeby było jeszcze ciekawiej, listy zaadresowano do różnych ludzi w Ameryce, w tym do niejakiego Andrew Forda, który mieszkał tutaj, w San Francisco, przy Piętnastej Alei 2260.

Pracownik chwycił formularz zatrzymania, wypełnił odpowiednie rubryki, a potem rozciął koperty, by sprawdzić, co jest w środku.

Ross pracował nad stroną całymi dniami. Starał się zapanować nad stale pojawiającymi się problemami: od niezadowolonych klientów przez pracowników, którzy nie w pełni wykorzystywali swój potencjał, hakerów, dilerów aresztowanych przez służby federalne aż po przesyłki, które zatrzymywano albo kradziono gdzieś po drodze. Gromadził również informacje od człowieka o imieniu Kevin, który powiadomił go, że federalni zaczęli aresztowania znaczących sprzedawców na stronie Silk Road.

Na szczęście Ross był bezpieczny, ukryty z dala od tego całego chaosu jako Josh w wynajmowanym pokoju w pobliżu Outer Sunset, gdzie mógł pracować całymi dniami bez żadnych pytań ze strony współlokatorów. (Przy czym robił sobie czasem przerwy na oglądanie na YouTube występow komika Louisa C. K., powtórne seanse *V jak Vendetta* i lekturę książek o libertariańskim przesłaniu, żeby nie zapomnieć o swojej misji).

Nabrał tak dużej pewności siebie, że zaczął surowiej traktować pracowników, a niektórym stale robił wykłady na temat bardziej produktywnej pracy.

„Mogę się poprawić” – zapewnił nerwowo jeden z jego podwładnych po niedawnym kazaniu.

Ross odpowiedział: „Nie wątpię”.

Kryjąc się pod maską groźnego, nieuchwytnego Straszego Pirata Roberta, postanowił również udzielić pierwszego wywiadu: wziął udział w sesji pytań i odpowiedzi z Andym Greenbergiem, nieustraszonym reporterem „Forbesa”, który wypytywał SPR-a o jego stronę oraz misję. Ross zdecydował się na czat tekstowy, tak by każde pytanie móc skonsultować z Variety Jonesem i wspólnie ustalić odpowiedź. Była to doskonała okazja, żeby rozpowszechnić libertariański przekaz Rossa, a co ważniejsze – żeby wprowadzić w życie obmyślony przez VJ-a plan rozsiewania sugestii, że nie istnieje jeden Straszny Pirat Roberts, lecz kilku.

Kiedy Greenberg zapytał: „Co zainspirowało cię do stworzenia Silk Road?”, Ross sprytnie odpowiedział: „To nie ja stworzyłem Silk Road, ale mój poprzednik”. Następnie wyjaśnił, że „wszystko było już na swoim miejscu, on tylko poskładał poszczególne elementy”.

„Och, przepraszam, nie wiedziałem, że miałeś poprzednika – odparł Greenberg. – Kiedy przejąłeś od niego stronę? Zanim objawiłeś się światu jako Straszny Pirat Roberts?”

Ross ciągnął tę historię. „Nie ma za co – odpisał. – Do tej pory nie informowałem o tym publicznie”. Powiedział Greenbergowi, że twórca Silk Road otrzymał „rekompensatę i jest zadowolony z tego układu”, a „przekazanie pałeczki było jego pomysłem”. Wywiad trwał cztery godziny i dał SPR-owi doskonałą możliwość zaprezentowania swej misji i wezwania do walki.

Kiedy Ross nie tkwił w domu z laptopem i nie bombardował podwładnych rozkazami, chodził na długie spacerunki po pobliskich parkach albo spotykał się z dawnymi przyjaciółmi z Austin i nowymi kumplami z San Francisco, co pozwalało mu odetchnąć od pozostałych światów.

Agent Ramirez pracował w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego w San Francisco od ponad dekady i uchodził za bardzo doświadczonego weterana. Zawsze przywiązywał wagę do szczegółów i umiał zadawać właściwe pytania nikczemnikom, którzy stawali na jego drodze.

W lipcu 2013 roku pracował nad kilkoma sprawami i właśnie dostał mejla od kogoś z Urzędu Celnego i Ochrony Granic na lotnisku San Francisco na temat przechwyconych kwadratowych kopert z Kanady. Przesyłki zawierały fałszywe dokumenty tożsamości, a przynajmniej wyglądające na fałszywe.

Ramirez wiedział, że celnicy na lotnisku zwykle po prostu niszczą narkotyki i fałszywe dokumenty – to łatwiejsze niż przekazywanie ich agentom Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Jedna z kopert zawierała jednak dziewięć – dziewięć! – podrabianych dowodów. To już poważna sprawa. Kto potrzebuje aż dziewięciu? Jednego, jasne. Dwa też można jakoś zrozumieć. Ale dziewięć? Adresatem tej koperty był niejaki Andrew Ford, zamieszkały ponoć przy Piętnastej Alei 2260 w San Francisco.

Choć dokumenty były idealnymi kopiami praw jazdy z Nowego Jorku, Kalifornii, Kolorado i Wielkiej Brytanii, na każdym widniała inna wersja twarzy tego samego człowieka: białego mężczyzny o orzechowych oczach, który urodził się 27 marca 1984 roku i miał sto osiemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu. Na niektórych dodano mu w Photoshopie gęstą brodę, a na innych był gładko ogolony.

Agent Ramirez pomyślał, że to bardzo nietypowe, więc po uważniejszym zbadaniu dokumentów postanowił wybrać się pod adres przy Piętnastej Alei, żeby poszukać Andrew Forda i zadać mu pytania na temat fałszywych praw jazdy.

Chociaż wiele miesięcy wcześniej Ross skreślił Julię za zdradzenie Erice jego tajemnicy i poprzysiął sobie, że nigdy więcej się do niej nie odezwie, dziewczyna wciąż go pociągała. Dlatego kiedy ponownie nawiązali kontakt, zaprosił ją do siebie na romantyczny weekend, który pozwoliłby mu się oderwać od trudnych spraw. Julia miała przylecieć do San Francisco najwcześniej za miesiąc, zostało więc dużo czasu na obmyślenie szczegółów, ale raczej nie zamierzał jej przyprowadzić do swojego obecnego mieszkania.

Dom przy Piętnastej Alei, w którym Ross podnajmował pokój, bynajmniej nie zachwycał. Budynek składał się częściowo z elementów w hiszpańskim stylu, miał białą elewację, brązowe dachówki z terakoty, a z przodu umieszczono pięć okien, które akurat były na wyprzedazy w Home Depot w czasie, kiedy je wstawiano. Frontowe drzwi pokrywało szkło, a za ogródek robił żaloszny skrawek porośnięty surową zielenią, która nie przekraczała piętnastu centymetrów wysokości.

Ross, jak to Ross, nie przejmował się tym, jak co wygląda. Dla niego liczyło się, że położony na skraju miasta dom był odosobniony i znajdował się niedaleko plaży.

Zatrzymując się na Piętnastej Ulicy pod numerem 2260, agent Ramirez zerknął na mapę na telefonie. Zaparkował auto, a potem przyjrzał się budynkowi. Zastanawiał się, czy Andrew Ford jest u siebie.

Dom znajdował się w dzielnicy Duboce Triangle, w samym środku miasta, miał podłużny prostokątny kształt, a z zewnątrz pomalowano go na niebiesko i szaro. Z przodu nie miał ogródka, wchodziło się do niego przez grube drewniane drzwi. Agent Ramirez spędził kilka godzin na obserwacji, czekając, czy człowiek ze zdjęcia na fałszywych dowodach nie wyjdzie, żeby zajrzeć do skrzynki, a wtedy będzie można z nim porozmawiać. On jednak się nie pojawił.

Ramirez wysiadł więc z wozu i jedną ręką zapukał w jaskrawoniebieskie drzwi. W drugiej trzymał zdjęcie fałszywych dowodów.

Przesyłki, na które czekał Ross, powinny przyjść już parę dni wcześniej, ale wciąż ich nie było. Codziennie schodził po pomarańczowych ceglanych schodkach, żeby zajrzeć do skrzynki. I nic. Oczywiście nie czekał na pocztę na swoje nazwisko, ale na cokolwiek wysłanego z Vancouveru do Andrew Forda, człowieka, od którego wynajmował pokój.

Strona internetowa kanadyjskiej poczty nie była pomocna. Kiedy Ross wpisywał numer przesyłki z fałszywymi dowodami, które kupił, pojawiała się tylko informacja, że koperta jest „nadal w drodze”.

Agent Ramirez czekał parę minut, a potem drzwi domu przy Piętnastej Ulicy 2260 otworzyły się i ze środka wyszedł starszy Azjata.

– Dzień dobry, jestem agent Ramirez – przedstawił się funkcjonariusz. – Czy zastałem Andrew Forda?

Starszy Azjata popatrzył na Ramireza, sądząc, że ten chce mu coś sprzedać, i gestem próbował go przegnać.

– Nie! – krzyknął ze złością. – Nie! On tu nie mieszkać!

– Andrew Ford? – powtórzył agent, tym razem pokazując mężczyźnie zdjęcie dziewięciu fałszywych dokumentów, z których każdy miał fotografię przedstawiającą Rossa Ulbrichta. – Czy tutaj mieszka Andrew Ford?

– Nie! – powtórzył stanowczo Azjata, a potem szybko zatrzęsnął mu drzwi przed nosem. – Idź sobie!

Tak samo jak Ross nie rozmawiał ze współlokatorami, postanowił nie rozmawiać również z sąsiadami. Po prostu siedział w swoim pokoju i pracował na laptopie. Gdyby porozmawiał z ludźmi mieszkającymi obok niego przy Piętnastej Alei, usłyszałby koszarne opowieści o przesyłkach mylonych na poczcie. Może nawet ktoś podzieliłby się z nim historią tej ulicy. Oto późną wiosną 1909 roku burmistrz San Francisco powołał komisję, która po latach problemów z podobieństwem nazw ulic i alej miała dokonać zmiany numeracji budynków i dróg w mieście. Choć cele inicjatywy były szlachetne, wywołała ona wojny między całymi dzielnicami, bo mieszkańcy kłócili się o to, które ulice przemianować, a których nie. Ostatecznie numery ulic i alej pozostały niezmienione. W rezultacie paczki wysyłane na Piętnastą Aleję trafiały czasem pod adresy przy Piętnastej Ulicy, a koperty adresowane do ludzi z Piętnastej Ulicy nieraz lądowały w domach przy Piętnastej Alei.

W połowie lipca 2013 roku pewien agent Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego również trafił pod zły adres. Człowieka, który kupił dziewięć fałszywych dowodów, przez pomyłkę szukał przy Piętnastej Ulicy 2260 zamiast pod adresem podanym na kopercie: Piętnasta Aleja 2260. Adresem, pod którym mieszkał Ross Ulbricht.

Spotkanie dekonfliktacyjne

Co roku o tej porze Gary brał wolny dzień w pracy, żeby uczcić tamten tydzień w 1977 roku, kiedy w Nowym Jorku zgasły światła – dzień, w którym się urodził. Jednak w tym roku na kilka dni przed urodzinami poproszono go, żeby udał się w sekretne miejsce w pobliżu Waszyngtonu na ściśle tajne, niezwykle ważne spotkanie. Prawdopodobnie najważniejsze w jego karierze.

Jak mu powiedziano, będzie to „spotkanie dekonfliktacyjne” dotyczące strony Silk Road, zorganizowane przez szefostwo Departamentu Sprawiedliwości, najwyższego organu w amerykańskim systemie prawnym. Podobno departament zwołał to spotkanie, ponieważ poszczególne komórki administracji państwowej badające sprawę Silk Road (czyli prawie wszystkie) nie współpracowały ze sobą tak, jak powinny. Agenci nie dzielili się dowodami. Na śledztwo marnotrawiono państwowe środki, czyli pieniądze podatników. Nie komunikowali się nawet członkowie tej samej agencji: agenci DEA z Baltimore nie udostępniali swoich ustaleń tym w Nowym Jorku, a agenci HSI z San Francisco nie rozmawiali z tymi z Chicago i Baltimore. Pomędzy poszczególnymi agencjami dochodziło również do zawziętych sprzeczek. Działo się tak przy każdym dużym śledztwie, ale w tym przypadku było znacznie gorzej. Każdemu marzyła się sława i chwała związana z wytropieniem twórcy strony. Dlatego trzeba było zwołać spotkanie dekonfliktacyjne.

Gary obudził się w dzień swoich urodzin, ucałował żonę na do widzenia, wsiadł do swojego forda explorera i ruszył w pięciogodzinną podróż do Waszyngtonu, gdzie miał przedstawić swoje dotychczasowe odkrycia w sprawie.

Za oknem przemykały znaki drogowe, chmury na niebie ciemniały, a on czuł lekkie podniecenie na myśl, że na spotkaniu wstanie i przed tymi wszystkimi ważnymi ludźmi wyjaśni, że znalazł kilka osób, które mogą być zaangażowane w działanie strony Silk Road od samego początku. Nie wiadomo, czy któraś

z nich to Straszny Pirat Roberts, ale mógł przynajmniej pokazać swoje karty i o nich porozmawiać. Chciał między innymi mówić o Altoidzie, który to pseudonim – co Gary ustalił dzięki kilku wezwaniom do udostępnienia danych – należał do niejakiego Rossa Ulbrichta.

Chris Tarbell postanowił nie jechać na spotkanie zorganizowane przez Departament Sprawiedliwości. Zdawał sobie sprawę z tego, że zachowuje się jak primadonna, ale wiedział również, że nie ma czasu na „takie bzdety”. Ostatnio agenci FBI z Jamy w ogóle na niewiele mieli czas. Byli przecież w trakcie przeszukiwania największej zdobyczy, na jaką można było liczyć w tym śledztwie: serwerów Silk Road.

– Zrobimy telekonferencję z Nowego Jorku – powiedział Tarbell Serrinowi Turnerowi, federalnemu prokuratorowi śledczemu Południowego Dystryktu Nowego Jorku. – Poza tym ty tam będziesz.

Nie doszło nawet do dyskusji na ten temat – Tarbell już zdecydował. Żeby jednak nie wkurzyć nikogo w Departamencie, ustalili, że wyślą dwóch innych agentów zajmujących się sprawą.

Drzwi pokoju zamknęły się za Jaredem, który wyszedł na korytarz hotelu Hilton w centrum Waszyngtonu i powoli ruszył w kierunku windy. W głowie wirowały mu myśli; usiłował zdecydować, co powie na spotkaniu dekonfliktacyjnym zorganizowanym przez Departament Sprawiedliwości.

Agenci z zespołu specjalnego w Baltimore zasugerowali mu, żeby nic nie mówił. To dlatego, wyjaśnili, że chodzą słuchy, że na spotkaniu ma być FBI, a „wszyscy wiedzą, jakie są te chujki z FBI”. Jeśli Jared poda nazwisko któregoś z podejrzanych w śledztwie, a w pokoju faktycznie będą ludzie z Biura, zaraz wykorzystają je we własnym dochodzeniu. „To najgorsze źmije na świecie – ostrzegali członkowie zespołu z Baltimore. – Nic tam nie mów”.

Jared nie był jednak pewien, czy to prawda. Może najlepszym sposobem dalszego działania była właśnie współpraca? Ci z Baltimore do niczego się nie nadawali, ale może istnieli jacyś inni agenci, z którymi mógłby połączyć siły. Jego samotna walka zawiodła już go w tym śledztwie daleko, ale zaczynał mieć wątpliwości, czy to wystarczy, aby odnieść sukces.

Kiedy jechał w stronę tajnego waszyngtońskiego budynku, gdzie miało się odbyć spotkanie, wciąż nie potrafił się zdecydować. Nie wiedział, czy

powiedzieć wszystkim o swoich niedawnych aresztowaniach, innych kontaktach na stronie Silk Road, które przejął, oraz o przeszło trzech i pół tysiącach zatrzymanych przesyłek, które zajmowały teraz każdą wolną szczelinę jego biura i piętrzyły się od podłogi po sufit.

Kurwa – myślał. Co ja mam zrobić?

Sala konferencyjna była ogromna, starczyłoby tam miejsca dla ponad trzydziestu pięciu osób. W jednym kącie siedział Gary, przypatrując się gromadzie ludzi, z których większości nigdy wcześniej nie widział. W drugim rogu Jared obserwował ekran na ścianie, który wyświetlał twarze dwóch mężczyzn przebywających w jakimś innym miejscu i patrzących na wszystkich z góry. Z tego ekranu zaś Tarbell spoglądał na morze pracowników rządowych, którzy właśnie zajmowali swoje miejsca. Rany, sporo tych ludzi na spotkaniu – pomyślał. Dobrze wydana państwowa kasa.

– Dobrze, zaczynamy – odezwał się jakiś mężczyzna, kiedy w sali zapanował spokój. – Przedstawmy się po kolei. Ja zacznę. Nazywam się Luke Dembosky, jestem z Departamentu Sprawiedliwości.

W pomieszczeniu natychmiast zapanowała cisza, jakby ktoś gdzieś nacisnął przycisk wyłączenia dźwięku. Luke Dembosky był bardzo, bardzo, bardzo wysoko postawioną osobą w strukturach rządowych. To ktoś, komu lepiej nie przerywać i kogo lepiej nie wkurwiać. Wszyscy o tym wiedzieli.

Dembosky wyjaśnił podstawową zasadę tego spotkania: wszyscy muszą otwarcie i szczerze mówić o tym, na jakim etapie znajduje się u nich śledztwo. Potem Departament Sprawiedliwości zdecyduje, kto dalej poprowadzi sprawę.

– Zaczynamy? – zapytał, patrząc wprost na śledczych z Baltimore.

Wstała kobieta z tamtejszej grupy, przedstawiła się, a potem zaczęła prezentować dowody zebrane przez ostatnie półtora roku przez zespół specjalny Marco Polo. Odczytała kilka w znacznej mierze nieistotnych punktów na temat kilku informatorów, których zatrzymano, i skończyła prawie tak szybko, jak zaczęła.

– A to tajne konto, którym dysponujecie? – zapytał Luke Dembosky, mając na myśli postać przemytnika narkotyków Noba, którą przez ostatnie półtora roku opiekował się Carl Force (co ciekawe, nieobecny na spotkaniu), o czym wiedzieli wszyscy w Departamencie.

– Nie możemy o tym rozmawiać – odparła kobieta. – To 6E.

Ludzie w sali spojrzeli po sobie zszokowani. Każdy funkcjonariusz państwowy orientował się, że kod 6E oznacza element aktualnego postępowania przed wielką ławą przysięgłych, a powołanie się na niego jest sposobem na nieujawnianie szczegółów śledztwa. Ale wyciągnięcie 6E na spotkaniu z Departamentem Sprawiedliwości nie miało sensu.

– Spotykamy się tu właśnie po to, żeby wyłożyć karty na stół – oznajmił Dembosky.

– To 6E – powtórzyła kobieta nerwowo, ale nieustępliwie.

Nie chciała rozmawiać o sprawie nie dlatego, że chroniła kogoś w postępowaniu przed wielką ławą przysięgłych, ale po to, żeby inni ludzie obecni na sali nie skradli efektów pracy zespołu z Baltimore.

W ciągu kilku minut wybuchła kłótnia. Wszyscy zaczęli krzyczeć, prawnicy z DS domagali się informacji na temat baltimorskiego śledztwa, a naburmuszony zespół z Baltimore powtarzał w kółko „6E”. Dembosky stracił cierpliwość i stwierdził, że pora zrobić przerwę.

Kiedy wszyscy wrócili na miejsca, przyszła kolej na Jareda. Był zdenerwowany. Rano wchodził do sali z postanowieniem, że nie powie o śledztwie za dużo z obawy, że FBI wykradnie wszystkie owoce jego pracy, ale właśnie zmienił zdanie. Po katastrofie, której przed chwilą był świadkiem, kiedy Luke Dembosky oświadczył członkom zespołu specjalnego z Baltimore, że ich zachowanie jest „zupełnie nie na miejscu”, Jared postanowił zaryzykować i powiedzieć zebranym wszystko.

Wstał, a potem mówił przez prawie czterdzieści minut. Wyjaśnił, że zatrzymał prawie trzy i pół tysiąca sztuk narkotyków, opisał opracowane przez siebie techniki rozpoznawania nadchodzącej poczty i ustalania, które narkotyki zakupiono na Silk Road, dzięki dopasowywaniu zawartości do zdjęć i lokalizacji na stronie. Opowiedział o aresztowanych i przesłuchanych dilerach, w tym o ludziach z Holandii i innych osobach z terenu całych Stanów Zjednoczonych. Opisał konta sprzedawców na stronie, które przejął, opisał zasady działania witryny oraz zaprezentował wykresy i ilustracje wskazujące, kto jest kim. W końcu zaś opowiedział o niedawno przechwyconym koncie należącym do wysoko postawionego pracownika Silk Road. Jared pokazał, w jaki sposób może dzięki temu być cichym świadkiem spotkań, jakie SPR odbywa ze swoimi podwładnymi.

W trakcie prezentacji Jareda przebywający w Nowym Jorku Tarbell spojrzął na siedzącego obok głównego prokuratora i powiedział:

– Chcę pracować z tym gościem.

Prokurator kiwnął głową, w pełni się z nim zgadzając.

Kiedy Jared skończył, wszyscy byli zachwyceni wykonaną przez niego pracą. Decyzja, by o niej powiedzieć, podziałała na jego korzyść, a w porównaniu z nim agenci z Baltimore robili jeszcze gorsze wrażenie niż czterdzieści minut wcześniej. Ale wielki finał miał się dopiero rozpocząć.

Przyszła kolej na wystąpienie FBI. Tarbell i jego ekipa postanowili wcześniej, że dotychczasowy przebieg śledztwa przedstawi federalny prokurator śledczy z Nowego Jorku. Gdy ten wstał i zaczął mówić, nikt w sali konferencyjnej nie miał pojęcia, co zaraz usłyszy.

– Mamy serwer – oznajmił bez ceregieli Serrin Turner.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Nie padło ani słowo. W Nowym Jorku Tarbell patrzył na ekran uśmiechnięty od ucha do ucha. Po kilku sekundach, kiedy ludzie zrozumieli słowa prokuratora, agenci ze wszystkich stron sali zaczęli pytać, kiedy dostaną do niego dostęp.

– Na razie jeszcze nie wiemy, co mamy – powiedział Serrin. – Najpierw musimy się temu przyjrzeć. – Wyjaśnił, że zdobyli serwer przed zaledwie kilkoma tygodniami i informatycy nadal go odbudowują, aby przeszukać jego zawartość.

Po przedyskutowaniu tej rewelacji Luke Dembosky stwierdził, że spotkanie dobiegło końca, a on będzie się kontaktował z każdym indywidualnie, żeby ustalić dalsze postępowanie. Do tego czasu wszyscy agenci mieli kontynuować dotychczasowe śledztwa.

– Czy ktoś ma coś jeszcze? – zapytał, rozglądając się po sali.

Nikt się nie odezwał. Włącznie z Garym Alfordem z IRS.

– Dobrze, dziękuję wszystkim za przybycie – powiedział Dembosky. – Będziemy w kontakcie w sprawie dalszych kroków.

Na szybie auta Gary'ego pojawiły się pojedyncze krople. Kilka tu, kilka tam. Znikały pod wycieraczkami. Potem było ich coraz więcej. Setki, a może miliony. Wycieraczki latały na boki, ale nic to nie dawało. Absolutnie, kurwa, nic. Wszystkie samochody na autostradzie po prostu się zatrzymały, bo

z powodu ulewy kierowcy nie widzieli nawet na odległość kilkudziesięciu centymetrów. Gary zjechał swoim SUV-em na pobocze.

Wszystkiego, kurde, najlepszego, Gary – pomyślał, wyglądając przez okno i rozmyślając o właśnie zakończonym spotkaniu dekonfliktacyjnym. Spotkaniu, z którego wyszedł przygnębiony.

Kiedy przydzielono mu sprawę Silk Road, widział siebie jako młodego gwiazdora, którego ściągnięto do obalenia internetowego imperium narkotykowego. W trakcie spotkania z Departamentem Sprawiedliwości rozumiał jednak, że gwiazd jest więcej. Cała konstelacja. Jasne, wiedział o zespołach z Chicago i Baltimore, ale nikt nie powiedział mu o FBI. Tym samym FBI, które pracowało kilka przecznic od jego biura. Kiedy Serrin Turner wstał i powiedział „mamy serwer”, Gary poczuł się tak, jakby ktoś walnął go w brzuch. Nikt mu nie mówił, że to nie współpraca, lecz rywalizacja.

Po co więc stracił tyle czasu na lekturę dyskusji na forach (trzykrotną), studiowanie języka Straszego Pirata Roberta (również trzy razy) i poświęcił swoje urodziny – jedyny dzień w roku, kiedy Gary zgasił światła w całym mieście! – na podróż do Waszyngtonu? Dla mnie to koniec – pomyślał, kiedy deszcz walił o szybę. Temat zamknięty. FBI ma serwery, to oczywiste, że znają wszystkich podejrzanych i mają ich nazwiska. Do czego ja im jestem potrzebny?

Kilka minut później, kiedy ulewa minęła i niebo znów było błękitne, Gary wyjechał z powrotem na drogę i ruszył na północ w stronę Nowego Jorku. Postanowił, że od tej pory skupi się na ludziach piorących na stronie pieniądze, tak jak mu to zlecono. Co on sobie w ogóle wyobrażał? Że czarny buchalter z osiedla komunalnego, pracujący w najmniej poważanej komórce dochodzeń kryminalnych w całej administracji państwowej, nic niewiedzący o kodowaniu ani narkotykach, rozbija największy biznes narkotykowy naszych czasów? Pieprzyć to! Przyśpieszył na autostradzie i postanowił, że kończy z poszukiwaniami Straszego Pirata Roberta. Nawet jeśli już go znalazł.

Jared staje się Cirrus

Kiedy Jared Der-Yeghiayan był w pierwszej klasie liceum, jego matematyk codziennie wchodził do sali z kostką Rubika w dłoni. Młody Jared patrzył, jak kolorowy sześcian krąży po sali, a nauczyciel prosił, żeby uczniowie jak najbardziej go pomieszali.

– Jeśli ułożę tę kostkę w ciągu minuty, wszyscy dostaniecie pracę domową – mówił codziennie matematyk. – A jeśli mi się nie uda, to nie.

Oczywiście uczniowie zawsze wracali do domu z trudnym zadaniem z matmy.

Po kilku takich pokazach Jareda zaczęło dręczyć pragnienie odkrycia, jakim cudem nauczycielowi zawsze udaje się rozwiązać łamigłówkę. Pobiegł do sklepu po własną kostkę Rubika, a potem spędził wiele tygodni, ucząc się ją układać. Dzięki ogromnej wytrwałości, a także odrobinie pomocy ze strony nauczyciela, w końcu umiał to samo co on. Przez lata zgromadził dziesiątki kostek, które teraz walały się po całym jego domu i biurze. Wisiały na breloczkach i niespodziewanie wypadały z plecaków. Po dziś dzień Jared nie zetknął się z taką kostką, której nie zdołałby ułożyć w ciągu niecałej minuty.

Sprawa Silk Road okazała się zupełnie innym wyzwaniem i zrozumiał, że nie rozgryzie jej sam. Nie miał jednak pojęcia, z kim mógłby współpracować. Na szczęście po spotkaniu w Waszyngtonie szybko miało się to zmienić. Jego prezentacja, w której przedstawił całą swoją dotychczasową pracę, zrobiła wrażenie na najważniejszych prawnikach w Departamencie Sprawiedliwości, i to do tego stopnia, że agenci FBI z Nowego Jorku oznajmili, że chcą z nim pracować przy poszukiwaniach Straszego Pirata Roberta. (Co samo w sobie było wystarczającym komplementem, bo FBI nie lubi pracować z nikim, kto nie ma w nazwisku „z FBI”).

Jared poleciał do Chicago, wpadł zobaczyć się z żoną i synem i jak zwykle zasnął, oglądając *Antiques Roadshow*. Tylko że teraz, kiedy odpłynął na

kanapie, przy nim leżał zwinięty synek Tyrus. Chłopcu trudno było pogodzić się z nieobecnością taty, ale Jared wytłumaczył mu, że to tylko chwilowe, a wyjazd jest ważny, bo „próbuję złapać pirata, który robi złe rzeczy”. (Słyszając to, Tyrus zaakceptował misję ojca. Bądź co bądź w bajkach piraci to czarne charaktery, więc trzeba ich łapać). Mały poprosił jednak, żeby ojciec codziennie przed snem łączył się z nim przez Skype’a.

– Oczywiście – zgodził się Jared.

Obaj zwinęli się na kanapie i wkrótce zasnęli.

Nazajutrz rano Jared wstał i znowu pojechał do pracy. Kiedy zatrzymał się na parkingu budynku HSI w Chicago, zadzwoniła jego komórka. Na ekranie widniał nowojorski numer.

– Słucham, agent Der-Yeghiayan.

– Cześć, Jared – odezwał się czyjś głos. – Tu Serrin Turner z Biura Okręgowego Prokuratora Federalnego Południowego Dystryktu Nowego Jorku. Jest ze mną Chris Tarbell, szef zespołu śledczego FBI zajmującego się sprawą Silk Road.

Jared natychmiast wyprostował się w fotelu i z szacunkiem przywitał się z mężczyznami.

– Byliśmy pod dużym wrażeniem twojej szczerości na wczorajszym spotkaniu – dodał drugi głos, najwyraźniej należący do Chrisa Tarbella. Potem agent wyjaśnił, że mają mnóstwo materiału dowodowego (użył w odniesieniu do serwera określenia „święty Graal”), ale ponieważ FBI zajmuje się sprawą od niedawna, nie bardzo wiedzą, od czego zacząć.

– Bardzo byśmy chcieli ściągnąć cię tutaj i pracować razem.

Jaredowi było bardzo miło.

– Już lecę! – zażartował. Potem, już poważniej, wyjaśnił, że właśnie kończy nową, ważną część swojego śledztwa i pojawi się w Nowym Jorku w ciągu tygodnia.

Wymienili jeszcze kilka serdecznych uwag, a potem się rozłączyli. Jared siedział w samochodzie i przepełniało go podniecenie. Chłopak bez skończonych studiów, którego parę lat wcześniej nie przyjęli do FBI, teraz został zaproszony – przez agentów uważanych przez wielu za najlepszych we wszystkich organach ścigania – do współpracy przy jednym z najważniejszych śledztw w zakresie cyberprzestępczości naszych czasów. Najpierw jednak musiał się uporać z tą nową, ważną częścią swojego śledztwa, o której

wspomniał Tarbellowi przez telefon. Nie wiedział jeszcze, jak bardzo będzie ważna.

Kilka dni po tej rozmowie Jared pojechał Zbokowozem na lotnisko Chicago O'Hare, tak jak to robił już tysiąc razy. Tym razem nie przyjechał jednak po koperty z narkotykami; odbierał pasażera przybywającego z Teksasu.

– Przepraszam – powtarzał, przeciskając się wśród ludzi z uniesioną odznaką Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

Kiedy dotarł do rękawa, czekała tam na niego młoda, nieśmiała ciemnowłosa kobieta z Teksasu, którą parę tygodni wcześniej trzymał na muszce. Pracowała ochotniczo na stronie Silk Road jako moderatorka. Jaredowi w ciągu kilku tygodni udało się z nią zaprzyjaźnić przez stronę, a potem ją namierzył, mówiąc, że chce jej wysłać pocztą prezent. W rezultacie zapukał do jej drzwi w Teksasie z bronią w ręku (w towarzystwie paru agentów z Baltimore) i postawił ją przed wyborem: albo pójdzie z nim na współpracę, albo będzie miała do czynienia z kimś innym w strukturach rządowych, kto nie będzie już taki miły.

Po tej konfrontacji rozmawiali przez telefon i Teksanka zgodziła się pomóc Jaredowi w przejęciu jej konta na Silk Road. Mniej więcej w tym samym czasie poinformowała, że Straszny Pirat Roberts złożył jej propozycję odpłatnej pracy przy moderacji forów na stronie i pełnienia obowiązków swoistej asystentki wykonującej dla niego proste zadania. Płaciliby jej tysiąc dolarów tygodniowo. Teraz Jared liczył na to, że przejmie tożsamość kobiety i w jej imieniu zaakceptuje zlecenie.

Zawiózł kobietę do hotelu, przez całą drogę przepaszając za bałagan w samochodzie. Wyjaśnił, że rano spotkają się w biurze HSI i wezmą się do pracy.

– Nie zapomnij swojego komputera – zażartował.

Sala konferencyjna w chicagowskiej siedzibie HSI wyglądała równie ponuro jak gabinet Jareda. Nie miała okien, wykładzina była stara i chrzęściła, a wszystkie rośliny zrobiono z plastiku. Kiedy przyszła Teksanka, Jared zaprowadził ją do środka, wręczył duży kubek z kawą, a potem usiedli i zaczęli rozmawiać.

– No dobrze – powiedział, otwierając notes i zdejmując skuwkę z długopisu.

– Musisz mi powiedzieć wszystko: o forach, o swoim porządku dnia. Kiedy się

logujesz? A kiedy wylogowujesz? Ile czasu spędzasz na stronie? Gdzie piszesz? I o czym?

Jared miał się stać nią. I jak zawsze obsesyjnie skrupulatny, chciał mieć pewność, że zna wszystkie szczegóły dotyczące jej konta, o których mogliby wiedzieć inni użytkownicy witryny. Przez kolejne dwa dni nauczył się pisać tak jak ona, używać wielkich liter dla podkreślenia pewnych słów, powtarzać po dwa razy ważne kwestie, a nawet w jej stylu posługiwać się emotkami i uśmieškami.

Kobieta przekazała Jaredowi dziesiątki zrzutów ekranu dokumentujących wcześniejsze czaty z SPR-em i jego trzema zastępcami o pseudonimach SameSameButDifferent, Libertas i Inigo. Jak ostrzegła, wszyscy mają mocną pozycję na stronie i lepiej ich nie wkurwiać.

Jared kupił sobie macbooka identycznego z jej komputerem, a potem przez cały dzień ściągali te same aplikacje, których ona używała do korzystania ze strony, i ustawiali jednakowe awatary (na Silk Road wybrała sobie obrazek Spider-Mana jedzącego taco) oraz tak konfigurowali wersje programów na obu komputerach, aby były nie do odróżnienia. Zmienił pseudonim na ten, który należał do kobiety: Cirrus.

Wreszcie, na koniec dwudniowej nasiadówki, kobieta z Teksasu podała Jaredowi swoje dane do logowania na Silk Road. Kiedy wpisywał nazwę użytkownika i hasło na swoim komputerze, wyznała, że niepokoi się tym, co się stanie, jeśli sprawy źle się potoczą.

– Naprawdę się boję, że SPR mnie znajdzie – powiedziała.

Po darknecie krążyły przecież pogłoski, że bezlitosny Straszny Pirat Roberts niedawno zlecił zabójstwo kilku osób. Teksanka nie chciała, żeby ktoś zapukał do jej drzwi i... Cóż, sama ta myśl ją przerażała. Jared zapewnił, że nie ma się czego obawiać, a gdyby coś się stało, on będzie dostępny dniem i nocą.

– To nie są bezwzględni baronowie narkotykowi – uspokajał ją.

Ze śledztwa Jareda wynikało, że Silk Road to mniej *Ojciec chrzestny*, a bardziej *Władca much*. Czy ci ludzie byli zdolni do okrutnych czynów? Tak, oczywiście. Ale z jednym zastrzeżeniem: w większości tylko z bezpiecznej pozycji za klawiaturą.

– Radzę ci, żebyś na jakiś czas się wyłączyła – powiedział. – Nie korzystaj z mediów społecznościowych. Nie wchodź na stronę. Po prostu się nie wychylaj.

Ludzie załogowani na Silk Road wciąż mieli ją widzieć pod jej pseudonimem Cirrus. Zaledwie garść osób ze służb wiedziała, że tak naprawdę to Jared pod przykrywką.

SPR poprosił Cirrus o skan prawa jazdy, jeśli chciała dla niego pracować, Jared zlecił więc zespołowi tajniaków z HSI przygotowanie fałszywego dokumentu z fotografią pewnej agentki, a potem wysłał jego skan Strasznemu.

„Słuchaj, mogę robić na stronie wszystko, czego potrzebujesz” – oznajmił Jared podczas pierwszej rozmowy z człowiekiem, na którego polował od dwóch lat. „Chcę pomagać”.

W odpowiedzi SPR przesłał listę banalnych zadań do wykonania i kazał Cirrus wziąć się do pracy. Nie było co liczyć na pogaduszki.

Może tę zagadkę da się jednak rozwiązać – pomyślał Jared.

Kiedy odwoził Teksankę z powrotem na O’Hare, energii dodawała mu świadomość, że nie jest już tylko pracownikiem Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, ale także tajniakiem zatrudnionym na stronie Silk Road. Jego szefem nie był zaś jakiś podrzędny sługus, ale najbardziej bezwzględny z piratów.

Julia uratowana! Alleluja!

– Jezus kazał mi się za panią modlić – powiedziała Latynoska, stawiając swój kubek z kawą na stole obok mnóstwa fotografii półnagich kobiet. – Więc się za panią modłę, dokładnie tak, jak mi kazał.

Julia spojrzała na nią i się rozplakała. Ukryła twarz w dłoniach, a po policzkach ciekły jej czarne strugi mascary.

Ktoś, kto nie widział Julii od pewnego czasu, stwierdziłby, że jest o wiele chudsza niż zwykle, jej oczy zaś wypełnia smutek. Przez ostatni rok życie kobiety nie było łatwe. Najpierw depresja i alkohol. Potem pojawił się starszy bogaty mężczyzna, który mógł ją chronić. Lubił chude dziewczyny, więc Julia schudła i nabawiła się zaburzeń odżywiania, żeby zadowolić swojego nowego chłopaka. Później stało się jasne, że jej opiekun ma problem alkoholowy. Nie minęło wiele czasu, zanim w jednym napadów pijackiej furii cisnął ją o ścianę. Wkrótce potem do studia Julii wstąpiła po parę książek pewna latynoska kobieta, a później wyjaśniła, dlaczego naprawdę tu jest.

– Jezus kazał mi się za panią modlić.

Julia płakała.

Nie miała w życiu wygórowanych celów. Nie pragnęła zmienić świata – chciała tylko, żeby zmienił się jej świat. Czy tak trudno znaleźć dobrego mężczyznę, który się z nią ożeni i będzie miał z nią dziecko albo dwoje, da jej domek z białym płotem i co najważniejsze, przy którym będzie mogła patrzeć, jak te dzieci dorastają inaczej niż kiedyś ona? W jej marzeniu tym dobrym mężczyzną był Ross Ulbricht i żyli razem długo i szczęśliwie. Niestety ta bajka nigdy się nie ziściła.

Życzliwa Latynoska, która znała się z Jezusem, zaprosiła Julię do kościoła. Jeszcze tego ranka Julia siedziała w tylnej ławce świątyni i wsłuchiwała się w głosy aniołów. Była tym miejscem oczarowana. Te promienie światła wlewające się przez okna, te odpowiedzi, które wszyscy tu znali. Ławki

kościół były pełne egzemplarze Biblii, a czytający je ludzie śpiewali hymny o Panu. Słuchając słów kaznodziei, dziewczyna poczuła, że może właśnie to jest jej dom z białym płótnem, może to Jezus jest tym dobrym mężczyzną, którego zawsze szukała. Po południu odwołała spotkania z klientkami i wróciła do kościoła.

Tym razem było jednak inaczej. Rano Julia pojawiła się tam smutna i ponura, teraz zaś promieniała. Owego popołudnia ławki były pełne, do świątyni przyszło ponad stu pięćdziesięciu wiernych. Gdy tak stała, słuchając kazania, a ludzie wymachiwali rękami, wykrzykując ku niebu „chwała Panu!” i „Amen! Jezus!”, podeszło do niej kilka osób i zapytało:

– Czy zostałeś ochrzczona?

– Nie – odparła. – Ale czy mogę? Zrobicie to? Ostatnio Jezus kazał się komuś za mnie modlić.

Grupa łagodnie poprowadziła Julię do zbiornika pośrodku kościoła. Owinięto ją w czarną szatę i wszyscy zebrani zaintonowali pieśń.

– Przechodzisz przez śmierć ku życiu!

Potem jednak pojawił się problem. Zbiornik pośrodku kościoła okazał się pęknięty i brakowało wody, żeby go napełnić. Ludzie śpiewali dalej, zastanawiając się, co robić. Ktoś w tłumie zawołał, że nieochrzczonego trzeba zabrać do pobliskiego mieszkania i ochrzcić w wannie. Wierni wylali się przez szerokie drzwi wejściowe i poprowadzili Julię ulicami Austin. Śpiewy się nasilały, aż wreszcie dziewczynę w czarnej szacie wprowadzono do niewielkiego mieszkania.

– W imię Pana Jezusa Chrystusa, będziesz żyć wiecznie! – zawołali jednym głosem, idąc z nią przez ciemny i brudny pokój do jeszcze ciasniejszej łazienki.

Wannę napełniono wodą, a potem Julia przeszła obok dwudziestu paru śpiewających wiernych, którzy ją teraz otaczali, do łazienki dla jednej osoby. Dziewczynę wprowadzono do wanny, a poziom wody nadal się podnosił niczym fala w oceanie.

– W imię Pana Jezusa Chrystusa...

Pchnęli ją do tyłu. Głowa Julii zanurzyła się w wodzie, która otoczyła jej twarz, tłumiąc słowa kazania.

– ...będziesz żyć wiecznie!

Czyjaś dłoń wyciągnęła głowę dziewczyny spod wody. Julia była uratowana. Poczowała ulgę, jakiej nigdy jeszcze nie doświadczyła. Nadzieję na przyszłość

inną od przeszłości. Uniesienie.

A potem, gdy wyszła na dwór i spojrzała w niezmierzone spokojne niebo, zaczęła się zastanawiać, czy jeszcze kiedyś będzie miała okazję zobaczyć Rossa. A jeśli tak, to czy i on ma szansę zostać uratowany?

Fałszywe dowody, część druga

Szary jeep commander jechał wzdłuż California Street w San Francisco, lawirując wśród wielu innych pojazdów. Za kierownicą dużego SUV-a siedział mężczyzna, a drugi, wpatrując się w mapę na smartfonie, instruował tamtego, by skręcał tu w lewo, a tam w prawo.

Było późne popołudnie 26 lipca 2013 roku. Jeep zatrzymał się przed budynkiem przy Piętnastej Alei 2260. Kierowca, Dylan Critten, agent Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, zaparkował, a potem sięgnął po swoją torbę oraz wydruk przedstawiający kalifornijskie prawo jazdy.

Dylan wyglądał tak, jakby urodził się do pracy w organach ścigania. Był barczysty, miał krótką wojskową fryzurę oraz twarz jakby wyciosaną z cegłówki. Wsiadając z SUV-a, spojrzał na dom w stylu hiszpańskim z białą elewacją i brązowym dachem z terakoty.

Dzień wcześniej stary kumpel z Departamentu, agent Ramirez, poprosił go o zbadanie tropu związanego z dziewięcioma fałszywymi dowodami tożsamości, które przechwycili celnicy z centrum pocztowego na międzynarodowym lotnisku San Francisco. Agent Ramirez już prawie położył na tej sprawie krzyżyk, gdy się zorientował, że dwa tygodnie wcześniej pojechał pod zły adres, na Piętnastą Ulicę zamiast Piętnastej Alei.

Teraz przyszła kolej na Dylana. Z partnerem u boku wszedł po schodach frontowych i zajrzał przez szklane drzwi wejściowe w głąb długiego korytarza. W tym właśnie momencie, kiedy uniósł pięść, by zapukać, pojawił się przed nim mężczyzna ubrany jedynie w szorty. Dylan znieruchomiał. Jego dłoń zastygła centymetr od szyby.

Ross Ulbricht również zamarł.

Agent spojrzał na trzymaną w rękę kartkę, a potem na półnagiego mężczyznę w korytarzu. Bez dwóch zdań była to ta sama osoba. Człowiek, którego fotografia widniała na dziewięciu fałszywych dowodach, siedł właśnie

w stronę drzwi, naciskał klamkę i je otwierał. Ross stał teraz na progu bez koszuli, bez butów, w samych tylko brudnych spodenkach khaki, patrzył na nieznanym i zakładał – a wręcz miał nadzieję – że pomylili adresy.

– Dzień dobry, agent Critten – przedstawił się Dylan, po czym spojrzął na partnera. – A to agent Taylor.

Na twarzy Rossa pojawiło się napięcie.

– Jesteśmy z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

Gdy zawisły między nimi te słowa, napięcie ustąpiło miejsca przerażeniu.

– Czy może pan wyjść przed dom, żebyśmy porozmawiali? – zapytał Dylan.

O Boże. To jest to. Koniec.

Ross zrobił kilka kroków za próg. Dylan uniósł zdjęcia fałszywych dowodów tak, aby było je widać.

– Przyszliśmy porozmawiać z panem o tych podrobionych dokumentach, które miały zostać tu dostarczone – oznajmił i patrzył, jak Ross robi się biały z trwogi.

To jest to. Kurka!

Dylan czekał na odpowiedź mężczyzny, on jednak tylko patrzył struchłąy. Wyraźnie drżały mu ręce. Agenci widzieli, jak bardzo się boi, szybko zaczęli więc mówić jeden przez drugiego i odgrywać dobrych gliniarzy, żeby go uspokoić – ostatnie, czego im było trzeba, to osoba niezdolna do współpracy.

– Nie przyszliśmy pana aresztować za posiadanie fałszywych dokumentów. Chcemy tylko o nich porozmawiać – mówili dalej i zapewniali, że przyszli wyłącznie pogadać.

Rossowi wreszcie przestały trząść się ręce, a twarz zaczęła odzyskiwać barwę.

– Więc mnie nie aresztujecie? – wymamrotał drżącym głosem.

– Nie, nie – odpowiedzieli agenci. – Ale musimy zobaczyć pański prawdziwy dowód, żeby przekonać się, kim pan jest.

Ross się wahał, ale wiedząc, że nie bardzo ma wybór, poszedł do sypialni, skąd przyniósł swój prawdziwy teksański dokument.

– Więc nie przyjechaliście mnie aresztować? – powtórzył.

– Nie – potwierdził Dylan, przyglądając się prawu jazdy z nazwiskiem Rossa Ulbrichta. – Chcemy tylko porozmawiać o tych dokumentach i upewnić się, że jest pan tym, za kogo się podaje, i że nie jest pan ścigany. – Wyjaśnił również,

że ich zadaniem jako agentów jest szukanie ludzi produkujących fałszywe dowody tożsamości, a niekoniecznie tych, którzy je kupują.

Słyszając to, Ross zrozumiał, że jego najgorsze lęki są tylko w jego głowie. Ci agenci zupełnie nie wiedzieli, kogo mają przed sobą. Kiedy to sobie uświadomił, nabrał pewności siebie.

– Rozumiem, że nie chce pan potwierdzić, że zamówił pan te dokumenty, bo mogłoby to pana obciążyć – powiedział Dylan, dając Rossowi możliwość odpowiedzi na dalsze pytania. – Więc hipotetycznie, gdybym potrzebował takich dokumentów, gdzie mógłbym je dostać? Proszę mówić czysto hipotetycznie.

– Czysto hipotetycznie?

– Tak, absolutnie.

Wszyscy trzej mężczyźni stojący tego dnia na schodkach nie mieli wątpliwości, że Ross jest z nich najinteligentniejszy. Jego odpowiedź dowiodła również jego największej buty.

– Więc hipotetycznie – zaczął Ulbricht – każdy może za pośrednictwem sieci Tor wejść na stronę o nazwie Silk Road i kupić tam, co tylko chce. – Na chwilę zawiesił głos, po czym dodał: – Włącznie z bronią, narkotykami i fałszywymi dokumentami.

Agenci spojrzeli po sobie i się skrzywili. Obaj nie mieli pojęcia, co to takiego jest Silk Road.

Ross, który jeszcze kilka minut temu był gotów paść przed nimi na kolana, zaczął się z nimi bawić. Jego odpowiedzi stały się bezczelne. Wówczas jednak agenci nie zdawali sobie z tego sprawy; wydawało im się, że wyjawiając te informacje, człowiek stojący przed nimi bez butów i koszuli wyświadcza państwu przysługę. A może ten Teksasńczyk zgodziłby się nawet zostać ich informatorem? Dylan już na wczesnym etapie kariery przekonał się, że aby podczas śledztwa przeciągnąć kogoś na swoją stronę, trzeba z nim nawiązać relację i ją pielęgnować.

– Jak możemy pozostać z panem w kontakcie? – zapytał.

– No cóż, nie mam komórki – odpowiedział Ross.

– A mejla?

– Jasne.

Dylan wręczył mu długopis i kartkę, na której Ross napisał: fractalform@tormail.org. Miał nadzieję, że rozmowa na tym się skończy, ale

agenci mieli do niego jeszcze jedno pytanie.

– Zanim pójdziemy... – zaczął Dylan. – Uważamy, że jest pan mądrym, inteligentnym facetem, ale to osobliwe, że zamówił pan dziewięć dokumentów. Zwykli ludzie, nawet przestępcy, nie zamawiają dziewięciu podrabianych praw jazdy. To wszystko wydaje nam się bardzo dziwne.

Ross milczał.

– Dlatego musimy porozmawiać z pana współlokatorami i sąsiadami...

– Żeby się upewnić, że nie ma tu żadnych trupów – wtrącił partner Dylana, przerywając towarzyszowi.

Ulbricht znowu się skrzywił, strach powrócił.

– No, z tym będzie pewien problem.

– Dlaczego?

– Bo współlokatorzy znają mnie jako Josha. – Ross szybko rozwiązał podejrzenia związane z tym faktem, wyjaśniając agentom, że ceni sobie prywatność. Mową ciała dawał zaś do zrozumienia, że chce, żeby sobie poszli.

To, że Ross posługiwał się imieniem Josh, samo w sobie nie wydało się Dylanowi alarmujące. W Dolinie Krzemowej spotkał mnóstwo ludzi, którzy wznawali „filozofię libertariańską”, a ich upodobanie do prywatności ocierało się o paranoję. Wciąż jednak miał nadzieję, że ten człowiek zostanie jego wtyczką. Licząc na namierzenie twórcy fałszywych dowodów, agenci zebrali niezbędne informacje na temat współlokatorów Rossa.

– Wszystkiego dobrego – rzucił Dylan na pożegnanie, a potem się odwrócił i wraz z partnerem zeszli po schodach.

Gdy dotarli do podjazdu, Ross zamknął za nimi drzwi. Agenci wsiedli do jeepa i sprawdzili nazwisko Rossa Ulbrichta w bazie Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Nie było żadnych wyników.

– Bystry gość – powiedział Dylan do towarzysza, kiedy odjeżdżali. – Z tą stroną Silk Road jest coś na rzeczy. Powinniśmy to sprawdzić.

W domu przy Piętnastej Alei Ross pędził korytarzem do swojej sypialni. Wiedział, że musi coś zrobić, zanim agenci zorientują się, że adres, który im podał, jest fałszywy, albo zadzwonią do Andrew Forda, człowieka, od którego wynajmował pokój, i powiedzą mu, że jego najemca Josh naprawdę nazywa się Ross, kupuje w internecie nielegalne dokumenty na stronie handlującej narkotykami, bronią, narzędziami hakerskimi i fałszywymi dowodami, a potem zamawia te dokumenty pocztą na Piętnastą Aleję 2260 na jego nazwisko.

Naprzód, na Federal Plaza

Z okna pokoju hotelowego Jared widział dwa olbrzymie kwadratowe odciski w ziemi w miejscu, gdzie kiedyś wznosiły się dwie wieże. Teraz te dziury były otoczone dźwigami i placem budowy, jednak zaledwie dekadę wcześniej straciło tam życie dwa tysiące sześciuset sześciu ludzi.

Kiedy patrzył na krajobraz w dole, milion myśli chodziło mu po głowie. Odtwarzał moment, kiedy samoloty uderzyły w wieże. Wybuchy, ogień, ludzie, którzy nie mieli innego wyjścia niż skakać z okien na pewną śmierć. Myślał o strażakach i policjantach, którzy wdrapali się do środka, żeby ratować, kogo się dało. A potem wszyscy obrócili się w proch, właśnie tam, u stóp miejsca, w którym teraz Jared kontemplował cały ten koszmar. Myślał o rodzinach, które tego dnia straciły matki, ojców, synów i córki. Łzy napłynęły mu do oczu. Sięgnął po telefon, by nawiązać połączenie wideo ze swoim synkiem Tyrusem, powiedzieć mu, że go kocha, i podzielić się nowymi wiadomościami na temat polowania na złego pirata.

Posłał całusa z pokoju hotelowego w Nowym Jorku do sypialni syna w Chicago, a potem się rozłączył. Przyszła pora, aby wrócić przed laptopa, do potajemnej pracy dla SPR-a. Miał nadzieję, że uda mu się powstrzymać atak na Amerykę – nie taki przypuszczony przy użyciu boeingów 747 wbijających się w budynki z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę, ale powolny, wywołany za pośrednictwem strony internetowej stworzonej w celu obalenia demokracji w kraju.

Jared prawie codziennie bał się, że agenci Al-Kaidy mogą legalnie wjechać do Stanów bez żadnej broni, a potem wystarczy parę bitcoinów i przeglądarka Tor, żeby nabyli tu cały arsenał bomb, karabinów czy trucizny. Na bardziej osobistej płaszczyźnie myślał o swoim synu, martwił się, że jakiś nastolatek będzie mógł kupić na tej stronie broń i urządzić masakrę w jakimś przedszkolu

w Chicago. Zamierzał zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby nie dopuścić do żadnej z tych potworności.

Nazajutrz rano, po długiej nocy spędzonej na wykonywaniu dla SPR-a zadań administracyjnych na stronie, Jared ruszył Church Street, a potem Broadwayem, by w końcu dotrzeć pod Federal Plaza 26 i stanąć przed olbrzymim czarnym budynkiem, w którym mieściła się siedziba Cyberwydziału FBI.

Był początek sierpnia 2013 roku. Der-Yeghiayan przyjechał do Nowego Jorku, żeby pracować z Chrisem Tarbellem, przeczesywać serwery i spróbować wykorzystać swoją wiedzę oraz przejęte na Silk Road konto, żeby ustalić szczegóły dotyczące tożsamości SPR-a.

Tarbell przywitał Jareda w holu i pomógł mu wnieść laptopa i telefon do biura FBI. W normalnych okolicznościach policja FBI (strzegąca budynku) nikomu nie pozwalała wносить żadnych urządzeń – nawet agentom innych służb rządowych – z obawy, że do sieci FBI mógłby trafić wirus albo inny program szpiegowski. Tarbell podkreślił jednak, że Jared nie jest pierwszym lepszym agentem – pracuje pod przykrywką i potrzebuje stałego dostępu do swojego komputera. Policja FBI uległa.

Przez ostatnie kilka tygodni Jared musiał przebywać w sieci niemal stale, żeby wcielać się w rolę kobiety, której tożsamość przejął. Był zmuszony zabierać komputer na wyjścia z rodziną, imprezy urodzinowe, a nawet na cotygodniowe zajęcia pływackie syna. (Rodzice pozostałych dzieci, nie wiedząc, dlaczego Jared cały czas siedzi z nosem w komputerze, podczas gdy Tyrus pokonuje kolejne baseny, nie byli pod wrażeniem).

Na dwudziestym drugim piętrze Jareda pokrótce oprowadzono po Cyberwydziale, a potem Tarbell poprowadził go obok Jamy i wrócił do laboratorium 1A.

– Z komputerem możesz się rozstawić tutaj – powiedział, wskazując stół pośrodku pomieszczenia, przy którym agenci często jedli lunch. – A tam jest maszyna z zainstalowanym serwerem Silk Road.

Rozpakowując swoją torbę z gadżetami, Jared zwrócił uwagę na przyklejoną do ściany dwuipółmetrową płachtę brązowego papieru. Na samej górze ktoś czarnym markerem napisał „silk road”. Papier pokrywały adresy IP wraz z opisami znaczenia poszczególnych ciągów cyfr. Jeden odpowiadał serwerowi komunikatora, którym posługiwali się użytkownicy witryny Silk Road, inny serwerowi przechowującemu setki milionów dolarów w bitcoinach, jeszcze

inny, noszący nazwę „Mastermind”, był przypisany do administratora strony. Tarbell wyjaśnił, że to wszystkie informacje, jakie udało się uzyskać z serwerów. (Żeby z niego zadrwić, obok wykresu inni agenci uczestniczący w śledztwie dodali parodystyczny schemat ze zdjęciami wszystkich bohaterów *Narzeczonej dla księcia*, w tym księżniczki Buttercup, Westleya i księcia Humperdincka, które łączyły absurdalne strzałki).

Studiując wykres dotyczący Silk Road, Jared zauważył nazwę kawiarni Momi Toby's w San Francisco. Gdy zapytał, dlaczego się tam znalazła, Tarbell wyjaśnił, że zawartość jednego ze znalezionych serwerów wymazano. Wyczyszczono go z dowodów niczym miejsce zbrodni zdezynfekowane wybielaczem. Wylogowując się z serwera, osoba, która dokonała tej czystki, przypadkiem jednak pozostawiła maleńką wskazówkę: adres IP miejsca, z którego się z nim łączyła. Innymi słowy, Straszny Pirat Roberts co prawda wyszorował miejsce zbrodni, ale gdy wychodził, zostawił na frontowych drzwiach skrawek odcisku palca.

Ten cyfrowy odcisk zaprowadził agentów FBI do niewielkiej kawiarni w stylu bistro przy Laguna Street w San Francisco, noszącej nazwę Momi Toby's. Kimkolwiek był Straszny Pirat Roberts, albo mieszkał w San Francisco, albo spędził tam trochę czasu. Ale to już wszystko. Jedna marna wskazówka być może określająca położenie SPR-a.

– Niewiele mogę z tym zrobić – powiedział Jaredowi Tarbell. – No bo co? Wyślę agenta FBI do kawiarni w San Francisco i każę szukać kogoś z laptopem?

Na wszelki wypadek jednak monitorowali ruch internetowy pochodzący z tamtej kafejki w poszukiwaniu innych poszlak.

Kiedy już Jared poznał wszystkich i padł ofiarą kilku pytań Tarbella z cyklu „czy wolałbyś”, usiadł do komputera będącego offline'ową repliką strony Silk Road i zaczął przeszukiwać jego zawartość. Zobaczył zapisy czatów, w których SPR płaci Hells Angels za morderstwa, oraz rozmowy szefa strony z Carlem (jako Nobem), o dziwo zaszyfrowane i niemożliwe do odczytania.

– Dziwne – powiedział do Tarbella. – Myślisz, że Carl Force próbuje utrudnić nasze śledztwo?

– Nie mam pojęcia, ale coś tu śmierdzi.

Mieli jednak ważniejsze powody do zmartwień niż nadąsany i być może zbuntowany agent DEA z Baltimore. Następne kilka dni Jared spędził z ekipą

FBI w laboratorium 1A, penetrując serwer i słuchając niesłabnącego potoku żartów Tarbella, wieczorami zaś przenosił się kilka przecznic dalej do Whiskey Tavern, gdzie poznał smak soku z ogórków i taniej whisky. Gdy dobiegały one końca i pozostali wracali do domów, on człapał z powrotem do swojego hotelu z widokiem na świętą ziemię World Trade Center i zmieniał się w Cirrus, moderatorkę forum, by pracować przy administrowaniu stroną Silk Road.

Minęło parę dni, a kolejnego agent Tarbell powiedział:

– Później wpadnie jakiś facet z IRS... Gary Alford albo coś takiego... Chce zerknąć na serwer.

– W porządku – odparł Jared, a potem znowu spojrzął na ekran komputera i jako Cirrus kontynuował rozmowę ze Straszny Piratem Robertsem.

Po kilku godzinach Tarbell wszedł do laboratorium w towarzystwie Afroamerykanina.

– Jared, to Gary Alford z IRS – oznajmił. – Gary, to agent Der-Yeghiayan z HSI z Chicago.

Jared podniósł głowę i zmierzył wzrokiem barczystą sylwetkę przybysza. Właśnie miał się przywitać, kiedy Gary spojrzął na niego zdezorientowany i zły.

– Dlaczego on mógł tu wniesić urządzenie, a ja musiałem zostawić swoje na dole? – zapytał.

Tarbell nie miał ochoty tłumaczyć, że Jared pracuje na swoim komputerze pod przykrywką, więc odparł po prostu:

– Różne reguły dla różnych osób.

Gary’emu nie spodobała się ta odpowiedź i sprawiał wrażenie jeszcze bardziej wkurzonego niż przed kilkoma sekundami.

Potem Jared zobaczył, że przybysz zerka na wiszącą na ścianie brązową płachtę z napisem „silk road” u góry. Przyglądał się dopisanym w rogu żartobliwym odniesieniom do *Narzeczonej dla księcia* i rozrzuconym wszędzie adresom IP. Teraz wydawał się jeszcze bardziej poirytowany, jakby trwała tu impreza, na którą nie został zaproszony.

Tarbell przedstawił Gary’emu Thoma Kiernana, eksperta od informatyki śledczej, który obiecał pomóc mu w przekopaniu się przez serwer Silk Road. Później Tarbell usiadł przy stole pośrodku sali, nie widząc – a może nie przejmując się tym – że Gary jest przygnębiony niewłączeniem go do śledztwa.

Agent IRS w ponurym nastroju wziął się do pracy. Szukał ludzi piorących pieniądze i bitcoiny w serwisie Silk Road, stale jednak zerkał na Jareda

i Tarbella oraz na płachtę brązowego papieru. Wreszcie znowu się odezwał. On także zauważył pod jednym z adresów IP podpis „kawiarnia Momi Toby’s” przy Laguna Street w San Francisco i zapytał, co to takiego.

Tarbell, wpatrzony w swój komputer, wyjaśnił, że to jedno z miejsc, z których Straszny Pirat Roberts logował się na serwer. Jedyna wskazówka dotycząca jego lokalizacji.

– Hm – mruknął Gary. – Mam jednego gościa z San Francisco.

– Tak? – odparł nonszalancko Tarbell. – Musisz nam dać jego dane.

Ta odpowiedź najwyraźniej też się Gary’emu nie spodobała. Jared śledził tę rozmowę i trochę mu było żal wyraźnie zdenerwowanego agenta IRS. Zarazem jednak wiedział, co myśli Tarbell, ponieważ sam myślał to samo: gość z San Francisco nic nie znaczył. W tym czy innym momencie o bycie Straszny Piratem Robertsem podejrzewali dwadzieścia parę osób z różnych części kraju, z czego połowa znajdowała się właśnie w rejonie zatoki San Francisco.

Po takiej ripocie Gary znowu skoncentrował się na serwerze, a Tarbella i Jareda ignorował przez resztę popołudnia. Kilka godzin później wstał i wyszedł. Właśnie wtedy uznał, że wyraźnie jest to śledztwo Tarbella, w którym dla niego nie ma miejsca. Biorąc pod uwagę górę dowodów, które zobaczył na serwerze, płachtę brązowego papieru z mnóstwem adresów IP oraz tajne konto Jareda, stwierdził, że ewidentnie nie ma powodu, aby przesłał agentom FBI nazwisko tego gościa z San Francisco.

Julia przyjeżdża do San Francisco

Drzwi pociągu się rozsunęły, Julia wyszła na peron i znalazła się w innym świecie. Nie była pewna, czy to właściwa stacja, dopóki nie zobaczyła tablicy z napisem GLEN PARK. Ruszyła do wyjścia, ciągnąc za sobą dużą walizkę na kółkach.

Kiedy stanęła w słońcu San Francisco, zobaczyła go czekającego na ulicy. Włosy miał tak samo rozczochrane jak wtedy, gdy się poznali, ale wyglądał teraz trochę inaczej. Był starszy? Mądrzejszy? Twardszy? Nie wiedziała, co to takiego, ale coś się zmieniło. Mimo wszystko nie potrafiła się opanować. Podbiegła do Rossa, a on przytulił ją mocno, aż wydała z siebie głośne „aaach!”. Potem się cofnęła, zmierzyła go wzrokiem i parsknęła:

– Serio?! – Zaczęła chichotać. – Masz na sobie te same džinsy, które kupiłam ci pięć lat temu!

Ross zerknął w dół, uśmiechnął się i sięgnął po jej walizkę.

– Musimy szybko wracać do mnie – powiedział, kiedy żwawym tempem szli Diamond Street, mijając salony manicure i kawiarnie. – Odbieram dzisiaj nowe meble. – Wyjaśnił, że właśnie parę dni temu przeprowadził się do nowego mieszkania i...

Przerwała mu:

– Niech zgadnę. Mieszkałeś bez mebli, tak? – Nie czekając na odpowiedź, wbiła mu szpilę, na którą mało kto mógł sobie pozwolić: – Ale z ciebie sknera.

Po drodze Julię dosłownie rozsadzało podniecenie czekającym ją weekendem. Ross był lekko zdenerwowany, ale słuchał jej pytań dotyczących San Francisco. Julia była przekonana, że jest zachwycony mieszkaniem tutaj.

– Nie jestem pewien, czy przeprowadzka do San Francisco to był najlepszy pomysł – poskarżył się, ale nie rozwinął tej myśli.

Po kilku przecznicach dotarli do obitego deską szalunkową trzykondygnacyjnego domu, w którym mieszkał. Wspięli się na górne piętro,

a potem on oprowadził ją po mieszkaniu. Później przez pół godziny Julia patrzyła, jak Ross i jego współlokator znoszą do sypialni starą komodę, biurko i ramę łóżka – wszystkie meble, które parę godzin wcześniej kupił od kogoś na ulicy. Kiedy przeprowadzka dobiegła końca, podziękował współlokatorowi, zamknął drzwi i kochał się z Julią na nowym łóżku.

Potem leżeli obok siebie. Ross wydawał się jej odległy, ale uznała, że po prostu jest zmęczony albo odnowienie dawnej relacji wprawiło go w nostalgię.

– Jestem głodna – powiedziała, gdy już wstała i się ubrała.

– Sushi? – zaproponował.

– Brzmi świetnie.

Poszli do restauracji, krzykliwie urządzonego lokalu z neonowymi szyldami i azjatycką figurką kota z podniesioną łapą w oknie, i usiedli przy małym stoliku. Julia zamówiła talerz sushi, a kiedy jedli, Ross opowiedział jej historię, której dotąd nie słyszała. W dzieciństwie jeździł z rodziną na ryby. Po całym dniu łowienia jadł ich tyle, że bolał go brzuch. Jak mówił, nie mógł się jednak powstrzymać; jadł, jadł i jadł, bo takie były dobre.

Julia się roześmiała. Potem (co typowe) mówiła głównie ona, a on słuchał. Opowiedziała o swoim życiu przez ostatni rok. O kwitjącym biznesie buduarowym i o tym, że niedawno przestała pić.

– Tak bardzo spoważniałaś – stwierdził Ross. – Jesteś znacznie dojrzała.

– No cóż – odparła, przełykając kawałek sushi. – To dlatego, że zostałam uratowana.

Ross dokładnie wiedział, co Julia ma na myśli. Rozmawiali o religii, kiedy byli na studiach. Wtedy powiedział jej, że też został uratowany, gdy był młodszy, ale już dawno oddalił się od wiary. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, aż w końcu Julia się odezwała:

– Mogę cię o coś poprosić?

– Oczywiście.

– Pójdiesz ze mną w niedzielę do kościoła?

– Tak – zgodził się. – Chętnie.

Wtedy zaproponowała, żeby wrócili do domu i trochę odpoczęli. Potem, jak za dawnych czasów, znowu się kochali i zasnęli objęci. Ross tulił Julię przy dźwiękach San Francisco. Nazajutrz rano wstali, wzięli prysznic i zaczęli dzień. Przeszli obok dworca, na który przyjechała Julia, a potem usiedli w nędznym barze na rogu skrzyżowania.

Dziewczyna patrzyła przez okno, czekając, aż podadzą śniadanie. Wyglądało na to, że znajdują się w dzielnicy robotniczej, niewielkiej enklawie na skraju miasta kryjącej irlandzki pub i mnóstwo rodzin z klasy średniej. Wśród przechodniów zmierzających do pracy albo pobliskiej kawiarni zauważyła jednak gości z firm komputerowych w koszulkach z logo Google'a i bluzach z kapturem; najwyraźniej szykowała się tu gentryfikacja.

– To co dzisiaj robimy? – zapytała Julia, sącząc głównianą przypaloną kawę.

– Mam trochę pracy – odparł Ross – więc może pochodź sobie po sklepach i spotkamy się później?

– Dobra. Zrobię jakieś zakupy.

Po śniadaniu wręczył jej klucze i ruszył piechotą w kierunku Monterey Boulevard, w stronę swojego mieszkania. Julia poszła w przeciwną, ku Mission District.

Zamierzała krążyć po mieście przez cały rano, może kupić parę sukienek albo seksowną bieliznę, ale źle się ubrała, bo w San Francisco panował chłód. Ilekroć opuszczała jakiś sklep, omiatał ją lodowaty wiatr, który pchał ją w kierunku, z którego przyszła. Po godzinie miała dość. Zawróciła, rezygnując z zakupów.

Był późny rano, kiedy wróciła do mieszkania, włożyła do zamka klucz otrzymany od Rossa, przekręciła go i powoli otworzyła drzwi. Swobodnie weszła po schodach, rozcierając dłonie, żeby się ogrzać, a potem skręciła do sypialni. Gdy tam weszła, zobaczyła go stojącego przy biurku przed otwartym laptopem. Był odwrócony plecami. Od razu ujrzała coś, co sprawiło, że cofnęła się do czasów, które spędzili razem w Austin: na ekranie widniało kilkanaście czarno-białych okien, niektóre z zapisami czatów, inne z kodem, a także strona internetowa z logo w formie małego zielonego wielbłąda w rogu. W ułamku sekundy zrozumiała, co robi Ross.

– Cześć – powiedziała zza jego pleców.

Zaskoczony szybko nacisnął klawisz na laptopie, który sprawił, że ekran zrobił się czarny. Potem się odwrócił.

– Co robisz? – zapytała.

– Nic – odparł zdenerwowany. – Pracuję.

Przez chwilę stali w milczeniu. Wiedziała. I on wiedział, że ona wie. Ross wcale nie porzucił strony, tak jak kiedyś zapewniał. Wciąż był w pełni zaangażowany w projekt Silk Road.

Julia zrozumiała, że ma dwie możliwości: zostać i zaakceptować go takiego, jaki jest, albo odwrócić się i wyjść. Ale może było jeszcze trzecie rozwiązanie.

Jestem bogiem

– Jak wyglądam? – zapytała Julia i obróciła się w żółtej sukience w kwiaty.

– Bosko. Ty zawsze wyglądasz bosko.

Wsunęła trampki i kazała Rossowi się pośpieszyć.

– Spóźnimy się do kościoła – powiedziała.

– Zdążymy – zapewnił.

Był niedzielny poranek. Kiedy szli do autobusu, Julia zastanawiała się, czy powinna napomknąć o Silk Road. Przyjeżdżając do San Francisco, sądziła, że skończył ze stroną – zapewniał ją o tym wielokrotnie. Jednak przez te kilka godzin spędzonych razem zauważyła mnóstwo drobiazgów potwierdzających jej przypuszczenia. Nerwowość Rossa, zwłaszcza gdy znajdował się w pobliżu komputera, sposób, w jaki odpowiadał na pytania o pracę, a w końcu to, że przyłapała go z otwartym laptopem. Jasne, wciąż żył jak nędzarz, wynajmował tani pokój na obrzeżach miasta, wypełniony meblami, które kupił na ulicy, i ciągle nosił te same ciuchy co na studiach. Ale to był Ross. Jego skąpstwo o niczym nie świadczyło i niczemu nie przeczyło.

Gdy jechali autobusem do kościoła, wyjaśniła chłopakowi, że członkowie zgromadzenia, do którego zmiierzają, wierzą, że każdy może rozmawiać z Bogiem. Dlatego Biblii nie czyta jeden pastor; wszyscy kolejno odczytują po fragmencie przez dwie minuty, aż rozlega się dźwięk pianina i na ambone wchodzi ktoś inny.

– Trochę to sekciarskie – zażartowała – ale naprawdę piękne.

Kościół bardziej przypominał biurowiec z lat osiemdziesiątych należący do podejrzanej agencji szpiegowskiej niż Dom Boży. Miał dwie kondygnacje i pomalowano go na dziwny żółtawozielony kolor. Z każdej strony budynku celowały w dół dziesiątki białych kamer monitoringu. Jedyłą oznaką, że to miejsce kultu, były czarne litery u góry: MIEJSCE SPOTKAŃ KOŚCIOŁA W SAN FRANCISCO.

Kiedy wpadli do środka, nabożeństwo już się zaczęło. Julia posadziła Rossa w drewnianej ławce na tyłach pomieszczenia. Usiedli, a parafianie, w większości Azjaci, wyśpiewywali modlitwy. W dużej sali rozlegały się okrzyki „o Panie!” i „Alleluja!”. Wiernych niemal od razu poproszono o powstanie.

– Będziemy czytać z Drzewa Życia – oznajmił pierwszy z parafian, po czym rozpoczął lekturę fragmentu Biblii, w którym Adam i Ewa zostają oszukani przez węża.

Każdy w kościele słyszał wcześniej tę historię, Rossa uczono o niej w dzieciństwie, podobnie jak Julię. Bóg pouczył Adama i Ewę, żeby nie jedli owoców z drzewa pośrodku ogrodu, bo jeśli to zrobią, umrą. Wąż przybył jednak z inną wiadomością.

– „A wąż był chytrzejszy niż wszystkie dzikie zwierzęta, które uczynił Pan Bóg”^[4] – odczytał na głos parafianin. – „Rzekł wąż do kobiety: Na pewno nie umrzecie, lecz Bóg wie, że gdy tylko zjecie z niego, otworzą się wam oczy i będziecie jak Bóg, znający dobro i zło”^[5].

Brzęknęło pianino i na ambonę wszedł kolejny parafianin.

– O Panie!

– Alleluja!

Historia ciągnęła się dalej – historia dobra i zła – a Julia zrozumiała, że wcale nie musi poruszać z Rossem tematu Silk Road. Wierzyła, że odczytywany właśnie fragment Pisma nie jest przeznaczony dla dziesiątek parafian, którzy już teraz chwala Pana, ani nawet dla niej – to wiadomość od Boga, który przemawia wprost do Rossa. Chwyciła go za rękę. Wysłuchali reszty opowieści, w której Bóg tłumaczył konsekwencje czynu Adama.

– „Byleby tylko nie wyciągnął teraz ręki swej i nie zerwał owocu także z drzewa życia, i nie zjadł, a potem żył na wieki!”^[6].

Po sali poniosł się kolejny brzęk pianina.

– O Panie!

Po zakończeniu nabożeństwa Ross i Julia wyszli na dwór, by zaczekać na autobus.

– I jak? – zapytała. – Podobały ci się nasze czytania?

– Tak. Rozumiem morał. Rozumiem, że dla niektórych to bardzo ważne. Naprawdę to pojmuję, ale ja po prostu nie potrzebuję takich rzeczy.

– No to skąd wiesz, co jest dobre, a co złe?

– Myślę o tym – odparł, a potem na chwilę zamilkł. – Myślę o tym sam.

W oddali Julia ujrzała nadjeżdżający autobus. Znowu spojrzała na Rossa i spróbowała go przycisnąć:

– Ale skąd wiesz, co jest dobre, a co złe, bez żadnego punktu odniesienia? Mnie Jezus pomaga decydować, czy w życiu dobrze postępuję.

– Uważam, że człowiek sam sobie jest Bogiem i umie samodzielnie decydować, co jest dobre, a co złe. Jako człowiek decyduję sam.

Słyszając to, Julia zrozumiała, że Ross widzi siebie jako własną gwiazdę przewodnią i na inną nie ma miejsca. W jego oczach sam był sobie Bogiem.

Gdy autobus przyjechał, wsiedli w milczeniu. Dziewczynie było smutno, że Ross odrzucił Pismo, ale chciała cieszyć się tym dniem i resztą weekendu, więc postanowiła się rozchmurzyć. Wyjęła aparat i zaczęli sobie robić selfie, żeby uwiecznić ten moment, którego Julia miała nigdy nie zapomnieć. Zdecydowali się wysiąść przy pobliskim parku, a potem ruszyli pieszo w kierunku mostu Golden Gate. Na skraju klifu widniała tabliczka ZAKAZ WSTĘPU.

– Chodź – powiedział Ross.

Przedostali się na drugą stronę płotu. Julia chichotała z podniecenia. Podała mu aparat, Ross spojrzał w wizjer i zaczął robić serię zdjęć, jedno po drugim. Kiedy naciskał spust, ona zsunęła z ramion żółtą sukienkę, która już wkrótce leżała na trawie. Ross upuścił aparat i po chwili uprawiali seks na skraju klifu.

Gdy tego wieczoru wrócili do domu, uczucie między nimi było odmienione. Julia pragnęła tylko usłyszeć, że Ross skończył z dawnym życiem i jest gotów być z nią, on jednak wyraźnie miał inny plan. Tamtej nocy, gdy leżeli razem w łóżku, po raz ostatni spróbowała sprawić, aby zmienił zdanie.

– Czy kiedykolwiek rozważyłbyś ślub? – zapytała.

Roześmiał się.

– Nie widzieliśmy się bardzo długo. Ponad rok.

– I co z tego? Wcześniej znacznie dłużej byliśmy razem.

– Nie, nie jestem gotowy. Mam jeszcze wiele do zrobienia.

Julia dokładnie wiedziała, co Ross ma na myśli, i rozumiała, że nie może go przed tym powstrzymać. Będzie jadł, jadł i jadł.

Zazwyczaj Ross tulił Julię. Teraz jednak odwrócił się i w zamyśleniu patrzył w ścianę, więc to ona przytuliła się do niego, trzymała go mocno i bezgłośnie płakała.

Rano spakowała swoje rzeczy, a Ross pomógł jej zanieść bagaże na pociąg. Stali w miejscu, w którym przywitali się na początku weekendu. Pocałował ją wśród zimnej mgły.

- Kocham cię – powiedziała.
- Ja ciebie też.
- Przyjedziesz do mnie do Austin?
- Może w przyszłym miesiącu.

Pocałowali się raz jeszcze, a potem odwrócili się i odeszli w przeciwnych kierunkach. Julia obejrzała się na Rossa i znów się rozpląkała. On stał przez chwilę i patrzył za nią. W końcu się uśmiechnął, włożył ręce do kieszeni, żeby ochronić je przed chłodem, i żwawym krokiem odszedł Diamond Street, z powrotem na Jedwabny Szlak.

Rozmowa przez telefon

Gary w milczeniu siedział w swoim boksie i z narastającą frustracją słuchał toczącej się w pobliżu rozmowy. Rozmowy, która przeniosła go do tamtego pamiętnego poranka sprzed dokładnie dwunastu lat bez jednego dnia. Poranka, w którym zmienił się świat.

Był wtedy studentem Baruch College i widział ratowników pędzących ku wieżom. Później, kiedy szedł przez most do domu na Brooklynie, World Trade Center runęło za jego plecami, grzebiąc dwa tysiące sześciuset sześciu zabitych.

Kilka dni po atakach, kiedy do ludzi na dobre dotarło, co spotkało Nowy Jork – co spotkało całą Amerykę – Gary zaczął zapamiętywać nazwiska i twarze części z tych, którzy zginęli. Co rano w drodze na uczelnię mijają budynek o nazwie Armory przy Lexington Avenue, pokryty ulotkami poświęconymi tysiącom osób zaginionych w chmurze pyłu. Wkrótce stało się jasne, że nikt z tych ludzi, bezradnie patrzących na niego ze zdjęć, nie wróci już do domu do swoich najbliższych.

Dla Gary'ego, tak jak dla wszystkich nowojorczyków, opowiedane przez innych wspomnienia z tamtego dnia były wręcz namacalne. Żadne jednak nie wydawało się tak autentyczne jak rozmowa tocząca się w jego obecności ponad dekadę później – 10 września 2013 roku – między dwoma mężczyznami z zespołu specjalnego, którzy siedzieli obok niego w sąsiednich boksach. Owego straszego dnia ci dwaj pobiegli do wież, a potem przez całe tygodnie przekopywali się przez pył i gruzy w poszukiwaniu ocalałych, lecz znajdowali głównie śmierć.

– Idziesz jutro na badanie? – rzucił jeden z nich, detektyw nowojorskiej policji, w stronę innego funkcjonariusza z wydziału policji w Clarkstown.

Rozmawiali o swoich kłopotach z oddychaniem i innych dolegliwościach, które utrzymywały się mimo upływu dwunastu lat. Opowiadali o innych znajomych ratownikach, którzy poważnie zachorowali albo nawet zmarli.

Słuchając ich, Gary był coraz bardziej wściekły z powodu tego, co terroryści chcieli zrobić Ameryce w 2001 roku, a co Straszny Pirat Roberts robił teraz, na jego oczach, w roku 2013.

Gary przeczytał (trzy razy) wszystko, co napisał SPR. Widział, jak szef Silk Road oznajmia legionowi swoich zwolenników, że czas rządu dobiega końca, że państwo jest wrogiem, że ludzie powinni darzyć absolutną pogardą władze federalne, a więc również każdego, kto w tej chwili siedział z Garym w jednej sali. Tych samych ludzi, którzy jedenastego września pobiegli do World Trade Center, a w wyniku swych bohaterских czynów jutro musieli się zgłosić na badania do szpitala.

Myśli się nawarstwiały i w końcu Gary miał dość. Obrócił się na krześle, spojrzał wprost na innego detektywa uczestniczącego w śledztwie i oznajmił z rozdrażnieniem w głosie:

- Sądzę, że mam rację, wiesz? Myślę, że to on.
- O czym ty mówisz?
- To on. Ross Ulbricht.
- Naprawdę myślisz, że znajdziesz go przez Google'a?

Gary już dawno przypuszczał, że Ross Ulbricht może mieć związek z serwisem Silk Road, i wspominał o tym współpracownikom wiele miesięcy wcześniej, ale ten trop zaprowadził ich donikąd. Nie można było wszcząć przeciw komuś postępowania tylko dlatego, że napisał o Silk Road w internecie. Kiedy jednak Gary zobaczył na ścianie w biurze FBI adres IP kawiarni w San Francisco, mieście, w którym najwyraźniej mieszkał Ross Ulbricht, agent nabrał przekonania, że jest on przynajmniej zaangażowany w tę sprawę, nawet jeśli to nie sam Straszny Pirat Roberts.

– Tak! – odparł, wymachując rękami. Zaczął mówić coraz głośniej: – Mam rację. Powiadam ci, mam rację. – Po kilku minutach ponownego wyluszczenia faktów wstał i oświadczył, że jeszcze raz przejrzy wszystko od samego początku.

Tak jak wcześniej trzy razy przeczytał każdego mejla, każdy wpis na blogu, artykuł informacyjny i post na forum, tak teraz zamierzał trzykrotnie przeanalizować całe swoje śledztwo. Sądził, że może coś mu umknęło. Oddalił się od swojego boksu i udał za winkiel do kobiety z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

– Chcę, żebyś przepuściła przez system nazwisko Rossa Ulbrichta – powiedział, siadając nieopodal na wolnym krześle. Poprosił ją o sprawdzenie tych samych informacji na temat Rossa co kilka miesięcy wcześniej. Nie podejrzewał, że znajdzie coś nowego. Chciał się tylko przekonać, czy nie przegapił jakiegoś szczegółu. Śladu DNA, mandatu za parkowanie, czegokolwiek.

Po minucie na ekranie pojawiły się dane. W pierwszej kolejności kobieta sprawdziła rejestr podróży i odnotowała, że Ross był na Dominice. Gary już o tym wiedział i wydało mu się to podejrzane, bo przestępcy często ukrywają pieniądze na Karaibach. Agentka dalej przeglądała akta Rossa, aż nagle się zatrzymała.

– Wiesz, że ten gość jest notowany? – zapytała.

– Co? – zdziwił się Gary.

– Tak, mam notatkę sprzed paru tygodni.

Gary był w szoku. Przecież on chciał tylko trzy razy odhaczyć wszystkie elementy śledztwa, na wszelki wypadek.

– Mam ci przeczytać? – spytała kobieta.

– Tak!

Zacząła czytać na głos: Urząd Celny i Ochrony Granic przechwycił fałszywe dokumenty tożsamości, a niejaki Dylan Critten z DHS odwiedził Rossa Ulbrichta w jego domu przy Piętnastej Alei w San Francisco. Jego współlokatorzy zeznali, że przedstawiał się jako Josh, a nie Ross, za pokój płacił zaś gotówką. Agentka przerwała, zerknęła na Gary'ego i zapytała:

– Mam czytać dalej? Czy to jest pomocne?

Gary zmarszczył czoło. To, co słyszał, było niewiarygodne.

– Tak! – wypalił. – Czytaj! Czytaj!

Odwróciła się z powrotem do komputera i wróciła do lektury. Adres przy Piętnastej Alei nie był jedyny. Ross najwyraźniej mieszkał także przy Hickory Street w centrum San Francisco. Potem zaczęła odczytywać raport Dylana. „Ulbricht co do zasady odmawiał odpowiedzi na wszystkie pytania związane z zakupem tych czy innych podrobionych dokumentów”. Potem, jakby to był jakiś kawał, przeczytała następujące zdanie: „Powiedział jednak, że hipotetycznie każdy może wejść na stronę o nazwie »Silk Road« przy użyciu przeglądarki Tor i kupić tam dowolne narkotyki albo dokumenty”.

Gary'emu zaczęło walić serce. Zbyt wiele tego było, żeby w grę wchodził zbieg okoliczności. Natychmiast popędził do gabinetu przełożonego i wpadł tam nabuzowany adrenaliną.

– To on! – ryknął. – To on!

Szef kazał mu się uspokoić, a potem wysłuchał wyjaśnień, dlaczego Ross Ulbricht jest Straszny Pirat Robertsem – bardziej przekonujących niż wcześniej, choć jego zdaniem i tak wiele szczegółów nadal nie miało sensu. Mimo wszystko polecił Gary'emu odetchnąć głęboko, a potem zadzwonić do Biura Okręgowego Prokuratora Federalnego i przekazać te wieści.

Kiedy Serrin Turner odebrał telefon, nie spodziewał się usłyszeć w słuchawce podnieconego agenta IRS.

– Powoli – powiedział, bo Gary natychmiast rozpoczął tyradę. – O którym facecie pan mówi?

– O facecie, który moim zdaniem prowadzi stronę.

– Co z nim?

Gary rozpoczął zagmatwaną przemowę, w której wyłożył wszystko, począwszy od wyników wyszukiwania w Google'u aż po podróż na Dominikę – o każdej z tych rzeczy wspominał Serrinowi już kilka tygodni wcześniej, omawiając również innych potencjalnych podejrzanych, teraz jednak dodał szczegóły z raportu DHS, zwracając uwagę na sprawę podrabianych dokumentów, fałszywe imię Josh i wzmiankę na temat strony Silk Road.

Przedstawione przez Gary'ego dowody nie do końca przekonywały Serrina, ale wystarczyły, by go zaintrygować.

– I ten facet mieszka w San Francisco? Pod jakim adresem?

Kiedy Gary odczytywał adres z raportu DHS, Serrin zaczął wpisywać go do Google Maps. Na ekranie przemknęły całe Stany Zjednoczone, pojawił się poszarpany półwysep San Francisco, a potem obraz zbliżył się do Hickory Street, położonej pośrodku długiego i szerokiego na jedenaście kilometrów miasta. Gary nadal coś mówił. Serrin kliknął adres na mapie, po czym wpisał jedyny szczegół powiązany z serwisem Silk Road, jakim dysponowali: nazwę kafejki Momi Toby's przy Laguna Street.

– Ja pierdołę! – krzyknął. – To jest tuż obok tej kawiarni, z której mamy adres IP.

Gary oparł się na krześle, a Serrin pochylił się w swoim.

Dla Turnera nie miało sensu, że za stworzenie imperium narkotykowego, które według służb było teraz warte miliardy dolarów, odpowiadał chłopak bez doświadczenia programistycznego, którego konto na Facebooku składało się głównie ze zdjęć z biwaków pod namiotem, kitesurfingu z przyjaciółmi z przedmieścia i fotek w objęciach matki. Jeszcze bardziej absurdalne wydawało się to, że ten facet miałby z zimną krwią zlecić zabójstwo kilku osób. Nie. To się po prostu nie trzymało kupy. Zarazem jednak nie mogło być przypadkiem, że Ulbricht mieszkał zaledwie przecznicę od Momi Toby's, jako pierwszy w internecie napisał o stronie Silk Road i przyłapano go na kupnie dziewięciu fałszywych dowodów.

– Napiszę mejla do Jareda i Tarbella – powiedział Serrin. – Chcę, żebyśmy odbyli telekonferencję.

Gabinet w Dirksen Federal Building, w którym siedział Jared, był dość spartański. Żadnych komputerów ani książek, tylko solidne dębowe biurko i telefon, po który Jared właśnie teraz sięgał.

Zerknął do mejla, który przyszedł od Serrina kilka minut wcześniej, i zaczął wybierać numer, aby połączyć się z uczestnikami telekonferencji. Kiedy w słuchawce odezwał się sygnał, wyczerpany Jared zgarbił się w fotelu i pustym wzrokiem spojrzął przez okno na panoramę Chicago.

Tarbell wszedł do swojego domu w Nowym Jorku, przywitał się z żoną Sabriną i dziećmi, a potem powiedział, że musi skoczyć na krótką telekonferencję. Udał się do sypialni i przystąpił do wieczornego rytuału: zrzucił eleganckie buty i ściągnął garnitur, żeby przebrać się w poplamione spodenki Adidasa oraz T-shirt. Później z hukiem runął na łóżko twarzą w dół. Był tak wyczerpany, że mógłby teraz zamknąć oczy i przespać cały miesiąc. Zamiast tego jednak westchnął głośno i sięgnął po urządzenia w torbie.

Niczym krupier w kasynie rozkładający talię kart położył przed sobą laptopa, iPada i telefon. Potem wybrał numer podany w mejlu od Serrina i tępo wbił wzrok w tablet leżący między dwoma pozostałymi urządzeniami. Na ekranie znajdowała się mapa niedawno przysłana przez Serrina.

– Gary.

– Serrin.

– Tarbell.

- Jared.
- Jesteśmy wszyscy?
- Tak.

Serrin odezwał się jako pierwszy. Streścił Jaredowi i Tarbellowi rozmowę z Garym, którą zakończył przed kilkoma minutami. Następnie poprosił tego ostatniego, żeby opowiedział, co odkrył.

Gary zaczął mówić pośpiesznie, z napięciem w głosie. Poinformował o wynikach wyszukiwania w Google'u oraz o tym, że pierwszą internetową wzmiankę o Silk Road zamieściła pod koniec stycznia 2011 roku na forum Shroomery osoba o pseudonimie Altoid.

Tarbell i Jared dość nonszalancko podeszli do prezentowanych przez Gary'ego dowodów. Może Altoid to po prostu jeden z pierwszych użytkowników strony. W tak rozległym śledztwie bardzo łatwo o zbieg okoliczności. Przecież pojawiło się ich już wiele i dotyczyły dziesiątek ludzi. Agencje spekulowały, że szefem Silk Road może być dyrektor giełdy bitcoinów, inżynier Google'a, a nawet profesor amerykańskiego uniwersytetu. Inni sądzili, że to jakiś diler z biednego śródmieścia albo członek meksykańskiego kartelu, który zaczął współpracować z programistami. Niektórzy typowali nawet rosyjskich hakerów albo chińskich cyberprzestępców. A tu nagle Gary Alford insynuował, że bezwzględny, szydarczy i bogaty Straszny Pirat Roberts to dwudziestodziewięcioletni chłopak z Austin w Teksasie, który nie ma doświadczenia programistycznego i wynajmuje mieszkanie w San Francisco za tysiąc dwieście dolarów miesięcznie.

Jared tego nie kupował. Tarbell też nie. Serrin zaś wiedział, że jeśli oni nie są przekonani, to on tym bardziej. Przecież to właśnie Jared spędzał z SPR-em najwięcej czasu, bo od miesiący pracował dla niego pod przykrywką i dużo czatowali przez sieć. Ponadto agent miał cały gabinet pełen fałszywych dowodów tożsamości, które ludzie – jak sami przyznali – kupili na stronie Silk Road, a oni z całą pewnością nie byli SPR-em.

Gary mówił jednak dalej:

- A później znalazłem wątek na forum Stack Overflow, gdzie pewien użytkownik o nazwisku Ross Ulbricht prosi o pomoc programistyczną w związku z Torem, wiecie? Potem, minutę po zadaniu tego pytania, zmienił nazwę użytkownika z Ross Ulbricht na Frosty i...

- Coś ty powiedział? – przerwał mu Tarbell, siadając na łóżku.

Gary'ego zbiło to z tropu, ale udzielił odpowiedzi.

– Stack Overflow. To taka strona, na której można umieszczać pytania programistyczne...

– Nie, nie to – odparł Tarbell agresywniejszym tonem. – Co powiedziałeś potem?

Gary wyjaśnił, że Ross Ulbricht założył konto na Stack Overflow z prawdziwym adresem mejlowym jako nazwą użytkownika, ale minutę po zadaniu pytania zmienił pseudonim na Frosty.

Jared i Serrin słuchali uważnie, nie bardzo wiedząc, co to wszystko znaczy.

– Frosty? – powtórzył Tarbell. Teraz wydawał się podniecony. – Jesteś pewien? – Potem niecierpliwie przeliterował: – F-R-O-S-T-Y?

– Tak! Frosty! – potwierdził Gary poirytowany niegrzecznym zachowaniem agenta. – A później zmienił adres mejlowy na frosty@frosty.com. O co chodzi? Dlaczego tak się dopytujesz?

Chris wziął głęboki oddech.

– Dlatego, że kiedy dostaliśmy serwer z Islandii – mężczyzna odetchnął ponownie – to zarówno on, jak i komputer należący do Straszego Pirata Roberta nosiły nazwę Frosty.

Na linii zapadła absolutna cisza. Słyszeć było tylko szum powietrza, gdy czterej mężczyźni siedzieli i rozważali wszystko, co właśnie usłyszeli.

Wreszcie ktoś przerwał milczenie.

– No – powiedział Serrin. – To ciekawe.

Kiedy ochłonęli, Jared wyszukał Rossa Ulbrichta w internecie i trafił na jego kanał na YouTube, gdzie wśród kilkunastu filmików na temat libertarianizmu zobaczył nazwę, jaką nosiło jego konto: OhYeaRoss. To było właśnie to słowo, którego SPR cały czas używał w czatach z Cirrus: *yea*. Bez „h” na końcu, po prostu *yea*.

Impreza pożegnalna

Plaża była upiornie ciemna i cicha. Na parkingu zatrzymał się biały pikap. W powietrzu wisiały żółte plamki światła z ulicznych latarni rozpaczliwie usiłujące się przebić przez mgłę San Francisco. Fale rytmicznie rozbijały się o piasek. Wysiadając z auta, Ross mocno zapiął grubą czarną kurtkę, by nie zmarznąć. Powietrze było słone i mokre. Spojrzał na ciemny horyzont i chociaż nie widział zbyt wiele, była to plaża i była piękna.

Gdyby tylko czas mógł się wtedy zatrzymać, następne kilka godzin trwałoby wiecznie. Ale to niemożliwe. Prawa czasu, tak jak grawitacji, są nieubłagane. A Rossowi czas się kończył. Mimo to San Francisco było gotowe dać mu na pożegnanie coś wyjątkowego. Noc hulanki. Za nim w ciemności ktoś z przyjaciół krzyknął:

– Rozpalmy ognisko!

Zaczęli wyładowywać zawartość platformy pikapa, którą wcześniej Ross pomógł wypełnić, i to z nadstatkiem, kłodami i kawałkami drewna podwieszonymi z parku Glen Canyon kilka przecznic od jego domu.

Wśród grupki ludzi był nowy współlokator Rossa Alex. Byli także René i Selena oraz inni przyjaciele z Austin, w sumie kilkanaście osób. Rozpalono ogień, który wkrótce zaczął buchać. Ktoś otworzył szampana. I piwo. W ruch poszedł džoint. Ross chwycił swój bęben djembe, walił dłońmi w obciążony skórą instrument w kształcie kielicha, a głośne dudnienie niosło się w powietrzu.

Te dźwięki przypominały mu czasy studiów, kiedy na Penn State zapisał się do NOMMO. Gdyby nie klub bębniarski, może nigdy nie poznałby Julii w burej piwnicy uczelni. Gdyby nie klub libertariański, może nigdy nie zostałby tym, kim był teraz.

Od tamtej pory przepłynął miliony mil i pomógł milionom ludzi po drodze. Ross z tamtych czasów był zagubionym idealistą; dzisiejszy Ross zmienił świat.

Ówczesny Ross miał kilkaset dolarów; majątek obecnego szedł w setki milionów. Tamten gość czytał pisma wpływowych libertarian pokroju Rothbarda, Misesa i Blocka; teraz jednak Ross Ulbricht był ghostwriterem najbardziej wpływowego libertarianina wszech czasów: Straszego Pirata Robertsa.

A może te wszystkie słowa pisał sam Ross. Pod wieloma względami nie dało się już obu rozdzielić. Uroczy Ross wciąż gdzieś tam był. Kiedy niedawno zauważył na drzewie torebkę foliową, wspiął się wysoko po gałęziach, żeby uratować park od tego niebezpiecznego śmiecia. Dobroć serca wiązała się jednak z konsekwencjami. „Od stóp do głów mam wysypkę po trującym dębie – napisał kilka dni później w mejlu do Julii. – Szkoda, że cię tu nie ma, żeby mnie pocieszyć :(”.

Na lekarstwo nie musiał jednak długo czekać, bo wkrótce znowu miał się z nią zobaczyć. Kupił bilet na lot do Austin, zamierzał wyjechać za kilka tygodni. Kończył z San Francisco. Jaki miał wybór? To miasto wiedziało za dużo. Zamierzał najpierw wybrać się do Austin, a potem znaleźć sobie inną kryjówkę. Pewnie coś bardzo odległego, skąd będzie mógł doprowadzić swoją wizję do końca. Może to wszystko okaże się nowym początkiem.

Strona przynosiła tyle pieniędzy, że nie wiedział, co z nimi robić. Na pendrive'ach rozsianych po mieszkaniu miał dziesiątki milionów dolarów. Kłopoty, choć coraz liczniejsze, stały się dla niego po prostu codziennymi przeszkodami w życiu zawodowym. Kiedy pisał w swoim dzienniku, że pożyczył dilerowi pół miliona lub kazał Variety Jonesowi wysłać któregoś z żołnierzy, by ten uporał się z kolejnym problemem, albo notował, że zapłacił hakerom czy informatorom po sto tysięcy dolarów na głowę, nazywał to po prostu kolejnym dniem w biurze. Morderstwa, wymuszenia, odwety i ataki były teraz częścią zwykłej pracy. Jasne, czasem stresującej, ale w swym alternatywnym wszechświecie Ross był królem.

Kiedy na plaży huczał ogień, w oddali zaczął się pokaz olbrzymich fajerwerków, które wybuchały niczym magiczny barwny deszcz. Bum! Bum! Bum! Dudnienie bębna mieszało się z eksplozjami na niebie, a płonące iskierki osypywały się do oceanu.

Okolo północy do grupy dołączyło dwóch nowych przybyszów, ale nie takich, jakich Ross chciałby widzieć: dwóch policjantów zapytało, co tu się dzieje. Nie szukali jednak jego. Uprzejmie poinformowali, że pora zgasić ogień,

bo plaża zaraz zostanie zamknięta. Jeszcze przed chwilą w niebo gwałtownie buchały czerwone skry, a teraz uczestnicy imprezy zasypywali węgle piaskiem. Wkrótce na plażę powrócił mrok.

Gromada przyjaciół zebrała rzeczy i wróciła na parking, kierując się w stronę białego pikapa. Kiedy Ross znowu włożył czarną kurtkę i obejrzał się w ciemność, nie miał pojęcia, że patrzy na niego zespół tajnych agentów FBI, którzy od dwóch tygodni obserwują każdy jego krok.

CZĘŚĆ V

Różowy zachód słońca

Różowy. Taki właśnie był. Rozległy, różowy i nieskończony.

Cudownie surrealistyczny różowy zachód słońca, który przykrywał od góry San Francisco. Jared nie mógł oderwać od niego wzroku. Kiedy patrzył przez okno samolotu, przypomniał sobie, jak mało znaczący czuje się czasem każdy człowiek, ponieważ brnie przez życie, wykonując rutynową pracę, i myśli, że właściwie się nie liczy – choć z innej perspektywy może się przekonać, że liczymy się wszyscy.

Gdy samolot przechylił się na lewe skrzydło, szykując się do lądowania, Jared wyjął smartfona i zrobił zdjęcie, żeby uwiecznić tę chwilę – pochwycić wspomnienie różowego nieba, zanim on, Jared Der-Yeghiayan, pomoże pojmać Straszego Pirata Roberta. To znaczy: o ile rzeczywiście uda im się go złapać. Według Tarbella pojawił się problem i Jared musiał czym prędzej dotrzeć do hotelu, by omówić to z miejscowym zespołem FBI.

Niemal w tej samej sekundzie, gdy koła samolotu United Airlines zapiszczały na płycie lotniska, Jared sięgnął po laptopa i przeniósł ruter, żeby zalogować się na Silk Road. Nie chciał ryzykować, że SPR spróbuje skontaktować się z Cirrus, kiedy on będzie w powietrzu, więc na czas podróży do San Francisco kazał agentowi z Chicago zastępować go pod fałszywą tożsamością. Manewr był skomplikowany, ale po wylądowaniu okazało się, że na szczęście pozostał niezauważony.

Jeśli chodzi o potwierdzenie, że Ross Ulbricht to naprawdę SPR, tajne konto okazało się o wiele przydatniejsze, niż Jared mógł sobie wyobrazić. Mieć podejrzanego to jedno, ale zebrać wystarczająco dużo dowodów, żeby go skazać, to zupełnie inna sprawa.

Wkrótce po rozmowie telefonicznej Gary'ego, Tarbella, Jareda i Serrina FBI wyznaczyło agentów, którzy mieli potajemnie śledzić Rossa, gdy chodził na spacer do parku, oglądał się przez ramię na randce z dziewczyną w restauracji

w Mission District albo wychodził napić się z przyjaciółmi. Konto Jareda stało się jednak bezcenne wtedy, gdy Ross nie robił żadnej z tych rzeczy.

Ilekczo Jared widział, że Straszny Pirat Roberts loguje się na Silk Road, powiadamiał o tym lokalny tajny zespół FBI, który potwierdzał, że w tej właśnie chwili Ross również otworzył laptopa. Później, gdy SPR się wylogowywał, tajniacy informowali, że także Ross zamknął komputer. Jared stale musiał zatem przebywać online, jako że było to niezbędne dla śledztwa.

Wysiadł z samolotu na lotnisku w San Francisco z laptopem w jednej ręce, a bagażami w drugiej i kompletnie wyczerpany ruszył do hotelu. Od czasu rozmowy telefonicznej przed trzema tygodniami spał po parę godzin dziennie i nic nie zapowiadało, by wkrótce miało się to zmienić.

Zameldował się w hotelu i umówił się z Tarbellem w holu, w restauracji serwującej steki, żeby omówić logistykę na najbliższe kilka dni. Tarbell przedstawił mu rosłego byłego żołnierza marines o imieniu Brophy, który ponoć był zajebistym agentem specjalnym FBI z Nowego Jorku i przyjechał do San Francisco, by pomóc w aresztowaniu. Był tam również Thom, informatyk z nowojorskiego biura, którego Jared poznał już wcześniej. Thom miał jedno zadanie: zadbać o to, żeby Ross się nie wylogował i nie wyłączył komputera, jeśli zatrzymają go z rękami na klawiaturze. Z tą częścią operacji wiązał się jednak problem. Kiedy zamówili piwo, Tarbell wyjaśnił, że za aresztowanie będzie odpowiadał lokalny zespół FBI z San Francisco, jako że przestępca przebywał na ich terenie (to standardowa procedura FBI). Miejscowi agenci chcieli wpaść do domu Rossa Ulbrichta z oddziałem antyterrorystów.

– O kurwa.

– No właśnie.

Tarbell już raz popełnił ten błąd podczas nalotu na LulzSec i wiedział, że mogą aresztować Rossa Ulbrichta nawet tysiąc razy, ale jeśli nie przyłapią go z rękami na klawiaturze, pewnie nigdy nie udowodnią, że zatrzymali Straszego Pirata Roberta. Wystarczył widok agenta albo odgłos kroków, żeby Ross dotknął klawiatury i zaszyfrował wszystkie dowody. Jasne, mogli go powiązać ze stroną dzięki logowaniu z Momi Toby's i obserwacji prowadzonej przez federalnych i Jareda. Dobry prawnik potrafiłby jednak udowodnić, że to zbieg okoliczności.

– Co teraz zrobimy? – zapytał Jared.

– Pojadę jutro do tutejszej siedziby FBI i spróbuję wybić im z głowy antyterrorystów – odpowiedział Tarbell.

– Myślisz, że się uda?

– Musi.

Tarbell wiedział jednak, że łatwo nie będzie. Jak potwierdzały raporty FBI, Straszny Pirat Roberts był niebezpieczny. Z materiałów wyciągniętych z serwerów przez Tarbella wraz z zespołem wynikało, że SPR miał na koncie zlecenie morderstwa – i to kilku osób – oraz dysponował powiązaniem z Hells Angels i innymi płatnymi zabójcami. Równie dobrze mógł się nie poddać bez walki. Może nawet walczyć do ostatniej kropli krwi. Jeśli tak, to centrala FBI nie zamierzała ryzykować utraty choćby jednego agenta. Na dodatek dyrektor Biura powiadomił o akcji Biały Dom, co oznaczało, że o tym, czy operacja zakończyła się sukcesem, dowie się sam prezydent Stanów Zjednoczonych.

Nagle wtrącił się ten burkliwy agent Brophy:

– Powinienem był go capnąć dzisiaj.

– Jak to? – zapytał Jared.

Brophy wyjaśnił, że tego dnia zespół tajniaków poszedł za Rossem do pobliskiej kawiarni, gdzie ten przez kilka godzin siedział przy komputerze. Brophy wszedł do lokalu i usiadł obok, ale choć był dostatecznie krzepki, by zatrzymać go na miejscu, nie było gwarancji, że Ross jest akurat zalogowany na Silk Road. Mogłoby się okazać, że aresztowaliby go po prostu przy sprawdzaniu poczty. Gdyby Jared nie leciał akurat samolotem, sprawdziłby, czy SPR jest aktywny na stronie, a jeśli tak, toby go dorwali. Nie mogli jednak ryzykować, więc Brophy odpuścił.

– Chrzanisz!

– Nie.

– No cóż – westchnął Jared, patrząc do komputera. – Teraz jest zalogowany.
– Potem spytał: – To co robimy?

– Nie wiem. Przekonajmy się, co jutro powie ASAC – odpowiedział Tarbell, mając na myśli zastępcę głównodowodzącego agenta specjalnego. Przełknął łyk piwa, jak przełyka się ostrygę, a wtedy przypomniało mu się coś, czym zapomniał podzielić się z Jaredem. – Kurwa, nie uwierzysz, kto do mnie zadzwonił przed odlotem!

– Kto? – zapytał Jared i ugryzł kęs burgera.

– Carl Force! Nalegał, że chce zobaczyć serwer. Był uparty, zachowywał się jak kompletny dupek. Powiedziałem, że jak chce, to może się z tym zgłosić do mojego ASAC-a.

– Jacy ci goście z Baltimore są nieprofesjonalni, ja pierdołę. – Jared pokręcił głową. – Mówię ci, z tym Carlem jest coś nie tak. Coś mi w nim nie pasuje.

Przez następne czterdzieści pięć minut agenci dzielili się historiami o nieprofesjonalnym zachowaniu Carla i zespołu z Baltimore podczas dochodzenia, a Brophy i Thom słuchali zszokowani. Żaden jednak nie miał jeszcze pojęcia o skali tego braku profesjonalizmu.

– Muszę iść popracować dla SPR-a – powiedział Jared, a potem wstał i ruszył do wyjścia z restauracji. Dobrze wiedział, że przed nim długa noc.

Tarbella również czekało trudne zadanie. Nazajutrz musiał się wybrać do miejscowego biura FBI i jakimś cudem przekonać tamtejszych agentów, żeby nie wparowali do domu Rossa Ulbrichta z brygadą antyterrorystów.

Carla Sophia

Carl przeczytał mejla od szefa zespołu specjalnego Baltimore. Wiadomość brzmiała: „Baltimore ma wstrzymać aktywność związaną z SR przez 1 tydzień w oczekiwaniu na wynik operacji FBI z Nowego Jorku”. Wkrótce przyszły bardziej stanowcze wskazówki: „Chwilowo najważniejsze jest to, żeby nie zrobić nic, co mogłoby w jakikolwiek sposób zakłócić aresztowanie SPR-a oraz zebranie dowodów podczas aresztowania i przeszukania. Z tego względu należy zaniechać wszelkich działań śledczych, w tym logowania się na Silk Road i tamtejsze fora oraz wszelkiej tajnej łączności”.

Niedobrze – pomyślał Carl. Bardzo, bardzo niedobrze.

Z Nowego Jorku przez Waszyngton do bladofioletowego boksu Carla w Baltimore dotarły już pogłoski, że być może agenci FBI i jakichś innych służb znaleźli Straszego Pirata Roberts'a. Teraz to się potwierdziło. To była najgorsza wiadomość, jaką Carl mógł sobie wyobrazić. Stanowiła problem nie tylko dla SPR-a, ale i dla samego agenta oraz jego tajnych internetowych alter ego, dostarczających informacji człowiekowi, na którego powinien polować.

Do tej pory plan Carla działał bezbłędnie. Za dnia komunikował się ze Straszonym jako Nob i te rozmowy były rejestrowane w raportach ze śledztwa DEA. Następnie przysyłał Nickowi i innym agentom z zespołu specjalnego Marco Polo bardzo dokładne i szczegółowe raporty. Dobra robota. Brawo, Carl! Kiedy jednak nadchodziła noc, logował się do komputera jako agent rządowy Kevin i potajemnie wysyłał SPR-owi wiadomości, które nie były nigdzie zapisywane i uwzględniane w raportach.

Gdy te dwa światy się przecinały i Straszny Pirat Roberts (nieświadom tego, co działo się po drugiej stronie) rozmawiał o płatnościach za informacje, Carl karmił go i przypominał: „Użyj PGP!”, czyli bardzo bezpiecznego systemu szyfrującego. W przypadku kilku takich potknięć SPR-a Carl udawał w codziennych raportach, że wystąpił jakiś błąd techniczny. „UWAGA

AGENTA: Agent specjalny Force nie zdołał zarejestrować kilku nagrań wideo powyższych wiadomości z powodu problemów na stronie SR”.

Wszystko działało doskonale, dopóki kłamstwa nie zaczęły się nawarstwiać, a Carlowi zaczęło się mylić, kim powinien być i kiedy. Zamiast zwolnić albo wręcz przestać przekraczać granicę, postanowił przesunąć ją jeszcze dalej. Tworzył kolejne fałszywe konta i mnożył machinacje, żeby zdobyć jeszcze więcej pieniędzy.

Zanim przyszedł mejl z poleceniem wstrzymania działań, Carl postanowił powołać do życia kolejne internetowe alter ego – całkiem nową postać o pseudonimie Francuska Pokojówka. W jej imieniu wysłał SPR-owi następną wiadomość z propozycją sprzedaży kolejnych informacji na temat przebiegu śledztwa. „Zdobyłam ważną informację, którą musisz poznać asap. Podaj mi swój klucz publiczny PGP”. To był moment, w którym kłamstwa Carla stały się zbyt skomplikowane, żeby za nimi nadążyć, i zaczęło mu się mieszać w głowie wszystko, co pisał. W rezultacie miał popełnić nieodwracalny błąd. Wiadomość Francuskiej Pokojówki do SPR-a przez pomyłkę podpisał własnym imieniem: Carl.

Chwilę później, gdy zorientował się, co zrobił, szybko wysłał do Straszego kolejną wiadomość: „Ups! Sorry za to. Nazywam się Carla Sophia i mam na targowisku masę chłopaków i dziewczyn. SPR chętnie usłyszcy, co mam do powiedzenia;) Buziaki!”.

Na jego szczęście Straszny Pirat Roberts miał kompletnie gdzieś, kim jest Carl czy Carla. Interesowały go tylko te informacje na sprzedaż i chętnie przekazał Francuskiej Pokojówce ponad sto tysięcy dolarów w zamian za wiadomości, które mogły mu pomóc uniknąć nakrycia przez FBI.

Carl myślał, że mu się upiekło, ale w połowie września 2013 roku usłyszał, że federalni namierzili SPR-a. Wkrótce potem przyszedł mejl od szefów z poleceniem wstrzymania działań. Carl wpadł w panikę. Jeśli FBI dopadnie Straszego przy komputerze, może się tam znajdować więcej zapisów rozmów z zakłamanym agentem DEA.

Jako Nob napisał do SPR-a: „Mój informator (Kevin) jest przekonany, że zostaniesz zidentyfikowany i złapany. Jesteś dla mnie jak rodzina, ale musisz wiedzieć, że zdarzyło mi się już zlecić zabójstwo paru osób, które trafiły do więzienia. To bardzo łatwe i tanie”. Potem sprecyzował groźbę zawartą

w poprzednim zdaniu: „Ufam, że zniszczyłeś wszystkie nasze wiadomości, czaty itd.”.

A jeśli jednak Straszny ich nie skasował? Gruntownie przemyślawszy sprawę, Carl uznał, że jedynym sposobem ustalenia, co FBI już wie lub czego się dowie po zatrzymaniu SPR-a, będzie zajrzenie do serwerów, które podobno zdobyli federalni. Wpadł więc na kolejny pomysł – kolejne kłamstwo – i zadzwonił do Chrisa Tarbella z FBI, z którym nigdy wcześniej nie rozmawiał.

– Dzień dobry, tu agent specjalny Carl Force z DEA w Baltimore – wyszczał do słuchawki. – Kiedy mogę przyjechać, żeby obejrzeć serwer?

– Kto mówi? – zapytał Tarbell.

– Agent specjalny Carl Force z... Proszę posłuchać, koniecznie muszę obejrzeć ten serwer.

Tarbell natychmiast przyjął bojową postawę.

– Uzyskał pan zgodę ASAC-a?

– Tak, tak, tak, uzyskałem – wyjąkał Carl, co oczywiście nie było prawdą. – Kiedy mogę przyjechać? Jaki dzień najbardziej wam pasuje?

– Nie ma czasu. Jeśli chce pan obejrzeć serwer, musi się pan zgłosić do ASAC-a. – To powiedziawszy, Tarbell gwałtownie się rozłączył.

Po tej rozmowie Carlowi skończyły się pomysły. Mógł tylko mieć nadzieję, że SPR zrobił to, o co prosił go Nob, i wymazał z komputera wszystkie wiadomości. A może obu im się poszczęści, Strasznemu Piratowi Robertsowi uda się uciec i zabierze wszystkie tajemnice Carla ze sobą.

FeLiNa

Ostatni dzień życia Rossa jako wolnego człowieka zaczął się jak każdy inny. Mężczyzna obudził się w swoim mieszkaniu przy Monterey Boulevard, a potem włożył niebieskie dżinsy i czerwony T-shirt z długim rękawem. Później usiadł do pracy przy stronie Silk Road, nieświadom tego, że już o 15.16 będzie siedział skuty kajdankami na tylnym siedzeniu radiowozu.

Od kilku dni chodził przygnębiony, bo sprawy nie układały się po jego myśli. Najpierw jeden z rządowych informatorów, posługujący się pseudonimem Francuska Pokojówka, powiedział mu, że federalni dodali kolejne nazwisko do listy osób podejrzewanych o bycie Straszny Piratem Robertsem. Francuska Pokojówka (która podobno naprawdę nazywała się Carla Sophia) obiecała, że chętnie mu je wyjawi w zamian za sto tysięcy dolarów. SPR zapłacił i nadal czekał na odpowiedź. Potem inny pracownik, któremu pożyczył pół miliona, zniknął. A na dodatek ciągle mu nie zeszła wysypka po trującym dębie.

Były jednak rzeczy, z których mógł się cieszyć. Wkrótce wyjeżdżał do Austin, gdzie miał się zobaczyć z Julią. Napisała mu w mejlu, że odbierze go z lotniska i że może zamieszkać u niej. Zupełnie jak za dawnych czasów. Odbywali dużo romantycznych sesji na Skypie i pisali do siebie długie nieprzyzwoite mejle, w których opowiadali, co zrobią sobie nawzajem, kiedy się spotkają. W weekend Ross doznał też olśnienia. Po ognisku i fajerwerkach na Ocean Beach zanotował w dzienniku (oprócz opisu problemów ze stroną Silk Road oraz wyjaśnienia, w jaki sposób nabawił się wysypki), że musi „dobrze się odżywiać, wysypiać się i medytować, żeby zachować pozytywne myślenie”.

Domy przy Monterey Boulevard to w większości dwu- i trzykondygnacyjne budynki o drewnianym szkielecie. Pomalowano je na różne kolory, jedne na białe, inne na niebiesko czy zielono. Aktualne mieszkanie Rossa znajdowało się w dwupiętrowym beżowym domu w połowie drogi między dwiema przecznicami. Raz po raz przejeżdżał tędy duży SUV marki Chevrolet Suburban z przyciemnianymi szybami. Skręcał w prawo w Baden Street, potem jeszcze raz i jeszcze, aż w końcu trafiał z powrotem przed beżowy budynek przy Monterey Boulevard.

Nawet gdyby ktoś zauważył krążący tego ranka samochód, nie domyśliłby się, co jest w środku.

14.42

Tarbell chodził tam i z powrotem przed kawiarnią przy Diamond Street, wpatrywał się w telefon i rozpaczliwie usiłował wymyślić, co robić. Wybrał się do lokalnej siedziby FBI i przedstawił argumenty przeciwko wykorzystaniu oddziału antyterrorystów, ale miejscowy zwierzchnik zwyczajnie mu odmówił. Powiedział, że nie zaryzykuje życia jakiegoś agenta dla otwartego laptopa. Wyraźnie nie rozumiał, jak ważny jest ten komputer. Tarbell zadzwonił do wszystkich ludzi, jakich znał w administracji rządowej, i starał się ich przekonać, że do domu Rossa nie można wejść z taranem i bronią w rękę, ale udało mu się tylko namówić lokalne Biuro do odłożenia akcji o jeden dzień.

Jared, Thom i Brophy stali przed kawiarnią niedaleko domu Rossa i słuchali wyjaśnień Tarbella. Oni także nie bardzo wiedzieli, co robić. Orientowali się, że Ross przebywa w domu z laptopem, ponieważ FBI przysłało nieoznaczonego SUV-a, którego kierowca jeździł wokół budynku, monitorując ruch w sieci wi-fi. System, którym posługiwała się agencja, sprawdzał siłę sygnału wi-fi w komputerze Ulbrichta, a potem, dzięki triangulacji danych z trzech różnych punktów zarejestrowanych podczas objazdu wokół kwartału, agenci byli w stanie dokładnie ustalić położenie Rossa, który aktualnie przebywał w swojej sypialni na drugim piętrze domu przy Monterey Boulevard.

Kiedy agenci stali przed kawiarnią, omawiając patową sytuację, w jakiej się znaleźli, Jared zerknął na swój komputer, by sprawdzić poziom naładowania baterii. Wskaźnik świecił się już na czerwono i szybko spadał poniżej

osiemnastu procent. W tej właśnie chwili agent zauważył, że w oknie czatu znikła ikonka przypisana do Straszego Pirata Robertsa.

– SPR właśnie się wylogował – oznajmił. – Idę do Bello Coffee podładować swój szajs i napić się kawy.

Thom poszedł z nim, a Brophy i Tarbell zostali na dworze.

W kawiarni roiło się od ludzi, a przy każdym stoliku siedział ktoś z laptopem. Kilka mam sączyło herbatę, jedną ręką przytrzymując wózek, a inni gapili się w telefony. Jared znalazł w ścianie tylko jedno wolne gniazdko, podłączył komputer i zamówił kawę.

Po dwóch latach mozolnego brodzenia przez gnój byli tak blisko SPR-a, że niemal słyszeli jego oddech, a mimo to przegrali. Na akcję pójda antyterrorysty. Nie zdobędą otwartego laptopa, nie złapią Rossa Ulbrichta zalogowanego na stronie.

14.46

Ross wziął laptopa, włożył go do torby na ramię i zszedł po schodach na Monterey Boulevard. Powietrze w San Francisco było nietypowo ciepłe i tylko tutejsza bryza niosła lekki chłodek.

Ulbricht spędził w domu cały dzień i musiał się ruszyć. Poza tym chciał znaleźć szybką sieć wi-fi, żeby ściągnąć wywiad z twórcą serialu *Breaking Bad*. Poprzedniego wieczoru wyemitowano finałowy odcinek, zatytułowany *FeLiNa*, w którym ginie główny bohater Walter White oraz Heisenberg, jego alter ego.

Ross nie zamierzał wychodzić na długo. Może tylko na parę godzin, żeby skorzystać na sępa z wi-fi w pobliskiej kafejce, ściągnąć program i trochę popracować przy Silk Road.

14.50

Tarbell obserwował ulicę, kiedy nagle zawibrował jego telefon. Przyszła wiadomość od tajnych agentów FBI śledzących Rossa. „Ruszył się” – napisali. Prędko wszedł do kawiarni, by zawiadomić o tym Jareda i Thoma.

– Nasz przyjaciel nadchodzi ulicą! – odezwał się ostro do tego pierwszego. Jego głos był szorstki i stanowczy.

Wyczerpany Jared spojrział na Tarbella, zdezorientowany jego słowami.

– Który przyjaciel? – zapytał, myśląc, że może to kolejny jego żart.

– Nasz... przyjaciel... nadchodzi – wycedził stanowczo Tarbell. Nie mógł przecież wypalić na głos „Ross Ulbricht”, „Straszny Pirat Roberts” ani „ten pieprzony geniusz zbrodni, na którego polujesz od dwóch lat”.

Do Jareda wreszcie dotarło. Jasna cholera! Nasz przyjaciel! Chwycił kawę i laptopa i wypadł na dwór. Razem z Thomem przebiegli przez ulicę, a potem usiedli na ławce i usiłowali jak najlepiej wmieszać się w otaczający ich krajobraz.

14.51

Tarbell wyszedł z kawiarni. „Opis i kierunek?” – napisał do tajnych agentów na swoim blackberry. Wszyscy członkowie jego ekipy się rozproszyli. Brophy skręcił ostro w prawo i schował się kawałek dalej w bibliotece. Chris widział, jak Thom przebiega przez ulicę i siada na ławce przed pizzerią. Jared był tuż za nim. Tarbell obrał jedyny kierunek, jaki pozostał, i ruszył Diamond Street na południe, wprost na spotkanie Rossa Ulbrichta. Wiedział, że Rossa śledzą tajniacy, ale chciał go zobaczyć osobiście.

Dotarł do przejścia dla pieszych. W każdą stronę sunęli ludzie i samochody. Świat poruszał się w zwyczajnym tempie. Dla Tarbella jednak funkcjonował o wiele wolniej: serce waliło mu w piersi, bo wiedział, że zaraz stanie twarzą w twarz ze Straszny Piratem Robertsem. A potem to nastąpiło.

Kiedy przechodził przez jezdnię, zupełnie jak w zwolnionym tempie rejestrował każdy element otoczenia: ptaki machające skrzydłami w powietrzu, kolory samochodów na drodze, obłupaną żółtą farbę zebry na asfalcie oraz mężczyznę, który właśnie szedł z naprzeciwka, ubranego w niebieskie dżinsy i czerwony T-shirt z długim rękawem, z brązową torbą na laptopa przewieszoną przez ramię. Tarbell zrobił jeszcze jeden krok na pas zieleni między jezdniami i popatrzył mu prosto w oczy, a Ross odpowiedział spojrzeniem.

15.02

Ross przeszedł przez jezdnię, a potem zajrzał do Bello Coffee. W kafejce roiło się od ludzi. Każde miejsce było zajęte przez kogoś z otwartym laptopem albo przez matkę z wózkiem. Swoim pracownikom zawsze opowiadał, jak ważne

jest bezpieczeństwo w kawiarni. Pewnego razu udzielił Inigowi następującej porady: „Weź laptopa i znajdź sobie taki punkt w lokalu, żeby nikt nie widział twojego ekranu. Zamów dużą kawę, usiądź, a potem wstawaj tylko po to, żeby rozprostować kości”. Ponieważ w tej chwili brakowało miejsc zgodnych z powyższym protokołem, Ross zawrócił i wyszedł na dwór.

Miał dużo na głowie, jak zwykle. Na wieczór zaplanował wideoczat z Julią.

„Możemy się dzisiaj umówić na Skype’a?” – zapytała go w mejlu.

„Jasne, o której?”

„Pasuje ci 8 mojego czasu?”

„Jasne, do zobaczenia” – odpisał i dodał uśmiezek, bo dokładnie wiedział, jakie skajpowanie ich czeka.

Na zewnątrz było bezwietrznie. Ross zastanawiał się, dokąd teraz iść. Potrzebował wi-fi, ale o piętnastej w tym sennym zakątku miasta nie było zbyt wielu opcji. Spojrzał na lewo, w kierunku, z którego przyszedł, ale wiedział, że Cup Coffee Bar został zamknięty przed godziną. Naprzeciwko sunęły samochody, szła jakaś kobieta z córką, a na drewnianej ławce siedzieli dwaj mężczyźni, jeden wpatrzony w laptopa, a drugi w telefon. Ross nadal wodził wzrokiem po ulicy, jego spojrzenie prześlizgnęło się po barze serwującym burrito oraz miejscowym pubie, aż w końcu zatrzymało się po prawej stronie, na budynku biblioteki publicznej Glen Park.

15.03

Jared i Thom siedzieli na ławce wpatrzeni przed siebie, jakby rywalizowali z witryną kawiarni, kto pierwszy odwróci wzrok. Jared miał otwartego laptopa, a Thom trzymał smartfona. Widzieli, jak Ross wychodzi z lokalu, przytrzymując torbę. Rozejrzał się, a potem spojrzał prosto w ich kierunku. Obaj szybko odwrócili wzrok, usiłując nie rzucać się w oczy.

– Na pewno szuka wi-fi – szepnął pod nosem Jared do Thoma.

Kątem oka obserwowali, jak Ross rusza w prawo, w kierunku biblioteki publicznej. Niemal dokładnie w tej samej chwili pojawił się Tarbell z telefonem w dłoni. Czytał najnowsze wiadomości od agentów śledzących podejrzanego.

– Gdzie on jest? – zapytał.

Jared gestem wskazał bibliotekę.

W tym momencie Tarbell, który całe życie trzymał się zasad, musiał zdecydować, co robić. Każdy moment w swoim życiu, choćby najdrobniejszy, zawsze miał przygotowany i przećwiczony. Teraz jednak nie wiedział, czy powinien postąpić zgodnie z regułami, czy też je złamać. Doskonale zdawał sobie sprawę, że szefowie w miejscowym biurze FBI dostaliby apopleksji, gdyby usłyszeli, że rozważa aresztowanie Rossa Ulbrichta bez obecności brygady antyterrorystycznej. Nie miał jednak wyboru, jeśli chciał nakryć Straszego Pirata Roberta przy laptopie. Spojrzał z góry na Jareda, na Thoma, potem na bibliotekę, i w jego głowie rozbrzmiała myśl: jebać to.

– Idź do biblioteki i zajmij pozycję – powiedział Thomowi. – Nic nie rób, nic nie mów, po prostu się nie wyróżniaj. – Spojrzał na telefon.

Doskonale wiedział, że w tej właśnie chwili w odległości paru kilometrów na południe kilkudziesięciu funkcjonariuszy oddziału antyterrorystycznego wchodzi do sali konferencyjnej miejscowego biura FBI, żeby omówić szczegóły zbrojnej akcji zatrzymania Rossa Ulbrichta, która miała się odbyć nazajutrz. Wystukał kolejnego mejla do swojej ekipy, żeby powiadomić ją o planie, o tym, że wkroczą do biblioteki, aby zatrzymać Ulbrichta. To oznaczało, że ludzie na spotkaniu antyterrorystów również zobaczą tę wiadomość i w ciągu kilku minut rzucają się do radiowozów, by przy włączonych światłach i syrenach popędzić na północ autostradą numer 101, obok lotniska San Francisco, w stronę spokojnego Glen Park, w kierunku małej biblioteki.

15.06

Na prawo od regałów bibliotecznych przy stoliczku z krzeselkami siedziało dwoje dzieci, po cichu przewracając strony książeczek obrazkowych. Kilka innych osób kręciło się między regałami. To była nieduża biblioteka, przypominająca Good Wagon Books, gdzie większość działów składała się tylko z jednej albo dwóch półek.

Ross podszedł do okrągłego beżowego stołu między fantastyką naukową a romansami. Usiadł, wyjął z torby laptopa, a potem patrzył, jak komputer ożywa.

15.08

Siedzący w kącie sali Brophy sięgnął po swoje blackberry i wysłał wiadomość do reszty agentów FBI: „Siedzi w pn-zach rogu”.

Tarbell chodził tam i z powrotem przy ławce przed biblioteką. SPR wciąż się nie zalogował. Jared podniósł wzrok na Tarbella, a potem znowu spuścił oczy na ekran komputera, któremu zostało już tylko dwadzieścia procent baterii.

– Dajcie mi szansę z nim poczatować – poprosił.

Tarbell spoconymi dłońmi wystukał mejla do grupy. „Jeszcze się NIE zalogował” – napisał, a potem zaznaczył, że tajny agent na stronie Silk Road (Jared) musi zwabić Straszego Pirata Roberta do części handlowej, tak by można go było złapać z wirtualnymi narkotykami i pieniędzmi w ręku. Jeśli nie dopadną go z otwartym laptopem, kiedy będzie zalogowany, lub Rossowi uda się zatrzaskać wieko albo nacisnąć przycisk szyfrujący zawartość dysku twardego, cała sprawa się rypnie. Na koniec przypomniał wszystkim, co robić, gdy da zielone światło: „ODBIERZCIE mu laptopa, dopiero potem go aresztujcie”.

Kiedy Jared zobaczył, że w oknie czatu pojawił się użytkownik Straszny, w jego głowie gruchnęła myśl: O kurwa! To już. Adrenalina, która jeszcze przed chwilą buzowała mu w żyłach, ucichła, a on skupił się na zadaniu. Zrozumiał, że wszystko zależy od tej właśnie chwili. Desant agentów FBI już pędził autostradą. Tarbell stał obok i patrzył, zaś agenci DEA, HSI, CBP, DOJ, IRS, ATF i Biura Okręgowego Prokuratora Federalnego, a także senatorzy, gubernatorzy, nawet prezydent Stanów Zjednoczonych, czekali na wiadomość, że wszystko odbyło się bez potknięć.

Jared zaczął pisać w oknie czatu na stronie Silk Road. „Hej” – napisał, ale nie było odpowiedzi. Po minucie powtórzył: „Hej”. Tym razem jednak dodał prośbę do SPR-a: „Możesz mi sprawdzić jedną zgłoszoną wiadomość?”. Wiedział, że aby ją spełnić, SPR będzie się musiał zalogować do części administracyjnej strony, a jeśli mężczyzna siedzący teraz w bibliotece trzydzieści metrów dalej naprawdę jest Straszonym Piratem Robertsem, on również będzie do niej zalogowany, kiedy zabiorą mu laptopa. Zdawało się, że minęła wieczność, zanim w końcu głośniczki komputera brzęknęły i na ekranie Jareda pojawiła się odpowiedź.

„Jasne – odpisał SPR. – Tylko się zaloguję”. A potem dodał dziwne pytanie: „Zanim zaczęłaś dla mnie pracować, zajmowałaś się wymianą bitcoinów, prawda?”.

Z jakiegoś powodu Straszny go testował. Jaredowi z niepokoju zakręciło się w głowie. Czyżby SPR wiedział, że coś się szykuje? Agent grzebał w pamięci, usiłując przywołać prawidłową odpowiedź.

15.13

Młoda Azjatka przechadzała się po bibliotece, zdejmując książki z półek. Po chwili wyszła zza regałów, stanęła między działem fantastyki a działem romansów i przysunęła sobie krzesło do okrągłego stołu, przy którym siedział Ross. Jego plecak leżał tuż obok, ekran laptopa się świecił, a mężczyzna stukał w klawiaturę. Zerknął zza komputera na młodą kobietę. Miała jasną cerę i właśnie przeglądała leżący przed nią stos książek. Wyglądała niegroźnie, więc wrócił do pracy. Jego palce metodycznie przesuwały się po klawiszach w górę i w dół.

15.14

Jared myślał usilnie, próbując sobie przypomnieć, co kobieta z Teksasu powiedziała mu w sierpniu, kiedy przejmował jej konto. Zajmowała się wymianą bitcoinów? Czy nie? Odetchnął głęboko, a potem zaryzykował: „Tak, ale krótko”.

„A potem już nie?” – zapytał SPR, nadal czekając na konkretną odpowiedź. To rzeczywiście był test.

„Nie – odpisał Jared. – Przestałam ze względu na wymogi raportowania”.

Musiało zadziałać, bo wkrótce Straszny zapytał: „Dobra, który wpis?”. Teraz z całą pewnością był zalogowany do wszystkich trzech działów administracyjnych na stronie Silk Road. Jared podniósł wzrok na Tarbella i zakręcił palcem w powietrzu, jakby naśladował śmigłowiec szykujący się do lotu.

– Jazda, jazda, jazda! – ponaglił.

Kciuki Tarbella zabębniły w telefon; pisał najszybciej, jak umiał. „Zalogował się” – oznajmił, a potem dodał: „ODEBRAĆ LAPTOPA – JUŻ”. Popędził przez ulicę i wpadł do biblioteki.

Jared gnał tuż za nim. Teraz jechali na czystej adrenalinie. Obaj wbiegli po schodach, a potem Tarbell nagle zastygł w pół kroku i wyciągnął rękę, żeby

zatrzymać Jareda.

– Niech robią swoje – szepnął.

Przez dziesięć sekund Jared i Tarbell nie odzywali się ani słowem. Stali tak w bezruchu na betonowych schodach. A potem usłyszeli zamieszanie i okrzyki, które nagle wypełniły cichą bibliotekę przy Diamond Street.

Aresztowany

15.15

Jeszcze przed chwilą w bibliotece panowała cisza. Nagle jakaś Azjatka krzyknęła „pierdol się!” do mężczyzny stojącego obok niej. Wszyscy w sali podnieśli wzrok, zaskoczeni tym wybuchem. Mężczyzna, któremu właśnie kazano się pierdolić, zamachnął się, jakby zamierzał uderzyć kobietę w twarz. Kiedy jego zaciśnięta pięść zawisała w powietrzu, Ross Ulbricht obrócił się na krześle, by zobaczyć, co się dzieje.

I właśnie wtedy, gdy Jared i Tarbell stali u podnóża schodów, Azjatka o jasnej cerze, siedząca przy stole naprzeciwko Rossa, wyciągnęła ręce i delikatnie odsunęła od niego laptopa firmy Samsung. Ross obejrzał się, nie do końca pojmując, co się dzieje, i spróbował rzucić się po komputer. Ale nie mógł. Ktoś złapał go od tyłu za rękę.

– FBI! FBI! – ryknęła do niego ta sama para, która jeszcze przed chwilą wydzierała się na siebie nawzajem. Zaraz potem agenci przygnietli go do stołu.

Podbiegł do nich Brophy, zatrzasnął kajdanki na nadgarstkach Rossa, po czym go wyprowadził. Thom, wyraźnie poruszony intensywnością tych kilku chwil, podszedł, żeby zabrać laptopa, który wciąż stał otwarty. Dzięki Jaredowi aresztowany właśnie użytkownik był zalogowany do wszystkich trzech działów administracyjnych na Silk Road, w tym podstrony Mastermind, dostępnej tylko dla Straszego Pirata Roberta i Rossa Ulbrichta.

Gdy Tarbell i Jared wchodzili na piętro biblioteki, wyszedł im naprzeciw Brophy, który trzymał za ramię młodego człowieka, skutego w kajdanki i spanikowanego.

– To wasz nowy najlepszy przyjaciel – powiedział, przekazując im Rossa Ulbrichta.

W bibliotece ludzie zaczęli wykrzykiwać do Brophy'ego i pozostałych:

– Co ten chłopak wam zrobił? Zostawcie go!

Dla nich ten młody człowiek w kajdankach po prostu pracował na swoim laptopie, nikomu nie wadząc.

Chris i Jared sprowadzili Rossa po betonowych schodach i wyszli z nim na ulicę. Potem Tarbell go obrócił, łagodnie oparł o ścianę i zaczął przeszukiwać. W kieszeniach znalazł tylko dwa banknoty jednodolarowe, trochę drobnych oraz klucze do domu.

– Agent specjalny Chris Tarbell z FBI – przedstawił się, a potem obrócił skutego kajdankami Rossa twarzą do siebie i przyłożył mu rękę do piersi, by się upewnić, że zatrzymany nie ma zawału ani innej nagłej dolegliwości. – Czy cierpi pan na jakieś choroby? Czy potrzebuje pan opieki medycznej?

– Nie, wszystko w porządku – odparł Ross. Pierwszy szok już minął i chłopak zaczął zachowywać się nonszalancko, jakby to była tylko drobna niedogodność. – O co jestem oskarżony? – zapytał, dobrze wiedząc, że mogli go zatrzymać z wielu różnych powodów. Może chodziło o fałszywe dowody tożsamości, które zamówił, albo coś niegroźnego, związanego z Silk Road.

– Omówimy to w samochodzie, a nie na ulicy – odparł Tarbell.

Na Diamond Street z każdej strony nadjeżdżały teraz z piskiem samochody i furgonetki FBI, z których we wszystkich kierunkach rozbiegło się ponad trzydziestu agentów. Tarbell zaprowadził Rossa do nieoznakowanego vana, który zatrzymał się pośrodku ulicy, a Jared wrócił na górę, by sprawdzić laptopa, którego przechwycili podczas aresztowania.

Kiedy siadał obok Thoma, robiącego zdjęcia do raportu, w bibliotece znowu było cicho. Spojrzał na ekran i zobaczył drugą stronę czatu, w którym uczestniczył z SPR-em przed kilkoma minutami. Ostatni użytkownik był zalogowany, za pośrednictwem Tora, do strony wsparcia na Silk Road oraz do panelu Mastermind, gdzie widać było miliony dolarów w bitcoinach. Po prawej znajdowało się okno czatu z niedokończoną rozmową z Cirrus – czyli Jaredem pod przykrywką – i pseudonimem człowieka, z którym agent prowadził rozmowę: Straszny. Komputer nosił nazwę Frosty.

– O w mordę – powiedział Jared na głos.

Na zewnątrz Tarbell pomógł Rossowi usiąść na tylnym siedzeniu nieoznakowanej furgonetki.

– Pytał pan, o co jest oskarżony – odezwał się.

Na przednim fotelu siedziała kobieta w kurtce FBI, a za nią znajdował się pusty fotelik dla dziecka, obok którego teraz zajmował miejsce Ross ze skutymi z tyłu rękami. Tarbell sięgnął po jakąś kartkę i podniósł ją tak, by zatrzymany mógł przeczytać treść. Na samej górze widniały słowa:

STANY ZJEDNOCZONE AMERYKI

kontra

ROSS WILLIAM ULBRICHT

alias „Straszny Pirat Roberts”,

alias „SPR”,

alias „Silk Road”.

Ross zmrużył oczy, popatrzył na Tarbella i wypowiedział tylko dwa słowa: „Żądam prawnika”.

Laptop

Kiedy słońce przebiera przez poranną mgłę, w rogu spowitego smogiem parku przemysłowego w Korei Południowej tysiące mężczyzn i kobiet budzą się i ruszają w stronę kilku olbrzymich fabryk. Wszyscy mają na sobie jednakowe stroje: kombinezony różowe jak flamingi i czapki w tym samym kolorze. Robotnicy nigdy się nie zatrzymują, pracują w dzień i w nocy, zmieniają się na swoich pozycjach niczym koła zębate zegara, który nie może się zatrzymać. Godzina za godziną, dzień po dniu, składają komputery dla Samsung Electronics Limited.

W każdej minucie budują tysiące laptopów Samsunga. Ekran LCD zostaje połączony z obudową, dysk twardy SSD umieszczony w aluminiowej osłonie, układy elektroniczne przylutowane do zielonej płytki drukowanej. Ramiona robotyczne sprawdzają, czy zawiasy laptopa otwierają się i zamykają prawidłowo. Następnie te przedmioty, które jeszcze kilka chwil wcześniej były tylko kawałkami metalu, krzemu i plastiku, ożywają. Do świecących komputerów ładuje się oprogramowanie, laptopy umieszcza się w pudełkach i przewozi przez cały budynek do rozległych arterii logistycznych światowego systemu transportu.

W kwietniu 2012 roku jeden z tych laptopów Samsunga zakupiono przez internet za 1149 dolarów. Przebył 11 248 kilometrów z owej fabryki w Korei do przyjemnego domu na przedmieściach Austin w Teksasie. Tego komputera Samsung 700Z nie dotykał nikt oprócz Rossa Ulbrichta i Straszego Pirata Roberta, przynajmniej do popołudnia 1 października 2013 roku. Kiedy Tarbell wiózł Rossa do pobliskiego aresztu, Thom Kiernan z FBI ostrożnie zniósł srebrnego laptopa po schodach biblioteki, wyszedł z nim na ulicę i usiadł na tylnym siedzeniu nieoznakowanego radiowozu Brophy'ego.

Thom szedł z tym urządzeniem tak ostrożnie, jakby niósł jajko na łyżce. Siedząc w samochodzie obok Jareda, nerwowo przesuwał palcem po

touchpadzie tam i z powrotem, żeby laptop nie przeszedł w tryb uśpienia. Jechali do położonego kilka przecznic dalej domu Rossa Ulbrichta, gdzie przed budynkiem czekała furgonetka mieszcząca mobilne laboratorium informatyki śledczej.

Była to biała bestia wielkości małego jachtu, bez okien z tyłu. W środku znajdowało się szare biurko pełne sprzętu komputerowego, które zajmowało całą długość pojazdu. Pośród węzowiska przewodów błyskały monitory, a obok baterii pustych gniazdek elektrycznych informatyk z miejscowego oddziału FBI czekał już na laptopa.

Wraz z drugim agentem Thom zaczął sprawdzać komputer pod kątem pułapek. Chcieli mieć pewność, że maszyna się nie wyłączy, jeśli podłączą do niej dysk zewnętrzny, na który zamierzali zgrać wszystkie pliki. To właśnie wtedy Thom zauważył folder „skrypty”. W środku znajdował się kod, który Ross napisał, aby zabezpieczyć komputer w przypadku takiego właśnie scenariusza.

Kilka metrów dalej agenci FBI kręcili się po domu Rossa, szukając dowodów i wskazówek, które powiązałyby go z serwisem Silk Road. W koszu na śmieci znaleźli odręczną notatkę na zmiętej kartce dotyczącą nowego systemu plików, który Ross konstruował na stronie. Na szafce przy łóżku leżały dwa pendrive’y, ale federalni jeszcze nie wiedzieli, co zawierały.

Przez następne dziesięć godzin zawartość laptopa Samsunga skopiowano na sześć różnych sposobów. Wykonano kopie zapasowe kopii zapasowych. Agenci pojawiali się i oddalali. Jedli w McDonalddie, nie przerywając pracy. Zapaliły się latarnie, a furgonetka z mobilnym laboratorium przeniosła się pod pobliską kryjówkę FBI. Kiedy Tarbell wrócił po odstawieniu Rossa do aresztu, Thom i jego kolega informatyk próbowali zapuszczać się coraz dalej w głąb komputera, licząc na to, że wyłowią z jego pamięci hasła dające dostęp do drugiej części laptopa – części Rossa Ulbrichta. Jednak około drugiej w nocy, gdy wciąż próbowali się do niej dostać, maszyna padła. Mieli kopię zapasową, ale musiało minąć ileś dni, zanim dokładnie ustalili, jakimi dowodami dysponują.

Kilka kilometrów dalej, w zbudowanym z kamienia budynku aresztu przy Siódmej Ulicy w San Francisco, Ross wpatrywał się w betonową ścianę, przerażony tym, gdzie się znalazł, ale niezrażony perspektywą czasu, jaki mógł tutaj spędzić. Ten scenariusz rozegrał w myślach tysiąc razy. Jasne, złapali go

z palcami na klawiaturze, zalogowanego na Silk Road jako SPR. Ale to nie oznaczało, że był tym SPR-em, który kierował stroną. Mógł istnieć więcej niż jeden Straszny Pirat Roberts, zupełnie jak w tej starej opowieści przedstawionej w *Narzeczonej dla księcia*.

Miał również pewność, że służby nigdy nie rozgryzą haseł w komputerze. Wszystkie najważniejsze pliki były zaszyfrowane i zabezpieczone hasłem „purpleorangebeach” [fioletowopomarańczowaplaża]. Nikt, nawet FBI, nie mógłby tego wykombinować. Co najwyżej – Ross był o tym przekonany – mogli mu udowodnić, że w momencie aresztowania był zalogowany na stronie. To jednak o niczym nie świadczyło. W najgorszym razie przyzna, że owszem, niegdyś był zaangażowany w projekt Silk Road, ale przed laty przekazał stronę komuś innemu. Jeśli FBI zapyta kogoś, powie po prostu: „Nie wiem, kto to był. Wiem tylko tyle, że ta osoba mówiła o sobie Straszny Pirat Roberts”.

Ross za kratkami

Przez pierwsze dwa tygodnie aresztu więzień numer ULW981 znajdował się w izolatce w Oakland w Kalifornii. Zabrano mu prywatne ubranie, zastępując je czerwonym kombinezonym więziennym z napisem WIĘZIENIE HRABSTWA ALAMEDA. Zamiast butów dostał parę skarpet i klapki. Nadgarstki skuto mu kajdankami spiętymi z łańcuchem, którym go opasano. Na dwór wypuszczano go na godzinę dziennie. Mężczyzna oczekiwał na transport do Nowego Jorku, gdzie miał usłyszeć zarzuty i stanąć przed sądem.

Wiadomość o jego zatrzymaniu była w internecie jak wybuch bomby atomowej. Tysiące blogów, gazet i stacji telewizyjnych opisywały historię harcerza potajemnie prowadzącego sklep internetowy pełen narkotyków, broni i trucizn, których wartość – według szacunków FBI – osiągnęła poziom 1,2 miliarda dolarów w ciągu zaledwie dwóch lat.

Dla tych, którzy znali Rossa, cała ta historia, włącznie z aresztowaniem, nie trzymała się kupy. Rodzina i przyjaciele wierzyli, że to jedna wielka pomyłka. Kiedy pewien reporter zadzwonił do Renégo, najlepszego przyjaciela, u którego Ross mieszkał przy Hickory Street w San Francisco, i zapytał o zaangażowanie Ulbrichta w projekt Silk Road, René był osłupiały i zdezorientowany. „Nie wiem, jakim cudem oni tak to pokręcili i jak wplątali we wszystko Rossa, ale jestem pewien, że to nie on”. Gdy o sprawie dowiedziała się rodzina Rossa, uważała tak samo. To po prostu niemożliwe, żeby był zamieszany w prowadzenie takiej strony. Kuzyni, ciotki, wujowie oraz rodzeństwo – wszyscy byli przekonani, że został wrobiony. Że prawda go wyzwoli. Na Facebooku koledzy z podstawówki, kumple z liceum i dawni sąsiedzi z niedowierzaniem przesyłali sobie linki, zszokowani tym, co przeczytali. Nie ma mowy. Nigdy w życiu. Nie Ross.

Jeden z mężczyzn dzielących z Rossem lokal przy Piętnastej Alei szedł właśnie do pracy i przystanął po egzemplarz „San Francisco Examiner”. Na

pierwszej stronie, w górnej części złożonej na pół gazety widniała fotografia uśmiechniętego Rossa Ulbrichta, a obok niej zrzut ekranu z serwisu Silk Road. Mężczyzna zrobił zdjęcie smartfonem i przesłał je innemu lokatorowi mieszkania przy Piętnastej Alei. „Zabawne – napisał w wiadomości. – Wygląda trochę jak nasz współlokator”, czyli Josh.

„Nie wygląda – odpowiedział ten drugi. – To on”.

„O kurde...”

No i wreszcie Julia, która tego wieczoru, gdy Rossa aresztowano, planowała spotkać się z nim na wideoczacie. Rozebrała się do seksownej bielizny i zalogowała na Skype’a z nadzieją, że z ekranu laptopa będzie na nią patrzył przystojny Ross. On jednak się nie pojawił. Dzwoniła i dzwoniła, próbując się z nim połączyć, ale nikt nie odpowiadał. Nie miała pojęcia, że w tej właśnie chwili mężczyzna, z którym chciała flirtować przez maleńką kamerkę, siedzi w celi zakuty w kajdanki, a jego komputer przeszukują dwaj agenci federalni w mobilnym laboratorium FBI. W końcu dała za wygraną i przestała dzwonić, uznawszy, że Ross zapomniał o ich internetowej schadzce. Poszła do łóżka sama.

Nazajutrz rano do jej biura przysła klientka. Gdy przeglądały zdjęcia, rozległ się dźwięk komórki Julii. To była przyjaciółka z Austin, która wymówiła tylko trzy słowa:

– Wygugluj Rossa Ulbrichta.

– Hm? – zdziwiła się Julia.

– Po prostu to zrób. Wygugluj Rossa Ulbrichta.

Julia obróciła się do komputera, wpisała nazwisko, które pisała już tysiące razy, i poczekała na wyniki wyszukiwania. Kiedy zobaczyła nagłówki, prawie zemdląła. W szoku osunęła się na podłogę i zaczęła wyć.

Dwa tygodnie później Ross wsiadł na pokład samolotu linii Con Air (jak nazywano loty transportujące więźniów) zmierzającego do Nowego Jorku. Po mozolnej podróży zygzakiem przez kraj, bo podczas międzylądowań wysadzano i odbierano innych więźniów, dotarł na miejsce i został umieszczony wśród osadzonych w więzieniu na Brooklynie, gdzie miał przebywać do rozpoczęcia procesu.

Z Austin przylecieli zrozpaczeni rodzice, żeby się z nim spotkać, przyjaciele pielgrzymowali, by okazać mu wsparcie, Ross poznał też swojego nowego

prawnika, Joshuę Dratela, niezłomnego adwokata znanego z obrony kilku spośród najgroźniejszych przestępców na amerykańskiej ziemi, w tym dwóch mężczyzn uczestniczących w atakach bombowych na ambasadę Stanów Zjednoczonych w Kenii i Tanzanii, w których zginęły dwieście dwadzieścia cztery osoby. Ross wybrał Dratela, bo postrzegał go jako prawnika wyznającego filozofię, że czyjeś poglądy nie powinny uchodzić za zbrodnię, a system powinien zapewnić każdemu – nawet rzekomym terrorystom – uczciwy proces.

FBI próbowało znaleźć ciała ludzi zamordowanych w związku z działaniami na Silk Road, tych, których zabójstwo opłacił SPR, ale w bazach danych nie było żadnych przestępstw, które by pasowały. Wyglądało na to, że albo Hells Angels wzorcowo pozbyli się ciał, albo – co bardziej prawdopodobne – w ogóle nikogo nie zamordowano, a Straszny Pirat Roberts został okantowany na setki tysięcy dolarów.

Rosowi w zamian za przyznanie się do winy zaproponowano wyrok od dziesięciu lat do dożywocia, on jednak nie chciał ryzykować, że sędzia zdecyduje się na ten drugi wymiar kary. Wciąż był przekonany, że się z tego wywinie. Odrzucił propozycję. W rewanżu sfrustrowane Biuro Okręgowego Prokuratora Federalnego postanowiło rzucić przeciwko niemu wszystkie siły, tak aby ten proces był dla innych przykładem.

Wówczas Ross nie wiedział jeszcze, że laptop, który FBI zdołało wyciągnąć mu z rąk, wcale nie był tak dobrze zabezpieczony, jak mu się wydawało. Pułapki zawiodły, hasło (purpleorangebeach) również, bo zespołowi informatyków udało się je znaleźć w pamięci RAM. Odkryli w ten sposób istny skarbiec cyfrowych dowodów, między innymi wpisy z dziennika Rossa, arkusze kalkulacyjne z finansami Silk Road, a co dla niego najgorsze – dokumenty, z których istnienia w komputerze sam nie zdawał sobie sprawy, w tym liczące miliony słów zapisy czatów między SPR-em a współnikami takimi jak Nob, Smedley i stary dobry Variety Jones.

Kiedy Ross odrzucił propozycję ugody, oficjalnie postawiono mu zarzut siedmiu przestępstw. Po pierwsze: handel narkotykami, za co, jak się dowiedział, groził wyrok od dziesięciu lat do dożywocia. Po drugie: dystrybucja narkotyków za pośrednictwem internetu, co wiązało się z takim samym wymiarem kary. Po trzecie: porozumienie przestępcze w zakresie handlu narkotykami, czyli od dziesięciu lat do dożywocia. Po czwarte – i to było najbardziej przerażające, nawet dla Rossa: zarzut stałego kierowania grupą

przestępczą na podstawie tak zwanej ustawy o baronach, zarezerwowanej dla wielkich bossów organizacji przestępczych. Groziła za to kara od dwudziestu lat więzienia do dożywocia, ale jeśli udało się udowodnić, że dany baron kogoś zamordował, w grę wchodziła kara śmierci. W końcu zarzuty numer pięć, sześć i siedem: hakerstwo, pranie brudnych pieniędzy i handel fałszywymi dowodami tożsamości i dokumentami. Gdyby uznano go winnym tych ostatnich, mogłoby mu grozić dodatkowe czterdzieści lat. W sumie lista zarzutów była potężna i zatrważająca. Co prawda Dratel zapewniał, że wymyślą plan obrony, do Rossa zaczęła jednak docierać powaga sytuacji.

Na szczęście czekało go wytchnienie od tych wszystkich złych wieści. Do Nowego Jorku z wizytą miała przylecieć Julia. Kiedy zobaczyli się po raz pierwszy, oboje się rozplakali.

– Mówiłam ci, Ross – powiedziała. – Mówiłam ci.

Dokładnie wiedział, co miała na myśli, choć nie wyraziła tego na głos. Potem zapytała, czy odczyta z nią Modlitwę Pańską. Niechlujny chłopak, którego przed laty poznała w klubie bębniarskim, a który teraz siedział przed nią w kombinezonie więziennym, odpowiedział, że bardzo chętnie – rozumiał, że przyda mu się każda pomoc.

Rozwinęła zmiętą kartkę i zaczęła czytać:

– Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje...

Ross pamiętał te słowa z dzieciństwa, kiedy nauczył się ich w kościele, i recytował razem z nią. Jego głos podążał za głosem Julii z niedużym opóźnieniem. A potem dotarli do końca modlitwy i ostatnie zdanie wypowiedział głośno:

– I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego.

Później Julia dała mu kilka dolarów, żeby mógł sobie kupić napój w automacie. Kartkę z modlitwą wsunęła między banknoty, które wcisnęła mu do ręki. Wyglądało na to, że wciąż chciała uratować Rossa, choć już wiedziała, że on jej nie uratuje.

Stany Zjednoczone Ameryki kontra Ross William Ulbricht

– Proszę wstać! – huknął woźny sądowy. – Sąd rozpoczyna rozprawę. Przewodzi sędzia Katherine Forrest.

Ross podniósł się, opierając dłonie na dębowym stole. Jego zespół prawników oraz dwaj marshale federalni wstali jednocześnie obok niego i za nim. Spojrzał na sędzię, drobną kobietę o stoickim wyrazie twarzy, która wkrótce miała skończyć pięćdziesiątkę.

Znajdująca się przed oskarżonym grupa prawników z Biura Okręgowego Prokuratora Federalnego powitała sędzię adekwatnym zwrotem „wysoki sędzie” i rozprawa się rozpoczęła. Sędzia Forrest mówiła zwięźle i na temat, świadoma, że za czas w sali 15A w gmachu sądu federalnego na Dolnym Manhattanie płacą inni ludzie – podatnicy. Ogłosiła daty wyboru przysięgłych, harmonogram posiedzeń sądu i zaznaczyła, że powoła się biegłych, ustali plany niezbędnych podróży, a niektórych agentów uczestniczących w śledztwie przeciwko Rossowi – w tym Jareda, Gary’ego i Thoma – wezwie się do złożenia zeznań. Sędzia Forrest znana była z surowych wyroków w sprawach związanych z narkotykami. Zespół prawny Rossa pod kierownictwem Joshuy Dratela był jednak gotowy do walki.

Minęło wiele miesięcy, odkąd Ross trafił do więzienia na Brooklynie. Kiedy jesień zmieniła się w zimę i z drzew pospadały liście, Rossa przeniesiono na drugą stronę East River, do Metropolitalnego Zakładu Karnego (Metropolitan Correctional Center) na Manhattanie, który miał się stać jego nowym domem na czas procesu.

Więzienie MCC, jak się je nazywa, to przerażająca wieża z betonu i stali, stojąca zaledwie kilka przecznic od World Trade Center i jeszcze bliżej siedzib FBI i IRS. W przeszłości przebywało tu wielu znanych przestępców, takich jak

John Gotti, przywódca rodziny mafijnej Gambino, i kilku terrorystów z Al-Kaidy. Kiedy przywieziono tam Rossa, w murach budynku odezwały się szepty, że przybył nowy ważny mieszkaniec. Pirat.

Życie w MCC podczas oczekiwania na rozpoczęcie procesu okazało się równie monotonne co w więzieniu na Brooklynie. Ross nawiązał przyjaźnie. Uczył innych więźniów jogi, służył pomocą w nauce do egzaminów potwierdzających średnie wykształcenie, a strażnikom robił improwizowane wykłady z fizyki, filozofii i teorii libertariańskiej.

Proces rozpoczął się wkrótce po świętach. Każdy dzień przebiegał tak samo. Strażnicy budzili Rossa o świcie. Ubranego w kombinezon więzienny oplatali w pasie łańcuchem i zakładali mu kajdanki na kostki i nadgarstki. Więzień numer 18870-111 w eskorcie marshali brnął powoli betonowymi korytarzami do budynku sądu federalnego. Bzyczały zamki w drzwiach, oznajmiając przyjście lub wyjście Rossa. Umieszczano go w klatkach i celach i kazano czekać, aż następna klatka lub cela będzie gotowa.

Dni w sądzie bywały na zmianę nudne i przerażające. Oskarżenie przedstawiło wszystkie teksty czatów i wpisy z dziennika znalezione na komputerze Rossa. Rozmowy dotyczyły sprzedaży kokainy, heroiny, broni i innych nielegalnych przedmiotów oraz zysków, jakie czerpał SPR. Był też czat, w którym Variety Jones obiecał odbić SPR-a z więzienia, jeśli kiedyś złapią go fedzie. „Pamiętaj, że kiedy pewnego dnia wyjdiesz na spacer, ja będę siedział w tym niskim i szybko lecącym helikopterze, obiecuję – odczytał na głos prokurator. – Generujemy tyle \$, że mógłbym wynająć jakieś małe państwo, żeby cię odbić”.

Oskarżenie zaprezentowało również arkusze kalkulacyjne ilustrujące gwałtowny wzrost obrotów na stronie Silk Road, wartości sprzedaży idące w setki milionów dolarów oraz wynoszące ponad osiemdziesiąt milionów zyski, które rzekomo można było powiązać z Rossem. Przysięgli wyglądali na zdezorientowanych, kiedy prawnicy usiłowali im wyjaśnić, jak działa blockchain bitcoina, dlaczego szyfrowanie serwerów, CAPTCHA i adresy IP są takie ważne oraz co się stanie, jeśli na komputerze Samsung 700Z uruchomimy Linuxa Ubuntu.

Potem przyszła kolej na obronę. Dratel elokwentnie argumentował, że owszem, Rossa złapano z rękami na klawiaturze, ale to nie on jest Straszny Piratem Robertsem. Mógł nim być ktokolwiek spośród dziesiątek różnych osób.

Adwokat przyznał nawet (wywołując na sali rozpraw pomruki zaskoczenia), że Ross rzeczywiście założył Silk Road wiele lat wcześniej, zanim w ogóle powstał pseudonim Straszny Pirat Roberts, ale strona, niczym cyfrowy Frankenstein, szybko wymknęła się spod kontroli. Jej prowadzenie stało się zbyt stresujące, więc Ross komuś ją oddał. Dratel wskazywał palcem innych ludzi zajmujących się obrotem bitcoinami, mówiąc, że Straszny Piratem Robertsem może być każdy z nich. Jak stwierdził, to oczywiste, że SPR to wiele różnych osób, ale żadną z nich nie jest Ross.

Obrona przedstawiła korespondencję mejlową Jareda i innych agentów; na długo przed zatrzymaniem Rossa Ulbrichta każdy z nich w pewnym momencie uważał, że SPR-em jest ktoś inny. Dratel przekonywał, że Ross został wrobiony przez prawdziwego SPR-a.

Tylna część sali codziennie była przepelniona. Ławki po prawej stronie zajmował tłum reporterów i blogerów opisujących cały spektakl. Po lewej panowała posepniejsza atmosfera, bo tamte ławki przeznaczono dla bliskich i zwolenników Rossa. Jego sympatycy zjeżdżali z całego kraju, żeby protestować na schodach sądu. Okrzyknęli go bohaterem, który po prostu prowadził stronę internetową, a jeśli to jest przestępstwo, przed sądem powinni stanąć szefowie eBay'a i Craigslista, bo tam również sprzedaje się nielegalne towary.

Lyn, matka Rossa, przychodziła codziennie, otulona grubym czarnym żakietem, z delikatną ciemną apaszką na szyi i urażoną miną, jakby to wszystko nie działało się naprawdę. W najgorszych snach nie wyobrażała sobie, że jej syna może spotkać taki los. Jej chłopczyk, taki życzliwy, troskliwy, uroczy i mądry, który poszedł na studia, by zostać fizykiem molekularnym, siedział teraz trzy metry dalej i wisiał nad nim wyrok gorszy od śmierci. Kiedy jednak Ross patrzył na matkę, jego pewne siebie spojrzenie mówiło, żeby się nie martwiła, że wszystko jest w porządku.

Obrona wiedziała, że bezpośrednio obciąża go nieprzebrana masa dowodów: fałszywe dowody tożsamości, zeznający przeciwko niemu dawny przyjaciel z Austin Richard Bates, miliony dolarów znalezione na jego laptopie, a także zeznania Jareda, że pracował dla Rossa pod przykrywką. Widzowie obecni na sali rozpraw widzieli, że w sprawie *Stany Zjednoczone Ameryki kontra Ross William Ulbricht* wyraźnie wygrywa jedna strona.

Po trzech tygodniach procesu ogłoszono mowy końcowe.

– Dopuszczył się zuchwale nielegalnych czynów. Przez cały czas doskonale wiedział, co robi – huczał prokurator Serrin Turner, przechadzając się tam i z powrotem przed ławą przysięgłych. – On zbudował tę stronę. On ją rozwinął. On kierował nią na wszystkich szczeblach aż do samego końca. – Przemawiając, okazywał coraz większą irytację wywołaną tym, jaką linię obrony wybrali prawnicy Rossa. – Myśli, że uda mu się was nabrać... – zagrzmał do przysięgłych.

– Sprzeciw! – próbował mu przerwać prawnik Rossa.

– ...a na dodatek jego obrońca usiłuje zlekceważyć zatrząsienie dowodów znalezionych na komputerze oskarżonego, wymyślając najróżniejsze wyjaśnienia – kontynuował Serrin, ignorując adwokata. – To haker.

– Sprzeciw!!!

– To wirus – drwił Serrin. – Cóż za nedorzeczość. Tych wszystkich dowodów na komputerze oskarżonego nie podłożyły elfy. – Potem przeszedł do podsumowania, spoglądając na członków i członkinie ławy przysięgłych. – Przez cały czas doskonale wiedział, co robi, dlatego powinni go państwo uznać winnym wszystkich zarzucanych mu czynów.

Gdy przysła kolej obrony, Dratel wstał, rozdrażniony przemową Serrina.

– Jedną z fundamentalnych kwestii w tej sprawie jest to, że SPR i pan Ulbricht nie mogą być tą samą osobą – zaczął. – Czy SPR świadomie zdecydowałby się na zapisywanie tych czatów na komputerze? Przecież taką opcję trzeba specjalnie włączyć. – Mówił dalej, podkreślając, że SPR nie popełniłby tak głupiego błędu. – A prowadzenie dziennika na własnym laptopie? To odrobinę zbyt naciągane.

Następnie obrońca stwierdził, że dowody znalezione na laptopie zostały tam umieszczone przez kogoś innego. Zrobił to prawdziwy Straszny Pirat Roberts, który wiedział, że federalni są coraz bliżej, więc kiedy Ross w bibliotece ściągał na swój komputer program telewizyjny, SPR podrzucił mu zapisy czatów i inne dowody.

– W tej sprawie jest mnóstwo wskazówek jaskrawych niczym migające neony, stworzonych właśnie po to, żeby obciążyć pana Ulbrichta! – wrzasnął Dratel. – To nie jest ta sama osoba. – Zręcznie argumentował, że w listopadzie 2011 roku Ross oddał stronę komuś innemu. Stronę, którą niestety stworzył. I że następnie wyjechał do Australii, aby zacząć nowe życie i uciec od potwora,

którego wydał na świat. – Internet nie jest taki, jak się wydaje; można tam tworzyć fikcyjne rzeczywistości – podsumował.

Wreszcie stwierdził, że przedstawiciele władz absolutnie nie dowiedli ponad wszelką wątpliwość, że Ross Ulbricht to Straszny Pirat Roberts.

– Jestem pewien, że po naradach dojdą państwo tylko do jednego wniosku: Ross Ulbricht nie jest winny żadnego z zarzucanych mu czynów.

Złapać pirata

– Proszę wstać – huknął znowu woźny sądowy. – Sąd zawiesił obrady.

Rossa wyprowadzono z sali rozpraw do przylegającej celi. Kilka kroków dalej Jared wyszedł innymi drzwiami, minął strażników sądowych i zatrzymał się w wyłożonym marmurem holu. Potrzebował miejsca, w którym mógłby pomyśleć, i dokładnie wiedział, gdzie pójść: na Ground Zero, tam, gdzie runęły wieże.

Kiedy zeznawał, prawnicy Rossa rzucili mu się do gardła. Zarzucili, że schrzanił śledztwo w każdy możliwy sposób. Adwokat odmalował Jareda jako młodego człowieka, na którym ciążyła tak wielka presja złapania Straszego Pirata Roberta, że razem z kumplami z FBI zatrzymał niewłaściwego człowieka. Pytania, którymi go zarzucał, były tak konfrontacyjne, że każde powodowało ze strony oskarżenia głośny okrzyk „sprzeciw!”.

Media chłonęły tę dramaturgię i przekazywały światu teorie Dratela, informując, że na różnych etapach śledztwa Jared miał na oku alternatywnych sprawców. Po wielu dniach ciosów i oskarżeń obrony w końcu padło sześć słów, które przyniosły młodemu agentowi niewypowiedzianą ulgę: „wysoki sędzie, nie mam więcej pytań”.

Idąc w kierunku Ground Zero, Jared odtwarzał teraz w głowie ostatnie kilka lat życia. Co za kraj – pomyślał, oddalając się Broadwayem od gmachu sądu. W jednej chwili jesteś nikim, synem ormiańskiego emigranta, pracujesz w kinie i starasz się o dziesiątki różnych posad w administracji państwowej, ale odmawiają ci za każdym razem. Mówią, że nie masz dyplomu. Że jesteś zbyt konfliktowy. Że nie odpowiedziałeś prawidłowo na pytanie. Nie. Nie. Nie. W końcu po latach starań dostajesz pracę przy stemplowaniu paszportów. Próbujesz i próbujesz, aż wreszcie zostajesz agentem w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego. A potem dzwoni do ciebie pracownik piastujący

niewdzięczne stanowisko w monstrualnym centrum pocztowym portu lotniczego, żeby ci powiedzieć o maleńkiej różowej pigułce. I oto trafiasz tutaj.

Jared wszedł na teren World Trade Center. Wokół niego brzęczały koparki, pokrzykiwali budowlańcy, ryczały olbrzymie ciężarówki i dźwigi, a turyści patrzyli w górę przez telefony i aparaty fotograficzne, by uchwycić nowe, prawie już ukończone One World Trade Center. Myślał o Silk Road. Obrął sobie za cel samodzielne powstrzymanie siły, którą postrzegał jako potencjalnie niszczycielską dla struktury kraju, i dokonał tego. Potrzebował jednak pomocy mnóstwa innych ludzi, z których każdy dodał od siebie jeden element do gigantycznej układanki.

Szedł dalej przez rozległą budowę, z każdym krokiem coraz bardziej poruszony, i ciągle myślał o tym, że jedna pigułka mogła uratować życie wielu ludziom. Każdy człowiek może mieć olbrzymi wpływ na świat, w którym żyje. Jedni decydują się mieć wpływ pozytywny, inni negatywny, niektórzy zaś nie dostrzegają różnicy. Większość ludzi sądzi jednak, że ich rola na tym wielkim, olbrzymim świecie nie ma znaczenia. Że to tylko praca.

Gdy to sobie uświadomił, podszedł do jednego z krzepkich, chyba znudzonych strażników na budowie One World Trade Center, spojrzął mu prosto w oczy i wypalił:

– Dziękuję za pańską służbę.

Strażnik popatrzył na niego zupełnie zdezorientowany. Sądził, że stojący przed nim mężczyzna oszalał. Jared zaś powtórzył:

– Dziękuję za pańską służbę.

Skonsternowany ochroniarz zmierzył wzrokiem dziwnego człowieka, po czym odszedł. Jared ze łzami w oczach napotkał innego strażnika.

– Dziękuję za pańską służbę. – Uśmiechnął się od ucha do ucha. – Dziękuję za pańską służbę – powtórzył, a łzy ciekły mu już po twarzy.

Podchodził kolejno do każdego ochroniarza, jakiego znalazł, starych i młodych, mężczyzn i kobiet, dużych i małych. „Dziękuję za pańską służbę”. Wiedział, że brzmi jak obłąkany, ale nie mógł się powstrzymać. Chciał, by wszyscy oni wiedzieli.

„Dziękuję za pańską służbę”.

Nazajutrz rano wszyscy przybyli do sali rozpraw, a sędzia poinstruowała przysięgłych, co teraz mają zrobić. Byli tam Ross, jego matka Lyn, jego ojciec

Kirk. Również Tarbell i Gary. Były dziesiątki dziennikarzy i jeszcze większa liczba zwolenników oskarżonego. Brakowało tylko jednej osoby: Jareda.

W tym samym czasie, gdy dwunastu przysięgłych wyszło na naradę, wracał samolotem United Airlines do Chicago. Spędził lata, miesiące, tygodnie i dni, polując na Straszego Pirata Roberta, i przez ten czas stale był z dala od rodziny. Jego rozłąka z żoną i synkiem nie musiała już trwać ani chwili dłużej, a szczerze mówiąc, nie obchodziło go, jaki będzie werdykt. On zrobił swoje.

Kiedy samolot wylądował na międzynarodowym lotnisku Chicago O'Hare, tym samym, na które cztery lata wcześniej trafiła tamta różowa pigułka, Jared dostał esemesa od Tarbella. Przysięgli naradzali się tylko przez trzy i pół godziny.

„Winny wszystkich zarzucanych mu czynów”.

Jared uśmiechnął się, idąc do Zbokowozu. Potem pojechał do domu, gdzie z radością powitał go synek, pytając:

– Tatusiu, złapaliście pirata?

– Tak, złapaliśmy – odpowiedział Jared.

Padli na kanapę, by pograć razem na konsoli.

– Złapaliśmy pirata – powtórzył.

Wyrok

Sędzia Katherine Forrest siedziała chwilę w swoim gabinecie, a potem włożyła długą czarną togę i ruszyła do sali 15A. Przysięgli uznali Rossa Ulbrichta za winnego, więc teraz przyszła pora, by ona wydała wyrok.

W ciągu tygodni poprzedzających ten moment oskarżenie i obrona nalegały, żeby obrała tę lub inną drogę. Rodzina i przyjaciele Rossa pisali długie przemyślane listy, prosząc o uwolnienie lub w ostateczności o jak najłagodniejszy wyrok. Lyn napisała do sędzi Forrester jako matka, błagając o litość. „Zaklinam panią, niech ten wyrok nie będzie dłuższy, niż to konieczne, i niech Ross dostanie szansę naprawienia swoich błędów”.

Do sędzi napisał nawet sam Ross. Wyjaśnił, że już rozumie, że więzienie to niełatwe miejsce do życia, a chociaż ból utraty wolności jest dotkliwy, nie może się on równać z bólem, na jaki naraził swoją rodzinę. Postąpił naiwnie, żałował swoich czynów, nie przemyślał tego, co robi, zakładając Silk Road. Wreszcie pod koniec listu błagał o łagodną karę. „Przeżyłem swoją młodość i wiem, że musi mi pani odebrać wiek średni, ale proszę pozostawić mi starość”.

Po południu 29 maja 2015 roku sala numer 15A była tak bardzo wypełniona po brzegi, że przygotowano drugą, w której wyświetlano na żywo obraz z posiedzenia. Dla bezpieczeństwa przed wejściem ustawiono wykrywacze metalu po tym, jak ktoś opublikował w internecie dane osobowe sędzi wraz z jej adresem domowym i następującym dopiskiem: „Pieprzyć tę głupią sukę i mam nadzieję, że jakiś kartel, który na zamknięciu silk road stracił dużo pieniędzy, zamorduje ją i jej całą rodzinę”.

Oskarżenie wnioskowało o wyrok przekraczający dwadzieścia lat. Prawnicy sprowadzili do Nowego Jorku rodziców nastolatków oraz dorosłych, którzy ze skutkiem śmiertelnym przedawkowali narkotyki zakupione na stronie Silk Road, w tym matkę Prestona Bridgesa, która z płaczem opisywała chwilę, kiedy

po raz ostatni widziała syna, tamtej nocy, gdy wybierał się na bal maturalny w australijskim Perth.

Obrona odpowiedziała powołaniem „świadków charakteru”, którzy znali Rossa od dziecka i opowiadali historie o jego życzliwości i altruizmie. Potem zaś wstał Ross i przemówił sam:

– Jedną z rzeczy, które zrozumiałem na temat prawa, jest to, że prawo ludzkie przypomina prawo natury. Grawitacji nie obchodzi, czy się z nią zgadzasz; jeśli skoczysz ze skały, i tak zrobisz sobie krzywdę. – Wystąpienie zakończył szczerymi przeprosinami.

– Dziękuję panu – powiedziała sędzia, kiedy wrócił na miejsce. Następnie zarządziła piętnastominutową przerwę.

Gdy sędzia Forrest zaczęła wygłaszać wyrok, była spokojna, ale stanowcza. Wyjaśniła, że chce przeprowadzić Rossa, a także resztę obecnych na sali, przez cały swój złożony proces myślowy, który doprowadził do tej decyzji. Na początek wytłumaczyła, że strona jest ewidentnie dziełem Rossa i że nie był to eksperyment ani nagły przebłysk geniuszu, ale przedsięwzięcie, które Ross planował przez ponad rok. Miało ono być atakiem na demokrację kraju, który ona, sędzia, ślubowała chronić.

– Jako Straszny Pirat Roberts był pan kapitanem okrętu, tworzył pan własne prawa i egzekwował je według własnej woli – zwróciła się do Rossa, piorunując go wzrokiem. – Było to w istocie starannie zaplanowane dzieło życia. Pańskie *opus*. Chciał pan, żeby było pańską spuścizną... i tak się stało.

Ustosunkowała się do przedstawionych przez obronę artykułów naukowych, w których argumentowano, że zwiększona dystrybucja narkotyków może być moralnie korzystna dla społeczeństwa, ponieważ skutkuje ograniczeniem przemocy i promuje sprzedaż narkotyków lepszej jakości, a więc bezpieczniejszych. To najwyraźniej rozsierdziło sędzię Forrest. Zupełnie jakby Ross sugerował, że jest inny tylko dlatego, że narkotyki sprzedawał z za komputera.

– Żaden diler z Bronxu handlujący metamfetaminą, heroiną czy crackiem nigdy nie przedstawił przed sądem podobnych argumentów – powiedziała. – To argument osoby uprzywilejowanej. Nie jest pan wcale lepszym człowiekiem niż inni dilerzy, a pańskie wykształcenie nie gwarantuje panu wyjątkowego miejsca w systemie karnym.

Mówiła o skutkach ubocznych zażywania narkotyków. Ross twierdził, że przyjmowanie narkotyków odbywa się niejako wewnątrz kokonu, że nie krzywdzą one nikogo z wyjątkiem samego użytkownika. Ona uważała, że jest inaczej. Niebezpieczne substancje sprzedawane na stronie Silk Road często powodują, że cierpią też inni. Umierają ludzie. Pojawiają się narkomani. Mnożą się koszty społeczne, a osoby uzależnione od narkotyków nieraz tracą zdolność opieki nad dziećmi, więc całe pokolenie może dorastać zaniedbane.

Odnosząc się do zabójstw, powiedziała, że owszem, nie znaleziono ciała, ale jej zdaniem to bez znaczenia.

– Czy zlecił pan zabójstwo? I to pięciokrotnie? Tak. Czy zapłacił pan za nie? Tak. Czy otrzymał pan zdjęcia, które uważał pan za dowód przeprowadzenia tych morderstw? Tak. – Zmierając do konkluzji, spojrzała na Rossa i stwierdziła: – Oczywiście jest to, że ludzie są bardzo, bardzo złozeni, a pan jest jednym z nich. Jest w panu dobro, nie mam co do tego wątpliwości, ale jest i zło, a to, co pan robił w związku z serwisem Silk Road, było niezwykle szkodliwe dla naszego społeczeństwa.

Na sali zapadła cisza, kiedy sędzia Forrest poprosiła oskarżonego o powstanie. Trzydziestoletni Ross podniósł się i unióśł głowę, żeby spojrzeć na sędzię, myśląc o tym, co zaraz usłyszy. Jego matka i ojciec siedzieli z tyłu sali, obserwując syna oraz sędzię, która zaczęła przemawiać.

– Mocą mojego wyroku, wydanego tu i teraz w imieniu naszego państwa, z punktu dwa i cztery aktu oskarżenia zostaje pan skazany na karę dożywotniego pozbawienia wolności – oznajmiła. Potem dodała do wyroku jeszcze czterdzieści lat z pozostałych punktów.

Ross stał niewzruszony. Za nim, na ławkach sali rozpraw, słychać było tylko nieprzerwany płacz.

– W systemie federalnym – mówiła dalej sędzia – nie istnieje zwolnienie warunkowe, więc spędzi pan resztę życia w więzieniu.

Mongoose

Minął ponad rok od procesu, gdy wreszcie aresztowano ostatniego pracownika związanego z witryną Silk Road. Był to jednak bez wątpienia ten najbardziej wpływowy. Jeden z najwyższej postawionych doradców i najsukuteczniejszych dilerów. Posługiwał się osobliwym pseudonimem Variety Jones.

Przez chwilę wydawało się, że uda mu się uniknąć kary. Na ponad dwa lata zadekował się w małym nadmorskim miasteczku w Tajlandii. Opłacał miejscowych policjantów, więc ilekroć ktoś się zbliżał, udawało mu się uciec.

Jones oglądał właśnie wiadomości w pokoju hotelowym w Azji, kiedy dowiedział się, że jego przyjaciel i szef, Straszny Pirat Roberts, został aresztowany. A to ci dopiero! – pomyślał wtedy, przyglądając się zdjęciu Rossa Ulbrichta na ekranie telewizora.

Jak każda osoba związana ze stroną wiernie śledził proces, dowiadując się coraz więcej o byłym harcerzu i fizyku, któremu doradzał i któremu pomógł stać się Strasznym Piratem Robertsem. W przeciwieństwie do pozostałych pracowników miał jednak okazję się przekonać, jak ogromny wpływ wywarł na szefa Silk Road, kiedy w sądzie przedstawiano fragmenty dziennika z komputera Rossa jako materiał dowodowy. „To najwybitniejsza postać, o najsilniejszej woli, jaką dotąd poznałem za pośrednictwem strony – napisał Ross o swoim przyjacielu i doradcy Variety Jonesie. – Pomógł mi poprawić interakcję ze społecznością Silk Road, publikować obwieszczenia, radzić sobie z osobami sprawiającymi problemy, prowadzić sprzedaż, zmienić pseudonim, opracować zasady i tak dalej, i tak dalej... Był dla mnie prawdziwym mentorem”.

W trakcie procesu mówiono też o innym znalezisku: na komputerze Rossa federalni natrafili na folder z dowodami tożsamości wszystkich jego pracowników, w tym na fotografię paszportu pięćdziesięcioletniego Kanadyjczyka, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Roger Thomas Clark.

Wkrótce władze ustaliły, że ukrywa się on w Azji. Wczesnym rankiem w grudniu 2015 roku dzięki wspólnej akcji FBI, DHS, DEA i lokalnej tajlandzkiej policji Variety Jones został zatrzymany w niewielkim pokoju. Kiedy policjanci wpadli do jego kryjówki i zakuli go w kajdanki, jego pierwsze słowa brzmiały: „Mówcie mi Mongoose”. Odnosiły się do bardziej znanego pseudonimu, jakim posługiwał się na innych forach narkotykowych – „The Plural of Mongoose”.

Chociaż pojmano człowieka, który wcielał się w Variety Jonesa, próby ustalenia jego minionych działań dawały obraz złożony i pełen sprzeczności. Pewne znaki wskazywały na to, że Clark rzeczywiście był groźnym przestępcą, znacznie groźniejszym, niż kiedykolwiek przypuszczał SPR. Inne wskazówki w internecie składały się jednak na obraz złamanego człowieka, który ukrywał się za ekranem komputera wiedziony jednym tylko celem: dręczyć świat. A może internet pozwalał mu na bycie i jednym, i drugim?

W 2006 roku reporter „High Times”, czasopisma poświęconego marihuanie, napisał artykuł o różnych osobach handlujących nasionami konopi na forach internetowych. Chociaż na potrzeby tekstu rozmawiał z wieloma ludźmi, postanowił nie robić wywiadu z Clarkiem, którego uważał za groźnego człowieka pociągającego za sznurki. Mężczyzna znany jako Variety Jones słynął z zarażania cudzych komputerów wirusami i opowiadania długich, skomplikowanych historii, których prawdziwości nie znał nikt – oczywiście oprócz Rogera Thomasa Clarka.

Kiedy aresztowano go w Tajlandii, agenci zrobili mu zdjęcie smartfonem i rozesłali wiadomość do służb w Stanach Zjednoczonych. Na ziarnistym obrazie o niskiej rozdzielczości rozczochrany mężczyzna patrzy w obiektyw spod opadających powiek. Jego wychudzone zniszczone ciało wygląda jak ciało człowieka, który pokonał drogę do piekła i z powrotem i cieszył się z każdej przeżytej chwili.

Obecnie mężczyzna przebywa w areszcie śledczym w Bangkoku. Zespół prawników walczy tam o jego ekstradycję do Stanów Zjednoczonych, gdzie Clark stanie przed sądem za handel narkotykami i pranie brudnych pieniędzy. Będzie mu groziła kara dożywotniego pozbawienia wolności^[7].

Muzeum

Przy Pennsylvania Avenue w Waszyngtonie mieszczą się dziesiątki muzeów opowiadających historię Ameryki. Niektóre z eksponatów tam przechowywanych mają setki lat, jak na przykład postrzępiona flaga, która zainspirowała powstanie hymnu Stanów Zjednoczonych, oraz pistolet, z którego zastrzelono prezydenta Lincolna. Są też obiekty nowsze, które jednak pozostaną niesławne przez stulecia. Niektóre znajdują się we współczesnym Newseum przy Pennsylvania Avenue 555, zaledwie kilka przecznic od Białego Domu.

Wśród zbiorów tego muzeum są przedmioty związane z najsłynniejszymi sprawami kryminalnymi w historii Stanów Zjednoczonych. W jednym kącie stoi stara drewniana chatka ledwo zdolna pomieścić człowieka, która należała do Teda Kaczynskiego, czyli Unabombera. Nieopodal leżą grube czarne buty, które miał na sobie Shoe Bomber, Richard Reid, gdy w 2001 roku próbował wysadzić w powietrze samolot American Airlines. Wreszcie, nieco dalej w głębi wystawy, w szklanej gablocie mieści się eksponat numer 2015.6008.43a. Jest nim srebrny laptop Samsunga.

„Nazywał siebie Straszny Piratem Robertsem, tak jak postać z *Narzeczonej dla księcia*” – informuje tabliczka obok komputera. Dalej następuje wyjaśnienie, że laptop należał do Rossa Ulbrichta, który kierował wartym 1,2 miliarda dolarów targowiskiem o nazwie Silk Road. Nie ma natomiast informacji o tym, w jaki sposób urządzenie trafiło do tej gabloty ani co wciąż kryje się na jego dysku twardym.

W ciągu następnych kilku tygodni po aresztowaniu Rossa Tarbell, Thom i Jared spenetrowali laptopa w poszukiwaniu dowodów związanych z Silk Road. Informatykom śledczym FBI udało się dostać do tej części komputera, z której Ross korzystał, kiedy był Straszny Piratem Robertsem – części zawierającej miliony słów w zapisach czatów między SPR-em a jego pracownikami, a także hakerami, zabójcami na zlecenie oraz handlarzami

bronią i narkotykami. Ci sami agenci nie zdołali jednak uzyskać dostępu do drugiej części, do której mężczyzna logował się wtedy, gdy chciał być Rossem Ulbrichtem, wysłać wiadomości do przyjaciół, kontaktować się z rodziną, żyć swoim drugim życiem. Próbowali złamać hasła dostępu, ale bez skutku. Odgadnięcie tego hasła zajęłoby komputerowi ponad sto lat. Dlatego tamta strona, strona Rossa, pozostaje na zawsze zamknięta. Podobnie jak dawny właściciel laptopa.

Obecnie dni Rossa zaczynają się wraz ze wschodem słońca, kiedy słychać brzęk kluczy i otwierają się drzwi kolejnych cel. Jego cela ma zaledwie parę metrów długości i dwa razy mniej szerokości. Ross budzi się, wkłada więzienne ubranie i wychodzi do części wspólnej więzienia. Czas jest uciążliwie reglamentowany, przysługuje godzina na śniadanie, trzydzieści minut na lunch i tyle samo na kolację. Posiłki serwuje się na plastikowych tacach z zagłębieniami po bokach na plastikowe sztućce, plastikowe kubki i porcje margaryny. Sklep więzienny sprzedaje przekąski, napoje i ubrania. Za pieniądze, które matka umieściła na koncie syna, Ross czasem może sobie kupić batona, napój gazowany albo nowe adidas lub spodnie od dresu.

Więźniowie tacy jak on, którzy dobrze się zachowują, mogą godzinę dziennie spacerować w kółko na dachu budynku, w miejscu wydzielonym od otwartej przestrzeni specjalną klatką. Wieczorem Ross jest prowadzony z powrotem do celi i zatrząskują się za nim zasuwki na drzwiach. Betonowe pomieszczenie pogrąża się w mroku.

Po aresztowaniu Rossa stronę Silk Road natychmiast zamknięto. Minęło jednak tylko kilka tygodni i otworzyła się witryna Silk Road 2.0 z nowym Straszny Piratem Robertsem za sterami okrętu. Kiedy federalni również i ją zamknęli, pojawił się kolejny serwis Silk Road, a także setki innych stron internetowych, na których anonimowo sprzedawano narkotyki w sieci. Prowadzący je ludzie uważają się za uczestników swoistego ruchu, a niektórzy wierzą, że czynią świat lepszym. Może tylko szukają usprawiedliwienia, a może nie.

W 2015 roku, tym samym, w którym Ross został skazany na dożywocie, grupa naukowców zakończyła trwające łącznie sześćdziesiąt siedem tysięcy godzin badanie. Rozmawiano w nim z setką tysięcy ludzi na całym świecie o ich nawykach związanych z narkotykami. Jedno z pytań w ankiecie dotyczyło tego, skąd biorą używki. Dzięki temu badacze mogli stwierdzić, że po roku od

uruchomienia serwisu Silk Road aż dwadzieścia procent respondentów kupowało je w internecie. Zapytani, dlaczego wybierają to źródło, tłumaczyli, że na ulicy istnieje niemal sześciokrotnie większe ryzyko, że coś im się stanie. Najwyraźniej Ross zrealizował cel, który mu przyświecał przy zakładaniu Silk Road, bo dziesiątki tysięcy ludzi czuły się bezpieczniej dzięki temu, że mogli kupować narkotyki w sieci.

Jak zawsze w przypadku technologii, wszystko ma jednak swoją dobrą i złą stronę. Również w 2015 roku przedstawiono wyniki innego badania, przeprowadzonego przez Centra Kontroli i Prewencji Chorób (Centers for Disease Control and Prevention, CDC). Wykazało ono, że w ciągu ostatnich lat w Ameryce po raz pierwszy więcej ludzi zmarło w wyniku przedawkowania heroiny i opioidów niż w wyniku postrzału z broni palnej. Jak donosiły serwisy informacyjne, którym często towarzyszyły przejmujące nagrania wideo wykonane smartfonami, w setkach przypadków rodzice, którzy przedawkowali, zostawiali osierocone dzieci. Jedną z przyczyn wzrostu liczby zgonów była łatwość dostępu do produkowanych w chińskich laboratoriach syntetycznych opioidów takich jak fentanyl. Narkotyki te są od pięćdziesięciu do stu razy mocniejsze od tradycyjnej heroiny, a osoby je zażywające często nie potrafią oszacować odpowiedniej dawki, co nieuchronnie prowadzi do śmiertelnego przedawkowania. Tabele ilustrujące liczbę ofiar syntetycznych opioidów, które uzupełniały raport CDC, niewiele się różniły od tych przedstawiających zyski płynące z Silk Road: linia wykresu biegła gwałtownie w górę i w prawo.

Kiedy ukazują się teksty na temat badań związanych z kupowaniem narkotyków w internecie, Ross Ulbricht często jest wspomniany jako pionier tego nowego trendu. Linki w tych artykułach wcześniej czy później prowadzą czytelników do mało znanego nagrania wideo zarejestrowanego we Współczesnym Muzeum Żydowskim w San Francisco. Na filmie Ross rozmawia z Reném, przyjacielem z liceum, o swoim spojrzeniu na dalsze życie. Nagranie jest trochę nieostre, i choć wydaje się, że rozmowa toczy się między nimi dwoma, okazuje się, że Ross mówi o kimś innym.

– Myślisz, że będziesz żył wiecznie? – pyta René.

Następuje chwila na zastanowienie, a potem Ross Ulbricht patrzy w kamerę i mówi:

– Sądzę, że jest to możliwe. Poważnie, myślę, że w pewnej formie mogę żyć wiecznie.

Inni

Kilka dni po aresztowaniu Rossa agenci FBI wrócili z San Francisco do Nowego Jorku, by zacząć gromadzenie dowodów i penetrowanie laptopa Rossa. Chris Tarbell uważał, że to już koniec dramatu, skoro złapali Straszego Pirata Roberta. Właśnie wrócił do biura i do Jamy, kiedy zadzwonił jego telefon.

– Twój szajs jest w necie! – ryknął do słuchawki Jared.

– Co? – odpowiedział zdezorientowany Tarbell. – O czym ty mówisz?

Jared wyjaśnił, że na internetowym bazarze narkotykowym panuje chaos. Przywódca zniknął, więc pracownicy pragną zemsty. Za cel obrali człowieka, którego nazwisko umieszczono na samym dole raportu z aresztowania Rossa Ulbrichta: „Christopher Tarbell. Agent specjalny. Federalne Biuro Śledcze”.

Gdy Tarbell sprawdził link przesłany przez Jareda, który zawierał szczegóły materiałów umieszczonych w sieci przez adiutantów SPR-a, zobaczył swój adres domowy, adres szkoły swoich dzieci, adres teściów, oraz całą masę wiadomości o tym, że trzeba dorwać Tarbella i zniszczyć jego rodzinę. Natychmiast wpadł w panikę.

– Biorą się za moją rodzinę! – zawołał do współpracowników. Zaraz potem rozgorączkowany zadzwonił do żony Sabriny i podał ich prywatne hasło alarmowe: – Ruchome piaski! Ruchome piaski!

FBI błyskawicznie przystąpiło do akcji. Dowodzenie przejęła specjalna centralna komórka w Waszyngtonie, wyspecjalizowana w ochronie agentów, którym grozi niebezpieczeństwo. Powiadomiono nowojorską policję, która wysłała radiowozy do domu Tarbella, szkoły jego dzieci i domu teściów. Tarbell i jego rodzina zostali przewiezieni na sygnale do hotelu w New Jersey, gdzie mieli spędzić w ukryciu długi weekend.

Kilka dni później, kiedy FBI i policja powiadomiły ich, że mogą już bezpiecznie wrócić, Tarbellowie pojechali do domu, który teraz był monitorowany na żywo przez kamery wideo i patrolowany całą dobę przez

zespoły federalne. Tego wieczoru Chris i Sabrina położyli dzieci do łóżek, ucałowali je na dobranoc, a potem usiedli naprzeciw siebie przy kuchennym stole. Obok nich leżały pistolety na wypadek, gdyby ktoś spróbował się wdrzeć do domu. Jedząc kolację, wyglądali jak dwoje ludzi na wojnie.

Przez ten weekend coś się zmieniło. Niebezpieczeństwo, które dotknęło ich dzieci, obudziło w Sabrinie matczyne instynkty. Patrząc teraz na męża, odezwała się czule, lecz stanowczo:

– Dałam ci szesnaście lat takiego życia, ale może nadszedł czas, żebyś teraz ty zrobił coś dla rodziny.

Dokładnie wiedział, o co prosi żona. Chris Tarbell przez całe życie pragnął tylko być gliniarzem. Nie obchodziło go, czy rozdaje mandaty za złe przechodzenie przez jezdnię, czy poluje na najbardziej poszukiwanego człowieka w internecie – to dlatego był tam, gdzie był. Zarazem jednak zawsze chciał mieć rodzinę. Jeśli musiał wybierać między FBI a Sabriną i dziećmi, nie ulegało żadnej wątpliwości, jaką decyzję podejmie.

Tarbell złożył broń i odznakę – Eliot Ness cyberprzestrzeni odszedł z FBI.

Obecnie pracuje w dużej firmie cyberkonsultingowej w Nowym Jorku, gdzie pomaga przedsiębiorstwom i rządowi w zakresie przestępstw komputerowych. Wciąż bawi się w „czy wolelibyście”. Choć jego żona Sabrina czuje się już znacznie bezpieczniej, i tak wciąż nosi przy sobie w domu pistolet. Kładzie go nawet na stosie świeżych ręczników, kiedy wyjmuje pranie.

Przez kilka miesięcy po zatrzymaniu Straszego Pirata Roberta wyglądało na to, że Carlowi Force'owi i Shaunowi Bridgesowi uszło na sucho upozorowanie morderstwa i przywłaszczenie sobie milionów dolarów w bitcoinach. Większość łupu sprytnie ukryli na zagranicznych kontach pod nazwami fikcyjnych firm. Obaj zakładali, że tych elektronicznych monet nie da się z nimi powiązać. Bądź co bądź bitcoiny są jak gotówka: kompletnie anonimowe.

Carl nabrał takiej pewności siebie, że próbował skontaktować się z wydawcami w Nowym Jorku i studiami filmowymi w Hollywood, licząc na sprzedanie im swojej historii tajnego agenta DEA, który pomógł doprowadzić do upadku Silk Road. W DEA wychwalano go jako bohatera, otrzymał nawet kilka nagród za doskonale wykonaną robotę. Gdy przekonał się, że nikt nie podejrzewa go o nielegalne działania, po cichu zaczął sprzedawać część

bitcoinów, żeby spłacić hipotekę obciążającą jego stary dom w stylu kolonialnym i kupić parę zabawek.

Kiedy jednak agenci FBI i IRS dzięki opracowanemu przez nich złożonemu algorytmowi zaczęli odtwarzać przepływ bitcoinów trafiających na stronę Silk Road i z niej wypływających, szybko okazało się, że część finansów się nie zgadza. Co prawda większość pieniędzy znaleziono, bo dziesiątki milionów dolarów wylądowały na laptopie Rossa, a kolejne miliony otrzymali pracownicy, hakerzy i informatorzy. Sporo bitcoinów trafiło jednak o dziwo do Carla Force'a i Shauna Bridgesa. Może to jakaś anomalia, pomyśleli federalni. Przecież dwóch gliniarzy z tego samego zespołu nie okradaloby obiektu własnego śledztwa. A może jednak?

Kiedy potajemnie zaczęto badać tę ewentualność, pojawiły się kolejne osobliwości, niezmiennie wiodące do Shauna i Carla.

Na serwerach Silk Road FBI znalazło między innymi wiadomość do Straszego Pirata Robertsa wysłaną przez jednego z rzekomych informatorów, wtyczkę w strukturach rządowych. Ta osoba, posługująca się pseudonimem Francuska Pokojówka, sprzedawała SPR-owi tajemnice za grube pieniądze. Kiedy jednak agenci dogłębniej zbadali sprawę, zauważyli, że jedna z wiadomości od Francuskiej Pokojówki jest podpisana „Carl”. Kolejna, wysłana zaraz potem, zawierała wyjaśnienie: „Sorry za to. Nazywam się Carla Sophia i mam na targowisku masę chłopaków i dziewczyn”.

Nie ulegało wątpliwości, że Carl dał dupy i omyłkowo podpisał się własnym imieniem, kiedy sprzedawał SPR-owi informacje jako ktoś inny. Później federalni ustalili, że stworzył jeszcze kilka fałszywych kont, z których groził Straszemu Piratowi Robertowi, wywierał na niego presję albo go przekupywał. Kiedy połączono wszystkie te wskazówki, agenci zdołali powiązać Carla ze skradzionymi bitcoinami o wartości siedmiuset pięćdziesięciu siedmiu tysięcy dolarów.

W obliczu nieprzebranych dowodów i perspektywy spędzenia kilkudziesięciu lat w więzieniu o najwyższym rygorze Carl Force oddał się w ręce władz i przyznał się do zarzutów kradzieży własności rządowej, oszustwa telekomunikacyjnego, prania brudnych pieniędzy i konfliktu interesów. Skazano go na karę siedemdziesięciu ośmiu miesięcy pozbawienia wolności w więzieniu federalnym.

Shaun Bridges nie był gotów poddać się równie potulnie. Kiedy odkrył, że władze prowadzą przeciwko niemu dochodzenie w sprawie prania brudnych pieniędzy i utrudniania śledztwa, spróbował skasować zawartość służbowego laptopa, na którym znajdowało się mnóstwo obciążających go dowodów. Później usiłował (bez powodzenia) zmienić nazwisko i numer ubezpieczenia społecznego. Gdy żadna z tych metod się nie powiodła, przyznał się do zarzutów przywłaszczenia sobie ośmiuset dwudziestu tysięcy dolarów ze strony Silk Road, za co otrzymał karę siedemdziesięciu jeden miesięcy pozbawienia wolności i nakazano mu zapłatę pięciuset tysięcy dolarów odszkodowania. W przeciwieństwie do Carla, który zgłosił się do więzienia i rozpoczął odbywanie kary, Shaun został złapany na próbie opuszczenia kraju z komputerem, kamizelką kuloodporną, kilkoma paszportami i telefonem komórkowym. Aktualnie obaj odsiadują wyrok w federalnych zakładach karnych. Zostaną wypuszczeni na wolność w 2022 roku.

Po aresztowaniu Rossa Julia widziała się z nim kilka razy – przylatywała do Nowego Jorku, by odwiedzić go w więzieniu. Rozmawiali przez telefon co kilka tygodni. Podczas tych rozmów czasami płakała; zawsze mówiła o Bogu. A potem, pewnego dnia w połowie 2015 roku, przestała odbierać telefony od Rossa. Co prawda wciąż go kochała, zdecydowała jednak, że pora skupić się na sobie i swoim biznesie. Rok później Vivian's Muse było już jednym z najlepiej prosperujących studiów fotografii buduarowej w kraju. Julia nie porzuciła nadziei, że znajdzie dobrego męża, który będzie miał z nią dziecko albo dwoje i da jej domek z białym płotem, w którym będzie żyła długo i szczęśliwie.

Curtis Green (Nito) mógł dostać aż czterdzieści lat więzienia, ponieważ aresztowano go w Spanish Fork w stanie Utah z kilogramem kokainy. Zamiast tego, jako że był torturowany i zamordowany na niby przez dwóch agentów rządowych (Carla i Shauna), którzy sami złamali prawo, sędzia federalny w Baltimore wypuścił go na wolność, zaliczając mu dotychczasowy pobyt w areszcie na poczet całej orzeczonej kary.

Po swoim procesie Green zaczął sprzedawać w internecie pamiątki związane ze stroną Silk Road, między innymi czapki, koszulki i opatrzone autografem egzemplarze swoich wspomnień – nad którymi wciąż pracuje – opisujących jego życie jako pracownika tajnego sklepu internetowego z narkotykami.

Gary Alford wciąż pracuje w urzędzie skarbowym w Nowym Jorku, gdzie koncentruje się na przestępstwach finansowych. Za swój udział w śledztwie w sprawie Silk Road otrzymał nagrodę państwową. Napis na złotej tabliczce, która stoi na jego biurku w pracy, nazywa go „Sherlockiem Holmesem cyberprzestrzeni”. Gary nadal czyta wszystko trzy razy.

Przez ponad rok po zamknięciu Silk Road Jared nadal działał pod przykrywką w darknecie jako Cirrus, pomagając Tarbellowi, Gary’emu i innym pracownikom organów ścigania w zatrzymaniu najbardziej zaufanych doradców Straszego Pirata Roberta.

Inigo, najmłodszy z administratorów, dwudziestoczwolatek, został aresztowany na barce mieszkalnej w Charles City w Wirginii, gdzie żył i pracował przy stronie Silk Road. Jego starsi rodzice sprzedali dom i wykorzystali oszczędności odłożone na emeryturę, żeby wpłacić milion dolarów kaucji za syna. Smedleya zatrzymano podczas próby wkroczenia na terytorium Stanów Zjednoczonych, po tym jak ukrywał się w Tajlandii razem z Variety Jonesem. SameSameButDifferent został natomiast aresztowany przez policję federalną w australijskim interiorze. W jego kieszeni znaleziono pierścienkę zaręczynową – mężczyzna właśnie był w drodze do swojej dziewczyny, której zamierzał się oświadczyć. Ten czterdziestolatek to jeden z najstarszych administratorów strony. Oprócz zaangażowania w projekt Silk Road miał pracę na pełen etat: pomagał osobom z niepełnosprawnościami intelektualnymi i fizycznymi.

Łącznie w związku z kupnem lub sprzedażą narkotyków i pracą przy stronie Silk Road zatrzymano kilkaset osób z czterdziestu trzech krajów świata, a ostatnim akordem było aresztowanie Variety Jonesa.

W dniu, w którym zatrzymano VJ-a, Jared wpadł do centrum pocztowego międzynarodowego portu lotniczego Chicago O’Hare, żeby obejrzeć przesyłki i narkotyki zatrzymane poprzedniej nocy. Z plecakiem na ramieniu i nieodłączną kostką Rubika w środku szedł powoli długim korytarzem do pomieszczenia z dowodami. Cieszył się, że sprawa, nad którą pracował przez wiele lat, rozpoczęta wraz z pojawieniem się jednej różowej pigułki w tym właśnie obiekcie, wreszcie z powodzeniem dobiegła końca. Kiedy jednak skręcił za róg i minął jakieś drzwi, usłyszał, że ktoś woła go po imieniu.

– Jared! Mam coś dla ciebie.

– O co chodzi? – zapytał. Zatrzymał się i ruszył w kierunku celnika siedzącego w pobliskim boksie.

– Znaleźliśmy to w poczcie wczoraj wieczorem – powiedział tamten, wskazując leżącą na biurku miękką brązową kopertę oraz duży stos niebieskich tabletek ekstazy, które znajdowały się w środku.

– Ile tego jest? – spytał Jared.

– Naliczyłem dwieście – odparł celnik.

– Dwieście?!

– Dwieście.

Uwagi o gromadzeniu materiałów

Poruszając się każdego dnia w realnym świecie, zostawiamy po sobie miliard drobnych odcisków palców. Drzwi, których dotykamy, ekrany, na których wybieramy jakąś opcję, ludzie, z którymi mamy kontakt – wszędzie zostają ślady naszej obecności. Tak samo jest w internecie. Dzielimy się zdjęciami i filmami w serwisach społecznościowych, zostawiamy komentarze pod artykułami. Codziennie mejlujemy, czatujemy i wymieniamy wiadomości z setkami osób.

Jeśli ktoś zostawił w internecie więcej takich elektronicznych odcisków niż przeciętne osoby, to właśnie Ross Ulbricht. Przez lata żył w swoim komputerze i za jego pośrednictwem wchodził w kontakt z mnóstwem dobrych i złych ludzi.

Zbierając materiały do tej książki, uzyskałem dostęp do liczących ponad dwa miliony słów zapisów czatów i wiadomości wymienianych między Straszny Piratem Robertsem a dziesiątkami jego pracowników. Są to nieznośnie szczegółowe rozmowy na temat każdego momentu i każdej decyzji związanej ze stworzeniem strony Silk Road oraz kierowaniem nią. Znajdują się tam oszałamiające detale na temat kupowania narkotyków, broni, narzędzi i trucizn, a także każdego aspektu zarządzania serwisem. Dysponowałem także dziesiątkami stron osobistego dziennika Rossa oraz tysiącami jego zdjęć i filmów, pochodzących zarówno od jego przyjaciół, jak i z jego własnego komputera i telefonu.

Razem z researcherką Nicole Blank penetrowaliśmy internet w poszukiwaniu wszystkiego, czego dotknął Ross w ciągu ostatniej dekady.

Zgromadziliśmy w ten sposób nieprzebrane bogactwo treści z mediów społecznościowych takich jak Twitter, Google, Facebook, YouTube i LinkedIn, a także artykuły i materiały, które zainteresowały Rossa i które komentował. Przedstawiające go zdjęcia, które otrzymałem od znajomych i innych osób, mówiły więcej, niż widać na samych fotografiach. Informacje ukryte w plikach (znane jako dane EXIF) pokazywały, kiedy wykonano dane zdjęcie, a często również, dzięki współrzędnym GPS, w jakim miejscu. Wreszcie były też materiały z trzytygodniowych zeznań i setki dowodów przedstawionych podczas procesu przez oskarżenie i obronę.

Przy pomocy bazy danych w Excelu Nicole i mnie udało się zestawić ze sobą poszczególne wydarzenia od 2006 do 2013 roku – często co do sekundy. Wszystko pasowało idealnie. Na przykład kiedy Straszny Pirat Roberts mówił adiutantom na stronie Silk Road, że robi sobie wolny weekend i wyjeżdża na krótką wycieczkę, podczas tego samego weekendu Ross Ulbricht i jego przyjaciele wrzucali do internetu zdjęcia z biwaku pod namiotem. Kiedy Ross poleciał na Dominikę, Straszny Pirat Roberts był niedostępny dokładnie od momentu startu samolotu, wrócił zaś do sieci, w innej strefie czasowej, kiedy Ross wylądował. Tego typu zbieżności pojawiały się w naszej bazie danych setki razy.

Tak często, jak tylko się dało, odwiedzałem miejsca, w których pracował Ross, siedziałem na tym samym krześle w bibliotece Glen Park, jadłem sushi w tej samej restauracji i leżałem na tym samym skrawku trawy, z którego pstryknął zdjęcie na Alamo Square. Rozmawiałem z setkami ludzi, którzy znali go na wszystkich etapach życia, od szkoły podstawowej aż po studia, z dziewczynami, z którymi był na balach, i najlepszymi przyjaciółmi, z byłymi kochankami i partnerkami na jedną noc. W Tajlandii za pośrednictwem tłumacza udało mi się dowiedzieć więcej na temat człowieka podejrzewanego o bycie Variety Jonesem.

Jeśli chodzi o drugą stronę tej historii, dotyczącą organów ścigania, spędziłem ponad dwieście pięćdziesiąt godzin z agentami federalnymi uczestniczącymi w polowaniu na Straszego Pirata Roberta, zatrudnionymi w FBI, HSI, IRS, CBP i DOJ. Odwiedzałem ich biura, lotniska, na których pracują, i centra pocztowe, w których odkryto narkotyki. (Poznałem nawet jednego psa tropiącego narkotyki, ale nie miał zbyt wiele do powiedzenia). Ponadto wkład w gromadzenie materiałów do tej książki mieli Joshuah

Bearman i Joshua Davis, którzy pracując nad artykułem o serwisie Silk Road do magazynu „Wired”, spędzili kolejne pięćdziesiąt godzin z agentami DEA i dziesiątki godzin z jednym z pracowników strony.

Aby uzyskać najdrobniejsze szczegóły, korzystałem z internetowych almanachów pogody, chcąc ustalić temperaturę i siłę wiatru panujące danego dnia, z raportów dla surferów, by poznać wysokość fal, i ze szczegółów lotów, by stwierdzić, czy w danym samolocie nastąpiły turbulencje, a także ze starych ogłoszeń na Craigsliście, bilingów telefonicznych, rejestrów podróży i kilku innych cyfrowych narzędzi, żeby przedstawić tę historię w formie narracyjnej opowieści non-fiction.

Udało mi się uzyskać dostęp do nagrania z kamery monitoringu przed biblioteką Glen Park, na którym zarejestrowano ostatnie chwile Rossa jako wolnego człowieka.

Chociaż w ramach pracy nad książką rozmawiałem z bardzo wieloma ludźmi, Ross Ulbricht – za pośrednictwem rodziny i prawników – odmówił udzielenia mi wywiadu.

Podziękowania

Chciałbym zacząć od podziękowania Tobie, drogi czytelniku, za poświęcenie czasu na lekturę tej książki. Poważnie, dziękuję.

Chcę również ukłonić się rodzicom Rossa, Lyn i Kirkowi. Choć nie rozmawiali ze mną na potrzeby pisania tej książki, miałem okazję pomówić z nimi kilkakrotnie w trakcie procesu i czułem ogromny smutek z powodu tego, co przeżyli.

Dla większości czytelników poniższe nazwiska nic nie znaczą, ale mogę zapewnić, że bez nich ta książka nigdy by nie powstała.

Dziękuję mojej redaktorce, Niki Papadopoulos, za to, że jest najlepszą redaktorką książek, jaka kiedykolwiek kroczyła po korytarzach wydawnictw (i że ma takie nazwisko, że nadal muszę je wyszukiwać w Google'u, by mieć pewność, że prawidłowo je zapisałem). Olbrzymie podziękowania kieruję również pod adresem całego zespołu Portfolio/Penguin, w tym do Adriana, Willa, Leah, Vivian, Stefanie, Tary, Bruce'a i Hilary.

Dziękuję moim agentom – Katince Matson i reszcie cudownego zespołu Brockman Inc., Brianowi Siberellowi i Bryanowi Lourdowi z CAA oraz Ericowi Shermanowi z Ziffren Brittenham. Wszyscy jesteście naprawdę niesamowici i to wielkie szczęście, że mogę z wami pracować.

Dziękuję mojej researcherce Nicole Blank, za cierpliwość, skwapliwość i pomoc na tak wiele różnych sposobów, że nie sposób ich zliczyć w tej książce. Wisienką na torcie niech będą podziękowania dla Joshuy Davisa i Joshuah Bearmana – dwóch najdoskonalszych żyjących opowiadaczy historii – oraz dla zespołu magazynu „Epic” za doskonałą pracę dziennikarską na potrzeby tej książki.

Wiem, że ludzie ciągle mówią, że coś nie byłoby możliwe bez pomocy tej czy tamtej osoby, ale niniejsza książka naprawdę nie mogłaby powstać bez wkładu Jareda Der-Yeghiayana, jego żony Kim i ich dzieci, Chrisa Tarbella, jego żony Sabriny i ich dzieci, Gary'ego Alforda, Julii Vie, Thomasa Kiernana, Ilhwana Yuma, rodziny Prestona Bridgesa, dziesiątek funkcjonariuszy organów ścigania, których nie można tu wymienić z nazwiska, oraz wielu dawnych przyjaciół, znajomych i współpracowników Rossa. Wszyscy oni spędzili

niezliczone godziny, odpowiadając na moje boleśnie monotonne i nużące pytania. Dziękuję wam po tysiąckroć.

Olbrzymie podziękowanie należy się moim redaktorom z „Vanity Fair”, Jonowi Kelly’emu i Graydonowi Carterowi, moim obłędnie zdolnym współpracownikom, za doprawdy niewiarygodne wsparcie i przyjaźń. (Pozdrowienia dla moich byłych redaktorów i współpracowników z „New York Timesa”, zwłaszcza Stuarta Emmricha, Damona Darlina, Deana Baqueta, Jill Abramson i każdego, kto ma na nazwisko Sulzberger). I przede wszystkim dziękuję, bardzo dziękuję Larry’emu Ingrassii, który przed laty podjął ryzyko i dał mi szansę, gdy nad talerzem chińszczyzny zniecka wypaliłem, że chciałbym spróbować pracy reportera.

Wiem, że moje siostry przeglądają tę stronę i zachodzą w głowę, gdzie są ich imiona, dlatego chyba pora podziękować rodzinie za to, że jest tak wspaniała i mnie wspiera, choć gdy dorastałem, przysporzyłem im sporo przykrości. Dziękuję wam, Tato (i Margie), Eboo (i Weter, i Roman) i Leanne (i Michael, Luca, i Willow). Debra i Kaitlyn. Amanda i Stephen. Ben i Josh. Matt i Sam. Pixel, Gracie, Lottie i Hammy. Choć imion jest zbyt wiele, żeby zmieścić je wszystkie w tej książce, dziękuję wszystkim moim przyjaciółom – wiecie, że to o was chodzi.

Przede wszystkim dziękuję wam, Chrysto, Somersecie i Emersonie, za odpowiedź na pytanie, po co tu jesteśmy. Kocham was tak bardzo, bardzo i nie ma takiej rzeczy, którą mógłbym tu napisać, by wyrazić, jak jestem wam wdzięczny. Chrysto, jesteś moją najlepszą przyjaciółką, a także najlepszą matką i najlepszą żoną na świecie. (I tak, miałaś rację – jak zawsze). Kocham cię.

Podczas pisania tej książki nie było takiego dnia, żebym nie myślał o dwóch osobach, które miały na mnie największy wpływ jako na dziennikarza i pisarza: o moim przyjacielu i mentorze Davidzie Carrze i mojej matce Sandrze, nienasyconej czytelniczce. David nauczył mnie mnóstwa rzeczy o dziennikarstwie i opowiadaniu historii („Stukaj w klawiaturę tak długo, aż wyjdzie z tego pisanie”) i zawsze będę wdzięczny za lata, które mogłem z nim spędzić. Jeśli zaś chodzi o moją matkę, to chociaż nie ma jej już z nami, mam nadzieję, że jest gdzieś tam na górze i to czyta. Jeśli tak, wiem, że zaczęła książkę właśnie od tej strony. Mamo, możesz już otworzyć na samym początku. Kocham cię i tęsknię za tobą.

Bibliografia


- Bauer Alex, *My Roommate, the Darknet Drug Lord*, „Motherboard” („Vice”), 12 marca 2015
- Bearman Joshuah, *The Untold Story of the Silk Road*, „Wired”, kwiecień i maj 2015
- Chen Adrian, *The Underground Website Where You Can Buy Any Drug Imaginable*, „Gawker”, 1 czerwca 2011
- Greenberg Andy, *An Interview with a Digital Drug Lord. The Silk Road’s Dread Pirate Roberts*, „Forbes”, 14 sierpnia 2013
- Hofmockel Mandy, *Students Debate Current Issues*, „Daily Collegian”, 4 grudnia 2008
- Lamoustache, *Silk Road Tales and Archives*, Antilop.cc
- Mac Ryan, *Living with Ross Ulbricht*, „Forbes”, 9 października 2013
- Mullin Joe, *Judge in Silk Road Case Gets Threatened on Darknet*, „Ars Technica”, 22 października 2014
- Smiley Lauren, *A Jail Visit with the Alleged Dread Pirate Roberts*, „San Francisco Magazine”, 18 października 2013

Przypisy

- [1] Costco – amerykańska sieć sklepów, w której kupujący są zarejestrowanymi członkami. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
- [2] Liczby kojarzone z paleniem marihuany. 20 kwietnia obchodzony jest Światowy Dzień Marihuany.
- [3] Larry the Cable Guy – amerykański komik wcielający się na scenie w stereo-typowego prostaka z Południa.
- [4] Księga Rodzaju 3,1 [w:] *Biblia to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu: nowy przekład z języków hebrajskiego i greckiego* (Biblia Warszawska), cyt. za biblia.info.pl/biblia.html (dostęp 6.12.2019).
- [5] Tamże, Księga Rodzaju 3,4–5.
- [6] Tamże, Księga Rodzaju 3,22.
- [7] Niniejsza książka ukazała się na rynku amerykańskim w 2017 roku. Do ekstradycji Clarka do Stanów Zjednoczonych doszło w czerwcu 2018 roku.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

 Wydawnictwo Czarne

 @wydawnictwoczarne

Sekretariat i dział sprzedaży:
ul. Węgierska 25A, 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Dział promocji:
ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel. +48 22 621 10 48

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2020

Wydanie I